

TOM CCLVII.

SERYA 9.

De. II 1.  
ROK 65.

ZESZYT 771.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

M A R Z E C.

1905.

---

TOM I. — ZESZYT 3.

---

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—  
1905.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. WALKA Z „NADCZŁOWIEKIEM.” (Z kresów zachodniej Polski), — przez <i>Franciszka Morawskiego</i> . . . . .	413
2. PRZEMIANY. Powieść współczesna (dalszy ciąg), — przez <i>Kazimierza</i> <i>Złzichowskiego</i> . . . . .	442
3. REJ A ZAMOYSKI, — przez <i>W. Sobieskiego</i> . . . . .	474
4. POLITYKA SZKOLNA TEREZYJAŃSKO-JÓZEFIŃSKA W GALI- CYI, — przez D-ra <i>Stefana Jantzena</i> . . . . .	503
5. SZTUKA I ŻYCIE — przez <i>T. Jaroszyńskiego</i> . . . . .	518
6. RUCH UMYSŁOWO-LITERACKI WE FRANCYJI, — przez <i>Henryka</i> <i>Reinholda</i> . . . . .	534
7. CZYTELNICZTWO WŚRÓD STUDENTÓW UNIWERSYTETU WAR- SZAWSKIEGO (dok.), — przez <i>Konstantego Krzczew- skiego</i> . . . . .	559
8. PIŚMIENICTWO: Z nowszej literatury o Śląsku Cieszyńskim, — przez <i>Henryka Ula- szyna</i> . . . . .	578
RUDOLF PENZIG: Jak odpowiadać na pytania dziecięce, — przez <i>Ste- fanę Wertensteinową</i> . . . . .	586
JAN STANISŁAW MAR: Samotni, — przez <i>Henryka Gallego</i> . . . . .	590
TADEUSZ JAROSZYŃSKI: Różni ludzie, — przez <i>Henryka Gallego</i> . . . . .	594
9. KRONIKA MIESIĘCZNA: Z powodu zaburzeń. — Biuro konsultacyi adwokatów. — Jeszcze w sprawie szkolnictwa ludowego. — Projekt związku oficyalistów rolnych. — Spór o datę urodzin Reja. — Wspomnienia pozgome: Ś. p. Wacław Mańkowski. — Ś. p. Hipolit Marczewski. — Ś. p. Pantaleon Szyn- dler. — Ś. p. Seweryn Lutostański. — Ś. p. Ignacy Krzyżanowski . . . . .	594
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	609



De. II. 1.

## **Walka z „nadcztłowiekiem.”**

(Z kresów zachodniej Polski).

Po Sedanie Francya niespodziewany pogrom swej chwały wojennej tłómaczyła frazesem — zwyciężył nauczyciel pruski.

Frazesem tym obrażona duma społeczeństwa, pamiętającego bitwę pod Jeną, przesuwała zagadnienie na teren współzawodnictwa kulturalnego. W rzeczywistości zwycięstwo było tylko wynikiem lepszej organizacyi wojskowej i większych zdolności strategicznych u wodzów jednego z obu wysoce kulturalnych narodów.

Inaczej mają się rzeczy na wschodnim skrzydle germańskiej potęgi. Tu oddawna nie wojenne zapasy, ale właśnie walka dwóch kultur, współzawodnictwo duchów dwóch ras stanowi o obustronnych sukcesach i porażkach.

I trudnem, zaprawdę, zadaniem jest charakterystyka tej walki, której istota składa się, obok grzmiących uderzeń żelaznej pięści, z odcieni subtelnych, z objawów sięgających głęboko, aż do rdzenia duszy ludów. Ale zadaniem wdzięcznem. Jedynie bowiem z istoty rozprawy na kresach wschodnich Niemiec, a zachodnich Polski i Słowiańszczyzny, można wnosić o dalszym walce przebiegu i przyszłych wynikach.

Po obu stronach, tak polskiej, jak niemieckiej, widzimy w czasach ostatnich poważne usiłowania w kierunku wytworzenia sobie syntezy całego zjawiska walki rasowej u nas.

Po stronie niemieckiej punktem zwrotnym w tej mierze stała się sprawa wrzesińska. Krzyk dzieci pobitych nietylko dotarł do sere uczciwych, nietylko obudził sympatyę w szerokim świecie dla ofiar pruskiego systemu szkolnego, nietylko poruszył niejedno drzemiące sumienie i wzbudził tu i owdzie platoniczną obronę.

Jego odgłosy podziały także w sposób odmienny, zniewoliły do zastanowienia się umysły tych, którzy uznają tylko rozum stanu, a których sumienie, zaprawione filozofią Nietzsche'go, chce prawdę poznać, by i z niej uczynić narzędzie przemocy.

Ten, w którego imieniu bito we Wrześni, nadcześnik germański, usłyszawszy na polu bitwy głos nowy, nieznany mu dotąd, głos idący już nie z ruin warowni szlacheckich, ale z pól i łąk, z tej samej ziemi, o którą bój się toczy, zastanowił się i spojrzął wkoło siebie.

I zobaczył rzeczy dziwne. Nadstawił ucha i usłyszał jeszcze dziwniejsze. Oto z chat włościańskich, z warsztatów rzemieślniczych wychodzą nowe postacie i stają do szeregu. Nie od dziś stanęły, bo ich już dużo, bardzo dużo, jak okiem sięgnąć. Tylko on ich dotąd nie widział, lub spojrzawszy na nie przelotem, nie ocenił ich zastępu. Zajęty był zanadto waleniem starych szeregów.

A tymczasem nowe wstają nieustannie, a nie tylko nowe, lecz także inne. Hasło mają dawne, te same, ale na nutę odmienną. Zamiast konfederatki na głowie, w ręku lemiesz lub wagę kupiecką, a zamiast szabli przy boku — ołówek w zanadru i notatnik z rubrykami *debit* i *credit*.

I nadcześnik, że rozumem się rządzi, zafrasował się wielce. Bo im dłużej patrzył, tem smutniejszym zdało mu się pole walki, tem więcej spostrzegał błędów w dotychczasowej taktyce zdobywczej swoich, bardziej krzepkich, niż roztropnych ziomków. Ujrzał hakatę, na którą dotąd spoglądał, jako na taran i przedmurze niemieckości, nagle w świetle innym, jako bezrozumną a wściekłą tłuszcę, pędzącą na oślep, dmącą dniem i nocą w tyśiące trąb, które musiałyby zbudzić choćby umarłego wroga, podpalającą, by się ogrzać trochę przy ogniu, całe bogate żniwo, które, po części, już, już czekało na germańskiego żniwiarza.

Lecz hakata nie sama. Leci za nią junkier, który rozumie tylko obcesem rzucać się na przeciwnika, leci student zawadyaka, nawet mieszcucha filistra ogarnął jakiś szat. Podskakuje niezgrabnie i woła: *All Heil*.

A rząd królewski? Ba, minęły dawno czasy starego Fryca, gdy opinia publiczna odzwierciadlała się w lustrach królewskiego gabinetu w Sans-souci. Dziś opinia jest królową, z nią trzeba żyć w zgodzie. Ją trzeba zająć koniecznie czemś, co ona lubi, inaczej bowiem zaczęłaby nudzić się i sięgnęłaby po zabawki bardzo niebezpieczne, po rzeczy najbliższe, najbardziej osobiste tych, którzy władzę dźwierzą najwyższą.

Więc na boisko wielkiego amfiteatru puszcza się ofiarę, wielkopolskiego konika, na którym jeździ, kto chce z publiczności, a nawet czasem wysokie towarzystwo z pierwszych łóż. Opinia cieszy się, ludęk klaszcze w dłonie, w łóżach radość, że naród ma *panem et circenses*, a tymczasem po za amfiteatrem dzieją się już nie zabawki, rozszalała sfora leci na wschód, nad granicę i fundament potęgi pruskiej i tam hula, nie bacząc na skutki. Nadczyłowiek dba zaś tylko o skutki, więc patrząc na to, co się dzieje, widzi, że dzieje się źle i, zagniewany, czyni z sobą rachunek sumienia, by poznać swe błędy i naprawić je, ile można, ile *jeszcze* można.

Bo stracono już, zmarnowano bardzo wiele. Zbudzono czujność i odporność przeciwnika, a prócz tego zatracono świętą tradycję wiekowego systemu germanizacyjnego na wschodzie. Tradycja ta dziś zagubiona, zda się, niepowrotnie, wpływała z ducha narodu germańskiego, wynikała z naturalnego instynktu kolonizacyjnego u Niemców, który praktyczną drogą wzbogacił olbrzymiemi nabytkami swą ojczyznę.

Powoli, niezauważnie, infiltracją kulturalno-ekonomiczną zniemczał był Szląsk w swej większości zupełnie, w jednej trzeciej przynajmniej w wyższych warstwach. Zniemczały bardzo znacznie Prusy królewskie, w których, pomimo że dopiero w ośmnaścym wieku Niemcy niemi politycznie zawładnęły, niebawem germanizacja takie poczyniła postępy, że przed laty kilkudziesięciu w niewielu tylko polskich dworach wyłącznie polskim posługiwano się językiem. W Księstwie samem kolonizacja niemiecka od XIII wieku postępowała nieprzerwanie. Panowie polscy przez pięćset lat chętnie sprowadzali osadników niemieckich. Rzeczpospolita na oścież roztworzyła swe bramy dyssydentom, napływającym po wojnach religijnych w Niemczech. Miastom zakładanym dla nich i przez nich nadawano prawa większe, niż osadom polskim.

Nawet rozbiory nie powstrzymały tego prądu autogermanizacyjnego wśród Polaków. Pomnikiem jego jest reskrypt króla pruskiego do ordynata Andrzeja Zamoyskiego, który dobrowolnie uposażył 80 rodzin kolonistów niemieckich. Drukowane to i w swoim czasie szeroko rozpowszechnione pismo chwali polskiego pana za patryotyczne niemieckie usposobienie. A nie był ten magnat jedynym. Kolonizacja szła aż w głąb Małopolski, powstawały osady i miasta niemieckie. Rosły aż do ostatnich niemal czasów punkty oparcia dla niemieczyzny w Królestwie. Wielkopolska zaś nietylko, że bez żadnego oporu przyjmowała kolonizowanie z ra-

mienia rządu, które, mianowicie, powiaty nadnoteckie w wysokim stopniu zniemczyło, ale nawet, pomimo rozpoczynającej się już hecy rasowej, pomimo drażniących i ostrzegających występów administracji pruskiej przed wojną francusko-niemiecką i przed rozrostem obecnego szowinizmu wielkoniemieckiego, nieznacznie lecz stale przejmowała się zwyczajami i kulturą specyficznie niemiecką. Dzisiejsza generacja pamięta z lat młodości, że nie wielu poczuwało się do obowiązku popierania nielicznych zresztą wówczas handlów i składów polskich. Starsi pamiętają, że nawet sprzedaż ziemi w ręce obce nie hańbiła nikogo. Mówiono wiele i rozprawiano o patriotyzmie, chowano jak relikwie szablice z powstań, ale w gruncie rzeczy otwierano napływowi niemieckiemu drzwi i okna. Jeszcze wcale nie dawno temu zupełnie zwykłym zjawiskiem był domowy lekarz Niemiec w polskim domu. Uczono się języka niemieckiego więcej, niż tego szkoły żądały. Goethe, Szyller i Heine byli równie popularni wśród inteligencji wielkopolskiej, jak wśród niemieckiej. Z dziś żyjących i czynnych osobistości politycznych wiadomem jest o dwóch bardzo znanych, że za młodu w domu rodzicielskim mówiły przeważnie po niemiecku.

A teraz! Na Szląsku budzi się milion ludu polskiego, a w Księstwie i Prusach królewskich coraz bardziej uświadomiony chłop, zszeregowane wyższe i niższe mieszczaństwo, w miasteczkach powstaje jeden handel polski po drugim, szlachta resztki swego dobytku uważa za własność narodową i broni ich jak nigdy poprzednio. Marnotrawca i niezdarny rolnik wytykany jest palcem przez swoich. Cała ta falanga wyrabia się moralnie. Hartują się jednostki, społeczeństwo całe przechodzi twardą lecz skuteczną szkołę, która czyni z niego zbiorowisko indywidualności coraz tęższych, coraz lepiej zaprawnych do odporności. Niemiec ogląda się coraz więcej na pomoc państwową. Miliony kolonizacy i przeróżne kształty, które przybiera ingerencya państwowa, osłabiają jego energię, przyzwyczajają go do polegania na złotodajnym opiece, który nigdy nie zawodzi, coraz hojniejszy, coraz rozrzutniejszy na jego korzyść. Wybrednym stał się niegdyś dzielny i przedsiębiorczy pionier niemieckości na Wschodzie. Potrzeba mu wygody i wczasu. Rolnik niemiecki większe ma potrzeby osobiste i domowe, niż polski. Właściciel większy spekuluje coraz częściej na to, że ziemię swoją sprzeda po wysokiej cenie rządowi. Kolonizacya bezustannie wykupuje całemi tuzinami dobra niemieckie i jeżeli tak dłużej potrwa, za lat dwadzieścia będą Niemcy prawie zupełnie pozbawieni niezależnego stanu

większych właścicieli na spornym wschodzie. Ekonom rządowy zastępuje samoistnego posiadacza żytego z krajem, jak drzewo z ziemią z której czerpie swe soki. Parcelacya zaś, na którą izba uchwaliła już czterysta milionów, sprowadziła dotąd zaledwie pięćdziesiąt tysięcy Niemców do obu dużych dzielnic. Ci znów osadnicy, to nie koloniści dawni, wolni od przeciwieństwa do ludności miejscowej. To nie kwiat, nie najruchliwsze, najdzielniejsze, najbardziej przedsiębiorcze żywioły w rolnictwie i, kupiectwie germańskim, ale te, które u siebie sprostać nie mogły trudnym wymogom położenia społeczno-ekonomicznego i zwabione przynętą dobrodziejstw urzędowych, idą na wschód, bo wierzą, że tam łatwiejsze będą miały życie.

A tymczasem życie to nie tylko nie łatwiejsze, ale nieraz dla kolonisty bardzo ciężkie. Trzeba znać osobiście cały szereg nowych osad niemieckich, szczególnie nad samą granicą Królestwa położonych, by zrozumieć i odczuć rzeczywiste niedomagania tego szablonowego systemu osadniczego. Pieniądzy oczywiście nie brak. Płyną one nieustającym korytem z kas rządowych. Powstają domy i gospodarstwa, zbudowane porządnie. Osadnik najczęściej dostaje wszystko gotowe, rolę, dom, nawet bydło. Dostaje opiekunka pod postacią urzędnika rządowego, który słuca wszystkim skarg, spełnia ile może, wszelkie żądania. Ale nie dostaje, bo tego nikt mu dać nie może, dzielności osobistej, tak wybitnej, takiego hartu i panowania nad sobą, by w zmienionych nagle a zupełnie warunkach życia, w nowej atmosferze podarunków i pieczonych gołąbków umiał jednak zachować własną osobistą produktywność, by, usunięty pozornie z terenu walki o życie, zachował jednak zdolności do tej walki potrzebne.

I dzieje się z kolonistą to, co się dzieje z każdym Niemcem na wschodzie, słabnie jego energia, rosną potrzeby i wymagania, maleje odporność wobec jakiegokolwiek przeciwności. Biura komisji kolonizacyjnej przepełnione są skargami i coraz nowymi żądaniami. Jeden osadnik po drugim występuje z oświadczeniem, że ponosić nie może nawet drobnych ciężarów finansowych, które na niego przypadają, a częstokroć zaledwie rozdana parcela znów powraca do rąk rządowych. Pomimo szalonych zaiste wydatków rządu na te cele, pomimo amerykańskiej iscie reklamy, która nawet ściany dworców kolejowych i wagony pociągów osobowych zdobi nęcącymi ogłoszeniami, nowoczesna kolonizacya coraz mniej znajduje amatorów w rdzennie niemieckich krajach, gdzie listy już osiedlonych i skargi powracających ustaliły jej poprostu złą reputacyę. Doszło do tego, że chcąc zaradzić brakowi osadników postanowio-

no przywabić kolonistów z dalszego wschodu, z gubernii imperium rosyjskiego i z Galicyi. Atoli i tu i tam po pierwszych próbach zapadł wcześniej ustal, a galicyjscy Niemcy z wiosek podlowskich niedawno temu na zebraniu ad hoc odbytem uchwalili ogłoszenie odezwy do swych osiedlonych w pobliżu wsióhrodaków, przestrzegając ich przed złudzeniem, jakoby przeniesienie się pod skrzydła opiekuńcze poznańskiej komisji kolonizacyjnej było dla nich połączone z jakimkolwiek pożytkiem. Tyle tylko osiągnęła akcyja rządu pruskiego w tym kierunku, że pierwsi koloniści galicyjscy zwabieni do księstwa, sprzedali swoje grunta galicyjskie tańszszym chłopom polskim lub rusińskim. W ten sposób w zwarte od stu lat osady niemieckie wniknął obecnie żywioł miejscowy słowiański torując drogę zupełnemu spolszczeniu lub zrusińszczeniu owych wiosek.

Tak zatem cały proces kolonizacyjny opiera się na niezdrowych podstawach. Sztucznie forsowana sprawa z coraz nowemi liczyć się musi przeciwnościami, coraz więcej inicjatorowie jej dbać muszą o uratowanie pozorów i o poświęcanie dla nich istotnej treści swych pierwotnych dążeń. Materiał ludzki w osadnictwie coraz nieodpowiedniejszy, nakłady rządu coraz większe. Ztąd też pochodzą owe powtarzające się utyskiwania na fantastyczność bilansów kolonizacji, która korzystając z tego, że bilans przedsiębiorstwa rolniczego z natury rzeczy trudno jest ułożyć w sposób dający absolutną gwarancję co do rzeczywistości zysku i straty, składa reprezentacji ustawodawczej coroczne sprawozdania tak silnie koloryzowane, że coraz częściej nawet sprzyjające rządowi czynniki przejęte są wobec nich niepokojem.

Gorzej jeszcze przedstawia się sprawa w osadach z dawna niemieckich. Tam rządowy róg obfitości nie działa już tak niepośrednio. Wpływ jego jednak uwydatnia się pośrednio jeszcze niekorzystnie. Chłop niemiecki wychowywany obecnie w zasadach, że stanowi rasę wyższą, stworzoną do używania, czytający bezustannie w pisemkach hakatystycznych skargi, że rząd jeszcze za mało ponosi ofiar dla wzmocnienia dobrobytu Niemców na wschodzie, słabnie w swej przedsiębiorczości, oczekuje wечно jakichś nadzwyczajnych zasiłków i subwencji i ma ciągle uczucie, że mu się dzieje krzywda. Nieraz pozbywa się swego gruntu na rzecz Polaka, a syn jego, gdy idzie na robotę, na zachód, coraz częściej żeni się tam i osiedla, podczas gdy Polscy robotnicy, gdy tylko mogą, wracają do kraju i trzymają się roli. W książkach niemieckich, na ten temat pisanych, nieustannie widzimy utyskiwania na to, że kawałek roli, który wyżywi zaledwie jedną rodzinę niemie-



cką, wystarcza, podzielony, kilku rodzinom polskim. Statystyki niemieckie z dwudziestopięciolecia 1870 do 1895 stwierdzają, że wśród ludności zajętej na obszarach dworskich Niemców ubyło 10<sup>2</sup>/<sub>0</sub> Polaków przybyło 14,5<sup>1</sup>/<sub>0</sub>. W gminach wszystkich Niemców ubyło 3<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, polacy wzrosli o 14<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. W miastach zaś, gdzie wpływ stosunków ogólnych społeczno-narodowych jeszcze silniej się uwydatnia, wzrosła ilość polaków o 30<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, podczas gdy ludność niemiecka powiększyła się tylko o 1<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Zważyć zaś trzeba, że statystyki te są tendencyjne, że gdzie tylko istnieje choćby cień jakiegoś uprawnienia lub pozoru, zapisuje się ludzi jako Niemców, choćby przeciwko temu sami protestowali. Tem większą zatem wagę mają te dane pod względem ubytku ludności niemieckiej w księstwie, do których się przyznają Niemcy sami.

Nienajmniej objawiają się ujemne dla Niemców skutki panującego systemu repressyi w dziedzinie administracyi. Niezdrowe i niemiłe stosunki w dzielnicach wschodnich od dawna już sprawiają, że kto tylko może, uchyla się od przyjęcia posady urzędniczej poza dzielnicami rdzennie niemieckimi. Rząd prawdziwą pressję wywierać musi na urzędników, by ich zniewalać do przesiedlenia się na wschód. To też napływają tam przedewszystkiem te żywioty urzędnicze, które wśród swoich nie spodziewają się powodzenia i karyery. Wysłanie do prowincyi nadgranicznych wschodnich nazywa się, utartem w sferach urzędniczych wyrażeniem, *Verbannung nach Polen*, wygnaniem do Polski. Nawet w wojsku przeniesienie do garnizonów poznańskich jest dla oficera prawdziwą przykrością. Niezależni zaś od rozkazów z góry członkowie niemieckiej arystokracji, posiadający u nas dobra ziemskie, wogóle i zasadniczo w nich nie mieszkają, oczywiście dla tego tylko, że warunki życia są dla nich mniej przyjemne, niż na zachodzie.

Typowym pozostanie przykład księcia Stolberg Wernigerode, właściciela dóbr Borzęciczki w powiecie Koźmińskim, który lat temu kilka przybywszy do swoich dóbr rozejrzał się wśród sąsiadów i przeważnie wśród Polaków znalazł domy, z którymi towarzysko mógł obcować. Że zaś obcowanie takie źle jest widziane przez sfery dworskie, więc książę co prędzej zwinął manatki i wyniósł się z powrotem do ojczystych stron niemieckich. Przyczyniła się do tego zapewne też okoliczność, że zaprosiwszy sąsiedztwo na uroczysty inauguracyjny obiad, z towarzyskich względów zaprosił kilku panów z arystokracji polskiej, a ze względów narodowych kilku Niemców okolicznych, pomiędzy nimi pastora sąsiedniego. Ten ostatni, niesłychanie zaszczycony zaproszeniem tak wielkiego pana zapragnął wyrazić mu swą wdzięczność i uczynił to w taki

sposób, że wniósł toast na cześć księcia, jako dowódcy Niemców okolicznych przeciw Polakom. Książę przeprosił gości polskich za niegrzeczność źle wychowanego Niemca, jego zaś zgromił wobec wszystkich. Potem jednak zrezygnował z przyjemności dalszego pobytu w uroczej atmosferze hakatystycznych kresów wschodnich.

Jednemu ze znajomych, skarżył się oficer, że nie może w Poznaniu nawet zjeść obiadu, tam gdzie lepsza kuchnia, w Bazarze Poznańskim, bo Bazar ten jest polskim. Kto tam idzie, źle jest notowany u góry. W ten sposób od chłopca do oficera i medycyzowanego księcia wszyscy Niemcy odczuwają nawet w drobnych szczegółach życia codziennego nieznośny stan rzeczy, wytworzony przez hecę hakatystyczną. Odczuwają go także Polacy, ale u nich wywiera on skutek odmienny. Ich podtrzymuje uczucie, że walczą o ziemię ojców, o kraj rodzinny, dla nich każda przeciwność, każde prześladowanie czyni tę ziemię, ten kraj jeszcze droższym, jeszcze bardziej ukochanym.

Więc bystrzej patrzący Niemcy, ludzie typu zachłannego, którego uosobnieniem jest nadczołwiek Fryderyka Nietzschego, z przerażeniem zaczynają zestawiać bilans akcji zdobywczej Germanów na wschodzie. Pozorne tryumfy, skupienie uczuć i dążeń i niepokojów narodu na wygodnym dla polityki wewnętrznej terenie walki rasowej nadgranicznej, oto zyski chwilowe, przemijające, obliczone na potrzeby dnia. A straty! Prostu niezmierzone. W ogniu trzy przedtem apatyczne prowincje, rozbudzony „fanatyzm“ polski, zniszczona, bodaj na zawsze, łączność z dawnym, mądrym po części świadomym, po części instynktowym procesem infiltracyjnym, który całe dzielnice Polski pchał poprostu w ramię germańskiego żywiołu. Otwarta w tych nadgranicznych, a zarazem tak bliskich stolicy ziemiach wiecznie drzemiąca, a przecież wiecznie grożąca kwestya słowiańska, a nie tylko otwarta, ale nawet wyraźnie ex cathedra przez dziedzica wielkich mistrzów krzyżackich z wyżyn baszty maryenburskiej całemu światu ogłoszona.

I im ogólniejszem rozpatrywanie, im głębszym nanysł, im dalszym rzut oka w przyszłość, tem smutniejszym jej horoskop, tem liczniejszemi przeróżne zawikłania, które wyniknąć muszą z przyłączenia się do samej walki rasowej innych czynników. Oto już na Szlaku zaczyna się ona wikłać z kwestyą socyalną. Dziewięć dziesiątych mieszkańców, cały lud roboczy, to Polacy, jedna dziesiąta, właściciele, Niemcy. Polskiem wszystko, co pracuje, niemieckiem wszystko, co pracy tej zbiera owoce. Rozdział podwójny, rasowy i społeczny t. j. tak głęboki, że podobnego prawie nigdzie w zachodniej i środkowej Europie nie można spotkać. Co

z tego wyniknie, co musi wyniknąć, gdy się te dwa czynniki rozdwojenia społecznego w swej działalności złączą, na to odpowiedź jest dla każdego myślącego człowieka ponura, najbardziej zaś dla tego, który sobie uprzytamnia, że według jego pojęć, jemu tylko samowładne panowanie i używanie w tej krainie przystoi, gdy od lat mu już przysługiwało.

Patrząc jeszcze szerzej, jeszcze dalej, widzi otrzeźwiony German, że zarysy podniecanej tak przez swoich szowinistycznych ziomków walki rasowej sięgają daleko po za granice cesarstwa niemieckiego. Cofa się niemczyzna na Węgrzech, przestała postępować w granicach imperium rosyjskiego, w Cislitawii zaś, w Czechach, na Morawach, na Szlązku austriackim, w krajach graniczących z Rzeszą niemiecką, a blizkich jej polskim wschodnim kresom, upadek żywiołu germańskiego coraz jawniejszy, zamieniający się już niekiedy w zupełną nagankę na wszystko, co technie niemczyzna. Tam wszędzie zupełnie ta sama walka, co na wschodnich kresach Prus, tylko walka bez sztucznej osłony rządowej niemieckiej *mise en scène*. Walka jawna i prosta sił żywotnych współzawodniczących narodowości. I tam też wynik jasny, wyraźny, klęska na całej linii żywiołu germańskiego, tego samego żywiołu, który przecież w czasach poprzednich w te kraje tak głęboko wniknął, a po części je na wpół zgermanizował. Czyż to nie jest żywą ilustracją przyszłości pruskich kresów wschodnich w razie ustania impulsu oficjalnego ze strony rządu wskutek zdarzeń polityki zewnętrznej lub zmian ustroju wewnętrznego. W jednym z pism nam najbardziej wrogich czytaliśmy z zajęciem okrzyk boleści wydany w chwili szczerości—Gdyby sto lat temu—biada ów organ—niemieckich urzędników odwołano z dzielnic polskich, byłoby się znalazło dużo Polaków, którzy byliby ręce wyciągali za odchodzącymi i tęsknili za naszą administracją. Dziś, gdyby rząd dla tych lub owych powodów ujrzał się zmuszonym zaniechać swej polityki protekcyjnej wobec Niemców na wschodzie, nie potrwałoby długo, a ostatni Niemiec wyniosłby swoje manatki do ściślejszej ojczyzny, albo też posłałby swoje dzieci do szkoły polskiej, by z nich uczynić patriotów polskich. To nam przyniosła nasza mądra polityka na wschodzie. Z matematyczną dokładnością śledzić można równoległość postępów rozwoju ducha polskiego z postępem etap antypolskiej polityki w Niemczech. Z tego wynika, że zabieramy się źle do rzeczy dla nas niesłychanie ważnej, a w której interes narodowy niemiecki wymaga od nas, byśmy zwyciężyli nie tym to owym sposobem.

Ten głos rozumny, zimny, nielitościwy, bardziej ludzki w swej formie, choć rdzeńniej jeszcze nam przeciwny i gruntowniej zachłanny, odzywa się coraz częściej ze szpał liberalnych a nawet nieraz i konserwatywnych gazet, z trybuny parlamentu, który odmawia dodatków pensyjnych dla urzędników na kresach wschodnich, nawet z szeregów katolickich, które widzą, ile same na tem muszą stracić, że uczucie narodowe zwycięża nad faryzeizmem księdza nadniemca, używającego, a raczej nadużywającego, czynników religijnych, by głęboko religijny lud polski nadal trzymać przykutym do swego rydwanu germańskiego. Zaprzecza stanowczo widocznemu stanowi rzeczy tylko jedna hakata i pionki jej w sferach urzędniczych i rządowych. I wśród tych ostatnich jednak zwrot umysłowy myślących sfer niemieckich nie przemija bez śladu. Dobrze poinformowane źródła twierdzą, że kanclerz hr. Bülow dokładnie sobie zdaje sprawę z bezcelowości obecnej polityki antypolskiej na wschodzie. Obiega nawet na poważnych podstawach oparta wersja, że pierwszy minister lat temu cztery na mocy dokładnie przedsięwziętych ankiet miał zamiar rozpocząć drugą edycję bismarkowskiej Cannosy, tym razem wobec świeckich przeciwników i że cofnął się tylko z obawy przed przemożnymi wpływami t. z. drugiego, pobocznego rządu t. j. bractwa trzech liter, popieranego przez potężny odłam berlińskich sfer giełdowych. Cofnął się, jak mówiono, na zasadzie łacińskiego cytatu *video meliora proboque, deteriora sequor*. Prawdopodobniejszem jednak jest, że nie ten cytat, a w każdym razie nie dwa pierwsze w nim słowa, są wyrazem zapatrywań kanclerskich. Co innego bowiem jest widzieć fatalne skutki błędnej polityki, a znów co innego wybrnąć z drogi złej, na której się już od tak dawna ugrzęzło. I tu właśnie objawia się i objawi się jeszcze bardziej nemezis historyczna, która bodaj czy uprawni kiedy niemieckiego męża stanu do postawienia sobie jasnego i rozsądnego programu działalności na wschodzie i zawołania dumnie *video meliora*. Dziś raczej inne przysłowie bardziej jest zastosowaniem do tych, którzy, choć myśl ich dalej sięga, kierują jednak nadal nawą państwową z utartem krótkowidztwem swych poprzedników i swego otoczenia. Przysłowie to brzmi *après nous le déluge!* Wszystko na dziś, na sukces chwili, a nie na jutro, dla potomków, którzy obejmą ciężki spadek po dzisiejszem zhakatyżowanym pokoleniu. To też światlejsze czynniki w rządzie świadomie, ciasne zaś w nim umysły na ślepo brną dalej w obranym fałszywie kierunku. Jak w beczkę Danaid tak płyną nadal miliony państwowe na cele nieproduktywne, a reklama dla tych celów, oficjalna i nieoficjalna nie przestaje pra-

cować, jak maszyna nakręcona, która mechanicznie swe koła obraca. Ministrowie w coraz niezgrabniejszy sposób bronią hakatyizmu. Coraz mniej w ich słowach rozumowania, coraz więcej frazesów, bądź to usiłujących zatuszować śmieszności i niepowodzenia wielkiego aparatu germanizacyjnego na wschodnim pasie granicznym, bądź też naśladowujących butą swych wyrażań wielkiego mistrza politycznej przemocy, tego, który w izbach niemieckich żelazną rękawicę rzucił Polakom, księcia Bismarka.

Ale kopia nie dorównuje pierwowzorowi, owszem chcąc bardzo być wierną, oddala się od niego. Trudno odmówić słuszności pismu południowo-niemieckiemu, które pod adresem juukrów wojowniczych, zasiadających na ministeryalnych krzesłach pruskich, takie pełne krwawej ironii zamieściło słowa: „Sądzicie, że naśladujecie Bismarka, a w rzeczywistości odgrywacie rolę aktora, który włożył pancerz Barbarossy i miecz jego chwycił w rękę, lecz Barbarossą nie jest, a po przedstawieniu bierze od dyrektora zaliczkę na pensję. Bismark był olbrzymem, wy jesteście karłami. On był lwem, a wy w fonografie zachowaliście sobie odgłos jego ryku i od czasu do czasu otwieracie maszynkę, by widzów wychodzącym z niej głosem przestraszyć. Lecz spróbujcie tylko naprawdę go naśladować, zróbcie to, co ten człowiek potężny sam jeden mógł zrobić. Zmieńcie śmiałym rzutem sterującej ręki kierunek polityki, która nie przynosi owoców, miejcie, jak on, odwagę, ale miejcie i moc, którą on miał, przyznania się do błędu, pójścia do Canossy, tak jak on to uczynił, choć warczała cała sfera rozpuszczonych na hecę psów! Spróbujcie, jak ten potentat uczynił genialnym zwrotem z opozycyjnego i roznamiętnionego centrum wierną gwardyę rządową, tak teraz na wschodzie z idealnie konserwatywnej w swoim właściwym charakterze ludności polskich kresów uformować sobie szyki sprzymierzone. Spróbujcie, a zobaczycie całą waszą niemoc, całą czczość waszej działalności. Gdyby dziś żył Bismark, ten największy wróg Polaków i żywiołu słowiańskiego, byłby z pewnością swą potężną dłońią zatrzymał wóz germanizmu toczący się na pochyłej drodze. Ale wy, naśladowcy, jego rutyną, lecz nie myślą i potęgą czynu potrafilibyście co najwyżej wywrócić osobiście wielce pocieszego koziółka, któryby wam umożliwił napisanie na waszych biletach wizytowych: excellenz a. D. excellencya dymisyonowana.“

Słowa powyższe niemieckiego organu trafnie malują stan obecny polityki szowinistycznej w Niemczech. Impuls dany przed laty przez wielkiego kanclerza trwa dalej niezmienny. To co było dla tamtego środkiem, dla jego epigonów staje się celem.

Twórca jedności Niemiec spróbował zgodnego z swoją naturą niepohamowaną środka przemocy do prędszego utworzenia drogi Niemcom na wschodzie. Ale on nigdy ze środka, ze sposobu, nie czynił swego bożyszczą, nigdy dla niego nie poświęcał celu. I gdyby na dni dzisiejsze przypadła epoka jego pełnej działalności, widzielibyśmy zapewne jedną z tych nagłych zmian dekoracyi, któremi tak często ten mistrz nad mistrzami świat zadziwił. Następcy zaś jego zapatrzyli się jak w gwiazdę przewodnią na odruch starości dymisywanego kanclerza, który w popieraniu rządu pobocznego i stworzeniu opozycyjnej wówczas hakaty znajdował mściwą przyjemność. Zapatrzyli się w tę gwiazdę, choć ona dawno zgasła, a raczej stała się błędnym ognikiem, który wodzi na manowce.

*Le roi me reverra* zawołał Bismark, gdy śmiano go zniewolić do ustąpienia z kanclerstwa. A dziś wyobrazić wolno sobie urzeczywistnienie tych gorzkich słów, ujawniające się w rosnącej przemocy w państwie, liczebnie nieznacznej, lecz wybornie zorganizowanej potęgi, ówczesnej, za jego impulsem powstałej frondy, dziesiątym wysoce urzędowej, rząd cały przed sobą zginającej hakaty. Cień Bismarka równie jest dla szowinizmu niemieckiego wygodnym, jak żywy Bismark byłby dziś dla niego niebezpiecznym — pisała przed kilku laty angielska „Pall Mall Gazette.“

Jednym z powodów przewagi żywiołów szowinistycznych w Niemczech nad trzeźwymi, jest brak programu u tych ostatnich. Hakatyzm programu na przyszłość nie potrzebuje i o niego też nie dba. On żyje z czynu bieżącego, a jeżeli mówi o przyszłości, to tylko w sposób reklamowy, dla gawiedzi. Ale prawdziwy wielbiciel rozrostu niemieczyny, ów typ Nietzschego, który nam uosobił rozumno-drapieżne instykta germańskie, ten bez programu działania, bez świadomości lekarstwa na szowinistyczną gorączkę, wobec tej gorączki staje się bezsilnym. Ze źle się pokierowały sprawy dla Niemców na wschodzie, to widzi wielu z pomiędzy nich. Jak jednak postąpić, by na nowo skutecznie nawiązać nici do dawnej mądrej tradycyi germanizacyjnej, to jest zagadką, której bodaj nikt dziś nie potrafi rozwiązać.

Bo co dawniej było łatwym, dziś trudnem. Do czego niegdyś Polacy sami dopomagali najchętniej, to dziś stało się przedmiotem ich czujności najdrażliwszej. Proste nawrócenie z systemu obecnej repressyi do łagodniejszych rządów nie dałoby wcale tych rezultatów, o które jedynie chodzi rozumnemu i rozumującemu Niemcowi, nie byłoby dziś przy rozbudzonej poczuciu narodowym u Polaków kresowych, krokiem do ich zniemczenia.

Rozpatrywania i uwagi w tym kierunku bardzo stanowcze spotykaliśmy niejednokrotnie. W dodatku, ponieważ polityka jest sztuką rzeczy możliwych, a szowinizm wschodnio-niemiecki zbyt dziś jest rozpanoszoną, by go można skutecznie a szybko spętać, przeto akcja tego rodzaju musi obecnie zupełnie wypaść z rachuby. Dalsza repressya ze strony rządu i popieranie oficjalne hakatyzmu muszą pójść i pójść swoją drogą. Atoli obok tego rośnie zrozumienie w kołach myślących niemieckich, że równolegle z repressją jawną żywołu słowiańskiego powinien postępować czynnik nowy, a raczej wznowienie czynnika dawnego, powinien wystąpić na arenę kulturalny podbój tego od niemieckiej kultury coraz bardziej oddalającego się społeczeństwa.

Jak już na zaznaczono wstępie niniejszej rozprawy, poczucie konieczności duchowego postępu niemczyzny na kresach obudziło się szczególnie po skandalach szkolnych we Wrześni. Wiadomem jest, że w miarodawczych kołach berlińskich zastanawiano się wówczas na ten temat obszernie i że od tego czasu zapatrywania w tym względzie nie tylko się nie zmieniły, ale nawet po części zamieniły się już w czyn. W jakim stopniu usiłowania w tej mierze podjęte zniweczone zostaną przez równolegle postępujące drażnienie Polaków na polu administracji państwowej, pokaże przyszłość. To jednak pewnem, że ten odłam akcji niemieckiej na kresach, który polega na podnoszeniu kultury i ducha niemieckiego, zasługuje na baczną uwagę z naszej strony, ile że stanowi po latach bezmyślnej hecy, pierwszy odbłysek rozumnej germanizacyjnej polityki na wschodzie. Odbłysek tylko, gubiący się dotąd wśród ogromnej łuny powstałej z pożaru wznieconego przez hakatyzm oficjalny i prywatny, ale zawsze objaw instynktu trzeźwości narodowej niemieckiej, z którym społeczeństwu polskiemu należy zawczasu się liczyć.

Walka dwóch kultur, oto prawdziwy teren sporu, który ów odbłysek, choć częściowo tylko i ukradkiem, ale niemniej rzeczywiście oświeca i oczom umiających patrzeć odsłania. To też ważnem jest, by i z polskiej strony zdano sobie z tego sprawę. A pod tym względem, o ile chodzi o abstrakcyjne zrozumienie rzeczy, należy przyznać, że u nas słuszna ocena istotnego charakteru walki na kresach ujawniła już niejednokrotnie, choć nie dość często i ogólnie, by mogła wpłynąć na czyn konkretny w takim stopniu, w jakim należałoby koniecznie.

Zdaliśmy sprawę w ogólnych zarysach, z zapatrywań niemieckich umysłów myślących na niepowodzenia polityki niemieckiej na wschodzie. Zapatrywania na ten sam temat ze strony

polskiej z natury rzeczy odmiennie muszą być zabarwione. Im też, zanim określić sprobujemy obustronną akcją i obustronne wymogi w zapasach dwóch walczących kultur, słów kilka poprzednio musimy poświęcić. Ze szowinizm niemiecki nie przyczynił się do rozwoju panowania germanizmu na wschodzie, że owszem rozbudził wśród nas ducha odporności, o tem nie ma dziś u nas nikogo wątpliwego. Ze jednak ten sam szowinizm stał się przyczyną stanu rzeczy dla nas wprost nieznośnego, że ta edukacja za pomocą hakatystycznego bicia nie jest dla narodu normalną, o tem również chyba dwóch zdań być nie może. Wprawdzie budzi się odporność w kierunku negatywnym, a wynikiem jej jest także wiele objawów pozytywnego czynu, ale bądź co bądź, postęp, którego głównym czynnikiem jest napór wroga i który utożsamiać trzeba z zbudzeniem się poczucia samozachowawczego, jest sam w sobie biernym, a rozwój jego ogranicza się na dążeniu do wyrównywania szkód poczynionych przez przeciwnika. System obrony stosować się przy tem musi ściśle do systemu ataku, a że ten ostatni najgroźniejszym się okazał na polu ekonomicznym, przeto na temże polu odporność narodowa polska ześrodkowała główną część swoich wysiłków. Drugiem zaś skrzydłem jej działalności jest organizowanie politycznej strony obrony narodowej. Wszystko to jednak jest li tylko akcją obronną, której samo rozbudzenie i istnienie uważanem jest, co prawda, z myślącej strony niemieckiej jako klęska pochodząca z fałszywie poprowadzonego niemieckiego ataku. Dla Polaków atoli przedstawia się obrona ta ciągle jeszcze jako niedostateczna, a w każdym razie nie może uchodzić za objaw rozrostu narodowego. Niemcy słusznie zaliczają sobie jako stratę każde przez własną winę udaremnione lub nieodniesione zwycięstwo. Polacy jednak ubytku w zyskach wroga nie mogą sobie zaliczyć jako zysk własny. Nigdzie na całym terenie walki pochłubić się nie możemy zdobywaniem posterunków w własnym wroga obozie, równoważącym tym, które on niegdyś zdobył wśród nas samych. Budzimy i ratujemy lud polski przed germanizacją, korzystając przy tem z pomocy drażniącego systemu szowinistycznego, ale mowy o tem niema, byśmy gdziekolwiek wkroczyli na istotny teren niemieczyny, by gdziekolwiek rdzenie niemiecki czynnik stał się łupem postępującego polonizmu. Nie o to też chodzi, i nie to winno być przedmiotem naszych żalów lub zamiarów, choćby tylko teoretycznych, gdy rzeczywisty stosunek walczących ze sobą sił, z góry uniemożliwia praktyczne w tym kierunku zabiegi. Owszem zadowoleni być musimy, że akcja obronna przybrała te rozmiary, które dziś przeciwnika tak



przestraszają. Ale, gdy na tle ekonomicznem i politycznem w pewnym stopniu wyrównało się dziś napięcie obustronnej energii, gdy potężnej pomocy, udzielanej przez rząd słabnącej przedsiębiorności prywatnych czynników niemieckich, przeciwstawił żywioł polski wzmocnienie wydatności swej działalności prywatnej, coraz baczniejszą winniśmy zwracać uwagę na nowy teren walki, który się obecnie przed nami otwiera, na nowy atak który rozumie niemieckie czynniki przeciw nam przedsięwzięły, na taran niemieckiej kultury duchowej, który, nieodparty należycie wzmocnieniem naszych szanów pod tym właśnie względem, groźniejszym mógłby się stać od wszystkiego, co przeciw nam przedsięwzięto od rozpoczęcia jawnej walki rasowej na kresach.

Przypatrzmy się teraz, jak na tem polu przedstawia się rozmiar sił obu walczących czynników. Na tle ogólnem tej walki stają naprzeciw siebie dwie bogate i zasobne kultury, polska i niemiecka. Nie ścierają się one jednak ze sobą całokształtem swych sił. Obie mają swoje środowiska najżywsze nietylko oddalone geograficznie od pola kresowych zapasów, ale także instynkta ich twórcze rozbiegają się daleko na drogach, które się wprawdzie nie zchodzą, ale też wzajemnie się nie krzyżują. Nie walczy tu ruch i rozwój umysłowy Warszawy, Krakowa i Lwowa z Berlinem, Lipskiem lub Monachium. Tak ze strony niemieckiej, jak polskiej, a polskiej szczególnie, walczą ze sobą tylko odległe od głównych obozów, placówki. Nie całokształt wydatności obu kultur należy nam zatem porównywać, lecz zestawiać i porównać ze sobą te części obustronnych sił, te czynniki, które na samem polu walki kresowej ze sobą się potykają i jedynie wchodzić mogą w rachubę.

Zestawić tu wypada najpierw status quo wprowadzonych w linię bojową czynników kultury umysłowej obu obozów, a następnie rozważyć, w jakim stopniu czynniki te z samego terenu walki czerpać mogą dalsze zasiłki, a niemniej oczekiwać pomocy od głównych armii, z środowisk wielkich kultury polskiej i niemieckiej.

W tej walce niekrwawej obie strony znajdują się w położeniu z góry niekorzystnem. Pole zajęte walką materyalną, ekonomiczno administracyjną, z natury rzeczy nie posiada warunków korzystnych dla rozwoju wielkiego współzawodnictwa umysłowej kultury. Olbrzymia większość naszego społeczeństwa zachodnio polskiego stanęła przed alternatywą, być albo nie być, a znów dla niemieckiego Gargantuy zasadniczem jest pytanie—pochlonać, albo być głodnym. To też z polskiej strony stwierdzić należy, jako wynik tego stanu rzeczy, rosnącą apatyę na polu umysłowem,

z niemieckiej zaś jeszcze o wiele wyraźniejsze przeciwieństwo do kulturalnego systemu rozprawy rasowej, bo wprost negatywne pod względem kulturalnym ubóstwianie bożyszcza materialnej przemocy. I dopiero, gdy to bożyszcze nie spełnia pokładanych w nim nadziei, zaczyna się germanizm późno i ostrożnie oglądać za bronią zdawna zarzuconą, za bronią duchową.

Nie wiele jej znajduje na samym terenie walki. Szkołę, ten walny czynnik rozwoju umysłowego, pozbawiła heca szowinistyczna bardzo w znacznym stopniu wpływu, który wywierał dawniej na kształcąca się młodzież polską. Zaiste nie na Niemców wychowali nauczyciele wrześnińscy dzieci sobie powierzone, a to co we Wrześni stało się dramatem głośnym na całą Europę, w innych szkołach ludowych z mniejszym rozgłosem, ale z tym samym skutkiem podziałało na młodzież polską w kierunku przeciwnym od zamierzonego przez apostołów przemocy. Nie ma dziś pewno ani jednej wsi polskiej, w którejby dzieci nie nauczyły się spoglądać krytycznie z punktu widzenia narodowego na działalność pedagoga, mającego z nich uczynić pruskim duchem przejętych obywateli państwa. Coraz krytyczniej sądzą dzieci nauczyciela, coraz gwałtowniej, lub też apatyczniej, w miarę osobistego temperamentu, zachowuje się tenże wobec nich. Traci na tem najwięcej niemieckość, ale cierpi też istota rzeczy, nauka sama. Bo jasną jest rzeczą, że opozycja dzieci wobec nauczyciela, której zarzewie zasiały wybryki szowinizmu niemieckiego, nie ogranicza się tylko na samej odporności wobec wszczepiania pojęć niemieckich. Owszem całokształt nauk szkolnych staje się dla dziecka czemś wrogiem a nawet same w sobie ujemne objawy naturalnej u wielu dzieci niechęci do nauki przybierają barwę ogólnej opozycji przeciwko germanizującej władzy. Co zaś na wsi rozpoczęło się dopiero od niedawna, kwitnie w miasteczkach i miastach daleko bujniej. Młodzież szkół niższych przebywając w szkole przebywa obecnie, rzeczywistą szkołę patriotyzmu polskiego, a zarazem opozycji na tle politycznym, wcale dla szkoły nieodpowiedniej. Wlewa ją w nią nauczyciel hakatysta, utwierdza solidarność biernej odporności kolegów. To samo powiedzieć można o gimnazjach klasycznych i realnych. Błędem zaś z gruntu jest mniemanie, rozszerzane przez czynniki niemieckie, jakoby rodzice polscy sami odgrywali rolę agitatorów wobec dzieci. Oczywiście w wypadkach drastycznego występowania nauczyciela tu i owdzie rodzice ujmują się energicznie za dzieckiem, a gdy wypadek taki dotknie sfery ludowej, jak we Wrześni, oburzenie rodziców staje się powodem ruchu, który graniczy z rozruchem. Ale ten przykład odosobnio-

ny nie może stanowić miary sądu o przeciętnem zachowaniu się rodziców w sprawach szkolnych. Ogół rodziców przeciwnie, z drżeniem przyjmuje od dziecka wiadomość o sporach pomiędzy niem a władzą szkolną. Nie brak nawet ojców, którzy wolą syna oddać do gimnazyów w Księstwie najmniejszy liczących procent uczniów polskich, dla tego, że tam przeciwieństwa narodowościowe w szkole objawiają się mniej jaskrawo. Nie rodzice, lecz sam system szkolny, budzi w młodzieży ducha opozycji.

Jaskrawy w tej mierze przykład zdarzył się niedawno temu w jednym z gimnazyów wrocławskich. Szlżak polskiego pochodzenia, lecz syn prawie zupełnie zgermanizowanych rodziców, którego domowym językiem był niemiecki, poskarżył się przed władzą szkolną, że złe odbiera klasyfikacye z niemieckiego, choć w innym gimnazyum, w którym był poprzednio, należał do najlepszych uczniów w tym właśnie przedmiocie. Na to odebrał odpowiedź, że od niego, jako Polaka, należy więcej wymagać na punkcie niemieckim, niż od innych. Wyjaśnił wtedy pokrzywdzony uczeń, że tylko nazwisko nosi polskie, sam zaś po polsku prawie wcale nie umie. I od tej chwili zmieniło się postępowanie władzy wobec niego. Ale i on zmienił się także od tego dnia do niepoznania. Oburzony tem, co zaszło, zaczął rozważać, że przecież niegdyś jego rodzina była polską, rozpoczął natychmiast kurs prywatny lekcyi języka polskiego, a wróciwszy do domu, przemówił tak do serca rodzicom, że i oni przyznają się dziś do polskości. Gorącego pracownika dla idei polskiej stworzyła w ten sposób gimnazjalna władza niemiecka.

Ten stan rzeczy, którego wziętym z życia przykładem jest powyższe zdarzenie, wiadomym jest dobrze kołom miarodawczym w Niemczech. To też czynniki wpośród nich trzeźwiejsze, mianowicie od czasu zajść we Wrześni, starają się, ile mogą, wpływać, gdzie należy, na większą ostrożność w postępowaniu władz szkolnych. Do wyników tych usiłowań należy zaliczyć tajne i jawne rozporządzenia władz centralnych do władz poznańskich, by starały się zapobiegać kompromitującym niemczyznę i szkodzącym jej drastycznym wydarzeniom w szkołach. Że jednak wobec naprzężonych dziś stosunków szkolnych, przeprowadzenie dalej systemu obecnego, bez wywoływania ciągłej reakcyi wśród młodzieży jest rzeczą więcej niż trudną, dowodzić nie potrzeba. Na tem więc polu dla Niemców i w przyszłości nie świetne otwierają się widoki. Dla nas zresztą nie mniej smutne, gdyż w takich warunkach o normalnem wychowaniu szkolnem, szczególnie w szkołach niższych, mowy być nie może. Z prawdziwym przestrachem spoglą-

damy w przyszłość, na chwilę wystąpienia na arenę życia obecnego młodego pokolenia. Nie darmo już teraz pisma socjalistyczne eskontują korzyści, które wynikną dla socjalizmu z wyrabiania w ludzie przez system pruski ducha wiecznej oporności przeciw władzy, która staje się dla niego synonimem idei wrogiej. Nie darmo obliczają konieczne wyniki tej pedagogicznej metody, która sprawia, że dzisiaj dziecko naukę religii, udzielaną sobie z dodatkiem kar cielesnych w języku obcym, uważa jako przedmiot nauki najwstrętniejszy, tak że dziś w bardzo wielu szkołach *tacito consensu* obu stron lekcye religii traktowane są tylko pro forma, by uniknąć niemilych zajęć à la Września.

Na polu zatem szkół ludowych i gimnazyów rząd pochlubić się nie może kulturalnemi zdobyczami. Inaczej się ma rzecz z resztą zakładów naukowych. Przedewszystkiem szkoły wyższe, czy to zawodowe, jak akademie rolnicze i techniczne, czy też uniwersytety, na których się kształci nasza młodzież, są bez wyjątku położone w środowiskach niemieckich. W nich wprawdzie także nie niemceją nasi synowie, ale, bądź co bądź, czerpiąc swą wiedzę wyłącznie z źródeł niemieckich, przejmują się mimowoli duchem kultury germańskiej. Samo przez się nie byłoby to niczem złem, bo przecież każda kultura wartą jest poznania, ale ostatecznie jak w całym szkolnictwie, tak i w szkołach wyższych odczuwany boleśnie niemożność zrównoważenia wpływów kultury germańskiej, wpływami kultury naszej rodzimej. I smutnym wynikiem naszych nienormalnych stosunków upatrywać chyba będziemy korzyści dla polskośći w tem, że ta jedyna kultura, która dla młodzieży naszej jest przystępną, nie przeniknie jej. Nie ze względów poczucia narodowego, ale ze względu kultury narodowej jest monopol germanizmu w szkolnictwie dla nas wprost straszny. Skutki też jego odbijają się nietylko na młodszej, ale także i na starszej generacyi. Aż nazbyt często spotkać można gorących miłośników sprawy polskiej, którzy mówiąc, a jeszcze więcej, pisząc po polsku niemieckiej zupełnie używają budowy zdań, tak że każde ich odezwanie się wygląda na doraźne tłumaczenie z niemieckiego.

Ten skutek tak bolesny germańskiego wychowania umysłowego nie jest jedynym, zanim jednak wspomnimy o towarzyszących mu innych, przypatrzmy się dalej umysłowej broni używanej przeciw nam ze strony niemieckiej. Cztery lata temu powstał w kołach rządowych zamiar założenia wszechnicy niemieckiej w Poznaniu. Odstąpiono jednak od niego, nie chcąc w ten sposób zgromadzić akademików polaków w jednym środowisku. Za to założono w stolicy Wielkopolski akademię niemiecką, w której

wykłady są na poziomie nieco popularniejszym niż wykłady uniwersyteckie, a tem samem przystępniejsze dla warstw szerszych. Myślą przewodnią założycieli oficjalnych nie było przytem wpływanie głównie na żywioł polski za pomocą tego instytutu naukowego, ale przedewszystkiem wykształcenie własnych ziomków. Wykłady w akademii poznańskiej obejmują bardzo szeroki zakres umiejętności, odznaczają się starannością, a korzystają z nich żywioły inteligentne niemieckie z zawodów dość rozmaitych. Spotkać tam można lekarza, urzędnika państwowego, a także technika i teologa. Nie brak i Polaków, uczęszczających na akademię, jak np. kleryków z seminarjum arcybiskupiego, a także i wielu świeckich. Objawiająca się w tej mierze opozycja sfer postępowych polskich ucichła niebawem na mocy zasady, że nie mogąc przeciwstawić akademii niemieckiej równorzędnego instytutu polskiego, winniśmy korzystać przynajmniej z źródła obcej wiedzy.

Prócz akademii założył rząd w ostatnich latach wspaniałe, jak na miasto prowincjonalne, muzeum imienia cesarza Fryderyka. W pięknym renesansowym gmachu przy placu Wilhelmskim mieszczą się na parterze bogate zbiory etnograficzne i archeologiczne, a prócz tego znakomita w swoim rodzaju galerya kopij dzieł dłuta z wszystkich krajów i epok, ułożona w sposób poglądowy. Pierwsze piętro zajmuje wielka galerya obrazów współczesnych i dawniejszych, której lwią część dostarczyły zbiory hr. Atanazego Raczyńskiego, zapisane w swoim czasie Berlinowi, a obecnie przewiezione do Poznania. By dać miarę wartości tej galeryi obrazów wystarczy przytoczyć, że znajdują się w niej płótna Velazqueza, Ribeiry, Zurbarana, Francii, Metsysa, Norblina, Corneliusa i t. d. Inne sale pierwszego piętra zapełnione są zabytkami przemysłu artystycznego wielkopolskiego. Prócz tego znajduje się tamże osobna wystawa sprzedażna obrazów, makat, bronzów a nawet mebli artystycznych nowożytnych, nadsyłanych zarządowi muzeum przez najpierwsze firmy niemieckie. Wreszcie są w gmachu muzealnym sale przeznaczone do studyów specjalnych. Jak zaś korzysta publiczność przeważnie niemiecka z nowej instytucyi, wskazuje cyfra zwiedzających, która wynosi przeciętnie pięćset osób dziennie.

Trzecią wielką fundacyą kulturalną ostatnich czasów w Poznaniu jest biblioteka cesarza Wilhelma, dla której zbudowano milionowym nakładem wzorowo urządzony gmach przy ulicy Ryckerskiej. Złożyły się na nią istniejące już biblioteki krajowe i miejskie, dalej biblioteka królewska w Berlinie, która nadesłała bardzo wielką ilość swoich duplikatów. Za jej zaś przykładem

poszły inne biblioteki publiczne w Niemczech, a niemniej i osoby prywatne, w szczególności zaś wielkie firmy wydawnicze niemieckie. Obecnie po dwuletniem istnieniu liczy Biblioteka cesarza Wilhelma około 180000 tomów. Nie będziemy rozszerzali ram niniejszej rozprawy szczegółowym opisem urządzenia biblioteki. Zaznaczymy tylko, że jest ono wprost znakomite. Z dalekich stron Niemiec zjeżdżają się znawcy, by technikę tej instytucji badać i według tego wzoru przeprowadzać ulepszenia w innych niemieckich bibliotekach. Zajmującym jest też w wysokim stopniu, szczególnie dla Polaka, odwiedzanie czytelni i sal przeznaczonych do studyów w Bibliotece. Obszerne komnaty zapełnione są czytającymi i piszącymi. Osobne sale przeznaczone dla gazet i czasopism, osobne dla różnych kategorii książek. Nieraz stokilkadzieściąt osób równocześnie korzysta z zasobów biblioteki. Publiczność zażywa tam takiej wolności, że w części księgozbioru sama jest gospodarzem, sama książki bierze z półek i znów je tam odkłada. Urzędnicy biblioteczni tak są uprzejmi, że na żądanie podejmują chętnie trudną nieraz, a wszędzie gdzieindziej klientowi pozostawioną pracę, zestawiania spisu źródeł potrzebnych do studyów nad danym przedmiotem. Rozpożyczanie książek na miasto jest tak liberalnie pojmovanem, że zazwyczaj nie bywa wymagana żadna legitymacya od pragnącego zabrać do domu książkę. Nawet nadużycia, które zdarzyły się w tej mierze, nie zmieniły uprzejmości zarządu.

Biblioteka ma zostać powiększoną aż do zawartości 500000 tomów, a już dziś dołączonym jest do niej osobny magazyn, zawierający książki przeznaczone do rozsyłki na prowincję, w której istnieją liczne wypożyczalnie książek. Ciekawą jest także rzeczą, że można dziś znaleźć komplety wszystkich poznańskich polskich gazet w obu bibliotekach niemieckich, a mianowicie Bibliotece Cesarza Wilhelma i drugiej hr. Raczyńskich. W pierwszej z nich nie brak też *Biblioteki Warszawskiej*, która, jak zauważyliśmy, niejednokrotnie pilnie wertowaną jest przez Niemców rozumiejących po polsku. Razem wzięwszy, nowozałożona instytucya stanowi potężny czynnik kulturalny, z którego Niemcy słusznie są dumni.

Do tej samej kategorii nowych wysiłków na polu kultury umysłowej należą świeże wielkie inwestycje na cele teatru niemieckiego w Poznaniu. Dotychczasowy teatr pobierał już wielkie subwencje, nowy zaś, na którego budowę przeznaczono ogromne summy i który stanąć ma u wejścia do śródmieścia na miejscu zniesionych bastyonów fortecznych otoczonym będzie jeszcze więk-

szą opieką rządu. Zasiłki też pobiera szereg pism niemieckich, wychodzących w stolicy Wielkopolski. Wskutek tego mogą te pisma, mianowicie w dziale korespondencyj lokalnych, z całego księstwa bogatemi rozporządzać informacjami, które oczywiście zabarwione są następnie ad usum delphini t. j. sprawy niemieckiej. W ostatnich też latach zawładnęli Niemcy ostatecznie polską niegdys fundacją, biblioteką Raczyńskich, liczącą kilkadziesiąt tysięcy tomów.

Te wszystkie objawy dbałości Niemców o zawładnięcie jak najzupełniejsze terenu umysłowości w naszym kraju patrzącego w dal przejmują większym jeszcze niepokojem, niż ich administracyjno-ekonomiczne zakusy. Przeciwko tym ostatnim rozwinęło społeczeństwo naszą całą energię, na którą potrafi się zdobyć, i choć walka ciężka i niebezpieczna, to jednak bynajmniej nie beznadziejna. Sam fakt, że dziś największa instytucja finansowa, związek spółek zarobkowych, licząca blisko 300 milionów marek rocznego obrotu, znajduje się w rękach polskich, jest tego wymownym dowodem. Ale jakże inaczej przedstawia się rozwój naszej żywotności na polu umysłowym. Pobieźnie tylko zaznaczyliśmy główne objawy nowego a tak już silnego impulsu germanizmu na polu kultury umysłowej, wyczerpujący ich spis przekraczałby ramy niniejszego artykułu. To jednak, co wymieniliśmy, wystarcza, by wykazać, że w tym kierunku napór niemieczyzny rozpoczął się na dobre, a choć polityczno-administracyjny szowinizm niemiecki niweczy nieustannie owoce tego kulturalnego impulsu, to jednak niweczy je tylko częściowo, mianowicie w stosunku do Polaków. Niemiecki zaś żywioł, jako taki, niewątpliwie już dziś poważne w tej mierze odnosi korzyści. Barbarzyńskiemu obniżeniu wśród Niemców poziomu kulturalnego przez erę hakatyizmu przeciwstawia rozsądniejszy, ale zarazem i dla nas niebezpieczniejszy prąd duchowy germański pracą kulturalną, podnoszącą społeczeństwo, wśród którego powstaje. Że zaś w sprawach publicznych liczyć się trzeba ze zmiennością okoliczności, przeto z góry wolno twierdzić, że procent trzeźwiej myślących zdobywców germańskich, wobec coraz widoczniejszych złych skutków obecnego systemu germanizacyjnego będzie raczej rosnąć, niż słabnąć, a wcale niemożliwą nie jest nawet jego przyszła przewaga w miarodawczych kołach. Nie brak też dziś już Polaków upatrujących niemiecką taktykę przyszłości właśnie w możliwym pozornym złagodzeniu represyi administracyjnej, a za to zalaniu nas falą kultury niemieckiej. Przewidują te, niestety nie dość liczne, jednostki w pośród nas, że niemcy widząc, iż nie mo-

gą nas zgnębić dość prędko za pomocą środków materialnych, chwycą się powolniejszej, lecz pewniejszej, drogi zabicia w nas wszelkiej produkcji duchowej, wszelkiego ruchu umysłowego. Nadcześnik niemiecki, rozumny, trzeźwy, chcący rosnąć i władać i życiem innych własne życie wzmacniać, wie o tem dobrze, że śmierć ducha poprzedza śmierć materji i dla tego rozwój tego obcego sobie ducha, ducha polskiego, tego przedmurza słowiańszczyzny, skępować pragnie i zniweczyć. Głos jego i zachłanność przebija nawet z po za pozornie nam życzliwych odczwań się w publicystyce i na trybunie parlamentarnej. Głównym argumentem nieraz otwarcie wyznawanym, częściej z po za frazesów oratorskiej swady przezierającym, jest zawsze ten — obecna polityka ucisku nie przynosi owoców spodziewanych. Zaniechajmy jej, bo ona szkodzi nam, którzy przecież już tak daleko zaszliśmy w naszym opanowaniu kresów, postępując dawniej mniej gwałtowną, lecz skuteczniejszą taktyką. I zmniejsza się obecnie wdzięczność za taką obronę okazywana ze strony polskiej i przekonanie wśród nas żywione, że to idea sprawiedliwości międzynarodowej natchnęła niemieckich krytyków niemieckiego szowinizmu. W rzeczywistości nadcześnik germański, jakkolwiek przywdzieje szatę, czy togę wolnomyślnego myśliciela, czy czerwoną koszulę radykalnego socjalisty, czy wreszcie w rękę trzyma sztandar zamaterializowanej religji, żąda tego samego, do tego samego dąży celu, zastąpienia barbarzyńskiego i nie prowadzącego do zwycięstwa środka germanizacyjnego innym, lepszym, wzbudzającym mniej czujności i odporności wśród przeznaczonych do zagłady. Bo ciało, w którym zamarła dusza, niezdolnem staje się do czynu. A jak on rozumuje, on, symbol rasy panów i władców, tak i my rozumować winniśmy w naszej niedoli i naszym ucisku, ale i w naszym pragnieniu życia i prawie do życia.

Lat temu pięćdziesiąt pisał Karol Libelt do jednego z pracowników umysłowych wielkopolskich — „upadek kultury umysłowej poprzedza zawsze upadek dzielności ekonomicznej. Baczmy starannie, by pierwsza nie została zaniedbaną, a pewni być możemy, że i drugiej nam nie zabraknie. Lecz niestety, jakże smutno u nas pod tym względem.“ Tak pisał pół wieku temu gorący miłośnik spraw ojczystych i zaprawdę dzieje naszego kraju aż nadto potwierdziły jego głębokie i prorocze słowa. Właśnie te warstwy, w których rękę spoczywało dziedzictwo kultury, równocześnie zaniedbywały jej rozwoju i upadały ekonomicznie. Przegląd nazwisk najbogatszych wówczas rodzin, lecz zarazem tych, w których upadek duchowy był największym, to istna wędrówka



mentarna. Senatorskie siedziby, w których dziś gospodarzy bankier berliński; groby ojców zaprzędane obcym handlarzom ziemi,—oto obraz, który się przedstawia oczom potomnych. A tym potomnym, jakkolwiek biczem hakatyzmu ocknionym do obrony i dzielniejszym w niej od ojców, znów staje przed oczami to samo memento, znów uchylić się nie mają prawa od obowiązku zastanowienia się nad skutkami rosnącego uśpienia umysłowego i ciszy ducha, która dziś większa i ogólniejsza, niż wtedy, gdy przed jej rozwieleniem się przestrzegał Libelt. Szlachta nasza nie powinna zapominać, że wśród niej najdzielniejsza dziś pozostała część, to właśnie spadkobiercy tych środowisk rodzinnych, które wówczas najbardziej dbały o kulturę ducha. I postawić sobie powinni zapytanie ci spadkobiercy, czy sami taki spadek tradycji intelektualnej pozostawią swoim następcom, by oni również żyć mogli i działać resztkami żywego ducha ojców. Ogół zaś nasz zarówno przejęty być winien troską o rozwój całokształtu naszej sprawy narodowej na naszych wielkich i rozległych kresach, jeżeli czynem nie będzie kierował duch oparty na własnej kulturze, na własnej i zdrowej myśli.

Nie jest i nie może być naszym przeznaczeniem zostania na granicznym pasie potęgi germańskiej polską Irlandyą, politycznie tylko walczącą o swoje prawa, lecz zjednoczoną językiem i kulturą duchową ze społeczeństwem obcem. Zbiorowisko ludzkie nie żyjące własnym życiem duchowym, jest w połowie, i to w połowie ważniejszej, twórczej, umarłem. Nam zaś instynkt samozachowawczy, instynkt trwania i działania przekazuje prawo i obowiązek życia pełnego, a więc także w równej i ważnej mierze, życia umysłowego.

Nie obojętną w tej mierze jest okoliczność, że skrepowanie ruchu umysłowego przez obce i wrogie siły jest bez porównania trudniejszym od prześladowania na polu materyalnym. To też w dziedzinie umysłowej liczyć się musimy daleko więcej z własną apatyą, a rosnącym zrozumieniem jego ważności u wroga, jak z rzeczywistym uciskiem. Rzut oka na obecny stan umysłowości na naszych kresach każdego nieuprzedzonego musi w zdaniu tem utwierdzić. Prawdą jest, że zamkniętą dla nas droga oficjalnego budzenia kultury duchowej, ale po za nią pole działalności jest dla nas względnie wolne, a niestety coraz zupełnie puste, przynajmniej, o ile wchodzi w grę warstwa wyższe. Wśród warstw średnich i ludowych bowiem zapisują dzieje ostatniego półwiecza nie tylko dzielną w podnoszeniu kultury umysłowej inicjatywę ale i powodzenie tej ostatniej pod wieloma względami świetne.

Powodzenie to stanowi prawdziwą pociechę wobec fatalnego i obniżającego dziś poziom umysłowy ludu, wpływu systemu szkolnego. Obok dobroczynnych skutków organizacji zawodowej, których najwybitniejszymi objawami są kółka rolnicze, związek spółek zarobkowych i świeżo z nową energią podjęte szeregowanie robotników miejskich w stowarzyszeniach, nie tylko korzystnych dla nich pod względem ekonomiczno-społecznym, ale także jednoczących niewątpliwie ich poziom kulturalny, obok prywatnej działalności, szczególnie w Księstwie, księży, dworów i inteligencji miejskiej, udzielaniem nauki prywatnej i w miastach urządzaniem wykładów i odczytów treści popularnej, obok takich instytucyj, jak towarzystwo czytelni ludowych i samopomocy, pierwszorzędną rolę w krzewieniu oświaty wśród ludzi odgrywa nasza prasa ludowa wszelkich odcieni. Wynik to nie tylko podatności naszego ludu do postępu kulturalnego, ale także działalności części warstw wyższych. Obawa wyjąłowania umysłowego tych ostatnich zwiększa się, gdy widzimy, co one potrafiły zdziałać, gdy i o ile wśród nich kultura umysłowa do zdrowego przodownictwa ludowi stawała się podniętą. Oby w tej mierze przyszłość nie okazała się snutniejszą.

Pism przeznaczonych dla ludu mamy dziś przeszło trzydzieści, a niektóre z nich rozchodzą się w liczbie prawdziwie imponującej. *Przewodnik Katolicki*, wychodzący w Poznaniu, liczy przeszło 60000 abonentów; *Gazeta Grudziądzka*, organ zachodnio-pruski, tej samej niemal dosięga cyfry. Dziesiątkami tysięcy rozchodzi się *Katolik* górnoszląski i tygodniowa *Praca* poznańska, a znów w innych, jak w poznańskim *Oredowniku*, spotkać można artykuły, wymagające ze strony czytelnika takiego przygotowania umysłowego, że, zaprawdę, po za granicami zachodniej Polski niejedni nie uwierzyliby, że to pismo przeznaczone dla ludu. Ponieważ u nas abonament skutecznie się przeważnie przez urzędy pocztowe, przeto poczta, a zatem rząd, dobrze wie, jakie krocie tysięcy egzemplarzy pism polskich niosą w lud poczucie polskości. I ta świadomość jest też powodem coraz częstszych odezwań się ze strony hakatystycznej, by skrępować prasę polską, zmuszając ją do używania języka niemieckiego. Pod hasłem *die slavische Gefahr* (niebezpieczeństwo słowiańskie) czytaliśmy niedawno w piśmie polakożerczem ubolewania nad faktem, że ustawa prasowa jest, niestety, tak niedostępną dla ingerencji rządu pruskiego, należąc do zakresu praw zasadniczych konstytucyi Rzeszy. Do tych uwag pisma nam wrogiego dodać należy stałą troskę o nietykalność prasy, żywioną przez większość stronnictw parlamentarnych.

*Hodie mihi, cras tibi.* O prawdziwości tego aksjomatu nie wątpi nikt z pomiędzy tych, którychby rząd w danym razie zapragnął pozyskać do zasadniczych zarządzeń przeciwko prasie polskiej i dlatego, w tej mierze przynajmniej, dość bezpiecznymi możemy być na przyszłość. Władzom pruskim pozostaje jedynie droga bezustannych procesów przeciw redaktorom i wydawcom za artykuły sprzeciwiające się ich pojęciom, a w których treści znajduje się haczyk odpowiedni do zaczepienia pisma, jako przekraczającego którykolwiek z paragrafów ustawy. Ale i ta broń z czasem stępuje. W samem bowiem społeczeństwie polkiem częste narażanie się na procesy i wynikające stąd koszty bynajmniej nie są pismom poczytywane jako zasługa, a wzbogacanie kieszeni niemieckiej w ten sposób polskiemii pieniędzmi uważane jest raczej jako dowód niewielkiej zręczności ze strony redakcyi, gdy przy pewnem staraniu wcale trudną nie jest rzeczą uszanować literę prawa, a jednak napisać co należy. Stąd też obecnie spostrzedz można dość wyraźny zwrot w tym kierunku, a pisma, które dawniej, chlubiąc się swoją rolą męczeńską, kilka razy w miesiącu wzywane bywały przed sąd, dziś zrzadka tylko spotykają się z ramięm pruskiej sprawiedliwości. Mniej pocieszającym jest rzut oka na sposób pisania organów ludowych. Tu rozpacz prawdziwa ogarnia nieraz dbającego o język rodzimy czytelnika. Z zaszczytnemi, lecz nielicznemi, wyjątkami artykuły naszych pism ludowych pisane są wprawdzie w duchu szczerze polskim, ale częstokroć w języku, który nie jest ani polskim, ani niemieckim, lecz jakimś niemilem narzeczem, wytworzonym z mieszaniny ich obu. Słowa są polskie, ale budowa zdań, ale składowe wyrażenia doprawdy nie polskie. A gorzej jeszcze przedstawiają się rzeczy, gdy wkraczamy w dziedzinę umysłową inteligencyi krajowej. Stwierdzamy z boleścią, że redakcyje obu pism codziennych większych, jedynych w swoim rodzaju na całym obszarze ziem polskich pod panowaniem pruskim, bezustannie walczyć muszą z brakiem rodzinnych sił piszących, a nadsyłane artykuły sprawiają utrapionym kierownikom tych pism niekończące się kłopoty, wskutek konieczności poprawek językowych, równających się nieraz niemal przeróbkom. Zapytajmy w redakcyach poznańskich, jak uciążliwą jest zazwyczaj próba poruszenia inteligencyi krajowej do chwycenia za pióro w kwestyach żywo-nych. W dodatku, jedno z obu większych pism, dla braku poparcia ze strony inteligencyi krajowej, kończy obecnie swe istnienie.

Optymizm tworzy, pesymizm krytykuje, i jest bezpłodnym. W ocenie jednak kultury umysłowej naszych warstw wyższych

trudno się oprzeć usposobieniu pesymistycznemu. Apatya umysłowa z roku na rok staje się większą. Przeglądając nieliczny szereg ludzi u nas czynnych na polu naukowym i literackim, nie mówiąc już o artystycznym najbardziej zaniedbanem, lecz z dawien dawna na naszych kresach jałowem<sup>1)</sup>, stwierdzamy ze smutkiem, że wśród starszego pokolenia można ich spotkać więcej niż wśród młodszego, dziś na arenę życia występującego. Odznaczają się w tej mierze dwory na wsi, niegdyś ogniska, z których się rozchodziła kultura umysłowa na kraj. I tu są wyjątki i to zaszczytne, ale one potwierdzają tylko regułę. Ogółem wzięwszy czyta się we dworach mało, tak mało, że utarło się u nas przyśłowiem — w Wielkopolsce oszczędność rozpoczyna się od książki. Nie mówię już o domach, w których nietylko rozpoczyna się ona ale i kończy się na książce i drukowanym słowie. Lecz i w wielu innych, sztuka czytania rzadkim jest tylko przywilejem. W tem współzawodnictwie apatyi mniejszą, to jest dodatniejszą rolę odgrywa inteligencya miejska, lekarze, adwokaci, dziennikarze. Wśród nich procent ludzi żyjących wspólnem życiem umysłowem z ogólną społecznością polską jest daleko większym, szczególnie w samym Poznaniu. I oni jednak odczuwają ogólną apatyę umysłową, która się rozpostarła w naszym kraju. I oni, choć czytają więcej, pod względem twórczości umysłowej nie wiele przewyższają inteligencyę wiejską. Ruch wydawniczy na polu literackim i naukowym, niegdyś pokaźny, upadł dziś w Poznaniu prawie zupełnie. Główne większe oryginalne dzieło wydawane u nas w ciągu lat bieżących, to dzieło zmarłego od lat wielkiego myśliciela, dzieło wydawane troskliwością i zasłużonem staraniem syna, *Ojciec nasz* Augusta Cieszkowskiego. A lepiej przemilczeć, ile egzemplarzy

<sup>1)</sup> Zbiorów dzieł sztuki posiada księstwo w ręku polskiem tylko 3. Z tych jeden, należący do tow. Przyjaciół nauk, jest w Poznaniu, przystępny dla publiczności. Drugi, daleko znaczniejszy, w Rogalinie pod Mosiną, należy do Hr. Edwarda Raczyńskiego, trzeci zaś w Gołuchowie pod Pleszewem, własność ks. Witolda Czartoryskiego, miał być przeniesiony do Poznania. Podobno jednak obecnie zamiar ten niestety został zaniechany. Taksamo z bibliotek znaczniejszych, należących do Polaków, jedna tylko, tow. Przyjaciół nauk, pozostaje w stolicy Wielkopolskiej. Biblioteka Kurnicka bardzo poważna, jako odległa od miasta, z natury rzeczy mało jest przystępną dla szerszej publiczności. Ime księgozbiory należą już zupełnie do kategorii prywatnych. Jest ich jednak stosunkowo nie wiele, a w niejednym z nich stwierdzić można, obok znacznej liczby książek zakupionych przez dawniejsze pokolenia, niemal zupełny brak dzieł z ostatnich dziesięcioleci.

pierwszych tomów tego obecnie na obce języki tłumaczonego dzieła rozeszło się wśród rodzimego społeczeństwa wielkopolskiego.

Milkną nawet te talenta, które już dały miarę swej wartości. Obarczony ciężką i odpowiedzialną pracą swego wysokiego urzędu zamilkł niestety znakomity badacz historii kościoła na wschodzie, a imi z pomiędzy starej gwardyi naszych ludzi myśli i pióra odzywają się coraz rzadziej, coraz mniej znajdują podniety w zainteresowaniu się społeczeństwa umysłową twórczością. Tem większa cześć, tem większe uznanie należy się tym, którzy w takich warunkach jednak nie ustali w swej twórczości. Ale jakże ich mało, jak odosobnionemi są ich odezwania się. Prawdziwie *rara avis in gurgite vasto* będzie wydawnictwo dzieł wielkopolskich pisarzy, przygotowywane przez kierownika Biblioteki tow. przyjaciół nauk. Wymieniając jeszcze kilka nazwisk z nielicznego szeregu tych sił starszych, które większemi publikacyami wzbogaciły zachodnio-polski ruch umysłowy, wspomniemy o wydawnictwach biblioteki kurnickiej pod kierownictwem D-ra Z. Celichowskiego, o pracach na polu historii literatury prof. Nehringa, który, jakkolwiek działalność swoją poświęcił uniwersytetowi Wrocławskiemu, jednak zaliczonym być może do zachodnio-polskich pracowników umysłowych, kilku autorów wydawnictwa ekonomiczno-polityczne. Siły te jednak po części dziś także już przestają czynną odgrywać rolę na polu większych wydawnictw. A choć do ich szeregu moglibyśmy dołączyć jeszcze nazwiska inne, szczególnie na polu wydawnictw mniejszych, to jednak razem wzięwszy, wydatność ich nie odpowiada znaczeniu, które w życiu ogólnie narodowym posiada blisko czteromilionowe społeczeństwo zachodnio-polskie. Znakomite publikacye prof. Brücknera w Berlinie nie podpadają pod kategorię umysłowości wielkopolskiej. Działalność bowiem tego uczonego należy do zakresu tak znacznego eksportu sił umysłowych z naszego kraju, który, aczkolwiek wywołany okolicznościami i nie podpadający pod krytykę indywidualną, jest jednak jednym z najsmutniejszych objawów upadku naszego na polu umysłowym. Lepiej znów nieco, jak wszystko co dotyczy warstw szerszych, przedstawiają się wydawnictwa dzieł popularnych, ale zastąpić one nie mogą jałowości, która się rozpowszechnia w dziedzinie twórczości umysłowej sfer wyższych. Chcąc atoli nie pominąć tego, czem w tej dziedzinie możemy się pochlubić, wymienimy, prócz kilku dzieł treści kościelno-naukowej, wydawane przez kapłanów peryodyczne publikacye p. t. *Przegląd katolicki* i *Ruch chrześcijański społeczny*, a niemniej i nieliczny poczet dziełek i broszur treści poetycznej lub też literackiej

prozy, które w ostatnich kilku latach ujrzały u nas światło dzienne.

Jakże potężnym jest za to zastęp sił twórczych, które z wielkopolskiego społeczeństwa wyniosły swą działalność i swe zdolności do innych części Polski. Prawdziwa to emigracya talentów, świadcząca, że nie grunt w naszym społeczeństwie jest w tej mierze bezpłodny, ale że atmosfera w niem panująca nie sprzyja rozwojowi wyższej kultury ducha<sup>1)</sup>. A, niestety, nie we wszystkich wypadkach tego opuszczenia zagrożonego martwością umysłową rodzimego posterunku powodem była konieczność oparcia się o nieistniejące u nas prawie wcale instytucye publiczne naukowe, lecz raczej właśnie przekonanie, zresztą słuszne, że nie tam, gdzie broń ducha najrzadsza jest i najpotrzebniejsza, najbardziej też ją cenią. Wymownym przykładem w tej mierze jest obojętność ogółu naszej inteligencji wobec powstałego przed dwoma laty tow. literacko-dziennikarskiego.

Po zajściach wrzesińskich, gdy przedstawiciele pism zagranicznych odwiedzali często nasze strony, jeden z nich w rozmowie z gronem członków inteligencji polskiej wyraził zdziwienie, że Polska cała nie zdobywa się na energię założenia na swych zachodnich kresach intelektualnej warowni. Gdyby Słowianie mieli w sobie przedsiębiorczość i rzutkość rasy anglo-saskiej — mówił ów przybysz — nie byłiby dopuścili do emigracyi z tych kresów tak znacznej liczby talentów, lecz byłiby im umożliwili skupienie się wokoło towarzystwa przyjaciół nauk i pism, poświęconych pracy naukowej i literackiej. Znalazła się pomoc na cele rolnicze, czemużby niewykonalnym był wysiłek bez porównania mniejszy pod względem materyalnym, któryby zwrócił w kierunku powrotnym intelektualną falę emigracyjną, w życiu umysłowem innych, zasobniejszych pod tym względem dzielnic polskich tak poważną odgrywającą rolę. Szlachetna ta utopia zagranicznego

---

<sup>1)</sup> Emigracya pracowników umysłowych z zachodniej Polski stała się chroniczną. Za przykładem bowiem swych poprzedników, którzy dziś w ruchu umysłowym Warszawy, Krakowa i Lwowa tak poważnie zajmują miejsce, ulegają jedna za drugą także młode, wyrabiające się, siły prądowi emigracyjnemu. Kilka z nich w ostatnich czasach przeniosło swoją działalność naukową i literacką po za granicę zachodniej Polski, nie znalazłszy w naszym społeczeństwie podniety i sposobności do pracy na coraz bardziej opuszczonym gruncie rodzimym. Niejeden znany wypadek emigracyi na wschód młodzieńców, zawdzięczających swe wykształcenie funduszom tow. pomocy naukowej im. Karola Marcinkowskiego.

przyjaciela Polaków zawiera w sobie rzeczywiste jądro prawdy. Nie skarżylibyśmy się dziś na wychodźstwo umysłowe z Wielkopolski; nie byłyby sobie poważny zastęp mężów nauki zamknął drogi do powrotu przyjęciem obcego poddaństwa, gdyby zawczasu była przeniknęła naszą społeczność troska, która przed półwiekiem niepokoiła Libelta. Dziś jednak liczyć się musimy z istniejącym stanem rzeczy. A ten i nas zniewala do wstrzymania się z wyrzeczeniem hasła, którego brak zaznaczyliśmy u Niemców — *Video meliora*.

Wierzyć nam atoli należy w prawdziwość zasady, że jasne rozpoznanie i uznanie potrzeby społecznej jest pierwszym krokiem do jej spełnienia i że z samego tego uznania wyłoni się inicjatywa do zaradzenia według możliwości złemu. Martwota umysłowa warstw wyższych w kraju tak rozległym, jak zachodnia Polska, równającym się swoim obszarem Galicyi, a liczącym półczwarta miliona ludności polskiej, grozi na przyszłość wielkimi niebezpieczeństwami. Z trzech dzielnic naszych pod panowaniem pruskim, dwie niemal zupełnie pozbawione są inteligencji polskiej. Wszędzie u nas rośnie samowiedza warstw ludowych, coraz mniej oparta na duchowem przodownictwie warstw wyższych. Oby społeczność nasza zachodnio-polska nie stała się z biegiem lat podobną do ciała, którego siła wzrasta, ale którego oczy oślepiły. Organizm taki, choć żywotny, działa na ślepo, narażony jest na wszelkie zboczenia z drogi, której jasno nie widzi przed sobą. W pracy naszej narodowej, w działaniu i rozwoju naszego społeczeństwa niech nam przyświeca pochodnia duchowej kultury, owe światło, za którym lat temu siedmdziesiąt, umierając, wzdychał wielki duchowy działacz dziś tak wrogięgo nam narodu niemieckiego.

FRANCISZEK MORAWSKI.

# PRZEMIANY.<sup>1)</sup>

## Powieść współczesna.

### XXI.

W życiu pani Anny zaszła zmiana: oto zaniechała zupełnie rolnictwa. Nie chodziła jak dawniej po folwarku, nie zaglądała do wspaniałych obór rasowego bydła, do wzorowych chlewów, do stajni, nie pilnowała (z notesem w rękę) zwózki snopów na gumnie, nie odbywała wycieczek w pole. Koń wierzchowy niesiodłany nudził się w boksie, dziwiła się służba, najbardziej może dziwił się Stefan. Nie wzywano go już do pałacu na t. zw. narady, a nawet śniadania i obiady posyłano mu do mieszkania pod pretekstem niezdrówia Opolskiego. Otrzymał także dyspozycję (w uprzejmym i sztywnym liście) administrowania na własną odpowiedzialność (miał tylko przysyłać szczegółowe sprawozdania na piśmie raz na miesiąc) w najszerszym znaczeniu wyrazu, bo z prawem nieograniczonego czerpania z kasy, a z obowiązkiem kierowania instytucjami, tak mało nawet mającemi wspólnego z zarządem rolnym, jak szpitale, ochronka, szkoła tkactwa, przytułek położnicy i t. p. które to wszystkie zakłady zawdzięczały swój byt jego pomysłom, zamięlowaniu i pracy. Pani Anna natomiast przerzuci-

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt sierpniowy, str. 213; — wrześniowy, str. 449; — październikowy, str. 32; — listopadowy, str. 244; — grudniowy, str. 417; — styczniowy, str. 26; — lutowy, str. 225.



ła się do dziedziny zajęć, zaniedbanych do niedawna, a tych właśnie, które Stefan bądź wyszydzał, bądź potępiał, od których odciągnął ją swoim wpływem, swoją szczerą, ognistą wymową. Spędzała znowu wiele czasu w parku, który miał być znacznie rozszerzony przez dołączenie kilku łąk i zagajników, w towarzystwie nowego ogrodnika francuza, w towarzystwie architekta, który przybył dla kierowania budową skrzydła pod ogród zimowy, w oranżerji. I codziennie szły do Stefana kartki z żądaniem tylu a tylu dziesiątków ludzi, tylu a tylu par koni do robót około zimowego ogrodu i parku, do plantowania, kopania, podwożenia kamieni, cegły i wapna. Stefan spełniał rozkazy, i robota wrzała. Przesadzano drzewa, trzebało gąszcze, przenoszono jakąś budowlę, która zdaniem francuza zasłaniała widok, tysiące fur i taczek torfu sypano na piaszczystą smugę między jednym zagajnikiem a drugim, ażeby na niej rosnać mogły wybredne krzewy. Panią Annę przez pierwszych dni kilka napełniały zadowoleniem gwar i ruch roboty ludzkiej, i po wiele godzin nieraz wystawała na słońcu, żeby doglądać, czy też wprost tylko dla rozrywki, i sama wytykała linie nowych alei, wskazywała przyszłe trawniki i klomby, rozszerzała perspektywę, wydobywała niespodziane efekty... Biały, bardzo wysoki krzyż, stanął gdzieś daleko śród pola, widny z werandy, a był o pewnych godzinach, w pewnym oświetleniu, w dnie słoneczne błękitny, wieczorami zaś na tle purpurowych zórz stawał się świecący i krwawy — o zmroku posepniął i rysował się linią prawie żałobną... Pani Anna chciała wyryć na nim jakiś napis, szukała odpowiedniego aforyzmu, ale żaden ze znanych nie przypadł jej do smaku i poprzestała tylko na wypisaniu daty 15-go czerwca roku 18..., który to dzień był rocznicą jej ślubu...

Na tych zabawach około krzyża, około parku, około skrzydła pod ogród zimowy zbiegł, tydzień — i Pani Anna jęła coraz rzadziej wychodzić z domu. Znalazła nowe zajęcia. Zabawiała męża, pisała listy, przygotowywała pokoje gościnne na coroczny bliski już zjazd imieninowy, rozpakowała paki z nowemi książkami, rozcięła pisma, nieporuszone od paru miesięcy, próbowała czytać... Roboty było niemało, a mimo to czasu ciągle było za wiele. Dnie wlokły się... Grała także na fortepianie zapomniane utwory z zapomnianych nut, a z tak zawziętą starannością, jak gdyby gotowała się do występu publicznego. Z dźwiękami płynęły przypomnienia dawnych czasów, gdy dawała w Warszawie lekye muzyki, gdy żyła w ubóstwie, gdy torowała sobie własnym przemysłem, rozumem i pięknnością ambitną drogę, gdy szła zdobywając... I zdobyła po nad wszelkie spodziewanie...

Otacza ją zbytek, uznanie ogółu, miłość męża—czegoż więcej? Tego szukała i pragnęła: bogactwa, stanowiska, spokoju — o to walczyła—i znalazła. Czegoż więcej?...

Ale Pani Anna wołała teraz wspomnienia wcześniejsze, wspomnienia zarania młodości, nie dotykane oddawna, dziś pełne szczególnego uroku, owiane wonią szczególną, budzące nieznaną tęsknotę... Jeszcze matka, dobra, zawsze wesoła, skora do śmiechu, gadatliwa, żyła wówczas. Mieszkały skromnie, w ubogiej dzielnicy, ona chodziła na pensję, w niedzielę do kościoła Wszystkich Świętych, czasami do ogrodu Saskiego i do Łazienek, przyjaźniła się z koleżanką, córką nauczycielki-emerytki, kobiety suchej, spłowiałej, schorowanej... Potem, po śmierci matki, stryj wprowadził ją w wysokie sfery, do których należała z urodzenia (ubóstwo pozostało ubóstwem, zmieniły się tylko stosunki, pozory, dążenia i myśli)—i wszystko się urwało... Pani Anna wydobyła z rozmaitych szuflad listy przyjaciółki, albumy, w których przepisywały poezye, fotografię matki, własną fotografię—i pogrążyła się w przeszłość. Zwłaszcza lubiła patrzeć na siebie samą w krótkiej sukni, w białych pończochach, opartą o jakiś płotek, z koszykiem kwiatów w ręce... Te same były rysy... Ogarniał ją smutek, pomieszany z tęsknotą, z żalem, z dziwnem rozrzewnieniem... Wyrosła, wypiękniała zapewne, nabrała rozumu, czytania, nauczyła się kilku języków, stała się panią Opolską... Wyrosła... Była niegdyś tą dziewczynką w krótkiej sukni, w białych pończochach, z grzywką na czole... Wyrosła... Potem pani Anna brała wyblakłą fotografię matki i wyłaniały się przed nią tamte dni w dwu pokojach, z których jeden był sypialnym a drugi salonem i jadalnią, które matka umiała ozdobić, upiększyć, uszlachetnić swoim przedziwnym darem czy zmysłem estetycznym, w których uczyła się obok szumiącego samowaru, przy cichem nuceniu matki..

W albumie świeciły kalkomanie naklejone nad wierszami, wypisanemi ręką przyjaciółki.

„Święć się, święć się wieku młody...“

Pani Anna postanowiła odbyć wycieczkę do Warszawy zupełnie incognito—bez męża, bez lokaja, bez panny służącej i toalet—zamieszkać w podrzędnym hotelu, chodzić tamtymi ulicami w ubogiej dzielnicy, być w niedzielę w kościele Wszystkich Świętych, być na grobie matki na Powązkach, odwiedzić zapomnianą od wieków przyjaciółkę (z jej własnej winy) która wciąż trudniła się lekcjami... I ciągle trapiła ją gorzka myśl, że matka i tamta odepchnięta koleżanka były jedynemi osobami, które kochały ją

naprawdę... Może i ona sama kochała naprawdę tylko te dwie osoby?..

Ale i czar wspomnień wyczerpał się niebawem — i znowu ukazała się próżnia. Pani Anna zwróciła się do miłosierdzia. Znajdowała dawniej pewną sumę radości w czynieniu dobrze. Cieszyły ją poniekąd i szpitale, w których zdrowieli chorzy, albo wypoczywali po trudach życia nieuleczalni, i przytułek położniczy i ochronka i szkoła tkactwa i widok wsi zamożnych, doskonale zabudowanych, i półki ze zbrukanemi książeczkami w wypożyczalni...

Teraz i ta radość odjęła się jej.

Siadała u wezglowia chorych, zmieniała im okłady, studziła jadło, gawędziła z nimi, lecz z jakąś suchą obojętnością, z jakimś zamknięciem zatrzaśniętego serca czy duszy.

I dobrze było, gdy dzień się skończył i przychodził sen długi, mocny, leniwy. Nigdy jeszcze w życiu pani Anna nie spała tak dobrze, i nie ociągala się z wstawaniem tak do późna. Budziła się, pierwsze spojrzenie padało na jakiś sprzęt w sypialnym pokoju — którykolwiek — na krzesło, kryte adamaszkiem fraise ecrasée, na lustro z inkrustacyami, na feston firanek — i stawała przed nią nieubłagana nuda rzeczywistości. Wydawało się jej, iż szara płachta grubego sukna przykrywa ją od stóp do głowy — przywierała powieki i leżała bez ruchu.

Dopiero potem, wyliczywszy obowiązki, powtórzywszy naskikowany z wieczora plan dnia, wysilała wolę i dzwoniła na pannę służącą, na miłą i ładną Olesię, (jej szczebiotliwa wesołość szczególnie cieszyła panią Annę w te dni) wstawała, wdziewała jakąś strojną suknię i szła, pełna spokojnej władzy nad sobą, do jakiegoś zajęcia i nagle stawała w pół drogi, żeby oprzeć się o jakiś sprzęt, zamyślić się i potrzeć sobie czoło dla odegnienia myśli, albo podczas rozmowy z interesantem ogarniało ją poziewanie uporczywe i częste, i podnosiła co chwilę rękę dla zasłonięcia ust...

Tymczasem wśród tego tygodnia, który nie miał kresu, zdarzyło się coś w rodzaju rewolucyi pałacowej. Służba, jak zwykle i wszędzie, dzieliła się na pokłócone, nienawidzące siebie obozy, i ktoś z jednego z tych obozów przydybał faworytę pani Anny, miłą i ładną Olesię, na schadzce z jakimś drabem in flagranti, przeprowadził śledztwo, wcale dla oskarżonej niekorzystne, i wytoczył formalny proces przed panią.

Pani Anna była zwykle w takich wypadkach surową z zasady, i winowajczynię wydalano. Rozkaz wyszedł i tym razem, — i Olesia przyszła do niej na pożegnanie.

Stała u drzwi splekana, zalękniona, czy udająca zalęknienie, ze spuszczonej oczami, zgrabna, w zesztorocznej sukni pani Anny, ściśnięta szerokim, skórzanym, żółtym pasem, miła, ładna i biedna.

Stała tak już dosyć długo, czekając na jakieś słowo z ust pani, która napróżno szukała w sobie gniewu, oburzenia i ostrych wymówek. Pani Anna odczytywała już niewiadomo który raz służebną książeczkę Olesi, na której błękitniał stempel kasyera: „opłacono.“

— Źle Olesiu!—odezwała się wreszcie zcicha.

Teraz Olesia podbiegła ku niej, rzuciła się jej do nóg, wybuchnęła płaczem, głowę wtuliła w jej suknię. Ten ruch i ten płacz były szczeremi.

— Nie płacz, Olesiu, nie płacz!—mówiła pani Anna gładząc dziewczynę po włosach.

— Pani moja, pani moja!..—szlochała tamta.

— Widzisz, Olesiu, jak to źle — bez przekonania, bezdzwięcznym głosem wnioskowała pani — jak to źle! I ja ciebie żałuję i ty mnie żałujesz... Lubiłam ciebie...

— Pani moja, pani moja...

Pani Anna dumiała.

— Wyjdiesz za niego za męża?—zapytała.

— Nie można pani — odparła dziewczyna, podnosząc mokrą, pałającą twarz.

— Dlaczego?

— Zonaty...—szepnęła Olesia, spuszczając oczy.

Pani Anna znowu popadła w zadumę. Ręka jej wciąż gładziła dziewczynę po włosach.

— Kochał ciebie?—nagle, cicho zapytała pani Anna.

Olesia parsknęła śmiechem, wnet stłumionym. Nie spodziewała się tego pytania.

— Tak — szepnęła, nanowo ukrywając śmiejącą się twarz w sukni swojej pani.

— Młoda jesteś, ładna... mogłabyś wyjść za męża... i być szczęśliwą... a teraz co? po co to było?!—bez zapału i przekonania karciała pani Anna.

— Taki „dur“ pani... Broniłam się, nie pozwalałam, nie chciałam... Dur przyszedł. — i Olesia prędko, trzpiotliwie, z płaczem i nagłymi uśmiechami, wstydliwie opowiedziała jej historię swego przejścia.

Pani Anna zwiesiła głowę, bawiła się włosami dziewczyny, dumiała.

— Po co to było... po co to było?!—szepnęła potem.

Znowu Olesia długo czekała na rozkaz stanowczy.

— Idź Olesiu, — cicho powiedziała pani Anna — książeczka zostanie u mnie.

Ku wielkiemu zdziwieniu całego dworu i zgorszeniu obozów niechętnych, panna służąca nie straciła miejsca: czeladź kiwała głowami, wspominając zdarzenia podobne, w których pani dotychczas nie dała się ułaskawić.

I znowu życie popłynęło trybem spokojnym. Było ranne śniadanie, potem obiad, potem podwieczorek, słońce świeciło z jednej strony domu, potem — z drugiej, — zachodziło... Pani Anna patrzyła w zachodnie zorze i łany, w zachodnie blaski i, gdy płynęły przecudne różane obłoki, przypominały się jej, jak na majówce u Kamienieckich, marzenia młodości i sny, wiosenne nadzieje, wiośniane łyzy szczęśliwej tęsknoty za czemś dalekiem niepojętem i niespełnionem, przeczysty poranek serca...

Biegły obłoki, gasły — zbiegły lata... Gdzie jest ten sen, sen — obłok, sen — zorza?..

Któregoś dnia po południu lokaj przyniósł na tacy list od pana rządcy. Pani Anna gorączkowo rozerwała kopertę.

„Jaśnie Wielmożna Pani — pisał tamten drobnem, ładnem, czytelnem pismem — (dawniej tytułował ją mniej oficjalnie) wczoraj nadeszła zniwiarka nowego typu, sprowadzona na rozporządzenie Pani z dnia 25/V r. b. a ponieważ JW. Pani była jej ciekawa, pozwalam sobie donieść, że dzisiaj o godzinie 4-ej odbędzie się próba w Kryłowiczach. Pełny poważania sługa.“

Pani Anna kazała natychmiast osiodłać konia, już miała przebrać się w amazonkę...

Odczytała list raz i drugi...

Stała u okna, splotła swoim zwyczajem ręce na głowie, zatopiła wzrok w zielonej ciżbie parku, ważyła...

Widziała oczami radości błękit nieba, złoty żar dnia, nieruchome łany dostających zbóż, czuła drogi zapach suchych szeleszczących pod stopą ścierni, słyszała granie świerszczy... strzykają koniki polne, dumają w słońcu ciche złociste niwy... chyży skok konia, pęd, rozkoszny rytm na siodle... zespolenie z koniem...

Znalazła sto przyczyn, dla których odmówić swojej obecności na próbie nie mogła. Jak ptak z klatki, rwała się dusza z nudy istnienia do tej jednej, krótkiej chwili...

Tyle jeździli dawniej... takie dobre godziny!..

Ale gniewnie zwarły się usta, gniewnie zmarszczyły się brwi. Dobrze jej jest i bez tego!

„Proszę próbę urządzić bezemnie — odpisała na bilecie wizytowym—Jeśli żniwiarka jest zła, nie warto patrzeć, jeśli dobra — będzie chodziła i ja każdej chwili będę mogła ją widzieć...”

I szukała nerwowo rękawiczek, kapelusza i parasolki, żeby iść dokądkolwiek, żeby zabić czas... Szpital był najbliżej.

Od tygodnia leżała tam staruszka z sąsiedniego miasteczka, z tak zwanej klasy wyższej, która wogóle przyjmowaną nie była, lecz uczyniono tym razem wyjątek, ile że chora na prawdę przymeriała z głodu.

Była to osoba tak nadmiernie wysoka, iż musiano sporządzić dla niej specjalne łóżko, bardzo chuda i wycieńczona, cicha, cierpliwa mimo bólów, które folgowały jej rzadko, nadzwyczajnie nabożna. Modliła się od rana do wieczora we dnie, modliła się w nocy, w godziny bezsenne, na pamięć i ze starych pożółkłych ksiąg, przez złote okulary, biła się w piersi wyniszczoną ręką, wdychała, szeptała różańce i nowenny, sylabizowała litanie, pościła trzy dni w tygodniu, pomimo zakazu doktora.

— To na pewną intencję—mówiła z uporem—nie mogę, zrobiłam ofiarę...

Opowiedziała pani Annie historię swego życia. Była wdową po urzędniku, miała syna jedynaka, utrzymywała się z emerytury i z procentów od jakiegoś kapitału. Syna oddała do seminarium. Nauka kosztowała drogo, kapitał szczupłał, ale syn podrastał. Do święceń kapłańskich zostawało niewiele—marzenie jej życia miało się urzeczywistnić... Naraz otrzymała od syna list, w którym zawiadamiał ją, iż porzuca seminarium. Ożenił się z osobą innego wyznania...

W tem miejscu staruszka urwała. Znieruchomiło jej wygasłe, znużone spojrzenie, zacisnęły się usta... Spoglądała w przestrzeń z trwogą, może ze zgrozą... Bała się...

— Odesłał mi potem—kończyła—w dużej pauce książki swoje, łacińskie i polskie. Nie sprzedawałam ich, nie otworzyłam paki... Chciałam oddać jakiemu klerykowi, któryby inaczej... Może pani po mojej śmierci znajdzie kogo...

Po za tem odzywała się rzadko. Z rzeczy tego świata nie zajmowało ją już nic-zgoła... Ale pani Anna lubiła do niej przychodzić. W izdebce, małej i schludnej, jak celka zakonna, z jednym łóżkiem, krzesłem i stołem gościła cisza łagodna i dobrotliwa... Staruszka witała ją niezmiennie tem samym Bożem pozdrowieniem, kończyła swoje pacierze, odkładała modlitewniki albo różaniec, żegnała się i zdawała się na coś czekać. Pani Anna siadała na jedynem krześle i także milezała. Patrzała w bładą wy-

nędzniałą twarz staruszki, na jej białe, chude, pomarszczone, o wydatnych, niebieskich żyłach ręce, spokojnie spoczywające na kołdrze, jak gdyby w książkę jaką, w starą, w mądrą książkę... Uływały ciche chwile... Zegar na korytarzu wybijał kwadrans... Powoli, wąską ścieżką pieszą, przez łąkę, na przełaj od tamtego cementarza, gdzie szumią brzozy, szła śmierć, pełna spokoju, i dobroci, pełna miłosierdzia... Pochyli się nad bladym czołem staruszki, łagodną dłonią dotknie srebrnych, wątłych włosów, złoży pocałunek... Idzie śmierć... Pani Anna słyszała stapanie... I staruszka jak gdyby słuchała...

Nie okazywała bojaźni. Nikły uśmiech przewijał się przez jej oblicze, gdy pani Anna pytała ją o zdrowie.

— Już prędko — odpowiadała zwykle.

I znowu słuchała ciszy, w której tak cicho, jak tchnienie jej piersi, zbliżała się śmierć.

Panią Annę ogarniał spokój w jej obecności i widziało się jej, że już nie pragnie niczego, że radaby była odbijać już od brzegu, że oddalałaby się z takim samym świetlanym uśmiechem, jak staruszka...

Brała ją za rękę, gładziła tę biedną, strudzoną rękę, chciała nieść ją do ust... Czasami wspierając łokcie na kolanach, z głową w dłoniach, długo, zbliżona, uważnie, badawczo wpatrywała się w nieruchome, zużone, wygasłe, ale pełne w pewnych chwilach światła, oczy chorej... Skąd jest ten blask dziwny, ten płomień świecący, skąd w tym ciele, już prawie obumarłym, ogień życia, które nie gaśnie, które wie, że nie zgaśnie, ogień który się wzmacnia, rozpala.. Skąd jest ta moc?..

Promienne spojrzenie chorej przenikało ją, mówiło jej o czemś, pytało ją, wstydziło... Pani Anna odsuwała się...

— Pani jest bardzo cierpliwa — zagadywała swój strach.

Chora uśmiechała się.

— Cóżbym ja była warta, gdybym i tej małej biedy znieść nie mogła?

— I pani nic a nic się nie boi?

— Czego?

— Śmierci — szepnęła pani Anna.

— Ja czekam, ja radość mam wielką — cicho poruszały się sine wargi chorej.

Pani Anna bała się, a ta, po którą ostrożnie, wolno a nieodzwrotnie zbliżała się śmierć, — nie.

— Doktor mówił, że pani jest lepiej, że pani wyzdrowieje — kłamała raz pani Anna, ciekawa wrażenia, wywołanego nadzieją.

— Oni nic nie wiedzą — spokojnie i stanowczo odpowiadała staruszka—ja wiem, że już blisko—śniło mi się surowe mięso—to na śmierć... Ale ja i bez tego wiem...

— Pani wie—powtarzała pani Anna i oglądała się na drzwi, jak gdyby tam już stała — tamta, cicha, groźna, obecna a niewidzialna postać...

Dnia tego pani Anna usiadła i nie przemówiła nic.

Apatycznie zwiesiła głowę.

— Pani moja smutna dzisiaj — niespodzianie pierwsza odezwała się chora.

— Chyba nie... jak zwykle...

— To źle, to niedobrze... nie powinno tak być... — nieśmiało mówiła staruszka.

— Dlaczego?

— Pan Bóg dał pani tyle łask: zdrowie, bogactwo, rozum, dobroć...

— A ja na panią patrzę z zazdrością—z bladym uśmiechem odparła pani Anna.

— Jakto pani?—przeraziła się staruszka—ja chora, opuszczona, nędzarka. Pani taka szczęśliwa, Bóg pani dużo dał, bo On wiedział, że pani odda...

— Odda?—ze zdziwieniem powtórzyła pani Anna — komu?

— Jemu—krótko, poważnie powiedziała staruszka.

Pani Anna zamyśliła się.

— Żyć i oddawać Bogu—szepnęła, słuchając własnych myśli. Chora spoglądała na nią uważnie.

— Bóg daje — rzekła cicho, zaledwie poruszając ustami— i trzeba oddać... człowiek jest grzeszny... — zmarszczyła się, chwyciły ją boleści.

Pani Anna podała jej jakieś lekarstwo, zadzwoniła na dozorczynię i wyszła.

Rozważała nieśmiałe słowa chorej, przechadzając się pod drzewami parku.

Alboż zawierały nową naukę, głębię mądrości? Były tylko powtórzeniem katechizmu.

Kto ciebie stworzył?—Pan Bóg. Poco stworzył ciebie Pan Bóg? Żebym Go kochał, chwalił... Umiała to wszystko na pamięć... A jednak w nieznanem oświetleniu stanęło przed nią życie... Żyć i oddawać Bogu... Co oddawać? Całego siebie... każdą myśl, każde pragnienie, każdy trud...

Tak żyła tamta uboga, prosta, niewykształcona staruszka... i tego wymaga od niej; karcila ją wzrokiem, karcila słowami—



Więc w jej przekonaniu ona, Anna Opolska, nie żyła podług przepisów Bożych, i zasługiwała na naganą!.. Oddawać Bogu!.. Wyrzec się wszystkiego i wszystko oddać Bogu... Nikt nigdy nie wymagał tego od niej.

Od najwcześniejszych lat była gorliwą i wierną córką kościoła, nie opuszczała mszy, zachowywała posty, spowiadała się, spełniała wszystkie dziesięć i wszystkie pięć przykazań!.. Znała swoje grzechy, swoje usterki i skazy i wyliczała je zwięźle a rozumnie na spowiedziach—jakiś spowiednik nazwał ją naturą przejrzystą—kładała je na karb niedoskonałości ludzkiej i miała przeświadczenie, iż życie jej jest dobrem, a to przeświadczenie było jednym z warunków jej szczęścia.

Pani Anna mówiła zwykle, iż na jej miejscu nie każdy po trafiłby iść tak jak ona bez błędu i tak spełniać obowiązki... Pytana nieraz od siebie samej, czy jest dobrą żoną, odpowiadała spokojnie i nieobłudnie, nie spuszczać oczu, że w obec człowieka, któremu, nie kochając, przysięgła przed ołtarzem, czyni wszystko, czego od niej wymaga kościół i własny, moralny dogmat duszy... Co do reszty, niech mówią za nią pochwały ludzkie, uznanie społeczeństwa...

W pewnych chwilach pani Anna Opolska była nawet dumną z siebie... Dziś usłyszała wyraźny zarzut... A może jej się wydało!?

Zresztą nie poto szła do staruszki, nie poto, żeby wstrząsnąć sumieniem, przejąc się skruczą, nauczyć się cierpliwości i poddania się. Serce jej rozrywa wołanie nieutulone, niby wołanie dziecka na pustych ulicach śpiącego miasta... Kto jej da to, czego pragnie, kto jej powie, jakim jest to wołające pragnienie?..

Powiodła okiem dokoła. Błękitny dzień. Pszczoły brzęczą, miodne wonie kołyszą się w powietrzu, białe, jasnolice smugi słoneczne drżą na ścieżce, jak gdyby coś szeptały, drżą jak struny. Nad trawnikiem sterczą w tem ustroniu, dawno niekoszonym, szcawie brunatne i żółte dmuchawce, gdzie niegdzie już przekwitłe. Powiew strąca ze sztywnych łodyg puszki. Te puchy wieją w przestrzeń i spływają wolno na ziemię — lekkie, skrzydlate, znikome... Ciche, olbrzymie drzewa...

Na niebie białe, świecące w słońcu obłoki, które są jak senne myśli na marzącym czole, jak białe kwiaty szczęścia, jak ciche dźwięki słodkiej symfonii jakiejś nadziemskiej, niebieskiej symfonii, której się słucha oczami... i płyną te dźwięki, płyną powoli białym szeregiem, akord po akordzie i pieśń trwa, lazurowa pieśń niebios, której słucha się oczami... morze błękitu... ciche olbrzymie drzewa...

Wróble świergocą w wiśniowych kuszczach, czasami wzbiję się przedziwnie słodkie i przedziwnie tęskne wołanie wiewilgi... Tak w bezmiarze szczęścia tęskni samo szczęście, ogarnięte przecuciem końca... Gdzie szczęście, które trwa bez końca?

Znowu woła wiewilga... morze błękitu, białe obłoki, ciche, olbrzymie drzewa...

— Oto jest dzień radości, godzina szczęścia, chwila zachwytu—powtarzała cierpkimi wargami — była surowa zima lodowej niewoli, mroźnego nieszczęścia, zmartwiałej nudy, potem była wiosna nadziei i oczekiwania, wiosenny sen o lecie, o gorącym, wonnem słonecznem lecie, sen o takim dniu szczęścia... i spełnił się sen, stały się nadzieje, przyszło lato... przyszedł dzień radości, godzina zachwytu... A człowiek? Przychodził w życiu człowieczem po zimie i wiosnie szczęście lata?

Cierpki wyraz osiadł na poszarzałej, zmęczonej jej twarzy.

## XXII.

W dniu swoich imienin pani Anna otrzymała koleczki od męża, kosz kwiatów od Leona Niezaminowskiego, dawnego wielbiciela, pełny słodkich pochlebstw list od pani Henryetty Kamienieckiej, która zapowiadała swoje przybycie „avec toute sa bande,“ mnóstwo telegramów i listów,—i, ku wielkiemu zdziwieniu swemu, od chorej staruszki bardzo starą książkę do nabożeństwa, wydaną w Wilnie roku 1824-go z następującą dedykacją, wypisaną trzęsącym się pismem, z błędami ortografii: „Pani mojej, opiekunce i dobrodziejce, pokorna sługa w dniu świętej patronki Anny, z modlitwą na jej intencję na uproszenie łaski.“

Przychodziły także, jak co roku, deputacje od ochronki, od szpitala, od przytułku, od szkoły tkactwa... Były to nudne ceremonie...

Potem trwały narady z ogrodnikiem co do kwiatów i z kucharzem w sprawie obiadu, który musiał być wykwintny i wystawny, bo taka już była tradycja, bo tego wymagał Opolski, bo do tego przywykli tłumnie zjeżdżający się goście... Pani Anna wołałaby zamknąć się w piwnicy, wołałaby pojąć z paszruszkami na cały dzień w pole, wołałaby może zachorować obłożnie, niż celebrować tę uroczystość z uśmiechem na twarzy w świetnych szatach, w tłoku i gwarze... Dawniej lubiła tę fetę... Dziś, po załatwieniu naj-

niezbędniejszych czynności zamknęła się w swoim gabinecie, żeby nie patrzeć na olbrzymi stół w podkowie, na gorącą służbę, na stopy kwiatów... Komu to było potrzebne, dla kogo ma być to święto i ta uczta? Przed laty, zaraz po zamążpójściu chodziło jej o to, żeby stanąć mocną stopą na nowem stanowisku, żeby zdobyć okolicę i położyć kres gawędom tych, którzy wiedzieli o niej tylko, że była ubogą, i że dawała lekcyę, i krzywili się na t. zw. mezalians Opolskiego, więc rada była sposobności, iż może ośniewać, zachwycać, podbijać, nawracać. . Lecz teraz, jakże mało grzeją ją te pochwały i hołdy!..

Wejdzcie do salonu — myślała — w nadzwyczajnej sukni, wprowadzonej niedawno z Paryża, w brylantach, perłach i szmaragdach, jakich nie posiada nikt może i w Warszawie — i co? Leon Niezaminowski będzie się nasuwał, starzy panowie otoczą ją kołem — będzie czuła na sobie ich świecące, brzydkie, przykre spojrzenia!.. Tak samo niegdyś na karnawałach w Warszawie otaczali ją panowie, tylko, że nie rozumiała jeszcze wówczas ukrytej treści tych spojrzeń...

Powoli jąły panią Annę osnuwać wspomnienia i powoli płynęło przed zamysłonym jej wzrokiem życie sącząc się przez smutek serca, zaprawione goryczą żalu.

Od czasu śmierci matki, od chwili, gdy stryj wziął ją pod swoją opiekę, była zawsze samotną. Skończyły się tamte, być może mieszczkańskie, być może pospolite, jasne wszakże dni w dwu pokojach na wysokiem piętrze, a w niskiej dzielnicy pod skrzydłem — tak pod skrzydłem — serdecznem i dobrem matki, zawsze wesołej, zawsze mównej, zawsze pełnej śmiechu. Na oknach były tanie kwiaty w wazonach (matka kochała kwiaty, muzykę i poezję) na ścianach oleodruki, na etażerze — tomiki wierszy — słuchała poezyi, cichego śpiewu matki, uczyła się lubić kwiaty... Matka polewała je, ocierała z kurzu, przносиła z okna na okno pod słońce, czekała, żeby zakwitły, cieszyła się..., wtajemniczała ją w życie rośliny, brała jej małą, dziecianną rączkę i głąskała nią liście... czasami matka opowiadała jej o wsi, o polach, o runiach, na które sypie śnieg, o pierwszym kielku wiosennym, o białych motylach, które w dnie słoneczne fruują dokoła kwitnących bzów... Chodziły do Łazienek, patrzeć jak topnieje śnieg, jak ukazują się z pod zimy trawniki, jak słońce płonącym pocałunkiem budzi ziemię, jak drżą radością drzewa, i powoli dzień po dniu rozchylają się paki...

Marzyły obie o własnym kawałku ziemi, które mogły dostać chyba na księżycu, o tem, że będą chodziły własnemi miedzami wśród własnych zbóż, które „chylały się do stóp z szelestem powi-

talnym,“ że będą sadziły kwiaty i drzewa, że „usiądą między kwitnące jabłoni, w słodkim deszczu płatków, w słodkiej woni“...

— Zobaczysz—mówiła matka ze swoim bezprzykładnym optymizmem—to wszystko przyjdzie... Nie wiem jak, ale to przyjdzie... Będziemy miały ogrody i pola i drzewa i sad...

— Mamo — rozsądnie zaprzeczała córka — Pani Końska (to była matka koleżanki, nauczycielka-emerytka) była biedną, jest biedną i będzie. Są bogaci i biedni, i nie się nie zmienia.

— Zmienia się... Byliśmy z ojcem twoim bogaci, straciliśmy — i znowu powróci... Zobaczysz...

I dalej tkwały świecąca tkaninę nadziei i marzeń...

To skończyło się ze śmiercią matki (czy rosną tam kwiaty na jej grobie? A może przewieźć jej prochy tu pod szumiące drzewa parku? Szkoda, iż nie uczyniła tego dawniej). Stryj, równie biedny jak ojciec i z tej samej przyczyny, nie przeniósł jej w dostatki bo nie mógł, ale przeniósł w wysokie sfery społeczne, w których tkwił, z którymi zerwać nie chciał, do których pragnął, aby należała i ona, córka wielkiego rodu hrabiów Starzechowskich. Był to człowiek dobry, ale, jak teraz sądziła go pani Anna, nad wszelki wyraz próżny i światowy, a także zimny i ograniczony. Żył, oddychał i jadał (miał kilka domów, do których chodził bez ceremonii na obiady i śniadania) tylko w wielkim świecie, tam tylko rozumiał życie, dzielił ludzi na dwa gatunki, na tych, których się „spotyka“ i tych, których się „nie spotyka,“ i sam starał się, aby go wszędzie spotykano. Nie było w kraju rezydencji, w którejby nie przebawił kilku letnich miesięcy, nie było rodu, któregooby początków i historii nie umiał na pamięć, nie było uroczystości, w którejby nie brał ważnego udziału. On był drużbą na wszystkich ślubach arystokratycznych starszego pokolenia, on trzymał do chrztu wszystkie możliwe jedynaczki i wszystkich możliwych jedynaków; on czuwał nawet podczas połogów... Tak opowiadał... W nagrodę za to wszystko otrzymał synekurę, skromnie płatną ale dożywotnią, dzięki której mógł najać jakie takie mieszkanie, ubierać się podług mody u pierwszorzędnego krawca (miał rzadki dar noszenia i nie znaszania ubrań), kupować u antykwariuszów porcelanę i sztychy i zająć się wychowaniem synowicy. Zaczął od tego, iż przebrał ją w nową suknię, i zawiózł do wszystkich znajomych domów i polecił względem wszystkich matron. Potem posyłał ją na naukę — nie na pensję, co uważał za niedarowaną profanację nazwiska Starzechowskich, ale do wielkich domów, gdzie mała „Anne“ przysiadła się do rówieśnic na lekcjach i słuchała wykładów... Była zdolną, więc korzystała i zawsze

wszystko umiała lepiej od koleżanek. Nauczyła się mówić biegle kilku językami, nauczyła się grać, nauczyła się modnych podówczas gier sportowych, nabrała form... Tak mijały lata. Wakacyjne miesiace spędzała zwykle ze stryjem w jednym z licznych przyjaznych pałaców, zimę - w Warszawie dzieląc czas między lekcye, „zabawy na świeżem powietrzu,“ które zaczęły właśnie wchodzić w modę, importowane z Anglji, a obiady i śniadania.

Stryj prawie zawsze brał ją ze sobą. Jeżeli zostawała w domu, jadła okropne zupy, które przynosiła jej żona portyera, i nudziła się w ponurem, zimnem, źle opalonym mieszkaniu stryja. To były godziny najnieznośniejsze. I teraz przebiegał ją dreszcz na samo ich wspomnienie. Głód, nuda i chłód... posępne pokoje, pełne kosztownej porcelany, cennych mebli, sztychów, i kurzu... Nuda, niby olbrzymi pajak, snuła dokoła niej okropną pajęczynę, która pętała ją, ścisnęła, dławiała... Płakała nieraz... Stryj wracał późnym wieczorem, elegancki, podniecony dobrem winem, mówny. Opowiadał jej ostatnie nowiny dnia... Warunki życia niekoniecznie były normalne: szare ubóstwo w domu, obracanie się wśród bogatych i szczęśliwych, przyjmowanie łaski, życie na cudzy koszt... Mogły spacyficzyć charakter, napoić goryczą, nauczyć zawiści... Czystych radości, szczerych uciech, prostych, młodocianych wybuchów i zapałów nie było przez tamte lata, nie było także przyjaźni, gorących zwierzeń serca, które są jak deszcz obfity w czas posuchy, i marzeń wspólnych, które wznoszą duszę niby skrzydła... Z kim że było marzyć? I serce schło a zazdrość czołgała się każdej chwili, tak jak czołga się wąż spodem wysokich traw ogrodu...

Pani Anna nie miała nigdy rubla na własne przyjemności, nie kupiła nigdy kwiatów, ni książki, nie była nigdy w teatrze... Na loże pieniędzy nie starczyło, a Starzechowscy nie mogli popospolitować się w ostatnich rządach krzesel. Tylko suknie i kapelusze były modne, tylko trzeba było zawsze mieć nowe rękawiczki...

Wówczas to dojrzało w niej postanowienie zdobycia bogactwa i stanowiska. Była piękną, stryj wierzył w możliwość zrobienia świetnej partyi, opowiadał po dziesięć razy znane historie o ubogich pannach, które znalazły los na karnawale. Z kapitału, który został po matce, zrobiono kilka sukien—i pani Anna wystąpiła w świecie na balach. Była piękną, śmiałą i rozumną, panowie garnęli się do niej tłumem, tańczyła, słyszała pochwały i zachwyty. Wówczas to zakochał się w niej na zabój Leon Niezaminowski, obecny prezes Ugodzińskiego Towarzystwa Rolniczego—ale wolał wziąć posag i zaręczył się z kim innym... Nie lubi tego człowieka... Zapewne dlatego, że podobał się jej—on jedyny, — że

imponował jej chłodnemi błyskami rozumu, zwycięską zdobywczością charakteru... Nie lubi tego człowieka...

Karnawał wyczerpał ostatki funduszu, stryj gryzł się i trafił ją wymówkami za brak sprytu i zręczności — przyszły ciężkie czasy. Pani Anna zaczęła dawać lekcye w warszawskiej haute finance, wysoko płatne, nie przestając bywać... potem znalazł się Opolski, bardzo bogaty, stary i skąpy, ale łagodny i rozmiłowany w niej — i poszła za niego... Zdobyła...

Przeżywała teraz na nowo te gorzkie czasy, które przedstawiały się jej jak gdyby doganianie na piechotę po błocie ulicy pędzących karet. Co było w nich najbardziej gorzkim? Ubóstwo, upokorzenia, łachman pozorów, zawiść, nieustająca nigdy samotność serca? albo może to, że znosiła to wszystko, że zgodziła się znosić to wszystko? Więc na samem dnie duszy leżały te same, co u stryja ideały, ta sama filozofia życia? Więc tak samo, jak stryj, chciała wygodnie i świetnie wydać siebie za męża, nie widząc innej drogi dla siebie... Nie było hartu i męstwa, nie było siły i dumy... I jeszcze jedno. Do tego najtrudniej przyznać się... Nie było także prawdy i serca...

Stryj, człowiek ograniczony i próżny, pełny przesądów, człowiek starej daty, nie mógł myśleć i pragnąć inaczej — ale ona! Każdy postępek, każdy zamiar podlegał sądowi szczegółowemu, badaniom rozważnym i trzeźwym, krytyce, opartej na „moralnym dogmacie duszy...”

I nie opierała się. Dążyła z własnej woli, własnym prze-myśłem torowała sobie drogę — do upragnionego, jedyne go celu, który się wówczas przed nią rysował. Człowieka poznaje się nie po tem, co osiągnął, ale po celach jego... Cel był wzniosty!..

Bała się podobieństwa do Pawła Naborowskiego, ale ten przecież mierzył dalej i sięgał wyżej...

Mroczne rozmyślenia pochłoneły panią Annę. Docierała do ostępów i uroczyisk, do kryjówek, których unikała starannie podczas obcowania z sobą, i nieledwie pogarda — najboleśniejsza pogarda dla własnej duszy, przejmowała ją na wskroś... podarłaby na strzępy przeszłość, tak jak się drze suknię...

Była tak zadumaną, że nie zauważyła lokaja, który jej kogoś meldował, że zapomniiała, iż ruchem głowy kazała tego kogoś prosić. Stefan ukazał się na progu.

Drgnęła, mimowoli poprawiła sobie włosy, dotknęła kolczyków, dotknęła chustką czoła i twarzy, jak gdyby chciała zetrzeć tamte myśli...

Stefan wyglądał odświętnie w tużurku, z krawatem niedzielnym, zawsze tym samym, błękitnym w żółtą kratkę, ze szpilką w krawacie, niekoniecznie gustowną, niekoniecznie cenną... Potknął się o jakąś fałdę na dywanie, ukłonił się niekoniecznie elegancko...

— Przyszedłem złożyć Pani doroczne życzenia — mówił bardzo spokojnie, dobitnie i zimno — pochylił się do jej ręki i zaledwie musnął ją ustami.

— Dziękuję... proszę, niech pan siada...

I siedzieli na przeciwko siebie, jak w tamtą niedzielę, w tym samym pokoju, na tych samych krzesłach — w milczeniu.

— Gorąco? — zapytała pani Anna.

— Tak, trochę...

— A barometr?

— Stoi na pogodzie.

— To bardzo pomyślnie.

— Tak, zbiory... owies, jęczmień...

Odpowiadał bez zmieszania, pewny siebie i zimny, patrzył jej nawet prosto w oczy. Zdało się, iż wzrok jego w jakimś momencie dotknął szyderczo jej nowych z olbrzymiami szmaragdami kolczyków... kolczyki zadrżały w uszach...

— A żniwiarka panie?

— Użyteczna. Jest mniej skomplikowaną niż dawniejsze, więc będzie trwalszą.

— Ale zapewne droga? I rachunek w składzie narzędzi rolniczych rośnie!

— Przysłałem go pani w zeszłą niedzielę.

— Przejrzałam. Mój mąż ciągle narzeka na olbrzymie wydatki i brak dochodów...

Po raz pierwszy powołała się na męża — była to także wyraźna nagana. Krew trysnęła mu do mizernej, jak gdyby po długiej chorobie twarzy, ale pohamował się.

— Każda rubryka wydatków gospodarczych była w swoim czasie przedstawiona pani — rzekł bardzo obojętnie.

— Ależ tak... Ja rozumiem i nie narzekam... Mój mąż wołałby po staroświecku...

— Pozwolę sobie zapytać panią, dlaczego pani bez uprzedniego porozumienia się ze mną oddaliła kasyera, który, że tak powiem, był z mego ramienia...

— Tak chciałam... zresztą były przyczyny — odparła oschle. Nastąpiło milczenie.

— Mam nadzieję, że pan nie odmówi nam swojej obecności dziś na obiedzie i wieczorem...

— Dziękuję pani... Bardzobym chciał, ale nawet zajęć...—tłomaczył się z pewnym przymusem.

Badała go uważnie.

— Nawet zajęć — kończył już obojętnie — tembardziej, że muszę doprowadzić rachunki i interesy do porządku, jak zwykle przed przejściem zarządu w inne ręce... Przyszedłem właśnie prosić panią... raczej zapowiedzieć, że nie mogę nadal pozostawać na stanowisku—zimno szezękały jego słowa.

— Tak—powiedziała.

— Bardzo żałuję, bardzo żałować będziemy—dodała po chwili.

— Zastępcę mogę wyszukać wśród swoich kolegów...

— Dziękuję panu. Nie może pan odmówić nam pomocy w tej sprawie... Nie byliśmy przygotowani...

— Dziś, zaraz napiszę listy... Mam nadzieję, iż za parę tygodni najdalej...

Nie miała nic więcej do powiedzenia.

Stefan ukłonił się i, potknąwszy się o tę samą fałdę na dywanie, wyszedł.

Pani Anna splotła ręce na głowie.

— Tak, tak—powtarzała bezmyślnie—tak, tak...

Patrzała w przestrzeń, może w świetlisty, ukośny, od okna idący słup kurzawy, w atomy pyłu drżące na promieniu słonecznym.

— Oto czem my oddychamy — wyłoniła się w próżni jej głowy pierwsza myśl—i długo nie było żadnej innej.

— Kurz, tyle kurzu, kurz!..—myślała wciąż. I przypominało się jej okno z taniemi wazonami, które matka skrapiała wodą, żeby rośliny nie cierpiały od kurzu... Wartoż jej samej było rosnać i oddychać, wciągać do płuc taką mnogość brudu? Wartoż było? Gdzie tamto okno, przez które wychylała się wówczas — szczęśliwa... Wyrosła...

Na widok tego ukośnego słupa pyłu chciało się jej płakać, jak dziecku. W pokoju jej dzieciństwa był taki sam słup o rannych godzinach... Gdybyż mogła rozplakać się jak dziecko!.. Ale nawet dzieckiem nie umiała płakać. „Gdyby dziecka nie nauczono mówić...“ zabrzmiało jej w uszach... I dobrze.

Skończy się ta nieznośna rozterka, ustąpią myśli natrętne, przyjdzie spokój, uczyni się cisza... Zostanie znów sama w Pełowie, w tym „raju“, który zdaniem ogółu stworzyły jej serce i rozum, odpocznie, zapomni, pójdzie dalej swoją drogą, jak dawniej niezmacona, wyniosła i jasna... Raj będzie rajem... Naprawdę istny raj...

A w tym „raju“ było źle jednemu człowiekowi, temu, który to wszystko ukochał, dźwignął—i odjeżdża.



Bawiła się z nim w ideały, w pracę, w przyjaźń -- potem... Niech odjeżdża! Tylko to jest niewłaściwem, iż może czuje się pokrzywdzonym, obrażonym, zawiedzionym, że on może piastuje jakieś złudzenia...

A jest jej tak nadzwyczajnie obojętnym, iż, chcąc nawet, nie mogłaby obrazić go albo skrzywdzić. Przystał dla niej istnieć. Więc źle jest, iż on sobie coś roi, że na karcie ich stosunku zapisuje jakieś wspomnienia i żale, jakieś rachunki. Ta karta powinna być czysta i zimna, jak ćwiartka niezapisanego papieru... Tymczasem ona sama poczęła wikłać... Dumiała...

Myśli chłodne, jak rzeka w pierwszy mróz, gdy toczy się wązkim strumieniem pomiędzy lodem, krzepnięcym u brzegów, myśli chłodne biegły przez serce, myśli rozsądku i dumy, myśli gniewu i cierpienia. Dumiała...

Naraz wstała i posłała po Stefana. Powiedziała sobie, iż trzeba, żeby pożegnała go dziś, zaraz z prostotą i słowem serdecznem dla rozwiania wszelkich złudzeń, odparcia każdego przypuszczenia, zburzenia niewłaściwych pozorów, tak jak pożegnałaby każdego życzliwego i przyjaznego człowieka, który położył niepospolite zasługi... Postanowiła być spokojną a zarazem serdeczną i prostą... Tymczasem dziwnie biło w niej serce i niepomiernie dłużyły się chwile czekania i bała się, że nie przyjdzie. Chodziła po gabinecie, zbliżała się do okna, wyjmowała z za paska zegarek na grubym, złotym łańcuchu... Stefan przyszedł natychmiast, w tym samym tużurku, którego nie zdążył zrzucić. Był zdumiony i zmieszany. Już oczy jego nie mierzyły jej spojrzeniem wyniosłym i obojętnym. Drgały mu mięśnie na twarzy, celnura kładła się na czole.

— Pani mnie wzywała?—zapytał.

— Tak, panie... Zamiar... decyzya pana zaskoczyła mnie zniecka — usiłowała patrzeć w niego spokojnie—nie podziękowałam panu, jak należało za tyle trudów, za zapał, za wszystko, co pan stworzył...

Wydawało się jej, iż mówi z prostotą, serdecznie, a zarazem obojętnie, jak tego chciała, tymczasem łamał się jej głos i słowa padały niepewne, nieśmiałe, ciche, prawie błagalne.

Stefan zwiesił głowę i gniótł wzruszonymi dłońmi jakąś fotografię, wziętą ze stołu.

— Postanowienie pana zaskoczyło mnie zniecka i nie wyraziłam wdzięczności—powtórzyła.

Zabrakło jej naraz treści. Myśli rwały się i znikały, okresy, przygotowane zawczasu, zapadały w próżnię, była bezradna i słaba, patrzała tylko w niego.

— Obowiązek... spełniałem tylko obowiązek — cicho rzekł Stefan, nie podnosząc głowy.

— Tak,—powiedziała echowo, głosem bezwiednym.

— Gorąca wdzięczność należy się i pani odemnie... — urwał. Milczeli.

— A nie mógłby Pan jeszcze zmienić, odłożyć... zostać?... — poprosiła cudzemi wargami, spełniając cudzą wolę.

Stefanowi dziwnie poczęło marszczyć się czoło i dziwnie mrużyły się oczy, jak gdyby od męczącego blasku.

— Nie mogę, pani — szepnął.

Nagle w jednym momencie stajał w niej lód rozsądnego postanowienia; opanowały ją ogromny żal i ogromna litość, litość nad nim, nad sobą, nad życiem, nad wszystkim...

Nie warto cierpieć, nie warto!.. Życie mija... Nuda i pustka...

Nie miała nigdy nic... jeszcze chwilę szczęścia...

Niby błyskawica zajaśniało nad jej duszą.

— Panie—prosiła cicho, błagalnie, pochylając się ku niemu — Dlaczego? Com panu zrobiła? Pracowaliśmy razem... Było nam dobrze... prawda? Pokochaliśmy trudy nasze... było nam dobrze... prawda? Nagle pan... Dlaczego? Co będzie bez pana? Ta praca, to wszystko i ja? Życie mija, krótkie, ciężkie, panie... nie warto!.. —położyła mu rękę na ramieniu. Pasował się z sobą... Biała, droga ręka dotyka go, cudna umiłowana twarz pochyla się, biedna, umęczona, blada, bolesna twarz... Taką nie była nigdy... To dla niego, za niego... Biedna, zmęczona, blada, bolesna twarz...

— Panie—prosiła z prostotą trochę jak dziecko — niech pan zostanie... rok, dwa... potem, nie wiem... nie warto, panie...

Było nad siły jego. Biedna, bolesna, blada twarz...

Zsunął się na kolana i w jakimś bezpamiętnem rozmodleniu duszy, całował rąbek jej sukni, potem tę rękę białą, drogą, biedną...

— Nie mogę, pani... pani widzi, że nie mogę... nie mogę... — szeptał.

### XXIII.

Na gościńcu, wiodącym do Peplowa unosiły się kłęby kurzawy i turkotało bez ustanku. Zjazd gości był liczniejszy niż kiedy. Przyjeżdżał każdy, kto mógł, kto miał parę koni, jaką taką „dryndę“ i tużurek, (eleganckie towarzystwo było we frakach), gdyż pani Anna Opolska w dniu tym z zasady przyjmowała wszystkich i wszystkim była rada.

Stefan na ganku od wjazdu w zastępstwie gospodarza witał, wysadzał, rozbierał, wprowadzał—z zamaszystemi gośćmi, z jakąś nadzwyczajną radością na promieniejącym obliczu, ze szczególnym zapalem.

Rękę Hanki Skibowskiej przetrzymał w dłoniach i zajrzał jej w twarz pod słonkowy kapelusz tak natarczywie i serdecznie, że potknęła się na schodach i wypuściła parasolkę; sztywnego Pawła przycisnął do piersi, Turowskiego, który konno, ostrym galopem, z ekscentrycznie rozwiewającymi się połami długiego surduta zajechał pod dom, całował długo i głośno... W salonie nie mógł zagrzać miejsca. Snuł od grupy do grupy, zaczepiał panie, nawet mało znane, dobrotliwie żartował z panami, przysiadł się i wstawał i szedł do służby niepotrzebnie naglić o obiad, brał garściami kwiaty z obrusa i wachał je gwałtownie, jak gdyby wychylał z kieliszka wino, stawał u otwartych okien...

Tam, nad aksanitem trawników, nad zielonemi festonami alei, nad całą panoramą parku marzyła cisza, marzyły niebiosy; na błękitcie wody migocą skry słoneczne, rzekłbyś płonące wyrazy miłosnego szeptu; kwiaty z klombów patrzą tysiącem płomiennych ocz, senne drzewa umilkły w upojeniu—już im niczego nie trzeba: oto są obok siebie na wieki, oto trwają w nieskończonem niemem uściśnieniu, tylko liście, najwyższe liście samych wierzchołków drżą w lazurze i szemrzą z rozkoszy... Biedne drzewa, rosnące samotnie, biedne drzewa—w rozłące... oto jedno, drugie, trzecie... samotne drzewa...

I znowu, jak wówczas w godzinie rozpacz, gdy tkwił nieruchomy pod drzewem, odezwała się w duszy Stefana mowa niepojęta, otworzyło się jakby ucho uważne i czujne, którem pojmował i mowę duszy własnej i mowę niebios, tajemną mowę rzeczy niewysłowionych... Nie wiedział tylko, czy to było szczęście, czy bezmiar boleści... Szczęście, niezmierne szczęście...

W salonie pani Anna po raz pierwszy bez brylantów, pereł i szmaragdów (nie zmieniła także swojej popołudniowej sukni na ową paryską—nie chciała) pełniła swoje obowiązki... Jak królowa płynęła wśród gości. Była świetną... Cudny jej śmiech brzmiał co chwilę. Czasami szukała oczami Stefana. Po nad głowami gości całowały się ich szybkie spojrzenia, i porozumiewały się niby w uścisku przelotnym serca.

„Tak, tak — mówiły ich oczy — tak, tak...“

A dusze, jak ptaki, szybowały w przyszłość, pławiły się w szczęściu, jak ptaki w niebiosach i, bijąc skrzydły, zlatywały na drzewo zielone nad wodę, wielką i czystą... Nad tonią błękitną,

nad tonią wielką i czystą, śniły ich dusze swój sen, sen nieprzerwany, jedyny sen...

Rozmawiali każdy z osobna, śmiali się, zabawiali goście, mówili słowa rozumne i głupie, czuwali nad porządkiem i programem przyjęcia, nawet przebiegle unikali siebie—a sen wciąż trwał i dusze ich były razem i nie mijała tamta, pierwsza, poranna chwila szczęścia i nie było godzin, ni zmiany—było szczęście...

A towarzystwo, jakkolwiek nad wszelki wyraz mieszane, zabawiało się wybornie. Zaraz utworzyły się grupy, kasty, klasy i kółka—podług reguł krystalizacji salonowej—i, zapanowały wesołość i gwar, i każdy robił, co mu się żywnie podobało.

Stary, malutki, siwy, jak gołąb, o drobnej głowie gołębiej, marszałek ze wstęgami orderów na gorsie i fraku, rozglądając się po ludziach, powtarzał dobrodusznie: „wszystkie narody, wszystkie narody“ i wypatrywał prezesa Niezaminowskiego, żeby go zamówić na partyę drogiej pikiety: olbrzymi szambelan przechadzał się oparty na ramieniu córki, Niezaminowskiej, zwiesiwszy swoją niedołączną głowę sennego lwa i stękał głośno, znudzony i chory od wielu lat, a mimo to obecny na każdej uroczystości; Hilary Kamieniecki tarł rude bokobrody, mrugał zaczerwienionymi powiekami i nadszakiwał dostojnemu gościowi z Warszawy, którego uważano powszechnie za wodza stronnictwa umiarkowanych—samo stronnictwo co kilka lat zmieniało nazwę—i pani Henryetta w *moire antique* wciąż podprowadzała do kogoś swoje dwie córki niezamężne i prezentowała niezmiennie temi samemi słowy: „voilà ma grande et ma petite“—córki dygały. Aga jak anioł, Maryńcia—nerwowo i niecierpliwie; hrabina Hubertowa, nie ruszając się z fotelu i nie przestając wyszywać (za co przeprosiła panią Annę, tłumacząc, że dla kościoła można pracować i na imięninie) rozwozowała przed marszałkową, garbatą staruszką, która była pogrążona w najgorliwszej pobożności, dzieje choroby *père Meullot*, którego wielbiły obie; Opolski, odmłodzony i odświeżony suwając nogami, snuł za prezesową Niezaminowską niską blondyną „un peu boulotte,“ do której miał słabość; Marcin Turowski w tużurku stał samotnie pośrodku pokoju z rękami w kieszeniach i spoglądał na wszystko z takim wyrazem, jak gdyby gwizdał, i żałował już, że przyjechał, a przyjechał dla Hanki Skibowskiej; Lolo i Klara szeptali z sobą, odosobnieni od towarzystwa; Hanka Skibowska gdzieś w dalekim kącie milczała między pannami. Czekwała... Tam, na ganku, gdy zajrzał jej w oczy tak dziwnie, serce jej, „głupie“ serce stanęło w ogniu, stanęło w blasku nadziei... czekała...

Słuchając francusko-polskiego szczebiotu pańien—które wszystkie jedwabne i strojne, odsuwały się od jej skromnej, pomiętej, niemodnej i dlatego pretensjonalnej sukni—wciąż patrzyła ku drzwiom... Przyjdzie, jak tamtych lat, jak każdego roku, litując się nad jej opuszczeniem i bezradnością... Tu przed rokiem, koło tego obrazu Malczewskiego, świeciły jej niezapomniane, drogie godziny...

Nie lubiła tych imienin, na które jeździła z matką, pierwiej podlotkiem, potem już panną, zawsze z trwogą i niepokojem, zawsze z przykrym wstydem z powodu powozu, toalety matki (i dziś wyróżnia się wśród wszystkich tą koronkową chustką na włosach) i własnej sukni, zawsze z upokorzeniem z powodu nieceremonialnych, lodowatych, taksujących spojrzeń panów, skierowanych ku nim, gdy wchodziły do salonu. I te imieniny były jak choroba, którą trzeba było przebyć raz do roku, jak wyrwanie zęba... Aż zjawił się gość cudowny, gość błękitny, aż przyszło szczęście i zapaliło te godziny ogniem, tak jak słońce zapala szare przedtem obłoki... Tu był początek, tu poznała radość i tęsknotę, tu usłyszała śpiew marzeń... Takie też szczęście!.. Było i zgasło... Ból został...

Jeszcze czekała...

Rok temu—szepiała pamięć—gawędzili we troje, on, Maryńcia i ona... Rok temu poszli w ogród... Rok temu — wspominało serce, wołając ku przeszłości...

Spojrzała w obraz Malczewskiego. Przedziwna głowa, chuda, zniszczona, zjedzona przez smutek, czarna; na zapadniętych skroniach sieć żył, zmarszczki, oczy suche, bez łez, mądre, głębokie, — boleść...

Może tak trzeba — myślała — może tak trzeba...

— Pani wygląda jak zakonnica, która odmawia zapomniane pacierze — nagle przemówił koło niej Turowski.

— Tak?...

— Nie przeszkadzam pani—i cofnął się z ukłonem tak uroczyście, że aż obejrzały się na nią panny.

— Może to wszystko potrzebne — myślała dalej, z niewymownym uczuciem wpatrując się w bolesną głowę Malczewskiego — cierpieć, poznawać, pojmować...

Ale Marcin Turowski nie oddalił się. Mierzy ją urągliwym wzrokiem, który ją kępuje.

— Pani skończyła pacierze?—zapytał, zbliżając się po chwili.

— Tak — odparła znowu.

— W takim razie mogę zostać...

Nie odpowiedziała mu nic. Nie widzieli się od tamtej sceny.

— Jakże tam w domu—drwiąco badał ją Turowski—po porażce? Kłopoty i troski... Ojczulek zrzędzi, siostry kapryszą, Kamieniecki dusi... Wiem... Pani znosi to wszystko z rezygnacją, z pokorą— a jakże! Budujący przykład!

Nie broniła się.

— Pani jeszcze pożałuje!—jął szeptać, przysuwając się—pani przypomną się moje słowa, moja groźba... Człowiek nie wytrzyma... Żyć, to znaczy rozwinąć skrzydła, gnać, tętnić, mieć moc... życie to moc...

Było milczenie.

— Pani pożałuje!—szeptał.

Zbliża wpatrywał się w jej twarz z gniewem drapieżnym, z żądzą, z urąganiem, z proźbą, z Kochaniem— i mąciło mu się w sercu... Nie widział jej od tak dawna... Miał już raz tę głowę na piersi, już całował te ciche, ubogie włosy, te usta kapryśne...

— Rok przejdzie, dwa lata przejdą—szeptał—w pani obudzi się człowiek, obudzi się sumienie... pani nie wytrzyma! Zapagnie pani, tak jak ja teraz, zapagnie pani!..

— Pani!—mówił coraz ciszej—pani ma religię i serce, pani mogłaby pożałować... ja proszę... ja nigdy nikogo... złamany człowiek...

Stała nieporuszona, ciągle topiąc spojrzenie w Malczewskim.

— Obiecałem pani życie, obiecałem lot górny i wolny, obiecałem walkę w blasku... Pani woli marny proch powszedniej ścieżki, szarą nicość, smrodliwą pokorę, uległość... Nie wierzę już pani! Nikczemny obłęd uwiódł panią... Nie wierzę!.. Pani jeszcze mówi o twórczych tęsknotach, o pragnieniu... Nic niema!—wołał już prawie głośno—Pani nie stworzy tu nic, jęcząc na uwięzi, wzdychając, cierpiąc... Duch twórczy, duch mocny zrywa...

Te słowa szarpały najgłębszą tajemnicę jej serca. Drżała... Widziała niewymowne, bezdenne spojrzenie obrazu.

— Wytrwam w mocy... Stworzę...—szepnęła.

Lokaj przedzielił ich jakąś tacą z napojami. Skorzystała z tego, odwróciła się i, jakby uciekając od niego, szybko skierowała się w tę stronę salonu, gdzie odorzona gwarem, tłumem osób i tłumem wrażeń, drzemała w fotelu, zapomniana przez wszystkich, nikomu niepotrzebna pani Krystyna, w uroczystej koronkowej chustce na głowie, w jeszcze bardziej uroczystej mantyli aksamitnej, z ostatnią, jedyną złotą broszą.

Marcin Turowski został sam, na tem samym miejscu, olbrzymi, barczysty, dziwny w długim surducie pomiędzy frakami.

— Panie Turowski! — zaatakowała go drżącym ze wzruszenia głosem panna Maryńcia — czy człowiek słaby ma prawo istnienia?

Popatrzał się na nią pochmurnie z pod obwisłych brwi, potarł czoło i odparł krótko:

— Nie.

— I ja myślałam tak samo — z zachwytem szepnęła panna.

— A silny — pytała po chwili — winien zetrzeć w dłoniach wszystkie przeszkody i przesady.

— Tak. Zwalczyć, zdeptać, zniaździć, skopać, zgnieść, złamać — potwierdził, jakby lubując się w tych mocnych, czynnych słowach, z akcentem nienawiści.

— I ja myślałam tak samo.

— Bo słabość płynie z podłego tchórzostwa — mówił może do siebie samego — ulegać nie wolno, cierpieć nie warto. Gdy człowiek poczuje, iż zdobyć nie może, gdy pojmie, że żyć nie może bez tego, czego pragnie — niech żyć przestanie.

— Panie — szepnęła znowu Maryńcia, która dygotała ze szczęścia — wpatrzona w Turowskiego, jak w lunę — ale nie dōpowiedziała zdania.

— Panie — rzekła po chwili — wielkich czynów potrzeba!

Znowu zmierzył ją pochmurnem wejrzeniem z pod obwisłych brwi i zaczął mówić. Ożywiał się stopniowo i zapalał się, budził się w nim trybun. Słowa gromowe biegły. Wylewał jady goryczy, war nienawiści, rozpacz buntów daremnych, wstręt, którym przejmował go widok świata, wskazywał cele, których nie zdołał osiągnąć, wskazywał burze i przyszłość w łoskotach burzy... Pannie Maryńci pały policzki, trzęsa się...

Tymczasem pani Anna wędrowała po salonach, żeby rozdać uśmiechy, spojrzenia, uprzejme słowa. Nie mijała nikogo. Była, piękniejszą niż kiedy, piękna tem wewnętrznem jaśnieniem, które prześwietlało jej twarz. I była dobrą, i kochała tych wszystkich zebranych i była im rada...

— Pan marszałek wkrótce nie będzie miał gdzie pomieścić swoich orderów — żartowała pochylając się ku białej, małej, gołębiej głowie staruszka — co rok przybywa nowy...

— Szkoda, że kobiety nie dostają orderów — odparł ten z galanterią — miałyby ich pani więcej.

— Za co?

— Za dobroć, za rozum i... za piękność.

Pogroziła mu palcem.

— Pani marszałkowa słucha i czuwa.

Staruszek śmiał się, śmiała się i pani Anna, patrząc jak dziwacznie przecinały się zmarszczki na jego czole. Dziś pocałowały tę malutką, gołębią głowę o miękkich, białych włosach, chociaż wiedziała, iż była próżną i pustą — i co gorzej — że znała od lat niepamiętnych tylko jeden ruch: posłusznego, czolobitnego pochylenia.

— Elle a pris son parti — żartował marszałek.

— I zrzekła się jedynowładztwa!

— Jedynowładztwo uznają tylko na tronie a nigdy w małżeństwie.

— Co państwo mówią? o polityce? He?.. — stękał ogromny, znudzony szambelan, stając koło nich.

— O wszystkim i o niczem... Jakże pan ze zdrowiem, panie szambelanie? — uśmiechała się do olbrzyma pani Anna.

— Je vais très mal... Je m'en vais.

— Proszę mnie zabrać ze sobą...

— Dokąd?

— Tam, dokąd szambelan się wybiera... zapewne w jaką ładną podróż... pan przecie o podróży... za granicę... Nie pozwalam myśleć o żadnej innej...

— Pani nie pozwala — sennie uśmiechnął się szambelan — ale ja wzdycham... La vie d'outre tombe, le repos de la mort... j'aspire.

— I pan szambelan coraz gorzej wygląda — wtrącił Lolo, który wyrósł, jak z pod ziemi.

— Vous dites? — przeraził się szambelan.

Pani Anna była już koło Pawła.

— Pan markotny?

Paweł nie odpowiedział. Od samego przyjazdu trzymał się wyłącznie towarzystwa mężczyzn. Wysłuchał długich opowiadań szambelana o chorobach i rozmyślał na temat upragnionej śmierci, zdawał przed marszałkiem egzamin z zapatrywań, zaczął prezesa Niezaminowskiego, który słuchał go z roztargnieniem, prezentował się dostojnemu gościowi z Warszawy, który był otoczony, przed chwilą nudził się z jakimś nieznanym panem, sąsiadem Peptowa, myśliwym i karciarzem... Myślą i spojrzeniem unikał tamtego jasnego zjawiska z krwawymi kwiatami we włosach, z krwawymi kwiatami na sukni — i widział ją ciągle... Widział, że rozmawiała z panią Anną, że śmiała się z jakimś pięknym młodzieńcem, że kazała sobie przynieść pelerynę i przykryła obnażone ramiona... Kaszłała...

Widział wszystko i sto razy szedł do niej, sto razy zostawał na miejscu... Ten sąsiad-nudziarz prawil mu bez przerwy



o psach i szlemach w bez atu... Ani razu i ani na chwilę jej spojrzenia nie zatrzymały się na nim. Wszyscy Kamienieccy stornili od niego... Dumna jest i gniewna... „Może jeszcze czas — idź zaraz... przebłagaj... bierz szczęście...” Niepokój jego wzmagął się.

Pan markotny? — powtórzyła pani Anna — Nie posłuchał pan mojej rady, mojej nauki... Pamięta pan posąg o martwym wejrzeniu? Życie ucieka, panie... Będzie pan prowadził do stołu pannę Agę Kamieniecką — znacząco dokończyła pani Anna i odeszła ku panu Hilaremu.

— Jakże pan znajduje dzisiejsze imieniny? — pytała uprzejmie, wdzierając się do Kamienieckiego.

Szukała go oddawna na sali, wiedziona bezwiednym instynktem chytrości. Bała się tego giętkiego, jak pręt trzciniowy, przebiegłego, rozumnego wielbiciela.

— Wszystkie narody, jak mówi marszałek — śmiał się Kamieniecki.

— Pan może wybrać z nich jakiś ulubiony.

— Wolalbym przebywać tylko z królową tych narodów — tembardziej, że królowa jest dzisiaj w niezwykłej aureoli...

Skrofuliczne jego oczy tkwiły w pani Annie.

— Będzie pan ją miał u stołu.

Kamieniecki skłonił się. Spojrzenie pani Anny pobiegło mimowoli ku drzwiom, w których stał — sam jeden w tej chwili — Stefan. Wzrok p. Hilarego zwrócił się w tym samym kierunku.

— Ze zdziwieniem widzę tu pana Stefana — przemówił.

— Dlaczego?

— Przecież pani wspominała, mąż pani wspominał...

— Nigdy nic nie mówiłam — trochę za żywo zaprzeczyła.

Kamieniecki mrugnął powiekami.

— Jak pani się oburza!

Dostrzegła w głosie jego odcień złośliwości.

— Oburzam się — rzekła bardzo spokojnie, — patrząc się w bystre o rudych powiekach oczy Kamienieckiego — bo u nas tak łatwo psują ludziom opinię. Pan Modrzec jest u nas, może nie być u nas i byłby człowiekiem zgubionym, gdybym tak gorąco nie stanęła w jego obronie.

— W sprawach, gdzie w grę wchodzi pieniądze, wierzę tylko sobie samemu. Kobiety są łatwowierne, nawet pani — najrozzumniejsza z kobiet... Zresztą jestem przekonany, iż p. Stefan nie odejdzie stąd nigdy, chyba...

— Dlaczego?

— Przecież mu ofiarowywano w zimie katedrę na wydziale rolniczym w Krakowie — i odmówił.

— Tak? — z zajęciem podchwyciła pani Anna — i odmówił!?

— Nie wiedziałam o tem — dodała zaraz spokojnie.

— On kocha się w pani — cicho mówił Kamieniecki — byłby chyba z kamienia...

Pani Annie uczyniło się zimno.

— To może najprzyjemniejszy z hołdów — tłumaczył p. Hilary badając ją wzrokiem — taki cichy, nieśmiały a zarazem taki wier-ny, gorący... Niczego nie wymaga, a wszystko daje...

— Czy pani Klara nie tęskni do męża? — złośliwie przerwała mu.

— Dlaczego pani pyta?

— Poto, żeby pan nie odpowiadał — i Pani Anna oddaliła się.

— Pan nawraca czy utwierdza, chrzest czy bierzmowanie? — rzuciła przechodząc koło Turowskiego i panny Maryńci.

— Obrzezanie — cynicznie odciął się Marcin, czyniąc aluzję do żydowskiego pochodzenia Kamienieckich.

— Dlaczego pan powiedział: obrzezanie? — naiwnie pytała panna Maryńcia.

Turowski zaśmiał się.

— Bo pradziad Pani był z żydów — rąbnął.

— Jakże to dobrze! — ucieszyła się panienka — ja tak lubię żydów... Oni biedni... Prześladowani od tyłu wieków, zawsze w po-śniewisku... Tylko to dziwna, że Papo jest takim antysemitą!

— Zwykle tak bywa, proszę pani...

Prezes Niezaminowski, wysoki, cienki, zupełnie bez zarostu znalazł się na drodze pani Anny.

— Szukam panią.

— To pan mnie nie znajdzie!

— Nigdy?

— Nigdy!

— Kiedy jużem panią znalazł...

— Odchodzę...

— Pani nie pójdzie...

Uległa stanowczemu głosowi, który poruszał ją niegdyś, któ-remu była posłuszna. Ale mierzyła go śmiałym, może odrobinę szyderczem spojrzeniem. Patrzali sobie w oczy.

— Nie poznają pani...

— Może pan nigdy mnie nie znał?

Ciągle patrzali sobie w oczy.

Bała się niegdyś tych ostrych, rozkazujących, zimnych oczu, była niegdyś tym oczom posłuszną... Cierpiała niegdyś z powodu

tego człowieka... Był gorzki zawód, było upokorzenie... A teraz napęlnia ją wielka radość, że to już się skończyło. W spojrzeniu jej były błyski chłodne i szydercze, niby błyski na stali miecza.

— Nie poznają pani!—powtórzył Niezaminowski.

— Ja znam pana.

— Ta pewność siebie, to jakieś zwycięskie szczęście... c'est peut être la maternité — zapytał cicho — albo może pani w kimś kocha się—pytał dalej.

Pani Anna nie spuściła oczu, ale spojrzenie jej — czuła to — zmąciło się.

— W kim pani się kocha?—pytał Niezaminowski — i wzajemnie... widzę to...—rzucił wzrokiem po salonie, domyślam się, nie wiem, łamię sobie głowę...

— Pamięta pani w Warszawie?—mówił znowu, przysuwając się.

— Nic nie pamiętam...

— Dlaczego pani nigdy nie miała takich oczu w Warszawie — nalegał Niezaminowski — Dlaczego pani nigdy nie patrzyła tak na mnie—ja bym pół życia...—sucha, bez zarostu twarz Niezaminowskiego drgała, oczy jego ślizgały się po całej postaci pani Anny—... wówczas nie... szczęście i bezgraniczne oddanie się jest w spojrzeniu pani... Mnie nigdy... Pani kochała mnie.

— Nigdy — gwałtownie zaprzeczyła pani Anna.

— W Warszawie, na balu..

— Nie.

— Inaczej niż dziś, ale pani kochała... Inaczej niż dziś... Niech pani powie, czemu inaczej niż dziś... Pani pamięta, tam na schodach, między palmami? — szeptał Niezaminowski.

— Pan prowadzi do stołu panią Hilarową Kamieniecką—głośno, pośpiesznie przerwała mu pani Anna.

— A pani?

— Ja pójdę z panem Kamienieckim.

— Niech oni idą z sobą—a pani ze mną...

Lokaje rozwarli drzwi, ukazując perspektywę ogromnego stołu w podkowie, który bielił się obrusem i kwiatami. Z talerzy dymiła płytko nalana zupa.

Muzyka grała poloneza.

— Zupełnie obiad ślubny—żartował koło pani Anny Kamieniecki—brakuje tylko młodej pary.

— I miłości...

— Miłości chyba nie brak! Mąż pani i Niezaminowska po pierwsze, szambelan i marszałkowa, po drugie—złośliwie wyliczał p. Hilary — panna Skibowska i pan Stefan...

Pani Anna spojrzała w tamtą stronę. Stefan z zapalem dowodził coś swojej sąsiadce. Sama przypuszczała między niemi sentyment i nawet namawiała Stefana do zenienia się. Potem, w tajemnicy przed samą sobą była zazdrosną. Teraz przez krótki moment poczuła zadowolenie, które było jak ukąszenie jadowitej żmii, na myśl, że ona zwyciężyła, że posiada już bezgraniczną pewność, że tanta przestała być groźną... Zmija wnet zczęła... Hanka Skibowska ma bladą twarz... Czyżby i ona wiedziała?... Biedna! przyjęła miejsce lektorki, potem cofnęła się—wspominała pani Anna.

Z dalekiego końca stołu oczy Stefana patrzą w nią, jak dwie gwiazdy... Korzą się, proszą, przypominają, mówią...

Od orkiestry z za okien tętni marsz z „Fausta,“ i potężna, zwycięska, tryumfalna melodia brzmi niby mosiężny krzyk oszalałego wesela... Całem jestestwem swoim czuje tę pieśń radości, ten wrzask szau...

Zaledwie mogła słuchać dowcipnych, subtelnych rozumowań Kamienieckiego na temat miłości.

— Miłość w człowieku—dowodził—jest jak atrament w kałamarzu. Jeśli atramentu nie używać—wysycha i nic niema, samej możliwości kochania już niema. Nieraz człowiek żałuje, gdy już zapóźno... Lepiej używać!..

— Byleby nie brać zawiele atramentu naraz—rzucił Lolo—bo będzie żyd...

Pani Anna śmiała się ze złośliwej aluzji. Wszystko bawiło ją dnia tego.

— Mógłbym panią podejrzewać o upojenie w winnicy pańskiej—po francusku zaczępił ją Niezaminowski.

— Le raisin est trop vert—odparła bez żadnej myśli.

— Dla kogo?—zjadliwie podchwycił Niezaminowski—dla mnie, czy dla pani?

— Dla pana—odcięła się zuchwale.

Tymczasem Stefan mówił bez przerwy do panny Hankskiej. Pełen własnego szczęścia nie widział jej bladej, znużonej twarzy, jej wciąż spuszczonej oczu, białości jej przedziwnie rumianych, zwykle wydatnych, kapryśnie wysuniętych naprzód warg. Była mu dzisiaj jak druh wierny, jak dobry brat, który się cieszy razem, który podzieli radość...

— Pocięszalem panią w alei—prawił—pamięta pani, że my dźwigniemy się—i dźwignęliśmy się. Niema nocy bez dnia i cierpienie istnieje może poto, ażeby z niego mogło wyniknąć szczęście...

— Nie zawsze—cicho powiedziała Hanka,

— Przepraszam... nie dosłyszałem... taka huczna muzyka... Ale nie powtórzyła mu swojej uwagi.

— Pani jest typem śniącym—gawędził dalej Stefan — dusza pani wciąż kołysze na swoim łonie jakieś marzenie. Każde serce ma sny i każda dusza, swoje marzenie, ale są ludzie, którym wystarczy marzenie, dla których świat marzeń jest równie rzeczywistym, jak ten prawdziwy... Wszak tak?

— Nie wiem, panie.

— I tacy ludzie żyją w świecie snów i są szczęśliwi. To tak, jak gdyby kto patrzył nie na brzeg rzeczywistości, ale na jego odbicie w wodzie, w przezryste, zwierciadlane odbicie. Fantazja ludzka zaludniła dno wód, baśń mówi o cudnych krainach, o zatopionych miastach..

— Pan jest poetyczny...

Nie dostrzegł ironii w tej uwadze.

— Każdemu wolno, pani — powiedział—i każdy czuje potrzebę poezji.

— Pan jako człowiek czynu chyba mniej, niż inni — rzekła nieśmiało — pan tyle działał, tyle stwarzał. Pan pewno zawsze czuł wewnętrzne zadowolenie, pan zawsze szedł... żołnierzom w bitwie nie do poezji...

— Tak pani — potwierdził.

Nie obejmował już czasu, nie liczył godzin, nie paniętał przeszłości. Wydawało mu się, że było zawsze to, co jest, że zaczęło się przed wiekami, że on sam zaczął się w owym momencie szczęścia, że ono jedno tylko trwało, że trwać będzie...

— A po co jest człowiek, panie — pytała cicho — który pragnie a nie może, poco ptak bez skrzydeł... po co życie, w którym nie ma czynów, nie ma pracy, w którym nic niema...

— To do czasu pani, do czasu, aż spełni się oczekiwanie, aż nastąpi przebudzenie... Im prędzej, tem lepiej, bo tęsknota jest próżnią, po której słaniają się rozczarowania, w której człowiek działać nie może. Trzeba oddychać pełną piersią, a tylko w szczęściu oddycha się pełną piersią.

Był coraz mniej subtelny, ranił ją swoim hałaśliwym zadowoleniem i przestała go słuchać. Dlaczego usiadł koło niej? żeby się pastwić nad nią? Ten obiad był jak katusza, jak długa kaźń.. Brzęczący strumień muzyki, zapach konwalii, i białych bzów, promienne, szczęśliwe oczy pani Amy, które trapiły ją, trapiły ich oboje nieustannem spojrzeniem... Wesole tony walca, woń kwiatów, słodka, niby drogie przypomnienie rzeczy umarłej, tamte cudne, szczęśliwe, zwycięskie oczy... Boże, Boże!..

Białe konwalie i bzy, wonne wieczory wiosenne, gwiazdy, marzenia, pieśń walca, łódź szczęścia na wodach, na wodach błękitnych, toń kołysze się cicho... tamte oczy... cierpienie nie miało miary... Boże, Boże!..

Mimowoli poszukała matki. Jak w salonie na fotelu, tak samo drzemała tu z otwartymi oczami, jeszcze bardziej odurzona i znużona. W swojej uroczystej koronkowej chustce, w uroczystej mantyli aksamitnej, drobna i niska, samą twarzą tylko sięgała po nad wysoki stół. Oczy mrużą się od światła i ze snu, cienkie nici marszczek wikłają się na żółtej cerze skóry... zmęczenie, apatya...

— Oto jest życie—myślała Hanka — oto co czyni życie! Śród cieląt i kur, prosiąt, serów i masła, w kuchni i w śpizarni, nad igłą i bielizną zbiegło jej życie... Kłopoty i troski... Znużona jest... Zapomniała wszystkich słów i myśli prócz tych—o cielętach, kuchni, bieliźnie i mleku... Tak upłynęły jej lata... Była młodą... starość, długi sen zgaszonego ducha... oto, co czyni życie!

Kędy wyrwać się, kędy uciec, gdzie jest droga na szczyt, na którym rozwija się, na którym kwitnie żywot?..

— Marcin Turowski! — myślała chwilę potem, dostrzegłszy jego olbrzymią, ciemną, ponurą głowę — puhar, nalany młodością, walka w blasku, wolny lot... Gdyby stanął teraz koło niej i poprosił—poszłaby... Dobrze... w cierpieniu zwiędną jej dni, złamię się marzenia, wypali się do szczytu moc... Obiecał jej... pójda w świat...

Spotkała jego pochmurne z pod obwisłych brwi wejrzenie. Urąga jej, nienawidzi ją... za co? za co?

— Oto życie—powtarzała—„pod wodę, pod wodę...”

Woń kwiatów, niby słodkie przypomnienie drogiej rzeczy, która umarła, pieśń walca, pieszcząca, rozkołysana, tamte promienne, szczęśliwe oczy... Cierpienie nie miało miary... Teraz ujrzała nagle wzrokiem pamięci tamtą głowę z obrazu, suchą, wynędzniałą, wysokie, wypukłe czoło z siecią cienkich żył, tamte oczy, bolesne, mądre, jak sam ból, jak sama wiedza... Pochyliła się... Ciszsza szła ku niej... Może tak trzeba?

O kilka krzeseł dalej Paweł trącał się kieliszkiem z panną Agą.

Skoro tylko usiedli obok siebie w hałasie kapeli przysty w nim sztuczne rzemienie postanowień. Zapomniał. Oto była koło niego ta, o której myślał w nocnych ciszach, w gorących godzinach bezsennych, którą widział snując się po zimnych, nudnych, starokawalerskich pokojach... Oto były jej niezgłębione czarne oczy—i łechcą go spojrzeniem niby pieszczotą, oto były jej białe, przecudne,

drżące ramiona, oto jej cudne ręce — tak blisko... We włosach kwiaty jak krew, nad łonem krew kwiatów... Oto jest ona...

— Daj mi upić się!—wołałby...

Muzyka szalała i szalało w nim serce.

— Przez długie lata, na obczyźnie, w samotności, w smutkach chłodnych, jak mgła jesienna, czekałem ciebie, marzyłem o tobie... Śniłaś mi się i śniła mi się ta godzina... Byłem niczyj—twój jestem dziś... Bierz mnie... Tyś jest, którą pragnęło serce, którą widziałem, nie znając, którą obejmowały ramiona mojej tęsknoty... Całowałem obraz twój, byłem u stóp Twoich... Tyle dni byłaś daleką... Jak w obłoki, które mijają, patrzałem na każdą kobietę — wiedziałem, że nie jest Tobą — i szedłem do Ciebie... Szukałem drogi Twojej, śladu stóp Twoich na gościńcu życia, na piasku wydarzeń... Nocą bezgwiezdną, nocą chłodną i słotną był mi czas czekania... W szeleście drzew słyszałem imię Twoje — moją jesteś!..

Tak przastaremi słowami mówiłby do niej...

Milczał. Tylko patrzyły w siebie ich oczy.

— Pijmy — szeptał czasami, gdy u szczytu stołu wznoszono nudne dytyramby toastów na cześć gospodyni.

— Wino czy ocet?—pytała swoim chropowatym głosem (nie czuł już jego chropowatości) przypominając mu chwilę z majówki.

— Wino... pani... kiedyż?

Muzyka szalała i szalało w nim serce.

(d. c. n.).

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

# Rej a Zamoyski.

---

Patrz, jeśli to lekka rzecz, gdy czasy przychodzą,  
Iż królowie pustopas bez potomstwa schodzą;  
Iż nie mamy ni pisma ani obyczajaju,  
(Tak, jako to rzecz začna w każdym inszym kraju).  
Jakoby Pana obrać i coby z tem począć  
I skądby jako tako ten porządek zacząć.  
A jaki to upadek Pospolitej Rzeczy,  
Snadnie się w tem obaczy, kto to ma na pieczy.

Rej: *Przemowa krótka.*

Gdy mowa o elekcji „viritim,“ zaraz nasuwają się na myśl dwie postacie — Rej i Zamoyski. Według zwykłego pojmowania rzeczy, mieli to być wybitni reprezentanci dwóch sprzecznych z sobą kierunków. Pierwszy bowiem odznaczył się na sejmie unii lubelskiej <sup>1)</sup> jako propagator wyboru króla przez reprezentację, Zamoyski zaś uznany jest za apostoła zupełnie przeciwnego systemu, dopuszczającego jak najszersze masy do udziału w głosowaniu. Pierwszemu historia niesie dank za to, że choć wniosku swego nie przeparał, — przynajmniej jednak pragnął i proponował rzecz dobrą; na drugiego rzuciła przekleństwo za to, że jego niefortunny wniosek zwyciężył, a uznany za „żrenicę“ wolności szlacheckiej, stał się powodem wielu nieszczęść i klęsk dawnej Rzeczypospolitej.

Dziś, gdy w jednym i tym samym roku schodzi się 400-letnia rocznica urodzin Reja z 300-letnią rocznicą śmierci Zamoys-

---

<sup>1)</sup> Źródłopisma do dziejów unii (sejm 1569) str. 159.



skiego, godzi się przypomnieć i rozważyć stosunek tych dwóch wniosków i ocenić ich znaczenie dziejowe.

Według popularnego rzeczy przedstawienia, w całym wspomniałem pasmie żywota Zamoyskiego, ten wniosek o elekcji viritim miał być wielkim jego błędem, miał to być jego pierwszy, lekkomyślny, młodzieńczy, a nieprzebaczony nigdy krok. Jakkolwiek wniosek Zamoyskiego uważa się za tak ważny fakt w jego życiu, a nadto za fakt epokowego znaczenia w naszej całej przeszłości, mimo to dotąd nie doczekał się wyczerpującego opracowania i wszystko co dotąd o tem powiedziano, opierało się li tylko na jedynym historyku — Heidensteinie<sup>1)</sup>.

I tu nasuwają się zaraz pytania: czy ostatecznie można w tym względzie polegać na Heidensteinie? Czy Zamoyski od początku swego wystąpienia był stronnikiem elekcji viritim? Czy istotnie on pierwszy rzucił hasło takiego systemu wyborów? Czy Heidenstein, piszący dla pomnożenia sławy Zamoyskiego, nie podkreślił nazbyt tego kroku Zamoyskiego, który społeczna Heidensteinowi opinia uważała za bardzo dodatni?

Kto chce zrozumieć dzieje pierwszego bezkrólewia, ten musi rzucić wzrok w tył i spojrzeć na przeobrażenia, jakie nastąpiły w Rzeczypospolitej za rządów dwu ostatnich Jagiellonów,—rozważyć, jakie już wtedy porobiono przygotowywania, jakie zjawily się wówczas zwiastuny następnych przemian. Trzeba nie zapominać, że wówczas rozpoczął się ruch, którego „wolna“ elekcya była tylko rezultatem i konsekwencyą — jego „ukoronowaniem.“ Przedewszystkiem z całym naciskiem trzeba sobie uprzytomnić ową zażartą walkę, jaką *szlachta* (szczególnie od wojny kokoszej) *prowadzi z senatem*. Walka ta prowadzona była z zaciekłością bez granic; wszak wówczas w czasie wojny kokoszej, według słów naocznego świadka, szlachta porывała się do rozsiekania magnatów, oburzona na nich za to „iż chcieli rozdziwić stan szlachecki i jedne znaczniejsze domy, drugie podlejsze, po czesku, uczynić<sup>2)</sup>.“

Całe następne dzieje ruchu ekzekucyi dóbr — to jedna namiętna walka z magnatami, prowadzona z zapamiętałością i uporem, nieczęstym u nas. Wpóśród tej to gorącej walki zja-

1) „Rerum polonicarum libri“ i „Vita Zamoiscii.“

2) Lubieniecki: Poloneutychia, str. 21.

wiają się projekty uregulowania (na przypadek śmierci Zygmunta Augusta) przyszłej elekcji, a okoliczność, że właśnie zrodziły się w takiej chwili rozbratu, wpłynęła i na charakter i losy tych projektów.

Nie czemu innemu, jak tylko tej walce szlachty z senatem przypisać trzeba to, że nie ostał się projekt elekcji przez reprezentacyę: szlachta obawiała się, że możnowładcy potrafią na elekcji wpłynąć i steroryzować drobną garstkę posłów tak, że zostanie wybrany król „senatorski“ a nie „szlachecki“ i dlatego to chciała przeciwstawić na przyszłej elekcji przewadze senatu jak największą, o ile możności, ilość posłów, a więc podwójną a nawet poczwórną ich liczbę, a gdy się to nie udało, pchnąć na pole elekcji „viritim“ całe masy szlachty. Ale, co prawda, w tym ostatnim, najradykałniejszym środku (w tej elekcji viritim) tkwiło i dla samej szlachty niebezpieczeństwo. To była broń obosieczna, bo senatorzy mogli wprowadzić na wirylną elekcję szlachtę, będącą u nich na służbie i w ten sposób wpłynąć na przebieg wyborów<sup>1)</sup>. Rozprawy sejmowe o elekcji dlatego tak wzburzały szlachtę, bo prawo elekcji „viritim“ szlachta mogła zdobyć li tylko przez złamanie przywilejów senatu, gdyż poprzednio prawem wyboru króla cieszył się tylko sam senat. Prawo elekcji „viritim“ szlachta zdobyła też istotnie na senacie i to w zasadzie zdobyła je dawno już przed śmiercią Zygmunta Augusta.

„Modus eligendi regis“ z r. 1501 postanawia, aby króla wybierał w miejscu zamkniętem sam senat<sup>2)</sup>, a dopiero po dokonanym już wyborze miał marszałek ogłosić sam wynik wyczekującym tłumom, których rola ograniczała się tu na wzniesieniu okrzyku.

Podobnie Zygmunt I został wybrany tylko przez „optymatów“<sup>3)</sup>. Pierwsze przeobrażenie w tym kierunku zaznacza się dopiero wówczas, gdy Zygmunt I za inicjatywą Bony<sup>4)</sup> postanawia za jakąbądź cenę przeprowadzić za życia swego wybór syna.

<sup>1)</sup> Wszak szlachtę przestrzegał prymas Uchański: *quomodo — quaeo — libertas nostra non peseclitaretur, si senatores ac potentiores, famulis suis stipati... leges... imponere possint.* Uchaneiana II, str. 285.

<sup>2)</sup> Oczywiście 12 nie-senatorów, mających (według tego projektu) brać udział w elekcji, nie mogło decydująco wpłynąć na przebieg wyboru. (Szujski: „Jeszcze o elekcji w epoce Jagiellonów“).

<sup>3)</sup> Wapowski.

<sup>4)</sup> Krzysztof Warszawicki: *De optimo statu libertatis*, str. 67.

Ten wyjątek dla królewicza, to przekroczenie „wolnej elekcji“ musiał Zygmunt I okupić wielkimi ustępstwami i obietnicami na przyszłość. Za ten jeden wyjątek Zygmunt I darował szlachcie wszystkie przysze elekcye.

Już w samym wyborze królewicza Zygmunt I robi ważne ustępstwo szlachcie. Królewicza obrał bowiem królem już nie sam senat, ale cały sejm Piotrkowski (1529), a więc nie tylko dostojnicy, ale i posłowie ziemscy, i tym sposobem do elekcji wciągnięto tu i izbę poselską<sup>1)</sup>.

Pomimo jednak tego ustępstwa, już na tym sejmie objawia się niezadowolenie i opozycja z powodu tego rodzaju przejścia elekcji w fazę desygnacji<sup>2)</sup>, w fazę bardzo niebezpieczną dla zasady elekcyjności wogóle. Przeciw temu faktowi obioru następcy jeszcze za życia poprzedniego króla, protestował sam prymas Łaski<sup>3)</sup> i zapewne jego całe stronnictwo szlacheckie<sup>4)</sup>.

I wskutek tej to wzmagającej się opozycji król Zygmunt I wydaje dwa statuty, jeden 1530 r., a po wybuchu całej burzy niezadowolenia i okrzyków protestu, wnoszonych w czasie wojny kokoszej—na sejmie zaraz potem zwołanym r. 1538. Tymi statutami ustanowił raz na zawsze elekcję „viritim.“ Tak w statucie r. 1530 postanowiono, że odtąd nigdy nie będzie można tak niespodzianie przeprowadzać wyboru, jak to zrobił z wyborem Zygmunta Augusta, ale że zawsze odtąd senat musi wprzód uprzedzić *wszystkich* o mającej nastąpić elekcji tak, aby na nią przybył *każdy* *ktoby* *chciał*. Odtąd ta zasada „unusquisque qui vellet“ staje się kamieniem węgielnym elekcji viritim, powtarzanym na wszystkie nuty przez jej zwolenników.

W statucie z roku 1530 nie było jednak powiedziane, jaki udział w elekcji mają brać ci wszyscy, którzyby dobrowolnie na nią przybyli: czy każdy ma mieć głos; czy każdy ma brać czynny udział w samym głosowaniu, czy też może według dotychczasowego zwyczaju ma być tylko biernym świadkiem elekcji, dokonanej przez reprezentację; czy, jednym słowem, ma stać za drzwiami w czasie elekcji, a ujawnić zgodę ma dopiero po jej odbyciu tylko jakimś okrzykiem „aklamacją?“

Otóż dopiero dalej idące żądania ogłoszono wyraźnie na wojnie kokoszej i stąd to na sejmie zaraz potem (1538) zebranim,

<sup>1)</sup> „etiam et terrarum nuntii.“ Acta Tomiciana XI, № 429.

<sup>2)</sup> Por. Rembowski: Konfederacja i rokosz, str. 248.

<sup>3)</sup> Krzysztof Warszawicki: De optimo statu libertatis, str. 67.

<sup>4)</sup> Acta Tomiciana XI, № 441.

na sejmie sankcjonującym „zdobycze“ tej „wojny“ — uchwalono, że to ma być wolna elekcyja (electio Regis libera) i że na niej konieczna jest „zgoda“ (consensus et voluntas) tych *wszystkich*, którzykolwiek na ten sejm przybędą. To nie miał być okrzyk, ale, jak później mawiano, „wolne wolenie“ (= zezwolenie)<sup>1)</sup>. Zatem już od r. 1538 datować można prawo o udziale wszystkich w elekcyi, a więc dawno już przed wystąpieniem Zamoyskiego wojna kokosza usunęła możliwość wyboru przez reprezentację i tak też rozumieją sens tego statutu senatorowie na sejmie 1558,9 r., oświadczając, że w tym statucie z r. 1538 „to rozumieją być szkodliwym, iż do tej elekcyi wszyscy się zjechać i *wszyscy króla obierać* mają<sup>2)</sup>“.

Za czasów Zygmunta Augusta zjawiała się z wielu stron reakcyja przeciw zadaleko idącym ustępstwom Zygmunta I, z wyraźną tendencją, aby wbrew statutom z r. 1530 i 1538 ilość elektorów ograniczyć. Właśnie też wspomnianym dopiero co sejmie 1558,9 r. senatorowie czynili przedstawienia posłom, że „to jest rzecz niepodobna, aby in tanta multitudine porządek i zgoda być miała,“ i że dlatego też powinno się obmyśleć taki projekt, „jakoby *żadnego stanu* od tego nie odciskając, był mianowany *poczet* ludzi, którzyby się na tą elekcyę zjechać mieli, naznaczon ze *wszech stanów*, bo inaczej trudna-by zgoda i granice-by się zewsząd ogoliły (t. j. pozbawionoby granic obrony przed napadem), gdyby się

<sup>1)</sup> Dzienniki sejmów, str. 184.

<sup>2)</sup> Wprawdzie tu jeszcze nie przewidziano, że każda jednostka ma osobno oddawać swój głos: owszem, nie wykluczono tu tej możliwości, że po przybyciu wszystkich na pole elekcyi, wybierze się z tłumów jakąś reprezentację, jakiś wydział, który dopiero króla obierze, ale zawsze właściwym wyboracą będzie tu ta masa szlachty, a nie senat. Pod wyrazem „wszyscy“ niejednokrotnie rozumiano wówczas tylko „wszystkie stany,“ t. j. reprezentacją wszystkich stanów w przeciwstawieniu do dotychczasowej wyłączności senatu. Tak np. rozumie autor sprawozdania z przebiegu sejmu 1558/9 r. (Uchwały na IV, str. 204), oświadczając: „wszyscy należą k'temu (elekcyi), tak panowie radni, jako i pospolity człowiek rycerski, iżby wszyscy obierali i wszyscy o tem wiedzieli, kiedy ma być król obieran,“ bo kiedy „wszystkim króla potrzeba,“ to trzeba „aby też wszyscy króla obierali.“ Zławaloby się na pierwsz rzut oka, że autor chce zatem elekcyi viritim; tymczasem nie: te słowa, akcentujące udział *wszystkich*, są tu splecione z żądaniem, najwyraźniej zaraz potem wyluszczenem, aby szlachta brała udział w elekcyi — przez reprezentację, przez posłów. (Posłowie bowiem — to szlachta; por. Broel-Plater, Pam. II, 48: „Rzeczecie, posłowie — szlachta).

na jedną kupę wszyscy obywatele zjechać mieli.“ Domagają się tego panowie nie dlatego „żeby się stany wszystkie do tego należące przyłożyć nie mieli, albo przeto, żeby który (stan czy obywatel?) miał być z tego wyrugowan,“ ale tylko dlatego, aby jakiś ład wprowadzić, „bo w tej wielkości ludu porządek żaden zachowan być nie może,“ bo „ubi multitudo, ibi confusio <sup>1)</sup>.“ Posłowie, godząc się na ten punkt wyjścia, uchwalili jednozgodnie <sup>2)</sup> i przedstawili szczegółowy projekt sposobu elekcyi – przez reprezentacyę. Według tego projektu <sup>3)</sup> wybierać mają króla wszyscy senatorzy i posłowie, wybrani w większej liczbie niż zwykle, bo w poczwórnej <sup>4)</sup>, gdy sama szlachta pod komendą zastępcy wojewody ma leżeć zbrojnie w polu na granicach państwa i to dotąd, pokąd króla się nie obierze.

Ten projekt, jakkolwiek polega na systemie reprezentacyi, był zwrócony wyraźnie przeciw senatowi i ograniczał jego wpływ

<sup>1)</sup> Dzienniki 180, str. 184.

<sup>2)</sup> Noailles III, 238.

<sup>3)</sup> Ten projekt podają Dzienniki sejmowe, Kraków 1869, 189 — 209, Uchańsciana IV, 204 i Noailles III, 238 (tu błędnie rok 1556, gdyż w innej kopii, znajdującej się w Bibl. Ord. Krasni. [kopia Albertrandego] jest r. 1558). Projekt podany w Uchańscianach różni się cokolwiek od innych; tak np. podaje za miejsce elekcyi Kraków zamiast Piotrkowa. Również i Zygmunt August miał własnoręcznie skreślić projekt elekcyi, ale pokazał go tylko niektórym. Krz. Warszewicki: De optimo statu libertatis, str. 51, 57.

<sup>4)</sup> Według Ms. Bibl. Dzikow. (półka 3, № 12) „Namowy de interregno na sejmie piotrkowskim r. 1558/9“ w projekcie podana była liczba podwójna, a nie poczwórna. Czytamy bowiem: „wszakóż do tego to jeszcze przyłożyli przestrzegając jakiej niezgody między pany radnemi z jednej strony i też między posły ziemskimi z drugiej strony, aby sobie byli równi. Iż jest liczba senatorów koronnych tak duchownych biskupów, jako panów świeckich, wojewod, kastellanów 100 osób i kilka, tedy też uradzili, aby posłów ziemskich także też wielka liczba była. A iż posłów nie bywa, jedno 50 citra ultra (przed unią!), tedy w tych ziemiach abo wojewodztwach, kędy bywało na sejm 7 posłów, aby było 14, jako w krakowskiej ziemie; także similiter i w innych ziemiach, żeby byli obrani *in duplo*, tedy ich także jako i senatorów będzie osób 100 i kilkanaście a tak będą sobie równi. Jeszcze też tego dołożyli, i do tego to przydali, aby panowie senatorowie, wielkiej zgraje albo służebników z sobą tam nie brali etc...“ Na tej też podstawie oparty Piliński (Bezkrólewie, Kraków 1872, str. 13), wie tylko o projekcie podwójnej liczby posłów, a nie o poczwórnej, o której mówią wszystkie inne źródła. Może to były stopnie ustępstw, o której mówią izby z senatem? Według tegoż Ms. Dzikowskiego, mają obwieścić śmierć królewską nie urzędnicy dworscy, ale prymas.

na elekcyi jak najbardziej. Czuć w tym projekcie to tętno walki, jaką wówczas toczyła szlachta z senatem. Każdy punkt tego programu ma na celu osłabienie przewagi senatu na korzyść szlachty.

I tak: nie prymas, nie najwyżsi dostojnicy, ale zwykli urzędnicy, przebywający w czasie śmierci króla przy dworze (a potem starostowie) mają donieść o śmierci królewskiej. Senatorom nie wolno przyprowadzić z sobą więcej orszaku służby, ponad przepisaną liczbę—z obawy, aby za pomocą swych „służebników“ nie wpływali na losy wyborów. Wojewodom odebrano komendę nad pospolitem ruszeniem województwa, hetmanom kazano rozpuścić na czas bezkrólewia wojsko, aby za pomocą jego nie mogli wyrzucić presyi na elekcyi. Nie głosy senatorów, ale głosy posłów ziemskich rozstrzygną o rezultacie elekcyi, bo liczbę senatorów przewyższała zupełnie poczwórna liczba posłów, którzy przybywali tu nadto ze swymi orszakami. Wobec tego, że na elekcyi rozstrzygać miała większość<sup>1)</sup>, a głos senatora miał zupełnie tyle ważyć, co i głos posła, zatem liczebną przewagę mieli zupełnie—posłowie.

Projekt ten — to projekt partyi „poselskiej,“ tej garstki inteligentnych posłów, którzy za Zygmunta Augusta dokonywali wszystkich przeobrażeń Rptej na posiedzeniach izby poselskiej. To też według ich projektu nie tłum, ale reprezentacya, to jest izba poselska miała rozstrzygać na elekcyi. Znamienne, że posłowie nie obstawali za obecnością tłumów na elekcyi. Bali się niezawodnie, że te tłumy dadzą się powodować senatorom, a co więcej, że dadzą się użyć biskupom, że zwrócić się mogą przeciw posłom-protestantom. Dlatego według ich programu cała masa szlachty jest odepchnięta precz od pola elekcyi i posłana daleko na granice państwa; co więcej, ten projekt najdobitniej *zabrania* komukolwiek pod jakimkolwiebądź pozorem przybywać na elekcyę ponad ściśle oznaczoną liczbę osób: „a mimo (oprócz) te osoby już sub poena nominationis hostis patriae nie ma żaden do Piotrkowa (na miejsce elekcyi) przyjechać, ani żadnego pretekstu ku przyjechaniu, by największą potrzebę miał mieć<sup>2)</sup>.“

Mimo całej niechęci do tłumów—ten projekt jest już jednak wielkiem ustępstwem na rzecz mas, bo według niego poczwórna

1) Ms. Bibl. Dzikow. le.: „i kłaść wota na jedno miejsce, a na którego pana więcej się ich zgodzi, ten za pana obran będzie.“

2) Dzienniki, str. 192.

liczba posłów może nadto jeszcze z sobą wprowadzić na elekcję orszaki, tak, że na elekcję przybyć miało 2400 szlachty.

Oczywiście, że tak ten ostatni wniosek, jak i cały projekt, mający na celu podkopanie powagi magnatów, nie mógł znaleźć uznania w łonie senatu. Senatorowie woleli już raczej elekcję „viritim“, ustanowioną statutami 1530 i 1538 r., niż tego rodzaju projekt. Wszak na elekcji wirylnej, nieograniczonej mogli wprowadzić tłumy swej służby i zależnej szlachty, mogli wywierać wpływ na szlachtę własnego województwa i t. d.

Nie omieszkali jednak senatorowie w odpowiedzi na projekt posłów przedstawić im i swój ideał — biegunowo przeciwny. Ideałem ich był sposób elekcji, praktykowany w Wenecyi, a więc taki, przy którym w ostatniej instancji decyduje tylko 4 lub 6 dostojników<sup>1)</sup>.

Nie było mowy, aby posłowie zgodzili się na taką propozycję; uważali ją za dowód, że z senatem do porozumienia w żaden sposób dojść nie zdołają. I wówczas już straciwszy wszelką nadzieję, postanowili przynajmniej wyrwać „senatowi“ rządy w razie bezkrólewia i w tym celu zaproponowali, aby nie senatorowie (jak chcą statuty 1530 i 1538) zwoływali własną powagą przyszłą elekcję, ale aby z góry były stale oznaczone tak miejsce elekcji jak i termin, w tyle a tyle dni po śmierci króla. Ale i ten wniosek upadł, dzięki oporowi senatu, który postanowił zostać przy starym: „ostać przy przywilejach, które są dane od nieboszczyka sławnej pamięci Zygmunta króla i *sub dubio* już to zostawić<sup>2)</sup>.“

Z następnych głosów za systemem reprezentacyjnym wydatnić trzeba projekt, jaki zjawił się na sejmie r. 1569 — projekt Reja. Sejm ten, sejm unii lubelskiej, naprowadził wszystkich na myśl, aby dla zuniowanej teraz Rzeczypospolitej raz na zawsze jasno określić sposób przyszłej elekcji. Sam król ostrzegał, że bez tego unia może się rozerwać. Wśród obrad nad tą sprawą zjawił się projekt Reja<sup>3)</sup>.

Rej oddawna zajmował się sprawą uregulowania elekcji. Brał już żywy udział w debatach na owym sejmie 1558/9 r., któ-

<sup>1)</sup> Szujski (l. c.) nie zwrócił uwagi na tę odpowiedź senatorów, którą szczególnie podkreśla autor relacji w Uchanc. IV, 204.

<sup>2)</sup> Dzienniki, str. 245. Ten wyraz „sub dubio“ wskazuje, że jednak i współcześni nie zupełnie jasno tłumaczyli sobie statuty 1530 i 1538.

<sup>3)</sup> Był podany „in privato colloquio nostro.“ Źródłopisma do dziejów unii (sejm 1569), str. 159.

regu osiã była kwestya elekcji. Porwany ogólnym wirem walki szlachty z magnateriã, przejął się zupełnie tendencyjami izby poselskiej, a więc wraz z nią walczy z senatem o wpływ w czasie przyszłego bezkrólewia, zarzuca „panom,“ że im się zachciewa wyłącznych i niepodzielnych „rządów,“ że wskutek tego nie przyjmują projektów, któreby trochę te ich „rządy“ ukrócić mogły.

Zupełnie też po myśli izby poselskiej rzuca się w swym wierszu „Elekcya króla“ <sup>1)</sup> na panów, przezywając ich „żubrami,“ „kaczorami,“ „panią kokoszną“ <sup>2)</sup>. Wskazuje, że to obowiązek „kaczorów“ (senatorów) a nie „cyranek“ (szlachty) dbać o bezpieczeństwo stada, a więc kaczorowie mają z góry zarządzać grożącym niebezpieczeństwem bezkrólewia, a więc zgodzić się na ustanowienie raz na zawsze sposobu elekcji. Przekonywa ich i przedstawia:

I zażby to nie lepiej formułę uczynić,  
Gdy przypadną te czasy, coby wždy z tem czynić.  
Na nędznego pisarza elekcją mamy  
A tego nie baczymy, w czem upadek znamy,  
Bo kto tego doczeka, widzi przed oczyma,  
Jako wtenczas nieszczęsna będzie mięszanina.

Ale panowie nie chcą tej „formuły,“ bo upierają się przy swych „rządach,“ przy swej niepodzielnej przewadze.

A któż tego przyczyną? jedno ci żubrowie,  
Co się im coś dziwnego zawždy mięsza w głowie,  
Zda się im, iż na ten czas wszystko *rządzić* mają,  
Ano ich połowica! przedtem pozdychają!  
Aby chcieli przeczytać, co się więc dziewało  
Z takimi, co się im też także *rządzić* chciało.  
Jakie w ich majątnościach szarpaniny były,  
I jako się ich domy sromotnie kurzyły.

Senatorów natura już taka, że

Zda się jej, iż na wieki tak wszystko ma *rządzić*,  
A wszystko mieć po myśli, a nigdy nie zbłądzić.  
Ano się nam dały znać nieraz takie *rządy*,  
A wiele kroć koronę zawodziły w błdy.

<sup>1)</sup> „Krótka przemowa“ na końcu „Zwierciadła.“

<sup>2)</sup> Rej zazwyczaj, atakując senatorów, używał przenośni ze świata zwierzęcego, zwąc ich lwami lub wilkami, duszącymi jelenia i t. p. Por. Dropiowski: Nicolaus Rey als Politiker, Brody 1901, str. 10—11.



Ażeby raz rzecz uregulować, Rej tedy na sejmie 1569 r. przedstawia projekt, w którym podobnie jak r. 1558/9, o ile możliwości uszczupla „rządy“ senatu na czas bezkrólewia, bo nie senat ma zwoływać elekcję, ale z góry naznacza się jej tutaj termin i miejsce. Rej (protestant!) nie godzi się tu na pierwszeństwo prymasa, ale (zupełnie jak w projekcie 1558/9) mają oznajmić o śmierci królewscy urzędnicy, przebywający na dworze.

Co do samej metody obierania, to w 2 tygodnie po uwiadomieniu o śmierci królewskiej „każdy szlachcic“ obowiązany jest podążyć na ogólny zjazd całego województwa i to zbrojnie (in armis). Tam na zjeździe ma się wybrać posłów i obdarzywszy ich zupełnem pełnomocnictwem do obrania króla (posłów „sowitych“), wysłać ich do Krakowa, który słusznie powinien być miastem elekcyjnem, kiedy jest już koronacyjnem (gdzie korona). Tam w Krakowie zbiorą się oczywiście, obok posłów, także wszyscy senatorowie. Tam największy wpływ będzie miała szlachta sąsiednia, krakowska-protestancka!

Nowość, jaką wprowadza tu Rej, tkwi w tem, że dzieli on wszystkich posłów szlacheckich na dwie serye, na dwie równe połowy. Skąd taki pomysł? Geneza tego pomysłu najprawdopodobniej była taka: ponieważ według uchwały, właśnie na tym sejmie lubelskim zapadłej, na skutek unii z Litwą ilość posłów ziemskich miała poskoczyć aż do sumy 150<sup>1)</sup>, a senatorów (bez kasztelanów mniejszych, którzy zwykli byli trzymać z „bracią młodszą“) było 90 (80 a 10 ministrów), więc na przyszłej elekcji, przy takim głosowaniu, w którym głos senatora miał tyle znaczyć co i głos posła, — posłowie mieliby kolosalną przewagę nad senatorami. Niezawodnie, że z tego powodu musieli senatorowie podnosić skargi i wytykać, że na przyszłej elekcji byłaby senatorów tylko „połowica“ w stosunku do liczby posłów, a to tem więcej, że zdarzyć się muszą w czasie bezkrólewia wypadki śmierci senatorów (a przecież dopiero wybrany król może rozdać wakause i luki w senacie zapełnić, gdy szlachta zawsze pełną liczbę posłów wybierze).

Niezawodnie, że tego to rodzaju utyskiwania senatorów ma Rej na myśli, kiedy w swym wierszu „Elekcya króla“ przytacza ich zarzuty:

„Ano ich połowica, pierwej pozdychają...“

1) Por. spis, Noailles III, 63.

Aby więc uspokoić senatorów, Rej wygotował projekt, według którego tylko „połowica“ posłów miała wraz z senatem należeć do elekcji. Tym swoim wnioskiem Rej robi bardzo wielkie ustępstwo senatorom, szczególnie jeśli się zestawi projekt 1558,9 r., według którego miało być posłów 4 razy tyle, ile ich przed nią zasiadało w izbie. Rejowi, jako protestantowi, niezawodnie nie zależało na dopuszczeniu jak największej liczby uczestników, owszem, zapewne bał się dopuszczenia wszystkich, bo masa katolicka mogłaby nieszczęśliwie zaciążyć na losach protestantyzmu polskiego.

Pomimo takich ustępstw, projekt Reja, podany „in privato colloquio“, upadł; może nawet te tak daleko idące ustępstwa zraziły doń samą szlachtę, tak, że przeszedł—rzec można—bez wrażenia. Autor innego rodzaju dyaryusza tegoż sejmu lubelskiego<sup>1)</sup> zupełnie nawet na ten projekt nie zwrócił uwagi i pomija go milczeniem. Sam projekt<sup>2)</sup> już się nie zjawiał więcej na sejmie, bo twórca projektu, Rej, umiera tegoż roku. Co więcej, widoczne, że wyobrażenia przeciwne Rejowskiim, głosy przemawiające za jak najliczniejszym udziałem mas coraz więcej znajdowały zwolenników, i to nie tylko wśród szlachty, ale i wśród magnatów; kiedy bowiem Chodkiewicz, starosta żmudzki, w swem wotum, wypowiedzianem na tymże sejmie, domaga się, aby przyszłe elekcje odbywały się „gdziekolwiek, tylko nie w murzech<sup>3)</sup>“, a więc w polu, to chyba ma na myśli zjazd konny t. j. taki, jak na polach rakosz na Węgrzech.

Oto najlepszy dowód owej niejasności położenia, owej sprzeczności dążeń przy końcu lat sześćdziesiątych. Dlatego to nuncyusz Ruggieri jeszcze r. 1568, mimo usilnych swych starań, mógł się ledwie tyle wywiedzieć od ludzi o sposobie przyszłej elekcji, że wybór króla ma się dokonać „za powszechną zgodą“ (według statutu 1538 r.), ale ile, jakie osoby i jaka większość stanowić mają o tej „powszechnej zgodzie“, tego już nie umiano mu wyjaśnić, dodawano jednak, że po staremu głos mają tylko—senatorzy<sup>4)</sup>!

<sup>1)</sup> Wyd. Kojalowicza.

<sup>2)</sup> Inny projekt (czy z r. 1572?) również przez protestanta podany, ale więcej skomplikowany, przytacza Szujski w rozprawie: „Jeszcze o elekcji.“

<sup>3)</sup> Źródłopisma, 204. Zestawić Łuk. Górnickiego „Rozmowa o elekcji“ (Dzieła wszystkie, 16): „A iż wszyscy do tego należymy, nie część jaka korony, przeto obieramy Pana w polu.“

<sup>4)</sup> „solamente che li vescovi, palatini et castellani concorrono a tali elettioni.“ Tad. Piliński l. c., str. 12 i Rykaczewski, Rel. I, 173.

Senatorzy woleli pozostać w takich wątpliwościach („sub dubio,” jak mówili 1558/9) niż podwczesną decyzją zrzekać się raz na zawsze dawnego uprzywilejowanego stanowiska. Zdaje się że i szlachta wolała rzecz całą odłożyć na później i dopiero w czasie nastania bezkrólewia całą sprawę przeprowadzić po swej myśli. Każdy spodziewał się, że wówczas łatwiej mu będzie przeprzeć własne projekty. Szlachta boi się jakichś porozumień dworu habsburskiego z Zygmuntem Augustem, boi się, żeby za życia króla nie desygnowano już następcy i dlatego to poleca swym posłom sejmowym jak najostrożniej postępować w tej materji i bezwarunkowo zabrania im cokolwiek bądź stanowczego uchwalać.

Tak sejmik lubelski wysyłając posłów na sejm 1570, poleca im: „De modo electionis regis: mają panowie posłowie z innemi posły namawiać ostrożnie de interregno et de modo eligendi regis, a nie inego, wsakże oni wsytki namowy pospolite, sejmowe tu do braciej, nic nie kondludując, przynieść mają. O miejsce electionis regis postanowić i o niem konstytucyą uczynić mogą<sup>1)</sup>”.

Dzięki tej to niechęci szlachty do ustanowienia czegoś stanowczego — w chwili gdy król zamknął powieki na zawsze — nikt nie wiedział, co właściwie począć, kto ma objąć kierownictwo w sprawach bezkrólewia. Wszystko było zdane na wolę losu, rozbieżnych tendencji i wygórowanych ambicyi.

Jedno tylko było z góry do przewidzenia, to to, że walka o elekcyę między magnateryą a szlachą, nieukończona za Zygmunta Augusta — a zawsze dotąd przez uśmierającą i pośredniczącą rękę królewską ukrócana — wybuchnie teraz z większą niż przed tem zawziętością<sup>2)</sup>.

Walka szlachty z senatem za czasów bezkrólewia mogła przybrać rozmiary tem większe, że walka nie miała się już teraz odbywać za pośrednictwem izby poselskiej, ale do walki występowa-

<sup>1)</sup> Artykuły sejmiku województwa lubelskiego w Lublinie 9 III 1570 „kopia społeczna w Bibl. Ord. Kraśni.”

<sup>2)</sup> Wszak obie strony rozgoryczone — zapowiedziały sobie, że dopiero w czasie bezkrólewia pokaże się, kto mocniejszy. Sennicki wódz szlachty 1565 wytknął senatorom, że na sejmie 1558/9, dzięki ich oporowi upadł projekt reprezentacyjny „tameście nas WM. odprawili (tymi słowami) „niechaj po staremu będzie” (t.j. niech zostanie rzecz przy statutach 1530 i 1538) bo właśnie jego zdaniem chcieli biskupi utorować drogę do tronu kandydatowi swojemu (Habsburgowi). Na to biskupi odpowiedzieli, że takiego króla sobie obiorą, jakiego im potrzeba, na co zapewnił ich znowu Siemicki, że szlachta przeciwnie obierze sobie króla „szlacheckiego” (Dyaryusze 1565 str. 293—5).

ły bezpośrednio same masy szlachty. Odtąd nie sejm, ale sejmiki wojewódzkie miały trzymać prym. Ta jedna okoliczność niejako z góry przesądzała, w jakim kierunku rozstrzygnie się spór między systemem elekcyi wirylnym a reprezentacyjnym. Jeśli bowiem nie ubito i nie rozstrzygnięto sprawy na korzyść systemu reprezentacyjnego wtenczas, kiedy jeszcze izba poselska była czynnikiem rozstrzygającym i przewodnim — to teraz, gdy masy na tysiącznych zjazdach wystąpiły na widownię, daleko już korzystniej przedstawiała się perspektywa dla dopuszczania tłumów bezpośrednio do prawa głosowania.—Tu już nie będą rozstrzygać o wszystkim jak za Zygmunta Augusta posłowie, teraz rozstrzygać będzie tłum sejmikujący, on teraz zechce wziąć udział bezpośrednio w elekcyi, nie chcąc obdarzać posłów zaufaniem w rzeczy tak ważnej, jak wybór króla.

Co to był za człowiek Zamoyski i jakie miał ideały w chwili nastania pierwszego bezkrólewia?

Czy miał już znaczenie i poważanie? Wiedziano o nim, że był „rektorem padewskim“ i autorem dzieła „De senatu Romano“ ale to jeszcze nie pasowało go na wybitnego wodza szlachty. — Jaką drogą nim został?

Geneza jego przyszłej karyery zaczyna się i wypływa z uporządkowania archiwum koronnego. Dzięki tej bowiem pracy — Zamoyski mógł dawać wyjaśnienia prawne na stawione mu niejednokrotnie z wielu stron trudne zagadnienia w czasie ówczesnego przeobrażenia Rzptej.

Wielu patrzyło na Zamoyskiego jak na wyrocznie, jak na wybornego znawcę dawnych praw i przywilejów, umięjącego je wyjaśnić i przystosować. Ta znajomość praw szczególnie potrzebną była w chwili pierwszej elekcyi, kiedy nikt nie wiedział co począć. Jak wiemy z ust Lubienieckiego, żyjącego w bliskich z nim stosunkach, istotnie to znawstwo Zamoyskiego „i na sejmie unii i sub interegno i na elekcyach siła Rzptej pomagało. <sup>1)</sup>

Tą to drogą z sekretarza, z cichego pracownika, z urzędnika pracującego w archiwum — Zamoyski pomalu wyrasta na przewodnika mas szlacheckich, na rzecznika w zatargach szlachty z senatem.

<sup>1)</sup> Poloneutychia str. 59.—Zamoyski nawet jadąc w poselstwie do Francyi wozi się z księgą statutów i daje z niej wyjaśnienia por. Uchanciana I 138.

Szlachta musiała go cenić, bo ona zawsze dokonywując przewrotów, lubiała akcentować, że wypełnia dawne prawa, że dąży do ich „ekzekucyi“, że tylko uchyla ich „exorbitancye“ — a więc i teraz w czasie bezkrólewia pragnęła, aby Zamoyski dla każdej „nowości“ znalazł uzasadnienie w dawnych prawach.

Zapewne już na tym samym sejmie, na którym Rej postawił swój projekt, — na sejmie unii lubelskiej Zamoyski musiał zająć się kwestyą przyszłej elekcji, gdyż był na tym sejmie i brał w nim żywy udział (sam król Zygmunt posługuje się nim, wysyłając go wraz z kasztelanem plockim Anzelmem Gostomskim, do izby poselskiej)<sup>1)</sup>, a jak wiadomo jednym z głównych punktów obrad była tu kwestya zniesienia dziedziczości książąt litewskich. Przychodziło tu nawet w sprawie uregulowania elekcji do gwałtownych sporów i scen. Tak kiedy sam król parł do rychłego a stanowczego załatwienia tej kwestyi, a nawet Czarnkowski, marszałek izby poparł zdanie królewskie, podobno wówczas Drohojewski z kijem w ręku chciał rzucić się na Czarnkowskiego i niedopuszczyć do tego.<sup>2)</sup>

Gdybyśmy mogli przeniknąć zamysły samego króla, to byłoby poniekąd to dla nas zarazem i wskazówką co do zapatrywań samego Zamoyskiego na elekcją; wiadomo bowiem nam, że wówczas Zamoyskiego łączyły z Zygmuntem Augustem bardzo silne węzły. Właśnie bowiem w czasie tego sejmu biskup poznański, Adam Konarski nazywa Zamoyskiego „*Maiestatis Regiae dilectissimum*“<sup>3)</sup> a w żywocie Zamoyskiego skreślonym pod jego okiem<sup>4)</sup> czytamy, że miał go król „in intimis.“

Jakież tedy były plany królewskie w kwestyi przyszłej elekcji? Nie mówimy o kandydatach, czy to o zamysłach wprowadzenia na tron polski Habsburga, czy to o poleceniu królewskiem, aby Polacy brali sobie króla z północy — poleceniu, jak wiadomo spełnionem początkowo przez Zamoyskiego, który jechał

1) Źródłopisma (1569) str. 77 (262, 271).

2) Czacki.

3) W liście z 20 I 1569 z Lublina do Ludwika Monti, dawnego sekretarza Bony (Bibl. Ord. Kraszińskich, oryginał).

4) Elegium Zamoyscii (Archiwum Jana Zamoj. I str. XXVIII) zaznaczono tu, że gdyby król dłużej żył, pewnieby już wówczas Zamoyski został kanclerzem (f. XXIX).

na pierwszą elekcję „ut pro Moscho laboraret.“<sup>1)</sup> Nie chodzi nam powtarzani o kandydatów do tronu, o których myślał Zygmunt August, ale o to za jakim systemem elekcji był król.

Wiemy od Krzysztofa Warszewickiego,<sup>2)</sup> że król do tego stopnia wziął do serca sprawę uporządkowania przyszej elekcji, że nawet własnoręcznie skreślił projekt sposobu elekcji jeszcze na pamiętnym sejmie 1558/9, ale pokazał go tylko niewielu osobom a to dlatego, że szlachta podejrzewała go (zapewne o zapewnienie sukcesji Habsburgom). Niezawodnie królewski projekt 1558/9, na którym nietylko senat, ale i sama szlachta godziła się na system reprezentacyjny, opierał się na tym systemie, a nie na wirylnym. Król jednak nie dążył, jak może niektórzy magnaci, do odepchnięcia szlachty i ich posłów od udziału w elekcji; owszem na pamiętnym sejmie unii lubelskiej zaznaczył wyraźnie że jest za *wolną* elekcją i za udziałem szlachty, że chce „aby wolne obieranie było a nie *poniewolne*, gdyż się to i za przodków moich dziewało (co uważa za złe), że nie kogo *wszyscy*,<sup>3)</sup> ale kogo *kilka* obrali, panem zostawał.“<sup>4)</sup>

Z wszystkiego tego widać, że król był przeciw wyłączności senackiej, ale chyba za systemem reprezentacyjnym.

Czy Zamoyski, najulubieńszy (*dilectissimus*) wówczas królewski sekretarz, wysyłany przezeń na tymże sejmie lubelskim do pertraktacji w jego imieniu z izbą (zob. wyżej), czy ten Zamoyski nie podzielał zapatrywań króla, słowem, czy nie był też za systemem reprezentacyjnym, wówczas, kiedy przecież sam wyraził hasła szlacheckich Rej przedstawiał projekt reprezentacji i to tak skromny („połowica“)?

Wszak Zamoyski tak nie dawno wrócił z Wenecji, tak się tam z jej urządzeniami zżył, tak często im się przypatrywał (jako „rektor padewski“ mający ciągle stosunki z rządem) — że musiał chyba przyłgnąć do wyborów przez reprezentację dokonywanych w państwie „dozów“ — tem więcej że sam został tam wybrany rektorem przez reprezentantów „nacyi“... Wiadomo skąd-

1) Heidenstein, Vita Zamoyscii 15—16.

2) De optimo statu libertatis. Cracov. 1598 str. 51 i 57—8.

3) To jest wszystkie stany, nietylko senat, ale i szlachta, por. wyżej.

4) Co więcej nawet podziela zdanie szlachty: „hetman aby był przysięgły, aby przyciągnąwszy z ludźmi, gwoli sobie i komuś drugiemu nie obrał pana, jako to bywało przedtem, czego nie chcę wspominać“ (Kojałowicz, Dwiecnik lublin. str. 592—633.

inąd, że Polacy wróciwszy z Wenecyi, wychwalali na pierwszej elekcji urządzenia weneckie i radzili je w kraju zastosować,<sup>1)</sup> czy do nich nie należał i Zamoyski?

Wszystkie te wskazówki składają się na jedno bardzo prawdopodobne przypuszczenie, że Zamoyski późniejszy nieugięty apostoł głosowania wirylnego, był poprzednio stronnikiem systemu reprezentacyjnego, tak samo jak Rej. To przypuszczenie staje się prawie pewnikiem przez to, że mamy świadectwo, według którego Zamoyski przy pierwszym swym publicznym występie po śmierci Zygmunta Augusta (mianowicie w 2 tygodnie po niej w czasie zawierania konfederacyi województwa bełskiego) jeszcze wyraża zgodę na system reprezentacyjny.

Ta bełska konfederacya (z 21/VII 72)<sup>2)</sup> jest bardzo znamieniem świadectwem dla oceny zapatrywań Zamoyskiego i ich przeobrażeń. Przedewszystkiem trzeba uwydatnić, że Zamoyski w tej konfederacyi bierze udział nader żywy, co jest zresztą rzeczą zrozumiałą, boć przecież był starostą bełskim. Co więcej on jest nawet inicjatorem zawiązania się tej konfederacyi.

Opowiada bowiem Heidenstein, że nawet sam Zamoyski chciał zwołać zjazd szlachty, nie bacząc na to, że są przecież i inni starsi dygnitarze w województwie bełkiem, a że chciał zwołać niby na tej podstawie, że dawnymi czasy, kiedy ziemia bełska należała jeszcze do księstwa mazowieckiego to starostowie bełscy mieli wielkie znaczenie, jako opiekunowie (paedagogus, piastun?) dzieci tych książąt.<sup>3)</sup> Chociaż od tego przywileju zwoływania własną powagą sejmików ustąpił Zamoyski – na przedstawienia Andrzeja Tęczyńskiego, kasztelana bełskiego,<sup>4)</sup> już jednak w tym pierwszym

<sup>1)</sup> Por. Rykaczewski, Rel. I 263.

<sup>2)</sup> Tekst zob. Arch. J. Zamoj. str. 439. Traczewskij błędnie daje datę 17/VII.

<sup>3)</sup> Jul. Bartoszewicz (Prawo o elekcji. Dzieła X 236) mylnie podaje, jakoby za czasów bezkrólewia Zamoyski opiekował się jeszcze jakimś potomkiem książąt mazowieckich.

<sup>4)</sup> Tęczyński nie był jeszcze wówczas wojewodą bełskim, jak go zwie Heidenstein (Rerum. polon.). Wojewodą był wówczas teść Tęczyńskiego, Andrzej Dembowski, ale dla podszłego wieku („prze zeszłość lat“ jak brzmi tekst konfederacyi) już nie bierze udziału w sprawach publicznych. Ostate-

roku dowiódł, że umie dla każdej pretensyi wyszukać nawet w odległej przeszłości dowody przemawiające po jego myśli.

Wpływ Zamoyskiego w czasie zawiązywania tej konfederacyi bełskiej widoczny choćby w tem, że do boku Tęczyńskiego, jako sprawiającego (w zastępstwie wojewody Dembowskiego) „regiment,” — dodała szlachta i Zamoyskiego, a o żywym udziale Zamoyskiego w poszczególnych uchwałach tej konfederacyi pisze wyraźnie Heidenstein, według którego cały punkt <sup>1)</sup> o urządzeniach sądowych w czasie bezkrólewia był pomysłem Zamoyskiego.

Co więcej Zamoyski brał udział w układaniu samego tekstu — co nic dziwnego jak na „człowieka pióra“ i „uczonego autora.“<sup>2)</sup>

Nawet takie zwroty jak zdanie, że występującemu przeciw tej konfederacyi „dobra jego spustoszym“ „dobra jego zniszczymy,“ że uchwały te zapadły „jednostajnymi sercami i myślami“ i t. p. — to są zwroty, które — jak gdzieindziej wykażę — wy dobył Zamoyski z aktu konfederacyi 1436 r. i które on tylko mógł znać, bo sam je odszukał. A zresztą przez całe bezkrólewie sejmik bełski jest zawsze tylko posłusznym wykonawcą projektów Zamoyskiego — czyżby więc i w czasie pierwszego zebrania nie uchwalił tego, co proponował starosta bełski?

Dla tego tak tutaj podkreślam żywy udział Zamoyskiego w ułożeniu tej konfederacyi bełskiej, bo w tej właśnie konfede-

cznie w konfederacyi bełskiej wyrażono, że szlachta zebrała się „wolnie i sami z swej chęci“ a tylko na wieść o śmierci królewskiej, rozpowszechnioną przez Tęczyńskiego. Co do przewagi starostów bełskich w województwie bełkiem nad innymi dostojnikami, to zaznaczył Zamoyski w naszkicowanej przez siebie kronice województwa bełskiego (Inwentarz Ms. Bibl. Ord. Zamoyskich 1603 t. III f. 915), że dopiero od 1434, od czasu zrównania szlachty ruskiej z polską „najduję w przywilejach i aktach zminki częste wojewód, kasztelanów, podkomorzych i innych cześników i urzędników ziemskich nakształt polskich we wszystkich ziemiach ruskich, których do tego czasu żadnej zminki nigdzie nie nalazł. tylko *starost* i podkomorzych, na których wszystkie odprawy natenczas znać, że należały...“ Zdaniem więc jego i sprawa zwołania sejmików była w rękach starostów...

<sup>1)</sup> Arch. J. Zamoy. I, str. 441. Ten punkt właśnie wskazuje, że zjazd konfederacyi bełskiej, o którym wspomina Orzelski a zjazd wzmiankowany u Heidensteina (Vita 13) są jednym i tym samym zjazdem, a nie dwoma różnymi, jak chce Jul. Bartoszewicz. Prawo o elekeyi. Dzieła X 237.

<sup>2)</sup> Historyk Zamoyski widnieje już w zwrocie wstępnym akcentującym że dziedzicność nie istniała nigdy dawniej w Polsce, ale zawsze elekeyjność, że Polska brała „z domu Jagiełłowego siedm królów, jednego po drugim, nie mocą prawa jakiego dziedzicznego, ale za naszą wolną elekeyą...“



racy — oświadczone wyraźnie zgodę i na system reprezentacyjny<sup>1)</sup> elekcji, co niewymownie ciekawe rzuca światło na ówczesne jeszcze zapatrywania Zamoyskiego.

Poznajmy bliżej ten akt konfederacji. Jest on najwidoczniej interpretacją statutów 1530 i 1538. Uderza nas używany tu kilkakroć zwrot że „*wszyscy* mają brać udział w elekcji,“ że ma ona być bez obrony, bez woli „wszech“ i t. d. Ale jak już zaznaczyliśmy, pod wyrazem wszyscy — rozumiano wszystkie stany i uważano że posłowie zupełnie dobrze mogą reprezentować wszystką szlachtę.<sup>2)</sup>

Uderza nadto w tej konfederacji po kilkakroć używany zwrot, że król ma być obrany „*porządnie*“ i „*wolnie*“ — połączenie tych dwu wyrazów widocznie wskazuje na umiarkowany ton u twórców tej konfederacji. Przeciwnicy bowiem udziału tłumów w elekcji — akcentowali zawsze, że elekcja tylko bez tłumów odbyć się może „*porządnie*,“ że „*in multitudine confusio*“ i t. p., gdy zwolennicy elekcji *viritem* znowu nawoływali ciągle, żeby elekcja była *wolna!* Więc żądanie Bełżan, aby ją odbyć „*porządnie i wolnie*“ wskazuje na ich pośredniczące stanowisko.

Ostatecznie najwyraźniej tendencję tej konfederacji oznaczono w tem postanowieniu, że będą mieć za króla tylko tego, „któryby od *wszech stanów* wszystkiej tej Rzpltej, które do obierania króla podług prawa i zwyczajów należą, którzyby, będąc wszyscy przodków naszych obyczajem wezwani, zjechali się *albo posły dostateczną mocą posłali*, *porządnie i podług praw i wolności* naszych obran, oznajmion i obwołan był“<sup>3)</sup> To znaczy: staje ta konstytucja na gruncie statutu 1530, według którego wszystkich należy wezwać na elekcję,<sup>4)</sup> ale nie rostrzyga, czy wszyscy istotnie mają na nią pośpieszyć, czy też tylko posłów z pełną plenipotencją posłać.

1) Piliński (str. 61 uw. 16) znalazł nie tylko ten urywek konfederacji, jaki jest u Noailles'a III, ale cały tekst konfederacji z Ms. Dzikowskiego i przepisał je do swych notat (Ms. Bibl. Akadem. w Krakowie Nr. 1146 str. 14) i dla tego wie, że była mowa w tej konfederacji o reprezentacji. Zupełnie jednak nie poruszył tej myśli, że przecież Zamoyski musiał być jednym z głównych jej autorów, a więc stronnikiem systemu reprezentacyjnego.

2) Porównaj wyżej, str. 478 uw. 2.

3) Arch. J. Zamoys. 440.

4) „*Omnibus membris et ordinibus Regni pro tempore denuntiarent.*“

Żadnego systemu w tej konfederacji specjalnie nie zalecono; obojętna, który się obierze.<sup>1)</sup>

Możnaby wprowadzić konfederację bełską uważać, za owoc starcia się 2 prądów, z których jeden przedstawiałby stronników systemu reprezentacyjnego pod wodzą np. Tęczyńskiego, a drugi za systemem wirylnym pod wodzą Zamoyskiego (wszak kłócił się z Tęczyńskim o zwołanie sejmiku). Ale nic nie uprawnia do przypuszczenia, że Tęczyński był przeciwnym elekcyi powszechnej. Owszem wiadomo jest, że już przed opisaniem konfederacji bełskiej, bo 14 VII 1572 w sąsiednim województwie lubelskiem kasztelan Słupecki wydał uniwersał, w którym podudza szlachtę do udania się „viritim“ na przyszłą elekcyę,<sup>2)</sup> a rzecz znamienita — ten uniwersał wydaje Słupecki (jak sam zaznacza) w porozumieniu ze starostą lubelskim a kasztelanem wojnickim, Janem Tęczyńskim, który był bratem owego kasztelana bełskiego.

Przypuścić się godzi, że obaj Tęczyńscy, tak blisko z sobą sąsiadujący, nie byli odmiennego zdania, a zresztą sam już fakt, że Zamoyski na konfederacji bełskiej nie protestował przeciw systemowi reprezentacyjnemu i to właśnie w tych czasach, kiedy — jak później zobaczymy — w 3 województwach małopolskich padło już hasło „pospolitego ruszenia“ na elekcyą — dowodzi jasno, że Zamoyski na początku elekcyi — a Zamoyski z czasów późniejszych — to są jakby dwaj ludzie różni.

Zgoda Zamoyskiego w Bełzie na system reprezentacyjny tem jaskrawiej się uwydatnia: że tuż w sąsiedniej ziemi chełmskiej w 4 dni przed zawiązaniem tej konfederacji bełskiej, zawiązała (17/VII 1572) szlachta również konfederacyę<sup>3)</sup> ale najwyraźniej w niej zawarowała, że wszystka szlachta musi wyruszyć pospolitem ruszeniem na elekcyą, gdyż każdy uchylający się od tego będzie pociągnięty do odpowiedzialności i — ukarany!

Zaznaczono bowiem tam wyraźnie:

„A my tymczasem gotować się będziemy, jako każdy najlepiej może i powinien, obyczajem wyprawy wojennej zjechać pod swą chorągiew na miejsce zjazdu pospolitego koronnego pod wianami prawa koronnego.“

Zamoyski sam kasztelanem chełmski, musiał doskonale wiedzieć, że takie postanowienie zapadło w sąsiedniej chełmskiej zie-

1) Na pierwszym miejscu postawiono elekcyę „viritim“, ale trudno z tego cokolwiek wnioskować.

2) Uniwersał Słupeckiego w Bibl. Ord. Krasin. (kopia Albertrandego).

3) Noailles III 157—8.

mi, gdyż jakkolwiek ta ziemia należała do innego województwa ruskiego, a nie bełskiego, to jednak z województwem bełskim łączyły ją zawsze blizkie węzły. Najlepszym tych blizkich węzłów dowodem fakt, że w czasie zawiązywania właśnie omawianej tu konfederacji bełskiej, zjechała do Bełża i szlachta chełmska i podpisał tę konfederację sam kasztelan chełmski, Michał Łysakowski, i sam starosta chełmski, Aleksander Łaszcz. Od nich Zamoycki doskonale wiedział o postanowieniu elekcji „viritim“ w ziemi chełmskiej—a jednak nie stanął pod tym sztandarem, nie wygłosił hasła przymusowego udziału w elekcji, ale uwzględnił i system reprezentacyjny.

Ciekawość zbiera, kto to z ziemi chełmskiej rzucił hasło elekcji viritim? Przypnać trzeba, że ziemia chełmska była jakby zrodzona na to, aby wyhodować czysto szlacheckie, anti-senatorskie hasła, bo właściwie magnatów w niej nie było. Wojewoda ruski był zawsze daleko, a z senatorów był tu tylko jeden duchowny: biskup chełmski, który zapewne wówczas — w epoce reformacji — nie cieszył się zbyt wielkiem poważaniem u szlachty. Był tu wprawdzie kasztelan chełmski, ale toż to był senator drażkowy, a z tych każdy zwykle trzymał raczej z obozem „młodszej“ szlachty, jak z senatem.

Nic dziwnego, że w takiej „bezsenatorskiej“ ziemi, przywykłej do szlacheckiego „samorządu“, nie obawiającej się żadnej zemsty ze strony „panów“ — wyrósł wódz szlachty z doby Zygmunta Augusta, „Demostenes“ posłów szlacheckich, nieustanny prawie marszałek izby poselskiej: podkomorzy chełmski, Mikołaj Siennicki.

On to był marszałkiem owego sejmu 1558, 9, na którym szlachta toczyła zapasy z senatem w kwestyi elekcji, on to, dostrzegłszy, że dzięki uporowi senatu upadł projekt szlachecki a senatorowie postanowili odbywać elekcję „po staremu“ (t. j. według 1530 i 1538 = viritim) zawziął się i oświadczył magnatom, że kiedy senatorowie postanowili przeproczyć senatorskiego króla, to szlachta postara się naprzekór o szlacheckiego, a świat zobaczy, czy senat czy szlachta wygra...<sup>1)</sup>

Nic więc dziwnego, że on też teraz pierwszy po śmierci królewskiej zabrał się do walki z senatem, pobudził szlachtę chełmską do zebrania się na sejmiku i pierwszy rzucił hasło „pospolitego ruszenia“ na elekcję.<sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> Dyaryusz 1565 str. 293—5.

<sup>2)</sup> Z tekstu konfederacji chełmskiej łatwo wyrozumieć, że Siennicki był tej konfederacji twórcą.

A jednak na sejmie 1558,9 ten sam Siennicki był za systemem reprezentacyjnym (coprawda bardzo szerokiem, poczwórna ilość posłów). Widocznie że zmieniło się położenie, kiedy już tacy dowódcy izby poselskiej i protestanci, jak Siennicki — opuszczają dawny projekt wybierania przez posłów i przerzucają się na stronę elekcji viritim?

Kto wie czy sam Rej, gdyby był dożył bezkrólewia, nie uznałby wraz z Siennickim, że „pospolite ruszenie“ szlachty na elekcję, — najlepiej jej posłuży w walce z senatem o przewagę na polu elekcyjnem...

Z wszystkiego tego chyba jasno wynika, że niesłusznie uważa się Reja, jako przedstawiciela systemu reprezentacyjnego elekcji, w przeciwieństwie do Zamoyskiego. Gdy wychwalany przez Reja (w Zwierzyńcu) i jego współwyznawca — Siennicki już przerzucił się na rzecz elekcji viritim, wówczas jeszcze Zamoyski był dla elekcji viritim obojętny i godził się i na wybór przez reprezentację.

Zamoyski stanął na tem stanowisku z całą rozważą, gdyż już wówczas patrzyła nań szlachta, jako na swego proroka. Dowodem tego fakt, że choć jeszcze nie rzucił był w konfederacji bełskiej popularnego hasła elekcji viritim, a zaraz jego postanowienie wyrażone w konfederacji bełskiej, przyjęły prawie bez zmiany województwo ruskie i podolskie (30/VIII) na konfederacji w Glinianach,<sup>1)</sup> a tak samo województwo wołyńskie i kijowskie, a nawet sandomierskie.<sup>2)</sup>

Podczas gdy w Wielkopolsce było aż 4 biskupstwa, to w Małopolsce było początkowo tylko jedno. Skutek tego w XVI wieku był taki, że całą Wielkopolską trzęsła hierarchia duchowna, podczas, gdy w Małopolsce na czoło wysunęli się protestancy magnaci, którzy w walce z episkopatem kokietowali zawsze — szlachtę.

<sup>1)</sup> Heidenstein (Rer. polon. str. 16—17). W Glinianach był okok bełskiego i wołyński poseł (Noailles III 162). Piliński też zaznacza (czy na podstawie porównania tekstu?) że postanowienia zjazdu wołyńskiego z 27/VII 1572 są naśladowaniem bełskich (Ms. Piliń. w Akademii Umiej. Krakow. Nr. 1146 f. 14 i 97). Konfederacja glinianiska zupełnie nie wspomina o sposobie elekcji.

<sup>2)</sup> Traczewskij str. 163 z Ms. Petersburskiego.

Ten stan rzeczy szczególnie uwydatnia się w czasie pierwszego bezkrólewia. Magnaci protestancy, aby nie dać się pobić duchowieństwu i niedopuszczyć prymasa do steru państwa — starają się o poparcie u mas szlacheckich. Nie tylko zaczynają szlachcie swego województwa schlebiać, ale wprost zamyślają pociągnąć ją na samo pole elekcyi, aby za pomocą tych powolnych sobie tłumów wpływać po swej myśli na wybór króla. W Małopolsce występuje nawet rzecz dziwna: oto sami panowie narzucają szlachcie hasło elekcyi „viritim,“ gdy sama szlachta się ociąga i zupełnie nie rwie się ochotnie do ciężkiego obowiązku „pospolitego ruszenia,“ do którego zazwyczaj królowie musieli ją zmuszać „karami.“ I teraz choć tu chodziło o pochod nie na niebezpiecznego nieprzyjaciela, ale na ciekawe targowisko — o koronę polską, — szlachta leniła się, nie chciało się jej wlec daleko w ordynku wojennym...

Na tem tle zrozumieć dopiero można, dlaczego to sami możnowładcy małopolscy wygłaszają najpierwej<sup>1)</sup> hasło elekcyi viritim i wrywają pod tym względem palmę pierwszeństwa Zamoy-skiemu.<sup>2)</sup>

I tak pierwszy, który rzucił hasło elekcyi nie był Zamoyski, ale najwybitniejszy przedstawiciel tego rodu, z którym właśnie Zamoyski miał w przyszłości stoczyć walkę na śmierć i życie — Piotr Zborowski, wojewoda sandomierski.

Piotr Zborowski najpierwszy rzucił przed szlachtą swego województwa hasło elekcyi. Uczynił to w uniwersale, który w zbiorach współczesnych nosi tytuł „uniwersału *najpierwszego*.“<sup>3)</sup>

Wojewoda w tym uniwersale przedstawia się jako typ magnata, starającego się o popularność wśród szlachty swego województwa. On już dawniej uprawiał politykę kokietowania mas szlacheckich i teraz „najpierwszy“ zrozumiał jaką drogą można zająć dominujące stanowisko na polu elekcyi. W tym uniwersale, który wydaje (11/VII 1572) a więc jeszcze przed śmiercią — (a tylko na wieść o dogorywaniu) króla, już wojewoda oddaje się zupełnie w ręce masy szlacheckiej i opiera się tylko na niej. Nic też dziwnego, że w skutku ten ród Zborowskich, który „najpier-

<sup>1)</sup> Jak wspomniałem str. 493, pierwszy ze *szlachty* (w czasie bezkrólewia) wypowiedział to hasło Mik. Siemnicki, ale uprzedził go chronologicznie jak zobaczymy Zborowski, wojewoda sandomierski.

<sup>2)</sup> Zamoyski pierwszy raz wystąpił z tem hasłem — o ile można było dojsć — dopiero 29/IX 1572.

<sup>3)</sup> Nouilles III 82.

wszy“ odczuł „ducha czasu,“ wznosi się szybko na tej fali „demokratycznej“ i odgrywa pierwszorzędną, decydującą rolę w czasie 2 pierwszych bezkrólewiołów.

W tym uniwersale Zborowski najwyraźniej akcentuje, że  
 a) chce głosować „z wszystkim gminem,“ co więcej domaga się, aby do elekcji stanąć *musiał każdy* z jego województwa. A więc nie jak się później utarło: każdy, który chce, może brać udział w elekcji. Wojewodzie to nie wystarcza, domaga się przymusu: każdy *musi pod karą śmierci i utraty majątku* jechać na elekcję, a tylko szlachta zagrodowa własnoręcznie uprawiająca rolę może głosować przez posłów (z każdej wsi po 2 lub 1);

b) Już tu zaznaczono wyraźnie, że sposób głosowania ma być taki, aby najpierw głosowanie odbywało się w każdym województwie, a potem dopiero obliczać się będzie same głosy województw;

c) Przy tem wszystkim wojewoda zaznacza — rzecz znamienna — że nie większość — ale jednozgodność rostrzygać będzie na elekcji!

Wszystko to wypowiedziane w chwili, kiedy Zamoyski był jeszcze gotów zgodzić się na system reprezentacyjny!

Piotr Zborowski te hasła uporcezywie powtarza i w późniejszych miesiącach wprost agituje za elekcją *viritim*...

W drugim bowiem uniwersale 13 IX 72 (a więc jeszcze przed pierwszym śladem przechylenia się Zamoyskiego na stronę systemu elekcyjnego), Piotr Zborowski zachwalić wprost nie może szlachcie swobody *viritim*, ukazuje ją jako klejnot drogocenny, zachęca do niej i zagrzewa<sup>1)</sup> a opierając się na statucie Zygmunta I 1530, gdzie mowa, że „omnibus“ (wszystkim) ma się o terminie elekcji ogłosić i wszystkich na nią wezwać — wykazuje, że każdy ma brać udział w elekcji.

Pisze: „Przytem wszech, którzyby się jeno krwie szlacheckiej czuli, napominam, aby pomnieli na stan swój i na tę *jedyną* (z której wszystkie inne płyną) wolność naszą, co ją „*omnes*“ zowią, iż wszyscy jednako mamy do wolnego obierania Pana należeć, które to „*omnes*“ szlacheckie, byśmy raz, czego Panie uchwaj, utracić mieli, jużbyśmy zaraz i z wolnościami wszystkimi zginąć musieli. Co wspomniawszy i uważywszy u siebie, wszystkiej krwie szlacheckiej proszę i napominam, *aby się każdy do tego go-*

1) Noailles III 126—7.

tował, jakoby na czas omieniony na tem miejscu elekcyi się stawił i tam z powinności swej o nowym panie z innym *wszem* rycerstwem radził...“ „A tam w dzień elekcyi gdy się zjedziem w łasce bożej, ja między WMciami bracią swą na pole wyjadę i od WMciów nie tylko rzeczą, ale da li P. Bóg ani pomyśleniem nawet, ni w czym się nie oderwę.“<sup>1)</sup>

Jeszcze echo uniwersału „najpierwszego“ nie przebrzmiało a już w 3 dni potem (14 VII) kasztelan lubelski, Stanisław Słupecki (w zastępstwie nieobecnego wojewody lubelskiego<sup>2)</sup>) wydał uniwersał do swego województwa lubelskiego.

Ten uniwersał wydany w porozumieniu ze starostą lubelskim, Tęczyńskim Janem, kasztelanem wojnickim — jest wprost powtórzeniem myśli i zwrotów wypowiedzianych przez Zborowskiego; a więc i Słupecki podkreśla, że nie chce takiej elekcyi, którejby dokonano „krom szlacheckiego stanu,“ a więc poleca zebrać się do „kupy“ całej szlachcie województwa, aby mógł ją pod chorągwią<sup>3)</sup> zaprowadzić na pole elekcyi, a tylko wyjątkowo (podobnie jak Zborowski) uwalnia od pospolitego ruszenia szlachtę zagrodową, której pozwala 1 lub 2 posłać reprezentantów.

„A ktobykolwiek z WM. do tej wspólnej gromady i pod chorągiew województwa tego nie przyjechał, okrom wielkiej a znacznej choroby, nie za jakim rozkazaniem mojem, ale z swej powinności, takie albo takiego *w tym spólnem zjeździe wszystkich województw* opowiemy i będziemy pronuntiować *hostem patriae* i zdrajcą Rptej i matki swej i tamże o gardle i majątności *jego radzić* będziemy.“

Więc znowu *przymusowa* elekcyja *viritim!* nie kto chce, ale każdy musi jechać na elekcyę.

Mniej wysunął się naprzód, ale niezawodnie w tym kierunku działał i potężnie zaważył, wielmoż trzeciego województwa małopolskiego — Firlej, wojewoda krakowski, który, będąc wodzem wszystkich protestantów — walczył o pierwszeństwo w czasie bezkrólewia z prymasem...

<sup>1)</sup> Noailles III 126—7.

<sup>2)</sup> Maciejowskiego. Słupecki pisze „gdy starszego urzędnika tego powiatu albo województwa nam nie staje.“ Uniwersał ten dotąd nieznanymi znajduje się w kopii XIX w. Bibl. Ord. Krasin. (kopia Albertrandego).

<sup>3)</sup> „Dla Boga! pan chorąży naszego województwa, aby z chorągwią gotową przyjechał, kiedy ja naznaczę i oznajmię.“

Jego to dziełem był zjazd knyszyński, jego to dziełem było podburzenie tam szlachty przeciw senatorom<sup>1)</sup>, jego dziełem było postanowienie, aby elekcyja odbyła się w bliskości jego dóbr koło Lublina, aby w ten sposób lubelska szlachta protestancka, której on był kierownikiem, mogła zaważyć na przyszłej elekcyi...

Stąd też i zjazd knyszyński sądząc, że istotnie pod Lublinem odbędzie się przyszła elekcyja i chcąc jak najwięcej pobliskiej szlachty protestanckiej ściągnąć na elekcyę — rzuca hasło jaknajliczniejszego w niej udziału mas.

Zjazd knyszyński w uniwersale (31 VIII 1572) zwołuje na elekcyę „wszystkich ludzi jakiegokolwiek stanu ze wszystkich państw koronnych, którzy według prawa i nadanej z dawna wolności do tego należą.“<sup>2)</sup>

Nie ma tu mowy o przymusowym udziale „viritim“ w elekcyi, bo nie chciano pobudzać dalekich Wielkopolan, lub katolickich Mazowszan do pochodu pod Lublin; autorom tego uniwersału chodziło o podniecenie tylko szlachty z najbliższych województw do przybycia, tak aby na elekcyi Małopolska i protestantyzm — mogły zwyciężyć.

Z tego też względu Firlej<sup>3)</sup> jest teraz zasadniczo przeciwny systemowi reprezentacyjnemu, a widać to stąd, że występuje przeciw zwoływaniu przed elekcyą jakichkolwiek sejmików (na których tylko przecież możnaby było wybrać posłów). Oznajmiając bowiem szlachcie swego województwa o terminie zbliżającej się elekcyi pod Lublinem, między innymi zaznacza<sup>4)</sup>: „iż w prawie pospolitem koronnem nie znajduje się to, aby przed taką elekcyą *sejmiki powiatowe* miały być składane i *posłowie od rycerstwa ku obieraniu sobie pana nowego* posyłani być mieli, jedno iż *wszyscy* obywatele *wszytkiej* korony polskiej, stanu rycerskiego społem z JM. pany radami do elekcyi takowej należą i za obwieszczeniem panów rad koronnych, na czas i miejsce wyznaczone zjechać się mają, nie zdała się tedy JM. być rzecz potrzebna, *aby przed*

<sup>1)</sup> „Z tego zjazdu Knyszyńskiego to urosło naprzód, iż Ieh M. przywiedli nas, rady (t. j. senatorów) do młodszej braci w jakieś unięmanie, jakobychemy albo tak leniwi, albo tak niedbali byli, żebyśmy o Rptej wiernie a pilnie radzić i o miejsce starać nie chcieli, jako Ieh M. czynić raczą (Uchań. IV 271).

<sup>2)</sup> Noailles III 117, Sienkiewicz, Skarbiec II 31—40. Por. Piliński str. 23, 31.

<sup>3)</sup> Podobnież: Zborowski 13 IX 1572 Noailles III 125.

<sup>4)</sup> Uniwersał z 29 VIII 1572 (kopie Albertrandego z Bibl. Ord. Krasin.). Byli jednak w Knyszynie niektórzy za zwoływaniem sejmików por. Noailles III 123.



*łą elekcyjną, gdy wszyscy do niej należą, sejmiki powiatowe miały być składane.*"

Już Piliński uwydatnił tą agitatorską rolę Firleja, który prowadząc walkę z prymasem i katolikami, musiał użyć do pomocy szlachty protestanckiej.

W roli tej utrzymywał się Firlej aż do czasu zebrania się konwokacji warszawskiej. Gdy na niej uchwalono, że miejscem elekcyi ma być nie Bystrzyca pod Lublinem ale Warszawa, że więc wpływać mają na elekcyę sąsiednie tłumy najzagorzalszych katolików, Mazowszan, a nie lubelskich protestantów, — od tej chwili staje się Firlej wrogiem elekcyi „viritim“ i stara się o zwycięstwo dla systemu reprezentacyjnego, ale już było „po harapie.“ Przeciwnicy jego, a przedewszystkiem Karnkowski z swymi Mazowszanami, pobili go jego własną bronią,

W przeciwieństwie do wspomnianych trzech magnatów małopolskich, do Firleja, Zborowskiego i Słupeckiego, — panowie wielkopolscy (szczególnie hierachia duchowna i to przed zjazdem kuzszyńskim) nie okazywała zupełnie zachwytów względem systemu „viritim“<sup>1)</sup>. System reprezentacyjny był więcej na rękę tym w Wielkopolsce<sup>2)</sup>, którzy chcieli przeprzeć Habsburga, gdyż kandydatura ta nie była popularną wśród mas szlacheckich. Na oko jednak udawali obojętność i dlatego prymas Uchański, wydając<sup>3)</sup> wraz z panami wielkopolskimi uniwersał z Chróśli na do panów małopolskich, godzi się w nim na oba systemy, bo domaga się, aby „każdy ktoby chciał, z województwa swego na sejm walny (elekcyą) z zdaniem swem do opatrzenia praw i wolności naszych (jakiemy mu się zdało najlepsze) w pokoju a zgodzie jechał, albo aby z *pośrodku siebie stali.*“

Kiedy jednak panowie wielkopolscy ujrzeni, że z Małopolski (i z innych stron) panowie postanowili pchnąć całe masy na elekcyę, wtedy i oni także zaczęli nakłaniać swą szlachtę do pochodu powszechnego na elekcyę, aby zrównoważyć siły małopolskie...

Przyszło im do tego nie łatwo, bo szlachcie się *nie chciało sunąć* pospolitem ruszeniem tak daleko (aż do Bystrzycy!) Dowodzi tego nader charakterystyczna scena, jaka się odbyła na sejmiku w Środzie (8 IX 72).

<sup>1)</sup> Edykt łowicki 23 VII 1572 oświadcza, że na elekcyę „ze wszystkich stanów“ mają się zjechać (Sienkiewicz, Skarbiec 20), cohy wskazywało na system reprezentacyjny.

<sup>2)</sup> Mosbach, Wiadomości do dziejów Polski, Ostrów 1860 str. 82.

<sup>3)</sup> 14 VIII 1572, Noailles III 112.

Tu obradowano w 2-ech kołach, osobno senatorowie a osobno szlachta i właśnie z wymiany przedstawiań i odpowiedzi między tymi dwoma kołami pozostały nam protokoły<sup>1)</sup>.

Panowie pobudzają tu najwidoczniej szlachtę przeciw urządzaniu elekeji pod dalekim gdzieś Lublinem, przyczem uderzają w ton popularności, podkreślając prawa młodszej braci do udziału w wyborze króla<sup>2)</sup>.

Oświadczają przytem zgodnie panowie: „A iż też p. sędzia ustnie nam od WM. takowe zdanie odniósł, aby na elekeją, *ktoby chciał, jechał*, a ktoby tu został, aby taki każdy *na granice ruszyć się był* powinien, tedy się nam to niezda z tej przyczyny, iżby *więcej tych było, którzyby tu zostali*. A iż niebezpieczeństwa takiego na granicach nie baczymy, przez które więcejby niż do elekeji (gdzie nam o wszystko idzie) potrzeba, tedy się nam zda *i o to WM. prosimy i napominamy, abyście na elekeją jechać raczyli, słyszając, jako się panowie Litwa i kto drugi, do czego się bierze*.” Ale i te namowy okazały się bezskuteczne, i szlachta upierała się przytem, aby część ich została w domu, niby to dla obrony granic. W odpowiedzi bowiem żąda „co się obrony pogranicznej dotyczy, ażebyście też WM. uchwalenie swe to do nas, braciej swej młodszej, odesłać raczyli dla wiadomości spółnej naszej i w tej mierze porozumienia.”

Wszystkie powyżej zaznaczone głosy za elekeją viritim dały się słyszeć przed oświadczeniem się Zamoyskiego (za elekeją viritim)—a i owszem w chwili, kiedy on się godzi jeszcze na system reprezentacyjny!

Zatem nie Zamoyski stworzył elekeją viritim, ale stworzyła ją *rywalizacya* magnatów protestanckich z duchowieństwem, magnatów małopolskich z wielkopolskimi, Firleja z prymasem,—rywalizacya wreszcie różnych części Rzptej, które jedna nad drugą chciały się przesadzić i na elekeji wystąpić z większą masową potęgą,—każdy magnat chciał, aby jego szlachty było na elekeji najwięcej, aby za jej pomocą mógł bronić interesów swej ściślej-szej ojczyzny, swego wyznania, i nie dać się innym zagłuszyć...

<sup>1)</sup> Kopie z XIX w. w Bibl. Ord. Krasin. „Podanie od rycerstwa wszystkiego poznań. województwa JM.P. Coronnym na zjeździe srzedzkim 8 7-bris 1872 (też kopia P. Pilińskiego Ms. Dzikowskiego w Bibl. Akadem. krakow. Nr. 1146 f. 19—20).

<sup>2)</sup> Wskazują, że trzeba zająć się „elekeją i publikacyą (o niej) rycerstwa wszystkiego, gdyż do tego jednak wszytęcy należą.”

Rywalizacya samych panów i zawiść śród magnatów, wydobylała na wierzch tłumy szlacheckie, tworzyła z nich czynnik rozstrzygający, który jednano sobie coraz dalej idącymi ustępstwami. W ten sposób partye walczące z sobą w łonie samego senatu, przelicytowały — tłum szlachecki.

Oczywiście jak tylko jedna część postanowiła iść ławą, musiała i druga dla zrównowazenia i własnej obrony też iść masą — a potem cofnąć się już było nie sposób, bo już sami panowie podburzyli masy przeciw sobie, już rozjątrzyli szlachtę, sami przeciw sobie podsunęli jej, posądzenia o praktyki z „Habsburgami“<sup>1)</sup>. I wówczas dopiero z tej masy wysunął się jej trybun: Zamoyski, przyszły pogromca „popularnych“ magnatów — Zborowskich...

Co więcej! Rywalizacya magnacka i partyjna miała niebawem sięgnąć do jeszcze niższych warstw szlacheckich i wywieść je przeciw sobie na pole elekcyjne.

Z początku bowiem — jak już napomknąłem — magnaci małopolscy nie wzywali jeszcze szlachty zagrodowej do udziału powszechnego w elekcji, owszem zaznaczali, że ta najbiedniejsza szlachta może poprzestać na wysłaniu tylko posłów.

Dopiero to hasło najbardziej „demokratyczne“ miało paść ze strony partyi katolickiej. Hierachia duchowna, widząc, że szlachta wielkopolska ociąga się od pospolitego ruszenia na elekcję, (istotnie na samą elekcję przybyli z poznańskiego i kaliskiego województwa tylko posłowie) postanowili gdzieindziej szukać mas, któreby mogli przeciwstawić protestantom. Wówczas to Karnkowski i Warszewicki wpadli na pomysł, którym istotnie pognębili protestantów — postanowili pełnąć na pole elekcyjne całe tłumy biednej szlachty mazowieckiej.

Zastrzedz tu jednak muszę, że do urzeczywistnienia tego pomysłu zabrano się dopiero wtedy, kiedy już Zamoyski miał sposobność wypowiedzieć się jasno za elekcją viritim<sup>2)</sup>, i dlatego Warszewicki zupełnie niesłusznie uzurpuje sobie pod tym względem palmę pierwszeństwa.

Opowiada bowiem, że na końcu już roku 1572<sup>3)</sup> cała szlachta mazowiecka zjechała się pod Warszawą w Zastowie i tu Warsze-

<sup>1)</sup> O tych praktykach wspomina już uniwersał wzmiankowany Słupeckiego.

<sup>2)</sup> O całym wystąpieniu Zamoyskiego za elekcją viritim — rozszerzę się w książce „Trybun ludu szlacheckiego“ (pod prasą).

<sup>3)</sup> Teod. Wierzbowski: Niewydane pisma str. 23. Czy to nie identyczny zjazd ze zjazdem w Grochowie 23 XII 1572.

wicki, dzięki swym stosunkom rodzinnym, przeparał, że zobowiązała się do udania się viritim na przyszłą elekcję, i to pod *przymusem*, pod groźbą kar...

Chwali się Warszewicki, że to była „rzecz nowa,“ i że dopiero inne województwa poszły za tym przykładem, choć obawiały się, że wskutek nagromadzenia takiego mnóstwa ludzi na jednym miejscu nastanie wielka drożyzna...

Warszewicki tu nazbyt wiele sobie przypisuje, gdyż inne województwa znacznie uprzedziły postanowienia Mazurów, a nowość tylko w tem tkwiła, że pospolitem ruszeniem podążyć musieli na elekcję nawet ci, co własną ręką ziemię uprawiali.

W. SOBIESKI.

# POLITYKA SZKOLNA

## terezyańsko-józefińska w Galicyi.

Cesarzowa Marya Teresa, głosząc zasadę, że szkoła jest agendą rządową, <sup>1)</sup> wyznaczyła temsamem sprawom szkolnictwa jedno z pierwszych miejsc, jeżeli nie co do czasu, to pod względem ważności w szeregu reform państwowych, wypełniających w zakresie zarządu wewnętrznego krajów habsburskich jej czterdziestoletnie panowanie. Równało się to bowiem urzędowemu z wysokości tronu uznaniu szkoły za narzędzie do osiągnięcia naczelných widoków państwowych. Te widoki dla Austrii owoczesnej sprowadzały się w dziedzinie wychowania publicznego do tego, ażeby całą ludność od lat najmłodszych wciągnąć w karby najsilniejszej centralizacji biurokratyczno-administracyjnej, a zarazem stopniowo dojść do przetopienia tak różnolitego ogółu mieszkańców dzierżaw habsburskich na jeden naród pod względem uczuć i pojęć, może nawet do zaszczepienia mu z czasem jednego wspólnego języka niemieckiego. Taka dążność miała swoje źródło w ogólnej orientacji państwowo-politycznej, ustalonej przez wszystkich panujących z domu Habsburgów począwszy od XVI wieku, a zmierzającej ku zespoleniu ich posiadłości, nader niejednorodnych pod względem narodowościowym, w jedną, organiczną całość.

Na tak doniosłym dla osiągnięcia tych celów polu szkolnictwa, o które tutaj chodzi, przyniosła druga połowa w. XVIII w Austrii nadzwyczaj znamienne, a nawet radykalne, zmiany w pojęciach i praktyce państwowej. Rząd oświeconego absolutyzmu,

<sup>1)</sup> Die Schule ist ein Politicum.

poznawszy, jak znaczne usługi mogła mu oddać szkoła, kształcąca przyszłe pokolenia jego poddanych, musiał za wszelką cenę dążyć do ujęcia jej steru w swoje ręce i do zapewnienia jej najważniejszych podstaw, na których chciał to wychowanie oprzeć. Starając się zaszczerpić swym poddanym takie zasady i poglądy, któreby mu ułatwiały osiągnięcie wytkniętego celu, musiał to uczynić na gruncie oświaty i moralności: najpierw kształcić ludzi, a potem wyrabiać ich na obywateli. Tak wyraził zadanie państwa na polu oświaty jeden z głównych organizatorów monarchii terezyjańsko-józefińskiej, J. v. Sonnenfels.<sup>1)</sup>

Stworzenie nowego systemu naukowego, nakreślenie planów, zorganizowanie szkół i obmyślenie odpowiednich funduszków, wreszcie zebranie nauczycieli były to zadania ważne i nie łatwe do spełnienia. Po za instytucjami kościelnymi, po za duchowieństwem świeckiem, które się zajmowało szkołami początkowymi i zakonnikami, prowadzącymi zakłady wyższe, nawet uniwersytety, po za duchowieństwem, uważającym nauczanie za przywilej swego stanu, za wyłączną niemal swoją atrybucyę — nie było ludzi zdolnych służyć państwu jako kierownicy oświaty i nauczyciele. Należało tedy specjalny stan nauczycielski wytwarzać dopiero z niczego, a na razie wezwać do pełnienia jego obowiązków księży. Trzeba było wybrać jednostki do pracy pedagogicznej z tej grupy ludzi, która przez kilka wieków wytworzyła praktykę nauczycielską i system wychowania, obecnie niewystarczający i wadliwy, ale jedyny, jaki był, pozostawić je przy dawnem zajęciu, zaszczerpiając im jednakże nie tylko nowe teorie, ale i odmienne cele: zmusić do służenia przedewszystkiem idei oświaty i państwu, a nie kościołowi. Pierwszy krok w tym kierunku uczyniła Marya Teresa przez pośrednie uwydatnienie wpływów państwowych na studia teologiczne, a w dalszym ciągu wprost już zmierzał do tego celu Józef II zakładając na własną rękę seminarya generalne w miejscu dawnych dyecezyalnych. Tak znaleziono nauczycieli, którzy w dodatku z organizacyi kościelnej wynieśli karność i uległość wobec władzy, dwie cechy bardzo pożądane u urzędników absolutyzmu.

---

1) G. Wolf. Das Unterrichtswesen in Oesterreich unter Kaiser Josef II nach einer Darstellung von J. v. Sonnenfels aus dem Jahre 1786.

Die Bildung zum Bürger setzt die Bildung zum Menschen voraus. Diesen bildet der Moralist. Jeder Bürger muss solche moralische Grundsätze haben, welche mit den Gesetzen des Staates in Übereinstimmung stehen.

Cesarzowa, mimo swych poglądów politycznych, które niekiedy stawiały ją w kolizyi z kompetencją Kościoła, była osobiście nader pobożną i pragnęła poddanym swym zapewnić wychowanie religijne. Natomiast syn jej i współregent, a późniejszy następca, cesarz Józef II był wprawdzie nierównie od matki wolnomyślniejszym i po objęciu rządów nosił się też z myślą usunięcia wręcz kleru od wychowania młodzieży, był jednak przedewszystkiem praktycznym i oszczędnym. Pragnąc zatrudnić wszystkich poddanych w sposób najbardziej dla państwa użyteczny, uważał pozostawienie duchowieństwu zajęć wyłącznie religijnych za marnowanie ich czasu i zdolności; przytem księża, uposażeni przeważnie dostatnio, mogli jego zdaniem ponosić tem większe ciężary na cele oświaty, im bardziej sami przez pozostawienie im wpływu na nią, byłiby do tego zachęceni. Z majątku kościelnego, nie licząc wielu mniejszych i większych fundacyj, przeznaczonych pierwotnie na naukowe lub zamienianych na nie później, powstał i w Austrii pierwszy stały fundusz naukowy skutkiem konfiskaty dóbr skasowanego zakonu Jezuitów, po którym rząd objął spełnianie przezeń obowiązki filantropijne i wychowawcze.<sup>1)</sup> Skołatany przez długoletnie wojny i kosztowną gospodarkę skarb austriacki nie byłby zapewne bez tej pomocy podołał nowym wydatkom na cele oświaty; mając jednak w ten sposób zapewniony fundusz i siły nauczycielskie, mogła Marya Teresa wykonać powzięty zamiar reformy szkół w duchu, jaki uznała za najlepszy dla swego państwa. Prace nad nakreśleniem planu prowadzone były przez szereg lat, poddawane wielokrotnym rewizyom i zmianom, jak wszystkie projekty ustaw austriackich w tej epoce, a jak w wielu innych działach zarządu państwa, tak i na polu szkół ludowych, szukała cesarzowa wzoru u swego wielkiego przeciwnika, Fryderyka II.

Zwłaszcza w prowincyi świeżo przez Prusy na Austrii zdobytej, na Śląsku, powstały szkoły ludowe, które zwróciły na siebie uwagę cesarzowej i zdawały się najbardziej odpowiadać potrzebom austriackim. Twórcą ich, ks. Ignacy Felbiger, opat żegański, uzyskawszy wskutek żądania Maryi Teresy pozwolenie na

<sup>1)</sup> Zbiór rozporządzeń i ustaw dla królestw Galicji i Lodomerji wydawany przez Pillera. R. 1774 27/1: „Majątek ten słusznie jest przyłączony Najjaśniejszej C. K. Mości Najwyższemu Skarbowi, który obejmuje *stanność o przeszytych zniesionego Towarzystwa częściach*, wykonanie dawnych *S. P. i miłych fundacyi i szkoły*.”

Powyższy ustęp, przytoczony dosłownie, może służyć za przykład tłumaczeń ustaw dla Galicji w owym czasie i później.

dłuższy wyjazd za granicę, przybył do Wiednia i jego dziełem był pierwszy projekt nowego systemu szkolnego dla krajów habsburskich. Praca Felbigera nie uzyskała w zupełności aprobaty cesarskiej, jako zbyt liberalna pod względem religijnym, stała się jednak podstawą do innych, już zupełnie odpowiadających żądaniom monarchini i wprowadzonych w życie.

Reformy te objęły głównie szkoły ludowe, pozostające pod wpływem księży świeckich. O ile skutkiem zniesienia zakonu Jezuitów przeszły i uniwersytety z ich rąk pod bezpośrednią opiekę rządu, pozostawiono z drugiej strony szkoły średnie, t. zw. łacińskie, zakonom, które je dotychczas prowadziły. Dopiero po śmierci Maryi Teresy podlegają one większemu wpływowi rządu, a od r. 1785 całkiem ustępują miejsca gimnazyom rządowym i w tych jednak nauczycielami bywają członkowie zgromadzeń zakonnych, nawet byli członkowie zakonu Jezuitów.

Między wykonawcami pomysłów Maryi Teresy i organizatorami szkół ludowych na wzór tej, która powstała w Wiedniu, nikt może nie potrafił tak wnikać w myśli monarchini i równie trafnie ich wykonać, jak ks. Ferdynand Kindermann, kierownik szkoły i proboszcz, później dziekan w Kaplicach, w północnych Czechach, a z czasem biskup litomierzycki. Przejęty wielką czcią dla cesarskiej i wierząc w doskonałość jej planów, umiał on, będąc sam gorliwym księdzem i gorliwym pedagogiem, wlać w nie oba pierwiastki, t. j. religijność i oświatę, których do wychowania młodzieży żądała Marya Teresa. Szkoły Felbigera poznał Kindermann według szkoły normalnej w Wiedniu i na miejscu w Żeganiu, dokąd dla dokładnego przyjrzenia się im pojechał, a następnie sam zorganizował szkołę parafialną w Kaplicach, która niebawem stała się obok wiedeńskiej normalną, wzorem dla innych powstających w państwie. Tam, pracując wśród dziatwy szkolnej pod kierunkiem Kindermanna kształcili się przyszli nauczyciele ludowi — była to podówczas jedyna droga do nabycia uzdolnienia, wiadomości i prawa do zawodu nauczycielskiego — przyswajając sobie w praktyce i teorii szczegółowo opracowaną t. zw. normalną metodę nauczania (Normalschulmethode), podług której miała być prowadzona nauka we wszystkich szkołach niższych całego państwa. W Kaplicach też kształcili się pierwsi nauczyciele, przeznaczeni na kierowników szkół galicyjskich.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> W r. 1774 wysłało gubernium lwowskie 4 kandydatów na kurs przygotowawczy do Kaplic. Byli to późniejsi nauczyciele szk. nom. we Lwowie: Padlewsky, Guericke, Laib i Wickler — (Bibl. Ossol. Rps. 525a str. 311 i nast.)



Prócz kształcenia nauczycieli, odpowiadających wymaganiom rządu, mógł Kindermann wywierać wpływ na szkolnictwo także i w inny sposób; w r. 1785 opracował on na wezwanie Nadwornej Komisji Szkolnej projekt zmian w szkolnictwie galicyjskiem, nadesłany z Wiednia do Lwowa i oddany tamtejszemu inspektorowi szkół ludowych ks. Hoffmanowi, celem przeprowadzenia zawartych w nim uwag, o ile okażą się one korzystnymi w stosownej chwili przy regulacji parafii.<sup>1)</sup> Znamieniem jest dla charakterystyki epoki, iż Kindermann pisał swój memoriał, znając Galicyę tylko z opisu. Centralistyczna biurokracja wiedeńska, o ile możliwości nie lubiła uwzględniać stosunków odrębnych, panujących w poszczególnych krajach; do wydania opinii w sprawach szkolnych wystarczało być uznanym za dobrego pedagoga i znawcę przyjętego systemu szkolnego, a takim był Kindermann bez wątpienia.

Jakie były owe „opisy“, według których autor memoriału mógł sobie wyrobić pojęcie o Galicyi, trudno dziś powiedzieć. Sądząc z aktów urzędowych od najpierwszych chwil rządów austriackich t. j, od r. 1772, wnosić można, iż smutny, opłakany stan tego kraju pod względem oświaty, starano się przedstawić w gorszym jeszcze świetle. Czem jednak wyjaśnić, iż w r. 1785, a więc po 13 latach rządów austriackich, wcale się on nie podniósł? Kindermann wychodzi z założenia, że w Galicyi duchowieństwo świeckie i regularne do nauczania nie może być użyte, że w kraju brak zupełnie oświaty i funduszków na jej zorganizowanie.<sup>2)</sup>

Więc gdzież rezultaty lwowskiej szkoły normalnej, dla której on sam przed 11 laty przygotowywał nauczycieli? Czy ludność Galicyi nie umiała z ich pracy korzystać, czy też po za

1) Archiw. Namiestn. we Lwowie. Normalia. Dekret Nadworny z 10/III 1785 zawiera powyższy memoriał p. t. „Mittel wie die allgemeine Schul- und Nationalverbesserung in Galizien einzuleiten und zu gründen wäre“ zaopatrzonej przez gubernium w uwagę dla ks. Hofmanna: damit ein schicklicher Gebrauch von dem Nutzbaren, so dieser Antrag enthält gemacht werde, hauptsächlich bey der künftigen Pfarrregulierung.

W końcu memoriału autor zaznacza, iż pisał te uwagi „über ein Land, welches ich nur der Beschreibung nach kenne.“

2) „das man in Galizien die dermalige Kloster- und Seelsorgegeistlichkeit wenig brauchen könne, dass bei der Nation so wenig Licht vorausgenommen sey, als im Lande zur allgemeinen Schul- und Seelsorge Fond vorhanden ist.“

Lwowem, mimo rozporządzeń i nakazów, szkół nie zakładano? Wszystkie akta z pierwszych lat panowania Józefa II (1780 - 85) wywołują w czytającym jedno wrażenie, że do r. 1780 nie powstało, niczego nie zrobiono dla szkół i podniesienia oświaty; zdaje się, że rząd wiedeński zaczyna te sprawy organizować po raz drugi, a nad pracą poprzednich lat przechodzi do porządku. O ile jednak można sądzić, pierwsze te lata panowania austriackiego zaznaczyły się usunięciem z Galicji funduszków pojezuickich, przeznaczonych na potrzeby oświaty, iłączeniem ich z funduszem naukowym czeskim. Tak świadczy odpowiedź Kancelaryi Nadwornej z r. 1780 na zapytanie cesarza, dla czego nie zdziałano nic w Galicji dla podniesienia oświaty.<sup>1)</sup> Na brak sił nauczycielskich i kandydatów do tego zawodu narzekają wszyscy namiestnicy i radcy gubernialni zarówno, jak na brak środków pieniężnych. Nie można się też dziwić, że i Kindermannowi przedstawiał się cały kraj jako „tabula rasa.“

Z natury rzeczy wynika, że nie znając potrzeb ani środków, do których miały się zastosować projektowane przez niego zmiany, nie mógł Kindermann opracować szczegółowych wskazówek i ograniczył się jedynie do zasadniczych uwag, a choć nie wiemy, czy i o ile potem je wykonano, bo rządy biurokratyczne obfitowały w rozporządzenia, których nikt następnie nie stosował, są one bardzo zajmujące. Dowiadujemy się z nich, jakie były podówczas zapatrywania na najważniejsze sprawy szkolnictwa ludowego nie tylko w Galicji, bo system był jeden i ten sam dla całego państwa; skoro zaś pochodzą one od jednej z największych i za taką uznawanej powagi na tem polu, skoro pozyskały uznanie i polecenie zostały do wykonania, wolno przypuszczać, że są wyrazem opinii sfer rządowych. Kindermann, jak i większość ludzi w tym czasie, wychowanych pod rządami Maryi Teresy, był przejęty jej dążeniami i polityką i nieraz wyraża poglądy, nie mogące w zupełności odpowiadać zamiarom Józefa II. Przedewszystkiem jest on zwolennikiem pracy wytrwałej i długiej, aby najpierw w żywiołu miejscowego, „aus denen Nationalisten,“ wyrobić zdatnych nauczycieli, zaszcześcić im obok zaniłowania do pracy

<sup>1)</sup> Haus- Hof- u. Staatsarchiv. Staatsratsakte z r. 1780 № 1279 „bemerket die Hofkanzley: Über die Erinnerung, dass in Galizien für die Nation gar nichts, weder zur Beruhigung, noch zu einer Aussicht auf das künftige, noch zur Consolidierung oder deren Bildung geschehen sey: In Betreff der Bildung der Jugend habe bey Verwendung des Exjesuiten-Fonds zur Aushilfe (des Böhmeischen bei dem besten Willen nichts geschehen können.“

pedagogicznej, obok zrozumienia zadań, którym mają służyć, także i tendencje wychowania ludności w duchu państwowym i w sposób przyjęty przez rząd. Mimo, że uznaje gwałtowną potrzebę zwiększenia liczby nauczycieli w jaknajkrótszym czasie i nie występuje wprost przeciw nasyłaniu do Galicyi obcoplemieńców, czego żądał cesarz, nie obiecuje sobie po nich takich korzyści, jak po krajowcach, wykształconych w Wiedniu lub Pradze. Zdaniem jego tylko ci mogli pozyskać ludność miejską i wiejską dla szkoły i oświaty.

Myślą przewodnią wspomnianego projektu jest ścisły związek, mający łączyć szkołę z kościołem, a księdza z nauczycielem. Kindermann, który sam był księdzem, uważał za pierwszy, najważniejszy i najszczytniejszy obowiązek swego stanu, po za spełnianiem funkcji religijnych, nauczanie i wychowanie i dla tego w każdym księdzu rad był widzieć nauczyciela. „By podnieść stan umysłowy i moralny narodu galicyjskiego,“ tak mówi w swojej pracy, „należy zacząć od tych instytucyj, które kształcą nauczycieli i księży, t. j. od seminaryum wraz z konwiktem kleryków i od szkoły normalnej.“ Jak szkoła wiedeńska dla Austrii właściwej i dla całego państwa, tak szkoła normalna, założona we Lwowie w r. 1775, miała być nie tylko wzorem dla innych szkół galicyjskich, ale także miejscem kształcenia się teoretycznego i praktycznego przyszłych nauczycieli. Kursa t. zw. „preparandy,“ urządzone w niej corocznie, miały dać kandydatom możność wyćwiczenia się w przedmiotach wykładowych, zasadach pedagogii, odczywiście i w uznanej za niezbędną normalnej metodzie nauczania.

Żądaniem memoriału jest ścisłe połączenie seminaryum generalnego ze szkołą normalną tym węzłem, który potem ma łączyć księdza ze szkołą początkową w jego parafii. Ksiądz, tak jak dawniej, winien pozostać głównym opiekunem i kierownikiem szkoły, a właściwy nauczyciel jego pomocnikiem, jakim bywał organista lub inny sługa kościelny, uczący czytania i pisania. Mając nieraz takich niezbyt wyrobionych pomocników powinni tembardziej księża sami być dobrymi i wykształconymi pedagogami, a tego seminaryum im nie da, jeżeli nie będzie połączone z zakładem wychowawczym. I jako duszpasterz, jako moralny kierownik powierzonej sobie ludności, powinien ksiądz umieć nauczać, a na to jest mu koniecznie potrzebną uprzednią praktyka nauczycielska. <sup>1)</sup>

1) „Der Seelsorger soll und muss ein guter Volkslehrer sein, er wird es aber nicht werden, wenn er vorher kein geübter Jugendlehrer war.“

Wykształcenie zawodowe nauczycieli i księży, którzy potem mają oddziaływać na młode, a równocześnie i na starsze pokolenie, było według Kindermanna pierwszą potrzebą Galicyi.<sup>1)</sup> Mimo to nie pochwala on myśli, by wprowadzić w tym kraju rozporządzenie cesarskie, nakazujące klerykom jako warunek konieczny do pozyskania stanowiska wikarego, spędzać wakacje podczas 6-ioletniej nauki w seminaryum generalnem na kursach preparandy nauczycielskiej. Środek ten, choć w zasadzie dobry, dla Galicyi nie wydawał mu się odpowiednim. Przez takie obowiązkowe ćwiczenia w nauczaniu i metodzie normalnej, stanowiącej podwalinę przyszłej jego pracy, pozbawiony był alumn w ciągu całego czasu swych studyów jedynych w roku tygodni wolnych, przeznaczonych na odpoczynek. Przymus, wywierany w tym kierunku, mógł młodzieży galicyjską, na razie mniej od niemieckiej przejętą doniosłością celu, który miano w ten sposób osiągnąć, odstręczyć od zawodu nauczycielskiego i duchownego, dla tego też radzi Kindermannu postępować wolniej i łagodniej. Galicya potrzebuje dobrych księży, a więcej jeszcze dobrych nauczycieli, więcej nauki niż kazania, i dla tego też Kindermann wymagał od księży raczej więcej znajomości pedagogiki i umiejętności nauczania, niż właściwych nauk teologicznych.<sup>2)</sup> Ale dla wyrobienia takich księży-nauczycieli należy w nich rozbudzać zamiłowanie do tego stanu, a unikać wszystkiego, coby ich mogło do niego zniechęcić. Tak chowany ksiądz, gdy z czasem zostanie proboszczem, będzie uważał szkółkę parafialną za pierwsze i najważniejsze pole swej pracy, wymagające jak największej uwagi i staranności.

Wszystkie te argumenty przytoczone są dla uzasadnienia konieczności połączenia nauki seminaryjnej z nauczaniem początkowem i katechizacją — praktycznym wykładem religii. Należy się starać, by dyrektor seminaryum generalnego we Lwowie mógł równocześnie objąć kierownictwo tamtejszej szkoły normalnej, co dawałoby alumnom możność i zachętę do zbliżania się z tą ostatnią. Gdyby takie połączenie nie dało się przeprowadzić, choćby ze względu na brak odpowiedniego pomieszczenia, powinna przy seminaryum powstać szkółka najniższego typu, trywialna, i w niej powinni bywać alumni. W tej szkole ma uczyć katechizmu

1) „Erst muss man die belehren, welche andere belehren sollen.“

2) „Ich würde den jungen Geistlichen eher Fehler in der spekulativen Theologie, in der Kunst zu predigen, als in der Pädagogie, in der Katechisation und Erziehungskunst nachsehen.“

dyrektor semnaryum lub katecheta szkoły normalnej, a naukę prowadzić w języku ojczystym alumnów; przytem dbać o to, by i oni do katechizacyi się wkładali.

Tak jedynie, przez połączenie nauki teologii z wykształceniem nauczycielskiem w teoryi i praktyce, można osiągnąć cel szkoły, szerzenie prawdziwej oświaty, cel równie ważny dla państwa pod względem politycznym, jak i kulturalnym. Inaczej nie zdobędą sobie księży tych doniosłych wiadomości i zamiast pracować z rzeczywistym pożytkiem ludu, szliby doń jedynie z dogmatyką scholastyczną, którejby on zgoła nie rozumiał.<sup>1)</sup> Zachowanie dawnego systemu nauki scholastycznej, odsunąć może zdobycie oświaty dla całego państwa na długie lata, jeżeli nie udaremnii w zupełności tego zadania, jakie sobie państwo postawiło.

Nauka w szkołach początkowych powinna być prowadzona tylko w języku ojczystym dzieci, a nie w obcym dla nich, choćby niemieckim. Dzieci nie władają żadnym językiem, oprócz swego, i żadnego innego nie rozumieją, a gwałtownem narzucaniem go można na zawsze zniechęcić do szkoły i rodziców i dzieci.<sup>2)</sup> To też i książki szkolne, przyjęte do nauki w krajach niemieckich, należy dla galicyjskich szkół początkowych przetłumaczyć na polskie; w szkołach wyższego typu, t. zw. szkołach głównych (Hauptschulen) i normalnych (Normalschulen) można już rozpocząć naukę niemieckiego. Nie ucierpi na tem pozostawieniu języka polskiego w niższych szkołach, sprawa germanizacyi kraju. Znajomość niemieczyny będą szerzyły szkoły średnie, t. zw. łacińskie i uniwersytet, gdzie już tylko ten język będzie wykładowym. Do rozpowszechniania go zresztą musi się przyczynić uznanie go za urzędowy w sądach i wszystkich urzędach, tak że bez władania nim nikt do posad rządowych nie będzie mógł być dopuszczonym; a ostatecznym bodźcem w tym kierunku mógłby się stać zwyczaj zachęcania księży i nauczycieli do nauczania niemieckiego przez rozdawanie nagród i pochwał tylko za taką pracę w godzinach wolnych od nauki.

Dokonawszy reorganizacyi szkoły normalnej i semnaryum we Lwowie, należy zakładać szkoły główne w miastach obwodo-

<sup>1)</sup> „würden sie dem Volke nur gut scholastisch vordogmatisieren, ohne dass dieses etwas davon verstehe.“

<sup>2)</sup> „Wäre zu befürchten, dass man den Eltern und Schülern durch das Aufdringen einer fremden, z. B. der Deutschen Sprache das ganze Schulwesen nur verhasst macht.“

wych — liczba ich wyniosłaby razem z lwowską szkołą normalną 18, bo na tyle obwodów kraj był podzielony. Co do zakresu i sposobu nauki, odpowiadałyby one szkole normalnej, a służyłyby za wzór dla szkół trywialnych, znajdujących się w każdym obwodzie, z czasem dałoby się może i w szkołach głównych zaprowadzić kursa przygotowawcze dla nauczycieli ludowych. Podobne kursa, urządzane w Pradze, pociągają za sobą wydatek ze skarbu w kwocie 500 fl.; z tej sumy opłaca się i mieszkanie dla kandydatów na czas trwania kursu, przyczem 8 kandydatów dostaje wspólne pomieszczenie i strawne w ilości 7 kr. dziennie na każdego kandydata. 500 fl. wydanych co roku z funduszków pojezuickich na podobne kursa w Galicyi opłaciłyby się państwu wielokrotnie, bo mogłyby oddać nieobliczalne usługi sprawie oświaty.

W dalszym ciągu memoriału Kindermanna znajdujemy projekt, by z pośród kandydatów stanu duchownego wysłać 12-tu na 3 lata do seminaryum praskiego i wiedeńskiego. Tam mieliby oni możność dokładnego poznania metody normalnej i ogólnego kierownictwa zakładów, prowadzonych zupełnie według wymagań państwa, poznaliby język i kulturę niemiecką i przyswoiliby sobie obok wiadomości pedagogicznych, znajomość zajęć praktycznych (Industriewissenschaften). Roboty ręczne, także i zajęcia kobiece, np. przedzenie, były przedmiotem nauki w szkołach, podległych Kindermannowi, gdzie przywiązywano do nich, równie jak i do wszelkich ćwiczeń fizycznych, nie mniejsze znaczenie, jak do zajęć umysłowych,— a wobec rodziców był to środek zachęcający do posyłania dzieci do szkoły. Tak samo powinien, zdaniem autora memoriału, i w Galicyi ksiądz, jako kierownik szkoły ludowej normalnej i trywialnej, być obeznany z temi zajęciami, by dzieci z ich nauki mogły tem więcej skorzystać.

Tych 12-tu kleryków, wróciwszy po upływie 3 lat do kraju, mogłoby stanowić poważny już zastęp nauczycieli w istniejących i mających powstać szkołach. Łączyliby oni w sobie znajomość potrzebnych do nauczania przedmiotów, nabytą u źródła, od twórców i krzewicieli nowej metody szkolnej, z większą znajomością świata i ludzi, (o czem jednak autor memoriału nie wspomina) i z tym bardzo ważnym względem, że jako krajowcy (Nationalisten) łatwiej mogli się wywiązać z podjętej pracy nauczycielskiej, niż obcy, nie znający ani kraju, ani ludzi, ani języka.

Trzy lata — był to jednak za długi okres dla Józefa II. Monarcha ten, odznaczający się gorączkowym pośpiechem w wykonywaniu powziętych zamiarów, zwłaszcza planów reformatorskich, nie byłby się zapewne zgodził na czekanie 3 lat do powrotu owych

12 księży, aniby przez ten czas chciał poprzestać na tych, co po-kończyli lwowskie seminaryum generalne i szkołę normalną. Bez-wątpienia kazałby on sprowadzić nauczycieli Niemców i Czechów, nie bacząc na to, jak się ci przybysze porozumieją z dziećmi, powierzonymi ich opiece i nauce. Działo się tak nieraz, przedtem i potem, zarówno w szkołach, jak i w urzędach. Wprawdzie sam cesarz, naówczas jeszcze współregent matki, bardzo był zdziwiony, dowiedziawszy się w r. 1773 o zamianowaniu na członka galicyj-skiego rządu krajowego radcy Guerigiego,<sup>1)</sup> nie umiejącego po polsku, po niemiecku, ani po łacinie, lecz i za jego rządów napływ zupełnie obcego żywiołu urzędniczego i nauczycielskiego do Ga-licyi raczej się zwiększył, niż zmniejszył. Przewidując takie roz-porzządzenie, radzi Kindermann, by ci nauczyciele władali, jeżeli nie polskim, to choć jakim innym słowiańskim językiem, a przy-tem, by im wyznaczyć lepsze wynagrodzenie, gdyż mogąc za tą samą lub mniejszą zapłatą pozostać we własnym kraju, nie zechcą szukać posady w Galicyi, kraju obcym i mniej cywilizowanym.<sup>2)</sup> W ostatnim punkcie memoriału mówi autor o zmianach w szkol-nictwie wiejskiem, wywołanych przez projektowaną regulację parafii.

Zamiast wikaryuszów, jak dawniej, radzi on mianować obok proboszczów t. zw. „geistliche Lehrer,“ duchownych, posiadających kwalifikacye na nauczycieli, mogących zatem być równocześnie duszpasterzami i kierownikami szkółek parafialnych. Zmiana ta byłaby już przez to samo korzystną, że ci ludzie podlegaliby pod-wójnej kontroli, ze strony biskupa i ze strony inspekcji szkół ludowych. Utrzymanie takiego nauczyciela dałoby się pokryć w następujący sposób: pobierałby on 200 fl. z funduszów kame-ralnych, dominialnych lub pojezuickich, przytem stosowną or-dynaryę w zbożu, bo ten sposób wynagradzania nauczycieli wiej-skich był w powszechnem użyciu, a jako ksiądz i pomocnik właściwego proboszcza w sprawowaniu czynności duchownych

1) „Wie Graf Wratislaw der schon... und Guerigi aus Amsterdam der wohl alle Sprachen, ausgenommen die teutsche, pohlische und lateinische inner haben wird als Gubernialrätthe anderst, als um eine Besoldung zu ziehen, die Zahl zu vermehren und andere noch irre zu führen können angestellt werden, übersteiget meinen Begriff (Własnor. notatka Józefa II. Bibl. Ossol. Rps. 325a str. 52).

2) „Sie würden sonst bei dem halben Gehalte in ihrem civilisierten Va-terlande bleiben.“

miałby prawo do połowy dochodów z opłaty za nabożeństwa i innych iura stolae. Będąc zarządcą szkoły miał czuwać nad ogólnym biegiem nauki, nad zachowaniem metody normalnej, a przytem sam codziennie poświęcać 1 godzinę na naukę religii i zasad moralności. Inne przedmioty, t. j. czytanie, pisanie i rachunki prowadziłyby w tej szkole jego pomocnik, równocześnie organista, zakrystyan i nauczyciel, pobierający wynagrodzenia rocznego 50 fl. oprócz innych dochodów sługi kościelnego.

Projekt złączenia szkoły ludowej z kościołem, w osobie głównego kierownika, bynajmniej nie równał się oddaniu jej pod taki sam wyłączny wpływ duchowieństwa, jak bywało przed epoką terezyjańską. Przedewszystkiem miał nauczyciel teraz podlegać władzy szkolnej rządowej, pozostając pod nadzorem inspektora szkolnego, powtóre, byłby już on sam uczniem seminarjum generalnego, które podczas 5 lat swego istnienia wydało zastęp wyświęconych urzędników, księży, chowanych w zasadach iuris principis circa sacra, a i sami biskupi, którym narówni z inspektorami szkół oddany miał być nadzór nad tymi nauczycielami, wyznaczani byli z pomiędzy ludzi posiadających zaufanie rządu. Kindermannowi, choć sam był wiernym sługą władzy państwowej, chodziło jednak więcej, niż o stosunek tych księży-nauczycieli do rządu, o ich działalność pedagogiczną. Dla tego nie obiecywał sobie wiele po zwiększeniu parafij, których liczba miała się w Galicyi podnieść do 2500, jeżeli szkoły, mające powstać w każdej z nich, nie będą miały choć po jednym dobrym i wykształconym nauczycielu. Z tego też powodu w końcu swych uwag raz jeszcze wykazuje, jak ważnem jest zadanie dyrektora seminarjum, wychowującego tych przyszłych kierowników ludu. Nauczycieli powinno być wielu, ale powinni oni być też wszechstronnymi i nie zacieśniać swjej działalności w jednym tylko kierunku, lecz owszem, dbać o wszystkie wymagania pedagogii, o rozwój fizyczny i uszlachetnianie serc swych uczniów, zarówno jak o ich wykształcenie unysłowe.<sup>1)</sup>

Od takich ludzi, od tych, którzy podobnych pedagogów mają wykształcić, zależy teraz szybkość podniesienia poziomu oświaty i moralności przeszło 3 milionowej ludności Galicyi.

<sup>1)</sup> „Nur recht viele Pädagogen, welche es verstehen, den Leib nach den Gesundheitsregeln zu bilden, den Verstand aufzuklären und das Herz zu veredeln, welches alles die Pädagogie zum Endzwecke hat.“



Tendencje germanizacyjne rządu wobec zagarniętych prowincyj objawiły się od pierwszej chwili zaboru. Nie pojmowano państwa, któreby nie pracowało nad konsolidacją ludności, choć uważano osiągnięcie tego celu za rzecz trudną i odległą.<sup>1)</sup>

Lecz przytem dbano szczerze o szerzenie w tych krajach oświaty. Rząd wiedeński sam popierał szkoły niemieckie, nawet niższe — zakładał je przy powstających koloniach niemieckich, przy komendach wojskowych i w miastach, a wszystkie zostały otwarte i dla dzieci ludności polskiej, którym chciano „nie odbierając ich języka, dać możność nauczania się po niemiecku.“ Jednakże praca nad szerzeniem nauki polskiej spotykała się z uznaniem i nagrodą. W r. 1783 obdarzył Józef II medalami 4 księży galicyjskich za dobrowolne nauczanie dzieci. Plebani z Monasterzysk i Nowego Martynowa za nauczanie początkowe po polsku, tak samo i ks. Jelicki, wikary z Niepołomic, uczący kilkunastu chłopców polskiego i łaciny dostali medale srebrne, a proboszcz ze Świerza medal złoty za utrzymywanie szkółki wiejskiej. Nagrody te zostały za rozkazem cesarskim ogłoszone w całym kraju dla zachęcania innych osób do podobnej pracy.<sup>2)</sup>

Z natury rządów oświeconego samowładztwa wynika, iż dozwolona może być tylko ta nauka, którą rząd uznał za dobrą, ale wynika także przymus szerzenia jej wszędzie i wszelkimi sposobami.

Oprócz powszechnego przymusu nauki szkolnej, zaprowadzonego w r. 1781 wydano w epoce rządów Józefa II wiele przepisów mających ten cel na względzie; zwłaszcza chodziło o rozszerzanie nauki elementarnej i zakładanie szkół w każdej parafii, mającej 100 dzieci w wieku szkolnym. Szkół wyższych, łacińskich nie uważał cesarz za tak ważne, dla tego liczbę ich, w Galicyi np., zmniejszył znacznie. W jego pojęciu były to zakłady

<sup>1)</sup> Haus-Hof- u. Staatsarchiv. Staatsratsakte 1780 № 1279 Votum R. Geblera w sprawach szkół galicyjskich: Der Staat muss daraufhin arbeiten, nach und nach ein Volk zu werden. Ich weiss wohl dass halbe und ganze Seculen dazu gehören und dass an wenigsten ein Zwang stattfinden darf. Allein der Staat lebt ewig, das heisst über alle Menschen hinaus und nach dieser Aussicht, nicht für seine eigene Lebensdauer müssen Fürst und Staatsdiener denken und handeln. Ich halte die Nebeneinführung der deutschen Sprache durch die Schule für höchst nützlich.

<sup>2)</sup> Archiw. Namiestn. Lwowskiego. Fasc. 8 1784. Dekret Nadw. Kancel. 11/XII 1783.

ułatwiający jedynie wstęp do uniwersytetu. Że zaś uniwersytet miał być przede wszystkim szkołą zawodową dla urzędników, lekarzy, nauczycieli, tak jak seminaria i studia teologiczne kształciły księży na potrzeby państwa, nadmierna ich ilość nie zdawała się pożądaną.

Czy jednak rozporządzenia te bywały wykonywane, na to bezwątpienia należy odpowiedzieć przecząco. I za rządów Józefa II działo się z nimi nieraz to, co w latach poprzednich i następnych, t. zn. że służyły tylko do zapełnienia półek w registraturze i archiwum. Autokracja w rozległym państwie zrodzić musiała biurokrację, obok centralnej także i prowincjonalną, a wykonanie choćby najlepszej ustawy stawało się zależnym nie tylko od ekspedycyi wiedeńskiej, lecz i od lwowskiego namiestnictwa i podległych mu władz prowincjonalnych, to też znane braki w działaniu wszystkich tych urzędów odbiły się i na polu szkolnictwa. Jeszcze za panowania tego cesarza zdarzały się niekiedy wypadki, że prośby o pozwolenie założenia nowej szkoły, podawane przez osoby prywatne, czekały na załatwienie po pół roku i dłużej w urzędzie obwodowym, nie doszedłszy nawet do gubernium<sup>1)</sup> krajowego, lecz energiczny monarcha potrafił przy wykryciu podobnych braków choć od czasu do czasu nadać sprawom żywszy bieg.

Za jego następców, pozbawionych energii i stanowczości, któremi się on odznaczał, sprawy państwa spoczęły całkowicie w rękach nie tylko jednostronnych, lecz nawet zgoła nieudolnych a względem prowincyi otwarcie wrogich biurokratów-centralistów.

Żywioł urzędniczy tego gatunku, obejmując rządy w Galicyi, obok eksterminacyjnej walki wydanej polskości, a prowadzonej z użyciem wszelkich gwałtownych środków, potępionych przez rząd w poprzednim okresie, potrafił ponadto wnieść do tamtejszej szkoły nową zupełnie kwestyę antagonizmu narodowego między ludnością polską i ruską. I w rzeczy samej pierwsze pozytywne próby w tym względzie podsuwane były przez namiestnictwo lwowskie jeszcze przed ogłoszeniem dla Galicyi powszechnej ustawy szkolnej Maryi Teresy z r. 1774.

<sup>1)</sup> Haus- Hof- u. Staatsarchiv. Staatsratsakte 1783. № 3827 Vortrag der Ver. B. Ö. Hofkanzlei, womit die Bemerkungen des gal. Landesreferenten Margelick vorgelegt werden.

Zmiana rządu absolutnego na policyjno-biurokratyczny spowodowała tylko zmianę środków postępowania. Wynarodowienie i zniemczenie Galicyi i za następców Józefa II pozostało zadaniem, którego rozwiązanie w pierwszym rządzie skutecznie miała szkoła. <sup>1)</sup>

STEFAN JANTZEN.  
DR. IUR.

<sup>1)</sup> Das wahre Interesse des Österreichischen Staates besteht also darin, die Nation nach und nach zu einem deutschen Volke umzubilden, ihre Sitten, Denkungsart, Vorurtheile zu ändern, sie mit einem Worte zu denaturalisieren. Protok. pos. Kom. Nadw. w sprawach Galicyi z d. 21 i 28 stycznia 1791. Bibl. Ossolińskich Rpsm. 525 str. 676.

# Sztuka i życie.

Prawdą jest niezaprzeczoną, że nie posiadamy jeszcze u siebie w domu dość wytwornej atmosfery artystycznej, ale z drugiej strony niewątpliwie w żalach i narzekaniach na to jest wiele przesady i niesprawiedliwości. Istotnie, ogół najszerszy zachowuje się obojętnie wobec dzieł sztuki, a zwłaszcza sztuki plastycznej i ujawnia często zupełny brak wyrobienia w sądach i upodobaniach, ale jednocześnie mamy spory zastęp artystów pierwszorzędnych, tudzież liczną sferę inteligencji, dla której zagadnienia estetyczne nie są już niedostępne. Po zatem możemy się pochwalić takim mnóstwem fanatyków, rozestetyzowanych do bezwzględności, jak chyba żaden inny z narodów. Ktoby, na przykład, chciał sądzić o społeczeństwie, odbitem niby w lustrze w beletrystyce doby dzisiejszej, mógłby przypuszczać, iż składa się ono wyłącznie z samych artystów i tych, którzy istnieją po to jedynie, ażeby im filisterstwem swych poziomych natur życie uniemożliwić.

Poeta, malarz, rzeźbiarz, rzadziej muzyk, wyparli stanowczo z dramatu początków naszego wieku szlachetnego inżyniera zesłowiecznego, który był typowym ideałem cnoty mieszczańskiej, owego inżyniera bez skazy i zmayı, lecz nízko urodzonego, więc traktowanego z tego powodu przez trzy pierwsze akty „przez nogę“, a który jednak w akcie czwartym wyciąga wspaniałomyślnie z zanadru gruby pugilares, płaci długi starego szlachcica i tem zdobywa sobie wdzięczność i szacunek dumnego potomka dawnego rodu, tudzież rękę jego córki, niby królewna zaklęta, górnej i nieprzystępnej. Artysta z powieści i dramatu dzisiejszego jest może mniej szlachetny, w każdym razie mniej lapidarny, nie ma grubego pugilaresu, o ile oczywiście przypadkiem nie po-

znano się na nim w Anglii lub Ameryce, przyznaje się otwarcie do pewnych słabostek i ułomności, często mówi nawet chętnie o swych wielkich, demonicznych skłonnościach zbrodniczych, ale ma duszę przebogată, niepojętą i nieodgadnioną, aż przeczuje ją mocą subtelnej intuicji niewieściej piękna i wrażliwa, jak mimoza, hrabianka z pałacu i pokocha potężną, jak śmierć miłością. Rzecz prosta, okrutni mordercy talentów dla jakichś zwietrzałych przesądów odmówią mu upragnionego z nią szczęścia i zmuszą do samobójstwa lub ostatecznego sponiewierania się w odmętach upadku. Zresztą byłby on również nieszczęśliwy, gdyby mu dano wreszcie wymarzoną kochankę, gdyż okazałoby się, naprzykład, że owo mistyczne porozumienie się dwóch dusz wybranych było prostym nieporozumieniem, pociągającym za sobą straszne piekło wspólnego pożycia dusz źle dobranych. Będzie więc cierpiał i szamotał się w mękach piekielnych u pieleszy domowych zarówno ze światową damą, pustą choć wytworną lalką salonową, jak ze skromną dziewczyną z ludu, dawną modelką, która mu wytworzy nieznośne stadło orła z gęsią. Będzie więc wiekuiście łamał się i padał nigdy nie pojęty, jakby, nawiasem mówiąc, małżonkowie, czy nawet kochankowie, o niczem innym mówić ze sobą nie mogli, jak tylko o „istocie ducha.“

Pominąwszy, że czasem autorowie w tych razach w zacieźtrzewieniu się egotycznym nie umieją nas przekonać co do istotnej wartości marnujących się talentów, lecz z całą naiwnością przedstawiają niby targanie się w dusznej jakoby atmosferze powszedniości, zwykłego megalomana, bez cienia jakichkolwiek kwalifikacyj na bohaterstwo, dla którego moglibyśmy jeszcze znaleźć trochę współczucia, jako dla jednostki dotkniętej przykrą chorobą, gdyby nie starano się nam ukazać tego ze strony heroicznej. W takim oświeceniu i ta drobna cząstka głębszego wzruszenia dla smutnych stron życia ludzkiego, rozwiewa się całkowicie wobec uśmiechu niedowierzania. Wogóle jednak najpoważniej biorąc dramat życia artysty rzeczywistego, przyznać wypadnie, iż częściej składa się on z pierwiastków wewnętrznych organizacji psychicznej człowieka, niż przyczyn, zzewnątrz wpływających.

Artysta rodzi się z kaimowem piętnem na czole, ze stygmatem jakiegoś przekleństwa fatalistycznego, że nie zasiądzie spokojnie nad misą codziennej strawy, nie pójdzie gromadnie utartą drogą powszednich zabiegów ludzkich, bo od kolebki prowadzi go na samotne ścieżyny kapryśna chimera, która mu szeptem do ucha tajemnicze słowa przeznaczenia, podnieca ambicje twórcze, omraacza duszę tęsknotą do krain dziwnych, niedosiężnych. To jest

tragedyą jego losów, przeszkodą do cichego szczęścia, w ogólnem rozumieniu tego pojęcia.

Stanisław Witkiewicz, sam artysta malarz i krytyk niezmiernie uświadomiony, człowiek, który poznał istotę twórczości plastycznej do najtajniejszych jej zakątków, w bardzo głębokiej pracy swej o Aleksandrze Gierymskim (drukowanej przed trzema laty w „Bibl. Warsz.“) dał wspaniały wyraz dramatu czysto malarzkiego. Przedstawił on ogromnie plastycznie, wyraźnie i z nadzwyczajną mocą przekonania, jak ten przyjaciel jego, którego kroki w dziedzinie sztuki śledził uważnie, stał się tragiczną ofiarą własnej natury artystycznej, męczennikiem straszego zmagania się w dążeniach do doskonałości malarzkiego wypowiedzenia się.

A zdawać by się powinno, że ideały Gierymskiego, jako realisty, jako zwykłego kopisty natury, malarza, który w dziełach swych nie kusił się o zakłęcie wizyj zaziemskich, pozazmysłowych, nieuchwytnych, były bliskie i poziome. Wszak malował on tylko starą babę obdartą za straganem, kilku żydów w chałatach, lub z benedyktyńską cierpliwością oddłubywał szczegóły dekoracyjne we wnętrzu jakiejś kaplicy, to znowu znęcał się zaciekle nad efektem światła marnej latarni gazowej. Wogóle rzeczy te, jako tematy, nie przedstawiały się ani zbyt górnio, ani zbyt imponująco. Witkiewicz w książce swej dowiódł, iż Gierymski dla przedstawienia tych powszednich rzeczy, jako artysta, piął się na szczyty, które go przyprawiły o zawrót głowy. Pragnął on bowiem na dwuwymiarowej płaszczyźnie płótna wyrazić w całej plastyce kształt brył trójwymiarowych, z ograniczonych zasobów palety usiłował wywołać rzeczywisty blask słońca. I myśl ta była nieodstępna towarzyszką w wędrówce artystycznej, to było jego chimera, którą kochał i przeklinał, a która mu pierś okrutnie pazurami krwawiła i w namiętnych uściskach zdławiła ostatecznie. Było to jego opętaniem i przekleństwem, bo chciał nieudolnymi środkami ludzkimi wyrazić doskonałość rzeczy boskich. Tak wygląda prawdziwy dramat malarzki, bez zawiedzionej miłości, kłowań nieprzyjacielskich i fatalistycznego zbiegu wypadków — straszna historia walki i szarpań się z urojeniem, zakończona obłędem i przedwczesną śmiercią. Dramat taki może być niezrozumiały dla tych, którzy go widzą tylko w kolizji erotycznych powikłań z udziałem zdradnych kochanek i czarnych charakterów. Witkiewicz sam, przeszedłszy ciężką walkę z opornym materiałem przy plastycznym wypowiedzeniu swej myśli, pozatem przenieśliwki analityk i baczny obserwator najsubtelniejszych drgnień

duszy ludzkiej, umiał to odczuć głębiej niż ktokolwiek inny i przedstawić dokładnie.

Nie uznaje tego jednak p. Feliks Jasiński, prowadzący stale zawzięte, i przyznać trzeba, często bardzo owocne walki o sztukę i kulturę artystyczną u nas. Widzi on zawsze i wszędzie jedynego wroga artysty — społeczeństwo, jego obojętność i niechęć, które skazują najbardziej utalentowane jednostki na banicyę lub śmierć głodową. Właśnie w trzynastym zeszyście „Sztuki polskiej,” w artykule swym do reprodukcji z obrazu Gierymskiego, z powodu wyżej wspomnianego życiorysu artysty, pomawia Witkiewicza o niepoprawny optymizm, nie szczędząc przy sposobności dosadnych a cierpkich epitetów owemu nieszczęśliwemu społeczeństwu.

Nie mam bynajmniej zamiaru utrzymywać, iżby kraj nasz przedstawiał glebę bardzo podatną do uprawy sztuk pięknych i że tu właśnie znajdują one najodpowiedniejsze dla rozwoju swego warunki. Nie myślę również występować w obronie oskarżonego niesłusznie społeczeństwa, gdyż nikt mnie do tego nie upoważnił; pisując jednak od czasu do czasu artykuły z zakresu sztuk plastycznych, uważam za swój obowiązek stosunek artystów do ogółu oświetlić z własnego punktu widzenia, jako przyczynek do dziejów kultury i sztuki w Polsce. Stosunek ten oświetlany był dotąd purpurowo bengalskimi ogniami namiętnych uprzedzeń, a przypuszczam, że przy spokojniejszym świetle sądu obiektywnego przedstawi się o wiele mniej groźnie i ponuro. Uważam sprawę tę za konieczną, gdyż zarzut morderstwa, popełnianego jakoby przez społeczeństwo na artystach swoich, przeszedł już w legendę, którą należy stanowczo obalić, wprost dla ścisłości historycznej. Tyczy się to zwłaszcza przedwczesnego zgonu dwóch wysoce utalentowanych artystów: Kurzawy i Podkowińskiego, zgonu, za który legenda owa czyni odpowiedzialnym cały ogół, a co powtarza przy każdej sposobności nie tylko p. Jasiński, zasłużony dla sztuki polskiej bojownik, ale i cały legion innych, mniej zasłużonych, już poprostu do znudzenia wytyka nam owe rzekome ofiary. Jest to przykład niezmiernie jaskrawy i charakterystyczny. Nie zdarzyło mi się w ostatnich czasach, o ile sobie przypominam, spotkać pracy ogólniejszej o rzeźbie i malarstwie współczesnym, zwłaszcza z pisanych ognistiej z młodym temperamentem reformatorskim, ażeby autor odmówił sobie przyjemności energicznego kopnięcia społeczeństwa z zacytowaniem tych dwóch nazwisk.

Przyrodnicy uznają powszechnie prawo, że wprawdzie ciężkie warunki w walce o byt zabijają osobniki słabe, w silnych nato-

miast wytwarzają większą odporność i prężność energii, co właśnie jest podstawą selekcji gatunkowej. Tak samo mniej więcej dziać się musi w dziedzinie twórczości artystycznej. Tylko, że natura przez dziwny kaprys talent sam przez się mocny, potężny umieszcza czasem w organizmie fizycznie wątłym i mało odpornym. I wtedy człowiek taki, nie artysta, jest jak egzotyczna roślina, wymagająca troskliwej opieki i równej temperatury cieplarnianej. Społeczeństwa cywilizowane zapewnić winny, w miarę możliwości, młodzieży swej wykształcenie, ażeby się stała użyteczną, w miarę zdolności. Nie mówiąc zatem o zmarnowaniu talentu, który, jeżeli jest istotny, zmarnować się nie da, rzeczywistość, paść może na otoczenie pewna odpowiedzialność za przedwczesny zgon człowieka użytecznego, któremu odmówiono znośnych warunków istnienia, zanim mógł stanąć o własnych siłach. Otóż przed ostatecznym wydaniem wyroku potępienia na mniemanych morderców Kurzawy, Podkowińskiego i wielu innych, którzy zmarli, nie przebywszy normalnie drogi swej do końca, należałoby zbadać dokładnie czy naprawdę całkowicie odmówiono im tych warunków.

Kurzawa istotnie miał w swej karierze artystycznej chwilę bolesnego zawodu, kiedy odrzucono mu na konkursie projekt do pomnika Mickiewicza. Nie wdaję się w krytykę sądu konkursowego. Może istotnie pomysł Kurzawy nie posiadał warunków monumentalności, miał pewne błędy konstrukcyjne, choć był niezaprzeczenie najbardziej artystyczny ze wszystkich nadesłanych, był on jednak, niezależnie od tego, najukochańszym tworem jego marzeń, najbardziej umiłowanym płodem najwyższych wysiłków twórczych, streszczeniem się jego indywidualności artystycznej. Artysta odczuł głęboko brak uznania dla najdroższego dziecięcia swej wyobraźni; w przystępie uniesienia roztrzaskał dzieło i na długo pozostały mu w sercu żal i zniechęcenie. Nie zabiło to w nim talentu bynajmniej, otrząsnął się ze złej zmory, tworzył dalej i byłby stanął bardzo wysoko, gdyż talent jego był mocny, ale słabego człowieka podszedł zdradziecko demon nałogu i ciągnął w przepaść niechybną. I nieprawdą jest, żeby nie było w złych chwilach nikogo, co by nie chciał mu podać ręki. Gdyby społeczeństwo przed jakim trybunałem chciało zrzucić z siebie odpowiedzialność za tę smutną tragedję, obowiązując się dostarczyć świadków, którzy pod przysięgą zeznać mogą, że wiele jednostek, z grona oskarżanych tak bezwzględnie, wyciągało doń przyjacielsko dłoń pomocną, ale moc szatańskiego opętania prze mogła wszystko.



Oczywiście, mówiąc o społeczeństwie w tym razie, mam na myśli pewne środowisko—najbliższe otoczenie artysty i tych, których sztuka obchodzić może, trudno bowiem podobne pretensje rozciągać na wszystkich przekupniów z ulicy Wołowej i z Sewerynowa, tudzież fornali i dziewczki folwarczne z Koziej Wólki. Najlepsze intencje przyjaciół kruszą się nieraz w niwecz wobec pewnych osobistych objawów psychicznych, które są niby fatum okrutne a przemożne. Zwłaszcza wśród ludzi obdarzonych wyjątkową wrażliwością zmysłową, jakimi są artyści, dość często spotyka się jednostki, dotknięte jakąś straszliwą, upartą tęsknotą do samouniżenia się, zatracenia, dążących nieprzeprawie do samobójstwa bezpośrednio, lub drogą okólną. Wszak i w Paryżu, na tym klasycznym, najlepiej uprawionym i najbardziej przyjaznym gruncie sztuki, morfina, kokaina, alkohol i wszystkie trucizny z czary Lokusty wybierają liczne ofiary z pomiędzy tej szalonej rzeszy, a jednak nikt nie pomawia Francji o morderczą obojętność dla twórczości artystycznej.

Znałem wielu takich. Mam przed sobą artykuł p. M. Golberga „Luźne kartki o symbolizmie“ (Sztuka, Listopad—Grudzień, 1904) i chcę powtórzyć, jak się też tam przedstawiają karyery artystów: „Na początku samym kroczy już symbolizm po rozpacz — pisze p. Golberg — Rimbaud znika w szpitalu, marnie kończy Villiers de L'Isle Adam; Baudelaire w szaleństwie tonie; Verlaine rzuca się w odmęty, by zapomnieć walki i męki myśli; Mallarmé w banalności profesorskiej szuka „racy bytu“ i „prawa do sztuki.“ Młodzi nie lepiej kończą: Corbière zamiera; suchoty niszczą Laforgue'a, Samaina, Signoreta; kokaina zabija Dubusa. Inni puciekali na pustkowie, do kolonii, do podprefektur, jak Claudel, Valery, de la Tailhède, Retté, Le Cardonnel.“

Jakiż ponury obraz! Cóż za okropne społeczeństwo, które pozwoliło na zmarnowanie się tylu talentów, gdyż bądź co bądź byli to poeci wielkiego polotu. Są to także jakoby ofiary walki z tłumem. Symbolizm ostatecznie zwyciężył, stał się sztuką oficjalnie uznaną. Dziś prezydent Rzeczypospolitej inauguruje wystawy wczorajszych rewolucjonistów, „ale właściwy symbolizm — kończy p. Golberg — nie spoczywa na polu zwycięstw... lecz na polu walki; wśród rozpacz, szamotania się i okrutnych cierpień, których doznali jego pierwsi mistrze, jego nieubłagani twórcy, twórcy tembardziej cenni dla sztuki, że mimo zwycięstw oficjalnych, młoda sztuka zwraca się ku kilku zmarłym przedwcześnie.“

Każda idea ma swoją rzeczywistą lub urojoną martyrologię. Walka jest istotą twórczości artystycznej. Sztuka musi mieć

wroga rzeczywistego lub urojonego, ażeby się z nim zmagać okrutnie, bo inaczej w wygodnym kwietyzmie zatyłaby, jak rzeźniczka za ladą sklepową. Artysta to wynalazca, odkrywca, to duch śmiały, który wybija okna w ślepej ścianie na nowe horyzonty. Cóżby wybijał, gdyby wszystko stało przed nim otworem? Niech że więc już pozostanie w społeczeństwie ten tłum, ażeby go mógł artysta zadziwiać, olśniewać, przerażać i oburzać. Jest to także jeden z czynników, bez których sztuka żyć nie może.

\*

\*

\*

Zapewne, stosunek ogółu do artystów — jego zainteresowanie się sztuką, tudzież pomoc materialna i moralne poparcie, jakie twórcom udzielić może, są to, niewątpliwie, konieczne warunki ich egzystencji. Warunki te, przyznaję, są niestety u nas, bezwzględnie biorąc, znacznie gorsze, niż gdzieindziej, co znowu jeszcze nie upoważnia do wniosku, że społeczeństwo morduje swoich artystów, a już najmniej tyczyć się to może Podkowińskiego.

Artysta ten, wyjątkowych rzeczywiście zdolności, umarł młodo, w epoce najwyższego rozwoju swych władz twórczych, i niewątpliwie sztuka polska przez przedczesny zgon jego dotkliwą poniosła stratę, ale umarł, jako człowiek dojrzały. Przypuszczam, że nie ubliżę pamięci cenionego ogólnie artysty, sympatycznego i powszechnie kochanego człowieka, jeżeli powiem prawdę o mniemanem morderstwie: Podkowiński umarł śmiercią naturalną z suchot płucnych. Rzeczywiście manifestacyjnie lekceważył on rady i wskazania lekarzy, którzy się nim z najwyższą życzliwością w chorobie opiekowali i jakby unyślnie, jakby na przekór narażał się ustawicznie na przeziębienia. Nie mogę wnikać w pobudki wewnętrzne, jakie go pchały do tej samozałady, pozostało to tajemnicą jego serca i duszy, ale stanowczo twierdzić mogę, że społeczeństwo najmniej w tem wszystkim zawiniło.

Podkowiński, zewnątrznie sądząc, mógł uchodzić za dziecię szczęścia. Oczywiście, szczęście to rzecz tak względna, jak dobrobyt i sława. „Powiedz mi w którym roku zaczyna się niesmiertelność — powiada pewien *wykolejony* u Schnitzlera — a po-

staram się o sławę.“ Gdzie się zaczyna bogactwo, gdzie kończy nędza? Co to jest szczęście? Na mnie robił wrażenie człowieka, któremu się wiodło w życiu i w stosunku do innych powinien być z losu zadowolony.

Zeszliśmy się u progów przedsiönka sztuki. W warszawskiej szkole rysunkowej studyowaliśmy razem gipsy, pod kierunkiem profesorów Gersona i Kamińskiego. Już wtedy zwracał uwagę swemi zdolnościami. Pracował łatwo i musiało mu być przyjemnie słyszeć za plecami uwagi kolegów: „jak się to u niego trzyma, jak to postawione, jakie to bajeczne w masach.“ Zapewne mógł mu czasem dokuczyć jakiś wybryk zawiści koleżeńskiej, która w tej sferze ujawniała się nieraz w formie iście małpiej złośliwości, ale na to nie ma sposobu.

Spotkałem go potem w Paryżu. Przyjechał tam już, jako artysta do pewnego stopnia uznany, który wystawiał obrazy w kraju i za granicą, pragnął jednak w tem przedziwnem środowisku sztuki najwspanialszej podnieść jeszcze poziom swej kultury estetycznej i rozszerzyć światopoglądy.

Jest to dziś, jak i dawniej, wprost konieczne dla początkujących artystów takie otarcie się bezpośrednio o sztukę Zachodu, w Paryżu lub gdzieindziej, co śmiem twierdzić stanowczo, mimo energicznego protestu, ogłoszonego w swoim czasie przez p. Eligiusza Niewiadomskiego, z powodu podniesienia przez grono artystów projektu akademii polskiej w Rzymie. Jeżeli wyjazd zagranicę okazał się rzeczywwiście mniej owocny dla kilku niezbyt zresztą interesujących artystycznie osobników, to tylko dlatego, że nastąpił może za wcześnie, przed należytem przygotowaniem się ich do bezpiecznego żaglowania na ogromnie wartkich prądach ruchu artystycznego w Europie. Podkowiński uzbrojony był dostatecznie i mógł pełną pierśią wdychać w siebie atmosferę sztuki w stolicy świata; bawił tu wszakże bardzo krótko — brak środków materialnych zmusił go do rychłego powrotu do kraju.

I to jest rzeczą zadziwiającą, że artysta ten, tak utalentowany, tak już wtedy wyrobiony zawodowo, nie mógł ustalić sobie bytu niezależnego w Paryżu. Był on przedewszystkiem doskonałym rysownikiem i ilustratorstwo przedstawiało dlań wdzięczne pole sutych zarobków. Tytu przeciwk mniej zdolnych i mniej przygotowanych zdobywało wcale wygodną egzystencję rysunkami do pism ilustrowanych, nie zaniedbując nawet malarstwa, które samo przez się, istotnie... nie tuczy, przynajmniej w początkach kariery. Ilustratorstwo paryskie, rzecz dziwna, spoczywa przeważnie w ręku cudzoziemców. Prócz Niemców,

względnie Alzatezyków, Hiszpanów i Włochów, jak Vogel i Mirbach, Parys i Verga, Marchetti i Amato, pracowało na tym gruncie wielu Polaków, jak Reichan, Loëvy Edward i Władysław, Merwart, Jankowski Czesław, Słomczyński, Górski i inni.

Podkowiński wstępu do tego zajęcia nie miał, robił nawet, o czem wiem z pewnością, pewne kroki w kierunku zdobycia dla siebie „Illustration“ czy „Figara“ ilustrowanego, ale skoro go one zawiodły, zniechęcony rzucił Paryż i w kraju zaczął zarabiać rysunkami.

Szczerze mówiąc, zawód ilustratora w Warszawie, w stosunku do imych miast europejskich, nie jest godzien zazdrości, jak wogóle cała prasa nasza, wobec angielskiej lub francuskiej, wygląda jak skromna chałupa kolonisty przy feudalnym zamku barona. Jeżeli taki „Graphic“ lub „London News“ mogą fundować korespondentom swoim, w razie potrzeby, gdzieś na teatrze wojny specjalne pociągi, jeżeli taka „Illustration“ jednocześnie wysyła rysowników do Madagaskaru, Kochinchiny i Panamy, to nasze pisma ilustrowane grubo się namyślają, czy opłaci im się podróż ilustratora na miejsce katastrofy kolejowej, dajmy na to pod Grodziskiem. Wiadomość pocztą pantoflową idzie dość prędko, a wreszcie może się na miejscu znajdzie amator-fotograf z aparatem migawkowym.

Inna skala, inne wymagania. Podkowiński wszakże, jako ilustrator, był wysoko ceniony i oczywiście odpowiednio *toute proportion gardée* wynagradzany; a przynajmniej honorarya jego należały do najwyższych w zwyczaju przyjętym, co już stanowi bardzo dużo, jeżeli nie dla kieszeni, to przynajmniej dla miłości własnej. W żadnym razie nie mogło tu być mowy o wyczerpującym zdrowie niedostatku. Nadto, jeżeli nie wystarczał mu ten rodzaj pracy, mógł swobodnie tworzyć wielkie obrazy, odpowiadające jego fantazyi i ambicyom artystycznym. Powstawały też kolejno jaskrawo impresyonistyczne pejzaże i sceny rodzajowe, potem pełne poezyi i fantastyczności utwory symboliczno-nastrojowe, jak „Nokturn“, „Dzwony“, mniej szczęśliwy w pomysle „Taniec szkieletów“ i wreszcie „Szał“, dzieło ostatnie, najpełniejsze w koncepcyi i w rozwinięciu artystycznym, jakby najwyższy wysiłek stojącego u celu swych dążeń ducha.

Ale był w dziejach jego karyery moment, który się stał punktem wyjścia do wyżej wspomnianych oskarżeń, a który dla mnie znowu będzie punktem wyjścia do pewnych uogólnień.

Podkowiński po powrocie z Paryża nadesłał do Towarzystwa Zachęty szereg obrazów, malowanych metodą impresyoni-

styczną, a obrazy te Towarzystwo odrzuciło. Los podobny spotkał również powstałe pod tymi samymi wpływami dzieła Pankiewicza.

W obozie ówczesnych młodych powstał krzyk, lament tudzież szat rozdzieranie nad filisterstwem i ignorancją kierowników naszej jedynej instytucji artystycznej, ubolewanie nad jej zakrzepłymi w rutynie przesądami, wreszcie złorzeczenie całemu społeczeństwu, które kamieniuje proroki swoje. Pan Laurysiewicz, przyjaciel obu malarzy, w dodatkach do „Przeglądu tygodniowego,” zaczął druk szeregu artykułów o impresjonizmie, w których z nadzwyczajną mocą przekonania dowodził, iż po za nim w malarstwie nie ma zbawienia. Zapewniał on, że prawdziwy malarz tylko czystymi barwami posługiwać się może, a wszelkie szare sosy, wszelkie ochry, ziemie sienneńskie, asfalty godne są pucybuców, lakierników, smarowozów i innej podobnej hołoty; że tylko przez ustawienie obok siebie niczem nie zmaconych plam barwnych, odpowiadających barwom zasadniczym rozczepionego widma słonecznego dać można w obrazie blask słońca i pożądaną jasność kolorytu natury; że tak właśnie malują Podkowiński i Pankiewicz, a wszystko inne, co dotąd było w malarstwie, to brudne, zakopcone ścierki.

Pominąwszy, że niedługo potem sami Podkowiński i Pankiewicz sprzeniewierzyli się słowom tej nowej ewangelii malarskiej i wrócili do tonów szarych, czarnych i to bardzo czarnych, jak np. w „Nokturnach“ p. Pankiewicz, a Podkowińskiego sam widziałem używającego już przy „Szale“ wyklętej przez p. Laurysiewicza raz na zawsze z palety malarskiej „sieny palonej,” chcę się zastanowić nad wartością istotną samych obrazów, zakwestyjonowanych przez Towarzystwo.

Nie ulega wątpliwości, że impresjonizm, jako teoria, przyniósł wiele ciekawych odkryć w sprawie pełniejszego przedstawienia w malowidle światła. Dając metodę badania udostępnił on dla oka mnóstwo przejawów barwnych, które przedtem wymykały się z pod obserwacji i na tym punkcie zasługi kierunku tego są niezaprzeczone.

Podkowiński przywiózł z Paryża przedewszystkiem sposób. Obrazy owe były malowane metodą krańcową, t. j. że artysta wystrzegał się jaknajsurowiej używania jakiegokolwiek koloru zmieszanego, lecz wychodząc z zasady, że barwa jest właściwie światłem, różniącym się między sobą częstotnością drgań, usiłował wywołać ją za pomocą zestawienia pojedynczych części rozszczepionego w pryzmacie widma, które jakby miały powtórzyć na obra-

zie owe drgania i zlać się dopiero na siatkówce oka w ton ogólny. Barwa i światło są to zjawiska identyczne — barwa stanowi pewien oznaczony rodzaj światła, podobnie jak ton każdy jest dźwiękiem o oznaczonej liczbie drgań na sekundę. Kiedy jednak ucho zdolne jest w mieszaninie tonów odróżnić każdy z nich osobno, oko łączy wrażenia, wywołane współcześnie przez różne barwy i widzi jedną—zmieszaną. Chodziło zatem, ażeby proces mieszania nie odbywał się na płótnie, ale właśnie na oku widza, przez co światło zachować miało swoją wibrację i przejrzystość. To było podstawą tego kierunku, który w tej formie właściwej przyjął nazwę wibryzmu.

Nie zawsze analiza barwy była dość ścisła, a zwłaszcza nie zawsze zlewała się na oku widza za ton żądany, ale zato artysta, krępowany środkami, nie rozporządzając tonami ciemnymi, nie mógł zdobyć się na pogłębienia perspektywiczne i siłę plastycznego wyrazu. Teoretycznie rzecz rozwiązana najpomyślniej, w zastosowaniu praktycznym okazała się mniej szczęśliwą.

Pamiętam te obrazy. Były płaskie i bezbarwne, pomimo drapiącej wzrok jaskrawości plam kolorowych. Miały to być pejzaże bajecznie świetlane i powietrzne, a nie było w nich ani słońca, ani powietrza. Nadto, jako utwory tendencyjnie podciągane pod kanon pewnej teorii, nie były one bezpośrednim wyrazem wrażeń osobistych, owszem, były to raczej wyrozumowane na zimno wypracowania, niż odczute gorącą wyobraźnią twórcy poczucia i tem samym pozbawione siły przekonania. Pojmował to niewątpliwie sam artysta, gdyż pomimo gorliwej propagandy tych wierzeń artystycznych, głoszonych słowem i pismem przez grono licznych przyjaciół, potrochu odstępować zaczął od czystości zasad wibrystycznych, wprowadzał tony ciemne i następne już obrazy jego, jak „Spotkanie,“ „Konwalie,“ kilka doskonałych, pełnych charakteru portretów, tudzież cały szereg większych kompozycji fantastycznych, posiadają więcej plastyki i miąższości, aż wreszcie kończy na ostatecznym pogodzeniu się w „Szale“ z tonami szarymi, z przecieraniem płótna cienką farbą, z laserunkami i tym podobnymi środkami, które przez teoretyków poprzedniego kierunku uważane były za okropności, wołające o pomstę do boskiej sztuki.

Artyście jednak nie o środki techniczne chodziło. Podkowiński musiał wypowiedzieć się szczerze, jako malarz o duszy płonącej gorączką twórczą, o wyobraźni żywej, rojącej wizye poczęć plastycznych, o istotnym temperamencie artystycznym, nie mógł się więc utrzymać w ciasnych szrankach teoretycznych for-

mutek. Bujna indywidualność jego zniósła tamy kanonu i wylała się żywiołowo bez wszelkich zapór w dziełach, wobec których pierwsze próby impresjonistyczne były rzeczywiście słabe, jako utwory malarskie.

Czy jednak Towarzystwo miało słuszność nie przyjmować ich na wystawę? Bezwzględnie rzeczy biorąc — tak. Były one suche i chłodne, nadto technicznie nie dość doskonałe, więc z artystycznego punktu widzenia — obojętne. Ale z drugiej strony Towarzystwo, jako instytucja zachęty do sztuk pięknych, powinno było znać autora wszechstronniej i wiedzieć do czego jest zdolny, gdyż już przedtem zaznaczył się on, jako rysownik wcale niepospolity. Ludzie, kierujący instytucją taką powinni byli rozumieć, że talent młody, samodzielny, organizacja naprawdę artystyczna, więc tem samem niespokojna, nie pójdzie wygodnie szerokim gościńcem, lecz szamocąc się i zmagając, szukać będzie dróg nowych, niewydeptanych. Że w poszukiwaniach tych może ona błędzić, zbaczać, dziwaczyć nawet czasami, to jednak jeszcze wszystko razem wzięte jest estetycznie bardzo interesujące, gdyż odgadnąć łatwo, że nie są to niskie pełzania niedołęstwa, ale wzloty górne ambicji artystycznych, zasługujące na szacunek i uwagę ogółu. I z tego powodu przyjęcie tych mniej udatnych utworów na wystawę było najzupełniej wskazane. Zachodzi tu istotnie trudność oryentowania się; sprawę ułatwia ogromnie, jeżeli dzieło takie podpisane jest nazwiskiem dobrze znanego skądinąd artysty.

Niedawno na wystawie zbiorowej prac dyr. Fałata spotkałem rzeczy malowane farbami Raffaello, które, gdyby nie podpis tak znakomitego artysty, kto wie czyby się były doczekały publicznego wystawienia w salonach Zachęty. Niezrównany akwaralista, stanąwszy wobec nowej techniki, wobec nieopanowanego należycie materiału, nie był w stanie ujawnić właściwych sobie zalet artystycznych. Obrazów Fałata nie przyjąć niepodobna — do Podkowińskiego snadź w owym czasie nie miano tyle zaufania. Jeżeli zatem Towarzystwo może mieć nawet pewne dane na swe usprawiedliwienie w niezbyt wysokiej wartości artystycznej rzeczonych utworów, to w każdym razie ciąży na niem zarzut braku przenikliwości.

Towarzystwo błąd swój uznało, wstydzi się zań od tego czasu i tak pilnie strzeże się powtórnej omyłki, że wpadło w drąg ostateczność i raczej odrzuci obraz poprawny, niż rzecz dziwną i niezrozumiałą.

Przed dziesięciu mniej więcej laty widziałem tam pejzaż młodzieńca, który dziś maluje bardzo poważnie doskonałe portrety, ale który wtedy jeszcze ani rysować, ani malować nie umiał. Miał on jednak wielką niecierpliwość publicznego występu, a, że kręcił się w kole, gdzie się kuły teorye artystyczne, spreparował więc wedle jednej z nich, najtańszym zresztą sposobem, coś, co nie wytrzymało wprawdzie krytyki rzeczowej, ale wzięte pod kątem nieskończoności, mogło uchodzić za „nastrój.“ W kole urobiono natychmiast odpowiednią legendę i obraz pod wpływem jej został przyjęty na wystawę. Młodzieniec wyjechał potem zagranicę, gdzie się nauczył malować, a co najgłówniejsza, nadzwyczaj poprawnie rysować: tworzy dziś, jak się powiedziało, przepyszne portrety i już ani jednego nastroju nie wystawił. Co więcej, umocniwszy się w swoim rodzaju sztuki, zupełnie otwarcie przyznaje się dziś, że nigdy w życiu pejzażu nie czuł, że wprost nie może przekonać się do studyów krajobrazowych, gdzie wszystko jest takie okropnie zielone, zielone, zielone!

\*

\*

\*

Przytoczyłem te dwa przykłady nieporozumienia estetycznego, które widziane w perspektywie prawie już dziejowej dawności, mogą służyć za przesłanki do wniosków ogólniejszych w sądach o rzeczach sztuki. W epoce akademizmu sprawa oceny artystycznej była nieskończenie łatwiejszą. Możliwe zbliżenie się do pewnego ideału klasycznie doskonałego kształtu było miarą uzdolnień i wyrobienia artystycznego. Dobra szkoła, zdobycie tajemnic zawodowych, tudzież wirtuozowstwo techniczne stanowiło wszystkie warunki mistrza. Obecnie, w chwili ogromnego zróżniczkowania się przejawów twórczości plastycznej przyznać trzeba, że miara taka okaże się istotnie nie wystarczającą. Co więcej, wśród mnóstwa krzyżujących się prądów i kierunków, wobec panującej w danej chwili mody, upodobań, sympaty i antypaty, wobec mocy sugestyi, wytwarzanej przez otoczenie, często niepodobna odróżnić złego od dobrego, niepodobna zwłaszcza zgodzić się stanowczo i jednogłośnie na pewną klasyfikację wartości.

Wielki kościół sztuki rozpadł się jakoby na małe kapliczki, a w każdej z nich odprawiają nabożeństwa kapłani innej wiary,



podług innego rytuału i z fanatyczną namiętnością głoszą światu inne prawdy i objawienia.

Ściśle biorąc — to właśnie najbardziej namiętną propagandę idei malarskich biorą na siebie przeważnie literaci i temu to przypisać należy, że czasami w ich teoretycznych uzasadnieniach różnych kierunków sztuki zanika zupełnie istota samego malarstwa. Poezya, filozofia, muzyka w utworach pędzla zajmować zaczyna obecnie miejsce tak dominujące, że spycha na plan ostatni znaczenie rysunku i kolorytu. Dla symbolu, symfonii, nastroju przestajemy się liczyć z logiką kształtu i światła w dziełach malarskich i dzieła te staramy się odczuwać uchem, smakiem, powonieniem, nawet dotykiem, a najmniej właśnie wzrokiem.

Nie myślę tu bynajmniej ośmieszać teorii synestezji, która niewątpliwie doskonale wyjaśnia wiele zjawisk w dziedzinie odczuwania estetycznego, ale chcę położyć nacisk na to, że przecież malarstwo, jako sztuka, obejmująca sferę wrażeń przedewszystkiem wzrokowych, głównie na zmysł ten działać musi. Ludzie, nieposiadający sami dość wyrobionego oka do spostrzegania przejawów z zakresu kształtu i barwy, nie posiadają też możliwości obiektywnego skontrolowania dokładności przetworzenia się ich w dziełach sztuki, łatwiej więc ulegają sugestji pojęć narzuconych. Silna wiara w talent artysty, blizkiego często, nawiasem mówiąc, przyjaciela, ustawia ich pogląd na rzeczy plastyczne pod pewnym stałym kątem widzenia i prowadzi do krańcowości wniosków, najgłębiej zresztą szczerych i bezinteresownych. Jeżeli zabierają wtedy głos publicznie, a obdarzeni są darem gorącego słowa i mocą przekonywania, zdobywają prozelitów dla wybranego proroka i ustalają w mniejszym lub większym zakresie powodzenie jego twórczości. Powodzenie nieci naśladowców i wytwarzanie się kierunek.

Tak sobie tłómaczę powstawanie owych kapliczek, których dziś niepodobnaby wyliczyć. We Francji zwłaszcza jest ich mnóstwo. Jakiś mocniejszy artysta z wybitniejszą indywidualnością grupuje obok siebie garść mniej wybitnych i pewne koło wielbicieli.

Przytoczyłem wyżej przykład krańcowości w literackim głoszeniu teoryj malarskich z niedawnych dziejów naszej sztuki; mógłbym wymienił więcej takich z doby dzisiejszej, ale wolę zwrócić się znowu do Francuzów, bo przynajmniej nikogo to nie dotknę.

Mam przed sobą studjum Kamila Mauclair'a o Augustie Renoir'ze, w którym ten gorliwy i istotnie ognisty propagator nowej

sztuki, starając się podnieść zapoznawanego dotąd artystę, uważa za konieczne pogłębić z kretesem wszystkie wielkości uznane.

„Renoir maluje — pisze p. Mauclair — nakładając farbę obficie, ale już wtedy, przez skupienie nieskończonej ilości małych dotknięć pędzla, drobniejszych niż u Klaudyusza Moneta, mniej energicznych, lecz więcej nerwowych; jest to istny deszcz malutkich plamek, który spada na płótno średniej grubości i pokrywa je gęsto swemi żywymi nierównościami, to w kierunku pionowym, to biegnąc za formą. Taki jest „Koniec śniadania,“ taki szeroki, a tak drobiazgowy, gdzie brodaty pan zapala papierosa zapałką, której tlenie drzewa widać na obrazie i to bez *meskineryi* w wykonaniu. W tym wypadku trudno się powstrzymać od myśli o zapałce, rzuconej na podłogę w „Akwaforcie“ Meissoniera, dla porównania tego *dziecinnego* tryumfu malarstwa wykończonego nad prawdziwym szczerym malarstwem.“

Nie mogę sobie wyobrazić, żeby prawdziwy, szczerzy plastyk, choćby był zdecydowanym wrogiem realizmu, choćby sam był najkrańcowszym syntetykiem, impresyonistą, wibrystą, pointylistą, jeżeli tylko nie jest kanibalem, posądzić mógł Meissoniera o meskineryę i dzieciństwo. Meissonier, mimo drobiazgowości w wykończaniu, był przecież indywidualnością potężną, wielkim malarzem, znakomitym kompozytorem i duchem szerokim, niespokojnym i wynalazczym, który w dziedzinie naprzykład postrzegania ruchu porobił zdumiewające, wprost genialne odkrycia i sztukę swego czasu ogromnie naprzód posunął. Renoir tymczasem jest może rzeczywiście bardzo ciekawą i oryginalną organizacją twórczą, posiada szczególniejszą, właściwą sobie zmysłowość w przedstawieniu ciała kobiecego, któremu nadaje olśniewającą białość i jakieś dziwne połyski perłowej macicy, ale po za tem nie dorasta do kolan Meissonierowi pod względem wszechstronności objęcia zjawisk życia i władnej mocy ich przedstawienia. Może on sobie być wielkim, niedościgłym, okadzany z trybularza jednostronnej adoracji magiem w swej kaplicy, jak Gauguin, Debussy i tylu innych, dla których, jak pisze pan Słewiński, bardzo głęboki, tudzież świadomy swych środków i celów malarz, sztuka jest to „właściwość danego organizmu wystowienia odczutego piękna danej chwili za pomocą zewnętrznych znaków, nie ujętych żadnem prawem. Dzieło sztuki jest tu niejako ostatecznym wynikiem i będzie *zrozumiane* tylko przez podobne do artysty organizacje a *odczute* będzie przez niewielką garstkę śmiertelników.“ Rzeczywiście, w tak wysokiej obecnie sztuce europejskiej, wśród prawdziwego potopu powszedniej poprawności, musiały się wyod-

rębnieć upodobania specjalne, zamiłowanie do pewnych przejawów niezwykłych a subtelnych. Silne, oryginalne zamaniestowanie się indywidualności odmiennej pozwala zapomnieć o pewnych niedociągnięciach w ogólnem rozumieniu dążeń sztuki i stać się dla wybranych jednostek źródłem prawdziwej rozkoszy estetycznej. Z punktu widzenia smaku wydelikacowanego, upodobań wyrafinowanych jest to najzupełniej usprawiedliwione i to mianowicie tłumaczy bezwzględne rozmiłowanie się ich w rzeczach, które częstokroć nie znajdują uznania u szerszego ogółu. Wyjaśnienie przyczyn, wywołujących ową rozkosz estetyczną, wskazanie tych pierwiastków estogenicznych może przyczynić się do rozszerzenia zakresu artystycznego odczuwania, ale nieprawdą jest, ażeby tem samem sztuka przez ogół uznana, z pogardą nazywana oficjalną, była niższą i nikczemną. Można nie uznawać kierunku, dajmy na to, realistycznego, można przekładać syntetyczne przedstawienia form najogólniejszych nad drobiazgowo opracowanie szczegółów, ale niepodobna nie przyznać mimo to, że Meissonier był wielkim malarzem i wielkim artystą, jak z drugiej strony najbardziej krańcowy realista nie odmówi zasług syntetykowi, jeżeli pozna w nim dobrego plastyka, który formę rozumie i czuje. Mówić tak może tylko jednostronny teoretyk-dyletant.

Ale sympatyje artystów wszystkich, nietylko symbolistów, jak chce p. Golberg, zwracają się nie do zwycięzców, lecz do zwyciężonych, na pola walk, rozpaczy, szamotań się; stąd też i literatura z liryczną tęsknotą wywołuje cienie egzystencyi zmarnowanych, upadłych, apoteozuje przedwcześnie zmarłych bojowników. Ale życie do prawdziwej świątyni sztuki wprowadza tylko zwycięzców. Świat należy do silnych i oni to tworzą historię.

Michał Anioł był potężny, jak Tytan, fizycznie i duchowo; prywatne życie Rembrandta miało być smutne, samotne, pełne trosk i zawodów, ale w dziejach sztuki występuje, jako tryumfator. Wielkie etapy w pochodzie kulturalnym ludzkości znaczą, niby słupy kolosalne, nazwiska artystów zwycięskich: Giotto, Rafael, Rubens, Poussin, Velasquez, Goya, David, Delacroix, Meissonier, Matejko. Z nich powstaje historia — zwyciężeni przedstawiają wdzięczny materiał dla literatury.

T. JAROSZYŃSKI.

## Ruch umysłowo-literacki we Francyi.

Od ostatnich sprawozdań o stanie współczesnej literatury francuskiej upłynęło kilka lat. Przez ten czas, ileż nowych książek przybyło, ileż nieznanych przedtem, lub początkujących autorów wyrobiło się i zajęło poczytne miejsce w tej olbrzymiej produkcji literackiej, którą Francya rok rocznie wchłania w siebie! Sądząc według liczby czasopism i bibliograficznych spisów, należałoby się spodziewać coraz świetniejszej epoki: tak mnożą się książki i ich wydania. Gdy jednak rozpatrujemy jakościowo te stosy zadrukowanej bibuły, gdy przykładamy probierz moralnej wartości do książek nieraz najpopularniejszych, dochodzimy do wniosku, że jesteśmy w okresie dekadencji i zaniku zdrowych pojęć etycznych, że mamy do czynienia z epoką większego upadku poezyi niż był nim czas poprzedni. W liryce brak zarówno ideałów ogólnoludzkich, jak uczuć podniosłych i szlachetnych, które stanowią źródło prawdziwego natchnienia. Na deskach teatralnych brak tego, co stanowi koronę rodzaju dramatycznego: brak tragedyi. Zastępuje ją melo-dramat lub tragi-komedia. Z drugiej strony lekka farsa, satyryczny obraz paryskiego życia, nie bardzo dowcipny, często swawolny, a czasem śmieszny, wyrugowały dawną komedię charakterów.

Poprzedni okres, nazwany modernizmem czy symbolizmem — mniejsza zresztą o nazwę — którego hasła pokutują jeszcze u wielu pisarzy, miał przynajmniej pewien świadomie wyrobiony kierunek, dążył do zrealizowania wysnutych z niego haseł. Nie rozstrząsam tutaj czy to był prąd dodatni czy ujemny, słaby czy silny, potrzebny czy zbyteczny? Stwierdzam jedynie fakt, że istniała grupa poetów, zszeregowana pod jednym sztandarem; że była wspólna dążność i wspólne idee, które złączyły większą ilość utalentowanych ludzi w szkołę poetycką. Dziś niema i tego: koniec ubiegłej

go stulecia i początek bieżącego — to chaos przeróżnych prądów, nawzajem się wykluczających, to walka o myśl i formę, przy niesłychanej rozbieżności haseł. Anarchia literacka w całym tego słowa znaczeniu zastąpiła dawne zrzeszenie się poetów. Wszelkie kierunki ostatniej ćwierci XIX wieku, jak naturalizm, parnasyzm, idealizm, neo-romantyzm skończyły się wybujałym indywidualizmem, rozpaczliwym okrzykiem pesymistycznym lub gorzką ironią sceptycyzmu. Każdy kroczy swoim osobistym szlakiem, nie oglądając się na innych. W teorii nie można nic mieć przeciwko temu. Owszem, należałoby się raczej cieszyć, że rozwinęła się taka bujna oryginalność umysłów, iż jeden nie naśladuje drugiego. W rzeczywistości taki stan oznacza brak potężnej jednostki, która by zdołała narzucić innym cech swego talentu.

Wśród wielkiej liczby „natchnionych synów“ dzisiejszego parnasu francuskiego, niema ani jednego, którego by rozmach poetyczny porwał za sobą innych i uniósł w prawdziwą sferę wiecznego piękna. Wśród powieściopisarzy niema nawet takiej indywidualności, jaką był Zola, który, — nie wchodząc zresztą w ocenę moralnej wartości wielu jego utworów, jak całego kierunku naturalistycznego—zdołał wycisnąć silne piętno na współczesnym sobie romansie.

Ten ogólny nastrój umysłów i stan niepewnego oczekiwania, ten zamęt przejściowej epoki wyświecił trafnie Recolin w swym zbiorze charakterystyk współczesnych autorów, wydanym temu lat siedem, pod tytułem: „Anarchia literacka<sup>1)</sup>“. Od owej chwili nie wiele wprawdzie zmieniło się na lepsze; w tym znaczeniu, że jeszcze ciągle wahają się nieustalone kierunki i prądy, a trudno przewidzieć, który z nich weźmie górę. W romansie święci tryumfy gorzki pesymizm i sceptyczny uśmiech, nawpół poważny, nawpół szyderczy, o czem przekonać się można z ogłoszonego niedawno zbioru studyów nad wybitniejszymi umysłami współczesnej literatury francuskiej<sup>2)</sup>.

Nie da się jednakowoż zaprzeczyć, że niektóre hasła zarysowały się, w ostatnich trzech latach szczególnie, o wiele jaśniej i dobitniej, niż to miało miejsce dotychczas. Sprawa Dreyfusa była—że tak powiem—probierczym kamieniem, który rozklasyfikował na dwa obozy niezdecydowane do owego czasu umysły. Jednych popchnął ku nacjonalizmowi, drugich ku socjalizmowi.

<sup>1)</sup> Recolin: *l'Anarchie littéraire*. Paris 1898. (Perrin et C<sup>ie</sup> éd.).

<sup>2)</sup> Reggio Albert: *Au seuil de leur âme* Paris 1904. (Plon éd.).

Wpływ tej afery na umysły francuskie jest daleko głębszy i o donioślejszem znaczeniu, niż się to mniema powszechnie. Odwróciła ona na lat kilka zdolnych pisarzy od właściwego pola, robiąc z nich niepowołanych polityków, lub rzucając ich na arenę publicystyczną. Z drugiej strony skryształizowała zapatrywania religijne wielu innych. Pouczającym byłoby porównanie utworów takiego Lemaitra lub Anatola France'a przed tą sprawą i po niej — co prawda, nie wiele napisali po niej. Nie mniej interesuje nagła zmiana frontu u Brunetièra, który z pozytywisty stał się obrońcą wiary<sup>1)</sup>.

Wpatrując się głębiej w te odznaki, poznajemy ze zdziwieniem, że mają one dziwne podobieństwo z początkiem ubiegłego stulecia. I wtedy, autor „Historii dawnych i nowych rewolucyj“<sup>2)</sup> zmienia bezpośrednio sztandar i z pesymisty staje się gorącym poplecznikiem kościoła, pisząc hymn pochwalny o piękności wiary chrześcijańskiej<sup>3)</sup>. Jak wówczas Chateaubriand i de Maistre byli chorążymi nowego kierunku, tak dziś wśród umysłów francuskich, znudzonych chaosem niepewnych, częstokroć przewrotnych haseł, objawia się dążność do szukania trwalszych podstaw i przeciwstawienia rozpanoszonej anarchii niewzruszonych dogmatów religii. Dlatego też uczony redaktor „Revue des deux Mondes“ uzyskał pewien wpływ na młodszą generację krytyków, bo sam zawsze wierzył w zasady. Młodzież, oglądająca się za czemś pozytywnem, obrała jego właśnie za duchowego przewodcę. Byłoby zawczasie chcieć odgadnąć, co z tych usiłowań i dążeń wyniknie; nie można jednak tego stanu rzeczy nie zauważyć i nie podkreślić, jako coś znamiennego, jak również nie wskazać na to, że poprzedni wiek rozpoczął się od podobnych zapowiedzi, a wydał — co każdy z nas wie dobrze — mocarzy słowa, jakich nie widziała literatura europejska od czasów Dantego. Ustaliwszy tedy te wytyczne punkta, zamierzam w niniejszych uwagach dać przegląd współczesnej literatury we Francyi. Nie podobna oczywiście w tym szkicu omówić wszystkiego, co pojawiło się w ciągu kilku lat od wydrukowania wyżej wspomnianych artykułów. Z drugiej strony ograniczać się konsekwentnie do ostatniego roku, znaczyłoby przejść do porządku dziennego nad wieloma wybitnymi umysłami, którzy przypadkiem

<sup>1)</sup> Porównaj ostatnią broszurę „Sur le chemin de la croyance.“

<sup>2)</sup> „Essai historique, politique et moral sur les révolutions anciennes et modernes, considérées dans leurs rapports avec la révolution française. 1797.

<sup>3)</sup> Le Génie du christianisme. 1802.

w tym czasie nie ogłosili nic drukiem. Wybrałem drogę pośrednią. Obok nowości roku 1904, które wymagały rozbioru lub bliższej uwagi, scharakteryzuję także ostatnią publikację każdego głośnego pisarza, szczególnie, o ile odzwierciedla się w niej umysłowość autora lub fizyonomia czasu. Stąd podwójny punkt widzenia i oceny poszczególnych utworów. Przy jednych dziełach chodzi przede wszystkim o ich wartość bezwzględną: co nowego wnoszą do literatury i czem się wyróżniają? przy innych — jaka ich idea moralna i wartość estetyczna. Oczywiście zależeć to będzie od poglądów filozoficznych, społecznych lub politycznych, jakie włożył autor w swój utwór. U pisarzy starszej daty wystarczy zaznaczyć to stanowisko, jako znane i nie wymagające bliższego uzasadnienia. Na szersze omówienie zasługuje wtedy tylko, gdy uległo przeobrażeniu. Więcej natomiast uwagi poświęciłem tym, którzy występują od niedawna na niwie literackiej, lecz których imiona zaczynają się stawać głośnie. Ich utwory budzą zresztą największe zainteresowanie; tembardziej należało wykazać, jakie zawierają pierwiastki: dodatnie czy ujemne?

Zanim przejdę do rozbioru książek, chciałbym przypomnieć zasługi tych autorów, których stuletnią rocznicę obchodził tego roku naród francuski. Jest ich wielu. Do najgłośniejszych należą: Saint-Beuve, George Sand, Bossuet<sup>1)</sup>. Pierwszego z nich znają czytelnicy Bibl. Warsz. z treściwego artykułu p. Jabłonowskiego, który, opierając się na najnowszych badaniach odtworzył znakomicie sylwetkę nestora nowożytnej krytyki francuskiej. O ostatnim, nie pojawiła się dotychczas żadna nowa praca, któraby oświetliła głębiej tę niezwykłą postać, niż to uczynił Lauson w swoich dwóch publikacjach o wychowawcy Delfina<sup>2)</sup>. Dziwnem jest także że z wyjątkiem „Revue Bossuet“ rzadko które czasopismo wspominało o nim, prawie żadne nie poświęciło obszerniejszej notatki niezrównanemu mistrzowi klasycznej prozy. A przecież znaczenie jego, jako pisarza, jest niepospolite. Język Bossueta dźwięczy takim rytmem, jego „Oraisons funèbres“ mają częstokroć taki rozped dramatyczny, że autor w zupełności zasługuje na miano poety,

<sup>1)</sup> Oprócz tych trzech wymienionych powyżej pisarzy można jeszcze wymienić: Eugeniusza Suégo (1804 — 1857); Karola de Bernard (1804 — 1850); Juliusza Janin (1804 — 1874), moralistę Duclosa (1704 — 1772).

<sup>2)</sup> G. Lauson: a) Bossuet, Paris 1891. (Lecène et Oudin éd.); b) Bossuet, Paris 1898. (Société fran. d'imprimerie). Oprócz tego wyszła popularna monografia Alfreda Rébellian. Bossuet, Paris 1900. (Hachette).

które mu daje wyż wzmiankowany biograf. W braku więc nowszych monografij przytoczmy niektóre zdania krytyka, chyba zgoła nie podejrzanego o jakieś szczególne względy lub sympatye dla biskupa z Meaux.

W Bossuecie—powiada on—uderza każdego piękna i surowa jednolitość charakteru, wolna od pragnień i myśli osobistych. Jego życie było poświęcone najwznioślejszym i najbardziej powszechnym sprawom, życie zawsze czynne i ruchliwe. Dusza prosta i głęboka wiara przebijały się na każdym kroku. Stała i pewna siebie wola towarzyszyła jego czynom. Nienawidził zbytniego rezonowania i kłamstwa, lecz umiłował z całej siły pracę, którą uważał jako cel życia: żyć znaczyło dla niego działać. Niektórzy wyobrażają go sobie nieugiętym, dumnym, o ramionach podniesionych, by grozić i wyklinać—co za dziwne podobieństwo ze Skargą, do którego zbliża się pod wieloma innymi także względami — w istocie zaś był on wcieleniem miłości bliźniego i miłosierdzia. Obcem mu było pochlebstwo: kochał i cenił króla, lecz nie szczędził prawdy swemu władcy. Niemniej kochał kraj ojczysty. W jego mowach i kazaniach brzmi naprzemian struna patryotyczna i religijna. Wzruszenia chrześcijanina mieszają się z uczuciami radości czy smutku obywatela. Urodził się, aby działać; i dlatego odczuwał pewien wstręt do wszystkiego, co tchnęło jałową dyalektyką. Unikał subtelnej analizy i zacieklego rozumowania, przez które osłabiają się poczucia obowiązku, wola i sumienie.

Na usługach niepospolitego serca stał umysł wyższy, otwarty i jasny, posłuszny atoli zawsze karnej woli. Jego pragnieniem była prawda bezwzględna, którą kochał całą potęgą swej duszy i do której dążył bez wytchnienia. A tą najwyższą prawdą był dlań Bóg. Oddany Mu od najwcześniejszej młodości, nie zaznał nigdy niepokoju i zwątpienia. Mimo głębokiej wiedzy, a może właśnie przez nią, zachował pokorną, naiwną, prostą wiarę dziecka.

Jako pisarz celuje niezwykłym darem obrazowania. Jego styl harmonijny, wolny od manieri i sztuczności, odpowiada zawsze myśli. Ta zgodność między treścią a formą stwarza niezrównany czar, który dotychczas bije z pism Bossueta. Jego mowa jest czasem naiwna jak pieśń pasterska, lekka i giętka jak powiew wiosennego wiatru, lecz nieraz burzy się i pieni jak potok górski, grzmi jak fanfara wojenna, a najczęściej uderza w hymn weselny lub dzwon pogrzebowy. Wszystkie odcienia, od najgórniejszych do najprostszych, znajdują się w kazaniach Bossueta; każdym tonem władał po mistrzowsku.



Można nie zgadzać się z jego poglądami na historię powszechną i wykazać liczne błędy, których w XVII wieku trudno się było ustrzedz, można tu i owdzie znaleźć ustęp, w którym zapał dla sprawy zadaleko uniósł polemistę, mowcę czy historyka, ale niepodobna nie uznać jego prawości i potęgi jego wymowy. Pod tym względem jeden tylko Skarga z nowożytnych kaznodziejów nie ustępuje biskupowi z Meaux, a przewyższa go stroną polityczną sejmowych kazań. Nie znajdziemy u Bossueta tak silnych i złowróżbnych słów, nie znajdziemy tej głębokiej troski o los ojczyzny, która czyni Skargę tak sympatycznym i nadaje mu wyjątkowe znaczenie w dziejach naszej literatury. Z wyjątkiem tego, podobieństwo jest nadzwyczaj uderzające. Jeżeli Mickiewicz dopatrywał się głębszej różnicy między polskim a francuskim kaznodzieją jeszcze w tem, że „u Skargi formy nie widać,<sup>1)</sup> że „nie można dostrzedz jak się wytaczają jego okresy<sup>1)</sup>“, to dziś, dzięki świetnemu studyum Chrzanowskiego<sup>2)</sup> wiemy, że „wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu“ autor „Żywotów Świętych“ pracował nad formą swych kazań i dbał o stronę literacką swoich utworów<sup>3)</sup>.“ Według Brücknera wcale tych kazań nawet nie wygłaszał<sup>4)</sup>, tembardziej zatem mamy do czynienia z dziełem czysto literackiem, jakimi są także mowy Bossueta. Jeżeli więc w tym kierunku biskup z Meaux nie ustępuje naszemu kaznodziejowi, to, zdaje mi się, przewyższa go delikatnem poczuciem piękna przyrody. Cecha u niego szczególna i godna podkreślenia; nie znajdziemy jej w tym stopniu nawet u największego i, prawdę powiedziawszy, jedynie lirycznego poety XVII wieku Racine'a, którego chóry są perłami uczucia. Klasyczna literatura nie odczuwała zgoła czaru natury, którą następnie tak się entuzjazmowali romantycy. Chlubnym poniekąd wyjątkiem jest autor „Oraisons funèbres.“ Na wdzięk niektórych jego obrazów zwrócił szczególną uwagę Delfour<sup>5)</sup>, zestawiając idee klasyków i romantyków. Przytaczamy stamtąd jeden przykład.

„Wstałem wśród nocy, aby widzieć Twoje niebiosa, dzieło Twych rąk, księżyc i gwiazdy, które rozsiałeś po firmamencie.

1) Literatura Słowiańska, tłóm. F. Wrotnowskiego. Poznań 1865. T. I, str. 444.

2) Ks. Piotra Skargi: Kazania Sejmowe wydał i przedmową poprzedził Ignacy Chrzanowski. Warszawa 1904.

3) Pamiętnik literacki. Lwów 1903. Rocznik II, str. 115.

4) Pam. lit. Rocznik III, str. 142.

5) Catholicisme et romantisme. Paris 1905. Introduction str. XXIII.

Cóżem, o Panie, widział, jakież to cudowny obraz Twego światła nieskończonego. Słońce zaczęło się wynurzać, a jego przyjście zwiastowała niebieska bladość, która się roztaczała na wszystkie strony. Gwiazdy znikły, a księżyc wychylił swój sierp srebrzysty tak piękny, tak świetlany, że oczy zachwycaly się jego widokiem“...

Z Bossuetem proza francuska doszła w XVII wieku do szczytu swego rozwoju, na którym jednak nie mogła się długo utrzymać.“ Pod piórem jego następców staje się elegancką, wypolerowaną, ale zarazem bezbarwną i pozbawioną wszelkiej siły sugestywnej. Dopiero Chateaubriand, jak słusznie zauważył Faguet, jest kontynuatorem jego harmonijnej mowy i po stu latach odnalazł na nowo sekret użycia dźwięcznych okresów<sup>1)</sup>.

Inny jest los George Sand. Pisano o niej do ostatnich lat wiele, nawet za wiele, mimo to brak właściwego dzieła, któreby krytycznie i bezstronnie rozpatrzyło jej wpływ na współczesne umysły i jej znaczenie w literaturze, sprawia, że pogląd na jej działalność powieściopisarską i społeczną jest ciągle jeszcze jednostronny. Mamy albo bezkrytycznych wielbicieli albo zawziętych przeciwników. Natomiast z zaciętrzewieniem, godnem lepszej sprawy, zajmowano się dotychczas jej stosunkiem do Musseta. Ciekawość karygodna, niekiedy brutalna, wyciągała z nieopisaną złośliwością po raz dziesiąty i dwudziesty wszelkie szczególiki i anegdotki, tyżące się awantury weneckiej i objaśniała je po swojemu. Działo się to niby w obronie pokrzywdzonej strony, w imię prawdy i sprawiedliwości. Powstała cała literatura polemiczna, która liczy kilkadziesiąt tomów<sup>2)</sup>, oprócz artykułów roz-

<sup>1)</sup> Dix-neuvième siècle. Etudes littéraires. Paris éd. XXIX str. 69.

<sup>2)</sup> Oto spis ważniejszych dzieł odnoszących się do tej sprawy w chronologicznym porządku:

- a) poety: Confessions d'un enfant du siècle; Les Nuits; Le Merle blanc.
- b) powieściopisarki: Lettres d'un voyageur; Histoire de ma vie; Elle et lui.
- c) Pawła Musseta: Lui et elle.
- d) Vic. de Spoelberch de Lovetjoul: La véritable histoire de „Elle et lui.“
- e) Pawła Mariëtona: Une histoire d'amour, George Sand et Musset.
- f) Cabonès'a: Cabinet secret de l'histoire.
- g) Alberta Le Roy'a: George Sand et ses amis.
- h) Henryka Amic'a: George Sand, mes souvenirs.

Oprócz tego obszerniej omówiono tę „sprawę“ w monografiach Musseta i jego przyjaciółki.

i) Arvède Barine: Alfred de Musset.

k) Włodzimierz Karémine: George Sand (1831—1838 t. II).

rzuconych po rozmaitych czasopismach. Istniała, i dla wielu istnieje jeszcze, kwestya George Sand i Musseta. Krytycy oraz publiczność dzielą się na dwa wrogie obozy, które z cyniczną niemal otwartością uganiają się za wiadomościami z życia nieszczęśliwych kochanków. To jedna, to druga strona woła z tryunfem, że ma niezbite dowody winy przeciwnika i powierza ich ogłoszenie biegłemu prawnikowi. Raz George Sand, drugi raz Musset staje przed niekompetentnym areopagiem, jakim jest chwiejna opinia tłumów i przez usta swego krytyka zdaje sprawę z najboleśniej-szych chwil swego życia. Mamy istny trybunał średniowieczny, który bierze na tortury, rozbija na atomy i obraca na wszystkie strony owe zeznania, aby z nich wydobyć ukryte znaczenie, przy-czem dyalektyka sofistyczna i zręczna szermierka językowa święcą prawdziwą orgię. Niestety sprawa kończyła się zawsze fatalną kompromitacją dla obojga kochanków. Po przeczytaniu tych kilkunastu replik i duplik oskarżycieli czy obrońców pozostaje na dnie duszy jakieś gorzkie wspomnienie i ze smutkiem pytamy się: po cóż to wszystko? Nie byłoby lepiej ów czas poświęcić na wyświechtanie jej stanowiska w europejskiem piśmiennictwie, lub jej poglądów na różne kwestye życia?<sup>1)</sup> To też z pewnem zadowoleniem czyta się ostatnią książkę Maurrasa<sup>2)</sup>, który wprawdzie zajmuje się jeszcze głównie sprawą bohaterki, ale któremu nie chodzi o sensacyjne szczegóły ani o to, który z nich zawinił lecz na przykładzie George Sand i Musseta chce wykazać zgubne skutki romantycznego pojęcia miłości.

Nas obchodzi tutaj przedewszystkiem wizerunek heroiny. Jej „szlachetna i gościnna dusza,“ pisze Maurras, była niezdolna do wytrwania w jednym uczuciu, które prości ludzie nazywają miłością. Obejmowało ono raczej cały świat, nie wyłączając zwierząt i martwej przyrody. George Sand szła za swoją skłonnością i miała ten nieszczęśliwy dar oddawania się z żywiołową siłą przedmiotowi, na który padł jej wzrok. Będzie nim raz społeczeństwo, drugi raz jednostka, raz idea, drugi raz krajobraz; lecz myliłby się ten, kto by sądził, że jej życie to ciągły huragan uniesień i namiętności. Przypatrując się bystrzej widzimy na dnie jej du-

<sup>1)</sup> Czyni to Karénine, wykazując głęboki wpływ George Sand'a na pi-sma rosyjskich autorów, jak i na społeczeństwo, ale ogółem grzeszy bezkrytycznym zapalem.

<sup>2)</sup> Charles Maurras: Les Amants de Venise. Paris p. 274. (Foutemoing éd.).

szy stałą równowagę. Z listów, tchnących najwyższą napozór egzaltacją wyziera niezamącone uczucie spokoju i w chwili najżywszego uniesienia, po strasznem rozstaniu się z poetą, pisze: *Któż cię będzie teraz pielęgnował i kogóż będę ja pielęgnowała?* Jej serce, za szerokie na ludzką pierś, pragnęło wszystkiego z jakąś niepohamowaną żądzą. Było w niem obok chłodu, jakieś dziwne rozkiełznanie. W jej krwi — jak wiadomo — krzyżowały się różne sfery społeczne i rasy. Pośród spowinowaconych z jej przodkami lub krewnych liczyła króla Augusta II i rodzinę burbońską, obok nich zaś ptasznika z przedmieścia Saint-Antoine i śpiewaczkę z opery. Uczennica Roussa wielbiła, jak mistrz, naturę i głosiła z entuzyastycznym zapałem szczerść i otwartość, jako najwznioślejsze cnoty. Dumna ze swego protestanckiego dziedzictwa uważała się za rodzaj wyższej istoty i starała się zachować swoją wolność osobistą i swobodę, niekrępowaną żadnymi obowiązkami — o ile nie były podyktowane przez serce i naturę. Za ideał, do którego dążyła, uważała siłę charakteru, męską stanowczość w życiu i prawdę w mowie, co jej zresztą nie uchroniło od żadnego kłamstwa i wybiegu kobiecego. W „Historyi mego życia“ George Sand wzięła za hasło, które za nią powtarzają wszystkie jej bohaterki: *Charité envers les autres, dignité envers soi-même, sincérité envers Dieu.* Tymczasem miłosierdzie, godność i szczerść mogą żyć zgodnie obok siebie u ludzi bez gwałtownych popędów albo u takich, których przez dłuższy czas trzymała w karchach religia lub inna siła moralna. U George Sand Bóg był raczej sługą niż zwierzchnim panem jej niespokojnego serca. To też starając się o godność, zapominała często o miłosierdziu, a chęć okazania się szczerą szkodziła jednemu i drugiemu przymiotowi. Stąd ta fatalna omyłka w jej dążeniach i pismach; ten rozdźwięk między hasłem a urzeczywistnieniem. W życiu tej kobiety nie było nic trwałego, bo jej uczucie nie mogło się stale skoncentrować na jednej rzeczy. Wszystko przechodziło i mijało, jakby w wiecznym ruchu wszechświata<sup>1)</sup>.

Skreśliwszy w ten sposób charakter George Sand, podaję krytyk z kolei sylwetkę Musseta i weneckiego lekarza. Z subtelną przenikliwością i dosadną werwą rozstrząsa pytanie: czy poeta widział swoją kochankę w objęciach Pagella, czy też była to tylko

<sup>1)</sup> Dans la vie d'une femme ainsi faite, les hommes devaient se suivre à peu près comme ils se succèdent dans le mouvement du Grand Tout. Ephémères, instants, secondes fugitives, bulles de l'écume infinie. Op. cit. str. 19.

halucynacya? i dochodzi do niespodziewanego wniosku, że bohaterka już wówczas, podczas choroby poety, oddawała się czułościom Włocha, ale Musset tego nie mógł widzieć w żaden sposób, bo ich oddzielał parawan, a George była zawsze ostrożna. Stąd tłómaczy się jej uporcezywe zaprzeczanie pogłoskom i śmiałość, z jaką odpierała zarzuty kochanka. U poety zaś czuła imaginacya, podrażniona nieznacznymi podejrzeniami, snuła podczas choroby straszne obrazy z taką nieprzepartą siłą i wyrazistością, że później umysł jego, zdaje się, nigdy nie uzyskał pewności, czy był ofiarą złudzenia czy wyrafinowanej intrygi. Poeta naprzemian złorzeczył, przebacział, unosił się gniewiem, płonął zemstą, przepraszał, lecz ostatecznie nie wyszedł po za sferę domysłów i mniej lub więcej trafnych przypuszczeń. W czterech rozdziałach, odpowiadających czterem aktom dramatu, a zatytułowanych właśnie ad hoc<sup>1)</sup>, przechodzi Maurras wszystkie etapy tej miłości i z nieubłaganą konsekwencyą rozwija przed oczyma czytelnika przebieg psychicznego procesu w umyśle poety. Konkluzya, do której dochodzi krytyk, jest słuszna i pozostanie nią, choć później ogłoszone listy<sup>2)</sup> — będzie o nich mowa na innem miejscu — okazały fałszywość wielu twierdzeń i oczyściły raz na zawsze George Sand od pierwotnego zarzutu frymarczenia swoją łaską pod boki chorego przyjaciela.

Pozostaje bowiem prawdą to, że miłość, jak ją pojmowali Musset i George Sand, zatruiła temu poecie życie i że już nigdy nie powrócił do równowagi umysłowej. Pozostaje prawdą to, że mu skrzywiła charakter, spaczyła serce i stała się złą gwiazdą na jego drodze poetycznej. Zawód napełnił Musseta goryczą, przejął go pesymizmem i okrył jego umysł mroczną melancholią. Lecz nie mniejszą winę ponosi ówczesny rozstrój umysłów. Był to we Francyi czas, zarażony do głębi niemiecką uczuciowością i przewrotnymi hasłami okresu „burzy i wrzenia.“ Dziecię wieku, jak mówiono podówczas, pokolenie to nie przestało nadużywać serca i jego quasi-przywilejów. I nasi dwaj bohaterowie głosili prawa wolnej, dumnej, niezależnej miłości. Przekonali się jednak niebawem, jak bolesnym jest powrót do pierwotnego stanu. Przekonali się, jak ta wielbiona natura jest bardziej złośliwa i okrutna w swej zemście niż społeczeństwo. Poeta przez swoje fałszywe pojęcia był z góry skazany na taki los, który byłby go spotkał prędzej czy później. Rozdźwięk między idealną miłością, głoszoną w gór-

<sup>1)</sup> Personnages, Tragédie, Comédie, Vérité et Poésie.

<sup>2)</sup> Correspondance de G. Sand. Bruxelles. 04 pub. p. Felix Decori (Demanéd).

nych strefach natchnienia, a rzeczywistym obrazem, który się spotykało, był zanadto jaskrawy, aby pozostał bez fatalnych skutków. Pod ich wpływem zwątpił poeta w istnienie prawdziwego uczucia. Pograżając się coraz niżej, tracił energię, wolę, życie, a równocześnie przechodził niestłuchane męki rozpaczy i zawiedzionej dumy.

Tak przedstawia się zarys tej książki, którą krytyk kończy pięknem i pouczającym porównaniem. Miłość uważali starożytni mędracy nie za boga lecz za demona zarazem dobrego i złego. Dzisiejsze doświadczenie uczy nas, że miłość nie jest regułą życia, lecz jedną z jego potrzeb. Powinno się więc ją traktować, jak samo życie, to jest jako zależną od otoczenia, powinno się ją podporządkować istniejącym prawom, które uświęciła religia i moralność. Miłość przenika wszechświat, lecz poruszając „słońce i inne gwiazdy,” nie może sama ani ich zniszczyć ani odbudować nawet w samotnych marzeniach dwojga zakochanych serc. Romantycy, głosząc, że miłość jest głębokim i mistycznym związkiem dusz, wyższym ponad wszelkie względy, że należy się jej oddawać z całą namiętnością, bo ona stanowi cel życia, że należy jej szukać i upajać się nią, okazali dowodnie, że nie pojęli wcale prawdziwej jej natury. Goniąc wszędzie za miłością, żywiąc się melancholią i rozpaczą, poniżyli raczej, niż wywyższyli obraz starożytnego demona. Potomność osądzi ich może jeszcze surowiej. Oto, powie ona, ludzie, którzy byli dotknięci szałem kochania. Lecz cóż to za miłość, która szuka sama siebie, a napełnia bólem, męką, udręczeniem? Czy to miłość? Czy oni kochali?...

Omówiłem powyższą książkę obszernie, gdyż uwagi w niej zawarte zdawały mi się bardzo na czasie. Choroba wieku — „le mal du siècle,” jak ją trafnie nazywają Francuzi — podniosła pod koniec ubiegłego stulecia znowu głowę. Jej fatalne tchnienie wieje wprawdzie z całej literatury francuskiej dziewiętnastego wieku, lecz w drugiej jego połowie po ustąpieniu romantyzmu, skurczyła się i przycichła nieśmiało, aby w ostatnim dziesięcioleciu wybuchnąć ze zdwojoną energią i fałszywymi jeszcze pojęciami. Poeci i powieściopisarze unikają w swoich utworach tego, co silne, zdrowe i naturalne, a lubują się w objawach wyjątkowych, anormalnych, w uczuciach wynaturzonych. Rzadko który z nich postępuje w myśl pięknych i podniosłych słów ukraińskiego wieszcza:

Lece — gonię wspomnień mare,  
 Z kwiatów życia wieniec plotę;  
 Piękność, miłość, czucie, wiarę  
 Na ogniwa spajam złote.

Z „kwiatów życia“ należy zatem „spajać złote ogniwa,“ a nie z jego brudów.

Niemniej uderzającą jest strona ideowa i pojęcie sztuki. „Artystów słowa“ nie obchodzi społeczeństwo i jego zadania. Ktoby się tam troszczył o „tłum filistrów“! lecz to nie przeszkadza im jęczeć i uskarżać się ciągle na obojętność. Własne „ja“ stanowi alfę i omegę ich troski, którem się bezustannie zajmują i upajają. Z zachwytem głoszą nam swe wrażenia, swój ból, swoje majaczenia i dziwią się, że my tego nie rozumiemy. Rozumiemy może lepiej, niż to oni przypuszczają, tylko, że nas strasznie mało obchodzi to kwilenie i rozpamiętywanie urojonych boleści. To też i teraz jeszcze warto przytoczyć cięte lecz zgoda trafne wiersze Morawskiego, które nie utraciły nic ze swej aktualności, jako wyraz dzisiejszych i niedzisiejszych zapatrywań na pewne prądy literackie:

Ledwie że się z Infimy, a nawet z pieluszek  
 Jakiś tam romantyczny wyrwie Leniuszek,  
 Jużci się do nieszczęścia powołanym sądzi,  
 Błąka się w ciemnych lasach, po cmentarzach błądzi.  
 Z jakiejś tam urojonej tęsknoty usycha,  
 Je dobrze, pije lepiej, a do grobu wzdycha.

Powyższe słowa dadzą się także odnieść do współczesnych dekadentów-epigonów, u których szczególnie zwyrodnieniu uległ pierwiastk zmysłowy. Z jakimś nadzwyczajnem upragnieniem, dającym się chyba wytłómaczyć anomalią stanu umysłowego, fantazya wielu pisarzy gmera w zbiorniku, nie zawsze czystym ludzkich popędów i namiętności. Miłość, odmalowana w jakimś wizyonerskim szale, w którym ciało tarza się w konwulsyjnych drganiach, przestaje być indywidualnem uczuciem a zamienia się w „kosmiczną potęgę“ niszczenia. Wściekła, bakchicznym zgrzytem przepojona erotomania wieje z wielu utworów tej epoki, które zresztą pod innymi względami nie są pozbawione pewnej wartości. Taka nadwrażliwość zmysłowa cechuje ów przeczulony i do najwyższego stopnia chorobliwy romans d'Annunzia, toż „nagą duszę“ Przybyszewskiego, który teorię oddziaływania dwojga płci na siebie doprowadza do jakiegoś mistycznego absurdu.

Przeciwno temu zamartwychwstającemu upiorowi zwraca się książka Maurrasa. „Wielkim obowiązkiem — pisze on w przedmowie do swego studyum — naszego polityka i myśliciela jest zwalczać to, co zostało lub odradza się z popiołów chorobliwego romantyzmu.“ *Lecz czyżby to wyłącznie francuskie społeczeństwo wy-*

*magalo takiej propagandy lub byłobyż to obowiązkiem tylko nadsekwanańskiego myśliciela przypomnieć: caveant consules ne quid detrimenti respublica capiat.*

Paryż ma rok rocznie kilka romansów, które budzą powszechny rozgłos i rozchodzą się w olbrzymiej liczbie egzemplarzy, choć, prawdę powiedziawszy, rzadko kiedy są one prawdziwie cennym dobytkiem w literaturze. Zawdzięczając swój popyt schlebieniu chwilowych namiętności, swej treści erotycznej lub aktualnej, ulegają prędko słusznemu zapomnieniu. Poprzedniego roku jedna tylko książka była wydarzeniem dnia: „La Maternelle“<sup>1)</sup> młodego autora, którego dwa pierwsze utwory nie zwróciły na siebie wielkiej uwagi<sup>2)</sup>. Choć oficjalna krytyka przyjęła i tym razem autora bez zbytnich pochwał, publiczność entuzjazmowała się nowem dziełem, które w krótkim czasie rozeszło się w kilkudziesięciu wydaniach. Co dziwniejsze, mamy tutaj do czynienia z utworem nie obliczonym na wywołanie sensacji i żadna reklama nie przyszła z pomocą tej książce do osiągnięcia rozgłosu. Skromna, jak tytuł wskazuje, nie przemawia ona ani do politycznych namiętności, jątrzących w obecnej chwili nieszczęsny kraj francuski, ani nie łechce rozpustnej fantazyi Paryżan swywohlymi obrazami zmysłowej rozkoszy. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej prostego. Ni to romans, ni powieść społeczna, ni studjum psychologiczne. Gdyby nie początkowe stronicę, możnaby tę książkę uważać za szereg obserwacyj nad życiem dzieci w szkole. Krytyka niektórych urzędzeń szkolnych nie gwałtowna, nie złośliwa, a czasem zadziwiająco trafna; wskazanie licznych wad w sposobie edukacji na najniższym stopniu nauki — oto co wypełnia ten tom o 300 stronicach, który się czyta mimo to z niekłamany zachwytem i z wzrastającą ciągle ciekawością. Bo też autor nie podaje nam tych uwag wprost, lecz przepuszcza je przez pryzmat niezwykle uroczy i poetyczny, jakim jest dusza młodej dziewczyny. Jej przeszłość może nas zainteresować, lecz pozwólmy, aby sama za siebie mówiła; gdyż w jej opowiadaniu, w jej języku leży główny czar książki: *Je fus fiancée à vingt-trois ans. Il était temps.*

*Par une grâce, dit-on, assez rare, le surmenage des études classiques n'avait rien détraqué en moi, la longue attente virginale n'avait pas perverti mon imagination. Elevée sans mère de-*

1) Léon Frapié. La Maternelle. Paris p. 304. Librairie universelle.

2) L'Institutrice de Province, Marcelin Gayard.



puis l'âge de douze ans, j'étais très simple, très saine, très „nature“ : de visage coloré, de caractère gai, de gestes vifs. Mais enfin, il était temps que la certitude d'un prochain mariage vint secourir la belle patience de mon tempérament.

Jej narzeczony o rycerskim profilu „d'un Louis XIII,“ miał usposobienie poetyczne i najpospolitsze okoliczności umiał odziać w górnolotną szatę natchnienia, co budziło u niej również egzaltację. Niestety, zbyt rychło prysł cały ten krąg czarodziejski. Utrata majątku i śmierć ojca pociągnęły za sobą ucieczkę młodego człowieka, którego poezya nie przetrwała ruiny finansowej. Los sieroty nie był zazdrości godny. Opuszczona nagle przez wszystkich, dostaje się pod opiekę wuja, spensyonowanego oficera. Sam przeciwnik emancypacji kobiet, ma tylko gorzkie i szydercze słowa dla dziewczyny, która odebrała wyższą edukację (maturę i licencyat) i rwie się do życia, do działania, do pracy. Stara się o miejsce nauczycielki w szkole, lecz do tego trzeba mieć inne egzamina; ubiega się o niższą posadę, lecz znowu warunkiem dopuszczenia do niej jest nie być uczoną (a peu près illettrée). Biedna sierota jest gotowa podrzeć, spalić dyplomy, zapomnieć o świetnych marzeniach przeszłości, byle nie być nikomu ciężarem, byle wieść życie czynne; lecz wuj natrząsa się z niej. Wiedzy nabytej nie można zniszczyć, ona ryje niezatarte piętno na czole, w oczach. Przebija się na każdym kroku, w mówieniu, w wyrażeniach i w ruchach. Rezolutna dziewczyna nie dała za wygrane. Po długich staraniach udało jej się otrzymać posadę dla dzieci, oczywiście nie nauczycielki — do tego nie miała przepisanej kwalifikacji — lecz dozorczyńi, lub powiedzmy po prostu, służącej. Zaczyna się dla niej nowe życie wśród twardej pracy i pospolitych zajęć, lecz urozmaica je sobie od czasu do czasu, w nieregularnych zresztą odstępach, pisaniem dziennika, który daje niezwykle zajmujący przegląd duszy samej bohaterki i drobny opis życia dziecięcego w szkole, nazywanej u nas freblowską. Ta analiza duszy jest niezrównana. Powieściopisarze obierają zwykle do takiego studyum psychologicznego charaktery bardziej złożone, dusze więcej przerafinowane, co czyni analizę trudniejszą, zapewne, lecz zarazem zapobiega monotonii. Utrzymanie w napięciu czytelnika, kiedy się kreśli obraz tak mało bogatej indywidualności, jak nasza bohaterka, wymagało niezwykłego talentu. I tutaj zatryumfował dar pisania Frapiégo. Opowiadanie jego bardzo barwne, miejscami rzewne i smętne, przemawia do naszej wyobraźni wszystkimi tonami młodego serca. Nie nudzi nigdzie, a wzrusza często — oto w najogólniejszych sło-

wach charakterystyka utworu. Byłoby bezużytecznie streścić go, bo talent autora polega właśnie na umiejętnem pochwyceniu najdrobniejszych objawów dziecięcego życia, jego odrębnej psychologii i mowy, jego nawyknień i pragnień, i na subtelnem odtworzeniu tego obrazu, o którym żadne streszczenie nie może dać trafnego pojęcia. Na szarem tle murów szkolnych rozgrywa się dramat w duszy bohaterki. Dramat nie miłosny, o wcale nie, autor wykluczył ten pierwiastek ze swego „romansu“ — ale walka między chęcią opuszczenia szkoły i założenia ogniska rodzinnego, a troską o dzieci, dla których była najlepszą matką. Spowiedzi bohaterki mają w sobie coś wzniosłego. Jej cicha walka przejmując nas do głębi, a obraz, smutny jak jesienna pora, która wypełnia rany utworu, pozostawia niezatarte wrażenie na umyśle czytelnika. Przytem, z jaką nieubłaganą wyrazistością umiał młody powieściopisarz namalować moralną fizyonomię przedmieścia paryskiego, zamieszkałego przez najbiedniejszą ludność. Uczynił to w sposób najnaturalniejszy. Charakter rodziców ma swoje odbicie w zachowaniu się i w wyrażeniach dzieci; szkoła ponadto jest w ciągłej styczności z nimi. Stąd przesuwają się przed naszymi oczyma kilkanaście postaci. Widzimy je z boku, en profil, lecz kilka rysów, rzuconych niby mimochodem, doskonale nam odzwierciedla ich duchowe jestestwo. Wszędzie uderza nas ten szczególny dar obserwacji i ta władza plastycznego przedstawienia. Zarówno starsze osoby, jak i dzieci, nie zlewają się w jakiś szary tłum, lub bezładną masę, w której wszystkie indywidualne cechy nikną bez śladu. Owszem, autor użyczył każdemu tyle odrębnej fizyonomii, że niemal każde dziecko przedstawia nam się inaczej, każde ma swoją właściwą naturę. I nie wiedzieć, co bardziej podziwiać w tej szczególnej powieści: czy proste słowa, czy znajomość psychiki dziecięcej, czy mistrzowską analizę duszy bohaterki. W tem wszystkim objawia się talent samorodny, po którym wolno się spodziewać wiele, a w każdym razie rzeczy odmiennych niż zużyty trochę romans psychologiczny Bourgeta, lub pesymistyczny okrzyk Maupassanta czy Roda.

Do najmłodszych powieściopisarzy należy również Lichtenberger, którego imię po raz pierwszy znalazło się na szpaltach wielu czasopism. Jego powieść<sup>1)</sup> obudziła powszechne zainteresowanie i zwróciła na niego uwagę krytyków. Pod względem barwności krajobrazów i bogactwa kolorów, może śmiało rywalizować

<sup>1)</sup> Les Centaures. Paris p. 324. (Calman-Lévy éd.).

z arcydziełami tego rodzaju. Akcja odbywa się w zamierzchłej przeszłości, kiedy nad ziemią panowali Centaurzy, „naród o sześciu członkach,” niezmiernie silny, waleczny lecz sprawiedliwy i miłujący pokój. Związek pokrewieństwa łączył go z faunami, zamieszkującymi lasy, gaje, dąbrowy, oraz z trytonami, którzy wzięli w swe posiadanie wodne przestrzenie. To potrójne pokolenie wywodziło swój początek od Boga-Słońca. Pod jego rządami zapanaował pokój na ziemi, a kara śmierci groziła temu, kto by przelał krew zwierzęcia. Drapieżcom wolno było żywić się tylko padliną. Wszystko, co żyło, poddało się temu prawu, lub ginęło, wytepięone przez synów Słońca. Jak daleko sięgała ich władza, okolica stawała się rajem. Niegdyś to panowanie obejmowało większe obszary, lecz zima i lody zmusiły Centaurów do wędrówki ku południowemu zachodowi. Dążyli oni zawsze za słońcem, które było dla nich ożywcem źródłem. Ziemię, opuszczone przez tych mitycznych bohaterów, zajmowały natychmiast istoty z natury słabe, o bladym ciele, nie pokrytem sierścią, któraby go broniła przed zabójczym zimnem, lecz zato o przedsiębiorczym umyśle, istoty chytne i podstępne. Są to, jak łatwo się domyślić, nasi praszczurówie. Centaurzy nadali im charakterystyczną nazwę: les écorchés. Z tym przeklętym rodem żyją synowie słońca w ustawicznej bezpardonowej walce, gdyż oni jedni odrzucili powszechne prawo pokoju. Oto niedawno ludzie zaskoczyli fauna i ubili go na miejscu. Jego krew woła pomsty. Centaurzy napadają z kolei na osady nieprzyjaciół i obracają go w perzynę. Wśród głuchych grzmotów przedpotopowej burzy i ryków wichru naród o sześciu członkach sieje straszne zniszczenie. Krwawe błyskawice oświetlają pobojo-wisko, z którego uchodzi tylko jeden człowiek. Widziała go córka Klévoraka, wodza Centaurów, i odtąd jej sercem włada nieznanie dotychczas uczucie. Litość, żal, niepokój, miłość wstrząsają naprzemian duszą bohaterki. Obcym jej się stał własny naród.

Upłynęło wiele lat. Ludzie, ujarzmiwszy konia, zjawili się w niezliczonej liczbie, zbrojni w łuki i miecze. Walka na życie i śmierć zawrzała między tymi rodami, a skończyła się pogromem Centaurów. Tryumfujący wódz — a jest nim właśnie ów ocalony człowiek — kroczy na czele zwycięskich szeregów i podchodzi coraz bliżej, gdzie stał stary król z córką. Ona, drżąca, lękliwa, miotana podwójnem uczuciem: boleści i podziwu, lęku i miłości, bo oto poznała swego ukochanego. I on ją poznał, spieszy do niej, lecz zamiast objąć w miłosnym uścisku, zarzuca jej pętlicę na szyję. Król, oszalały pod wpływem tej hańby, wyrывa się otaczającym go ludziom, w kilku skokach jest przy dumnym zwy-

ciężcy, podnosi maczugę i za chwilę wódz będzie wykreślony z liczby żyjących. Ale dziewczica uprzedziła nieuchronny cios, maczuga ojcowska spadając zmiądzzyła jej głowę. Z wyrazem „Naram“ jej dusza ulatuje w przestworze. W niemym bólu osiwiaty król patrzy na śmierć córki. Lecz i Naram nie uszedł przeznaczenia. Stary Centaur porywa go w swe potężne ramiona i jednym uderzeniem pięści rozbija mu czerep, poczem w niedościgłym pośpiechu przybywa nad kipiące morze i tam, zanosząc modły do zachodzącego słońca, skacze w burzliwe odmęty. Płynie wartko ku zachodowi, aby połączyć się z prabytem—słońcem. „Na spotkanie siwego wodza gwiazda ojcowska zstępuje na niezmierne wody i w ogromnym blasku wyciąga do niego swe ramiona. Całe niebo okrywa się krwawą luną, ognista atmosfera otacza Centaura, bezimienne głosy pieszczą jego uszy, boskie tchnienie owiewa jego istotę. Przed nim, dokąd wzrok sięga, od horyzontu do zenitu, wszystko jaśnieje złotem, purpurą, światłem. Gwiazda zapełnia niebo, zapełnia morze, otacza ostatniego potomka, obejmuje go i ciągnie za sobą. Wśród ogromnej łuny powszechnego pożaru Klévorak czuje uchodzącą duszę, podnosi jeszcze raz ramiona i z okrzykiem na cześć praojca zatapia się w Słońcu.<sup>1)</sup>

Poznawszy tedy nastrój i treść książki, starajmy się wydobyć z pod fantastycznych osłonek istotę rzeczy, myśl i ideę autora. Pierwszy rzut oka wystarcza, abyśmy poznali, że mamy tutaj do czynienia z utopią. Uwydatniła się ona może słabiej w powyższem streszczeniu, niż występuje w samej książce, lecz nie ulega wątpliwości, że o nią chodziło autorowi. Ludzie, według niego, to — niszczyiele, ciężcy, okrutnicy. Gdzie ich niema, panuje raj, za nimi kroczy widno śmierci i zniszczenia. Opis spokojnej krainy pod rządami Centaurów, ich obyczajów i zapatrywań wypełnia książkę. Intryga miłosna jest tylko pozorem, aby tem silniej uwydatniły się szlachetne uczucia i prostota owych mieszkańców, a przewrotność i chytrość ludzi. Taka jest tendencya książki, ale to nie wszystko.

Od „Respubliki“ Platona, „Utopii“ Morusa, urojonego państwa w „Telemaku“, do „Przypadków Doświadczyńskiego“, romansów socyalnych XIX wieku i fantastycznych marzeń o przyszłości, niezliczone mnóstwo dydaktycznych romansów przewija się w literaturze powszechnej. Ich celem jest przeciwstawić zepsutemu społeczeństwu inne, żyjące w patryarchalnych stosunkach, szczęśliwe,

<sup>1)</sup> Op. cit. str. 324.

oddane naturze i użytecznym zajęciom. Europa jest zła, udamy się na wyspę Nipu po wzory. Nasze społeczeństwo porzuciło dawne obyczaje, popłyniemy do Liliputów, którzy je zachowali w nienaganej czystości. Lichtenberger idzie dalej. U niego cały ród ludzki od swych początków jest zły, podstępny, rozbójniczy. Chytrącią narzucał swe jarzmo otaczającym go istotom, tępiąc wszystko, co mu nie chciało uleść dobrowolnie. Ironia losu! ludzkie uczucia znajdują się tylko u jego przeciwników, on jeden jest pozbawiony wszelkich szlachetnych porywów. To też książkę młodego autora czyta się z wrastającym zainteresowaniem, lecz odkłada się z jakimś smutnem pytaniem, które przygnębia człowieka. Nie zdajemy sobie może odrazu sprawy z tego przykrego wrażenia, jakie na nas wywarła lektura na pozór niewinnego utworu, lecz ostatecznie dochodzimy do świadomości, że to natura nasza instynktownie się oburza. Zdaje nam się, że jakiś drogi przedmiot uległ zhańbieniu, że napiętnowano kogoś, z którym łączy nas blizkie pokrewieństwo. Podobnie jak czytając „Lillę Wenedę“ oburzamy się na myśl, że okrutni Lechici mają być praszczurani narodu polskiego, a nasze serce zwraca się do nieszczęśliwych Wenedów, tak tutaj obraz ludzkości, odmalowany w najczarniejszych barwach, przygnębia swoją ohydą wobec niby spokojnych i idealnych istot otoczenia. Sympatya odwraca się zawsze od ciemieży, a jest nim tutaj cały ród ludzki. Stąd ten niepokój, który chwyta naszą duszę, to dręczące pytanie, które nam się ciśnie na usta: czy ludzkość od swych początków była naprawdę taką w stosunku do swego środowiska. Wprawdzie każdy wie, że człowiek pierwotny podobniejszy był do dzikiego zwierza i Lichtenberger nie omieszkałby się na te znane fakta powołać, gdyby mu zarzucono przesadę, lecz wiadoma to rzecz, że tło nadaje dopiero charakterystyczne zabarwienie. Człowiek otoczony groźną przyrodą, która czyha na jego zgubę, sam bezbronny, słaby i niedołyżny wobec olbrzymich potworów, zaludniających ówczesną ziemię, nie dziw, że chwyta się podstępu i broni się chytrącią. Budzi on raczej litość i troskę, z zaparciem śledzimy te powolne narodziny historycznego człowieka, który ujarzma surowe siły natury. Lecz ten sam człowiek wobec idealnych istot, które wymarzyła bujna fantazyja powieściopisarza, wydaje nam się z kolei straszliwym potworem. Przeraża nas ten ponury, niczem zresztą nieuzasadniony pesymizm i ta krwawa walka o byt, w której okrucieństwo i chytrąć odnoszą zwycięstwo. A z jaką siłą umiał autor oddać smutek ginącego narodu! Te ostatnie chwile nieszczęśliwych Centaurów i ich braci faunów, odmalował on w tak pa-

tetycznych wyrazach, że choć świadomi jesteśmy, iż to nawskroś wymyślone postacie, niesłychany żal napełnia nam duszę. Znowu mimo woli przypomina się tragedia Słowackiego, gdzie Wenedzi w rozpaczliwej rezygnacji spieszą w objęcie śmierci. Jeden i drugi utwór przenika ten najwyższy tragizm, nie jednostki, nie rodziny, ale tragizm całego pokolenia, skazanego na niemnikioną zagładę. Potrzeba rzeczywistego talentu na oddanie tego nastroju, Lichtenberger okazał go w całej pełni. Pomijając tedy pesymistyczną tendencję, nie możemy nie podziwiać jego powieści. Czyta się ją zrazu niby rozkoszną sielankę na tle bujnej przyrody. Za panoramę służą dziewicze lasy, słoneczne wzgórza, urocza toń błękitnego morza i modre fale jezior. Autor zdumiewa bogactwem wyobraźni, barwnością opisów i złocistym kolorytem krajobrazów. Jakieś żywiołowe upajanie się naturą cechuje go na każdej stronicy i z każdego obrazu bije czar niewysłowionego piękna w swej pogańskiej czystości. Pod tchnieniem czarodziejskiej różdżki pisarza zmartwychwstał jeszcze raz zamierzchły świat wyobraźni greckiej. I rzeczywiście, Grek starożytny nie inaczej musiał sobie wyobrażać swoich satyrów i trytonów, swoje dryady i syreny. U naszego pisarza owe postacie nie są symbolami, jak w klasycznej lub raczej pseudo-klasycznej poezji, to nie są martwe figury, ozdoby retoryczne, manekiny, poruszające się z woli autora, lecz działające osoby, zakłęte w czarodziejskie kształty pogańskiego świata. Przytem co za tło niezrównane. Opisowy talent Lichtenberga święci tryumfy, jego delikatne poczucie barwy i cieniowania będzie zachwycało tego, kto się kocha w krajobrazie i formalnem pięknie rytmicznej prozy. Weźmy pierwszy lepszy obraz, choćby początek utworu: Na lśniącym niebie iskrzy się zachodząca gwiazda. Przez zieloną kopułę olbrzymich dębów i buków przedzierają się skośne promienie. Pod wpływem ich ciepła zaczyna się gorączkowe życie. Szare i brunatne pnie oblewają się światłem. Mchy i paprocie błyszczą, otoczone kwiatami różowymi, żółtymi, niebieskimi. Od czasu do czasu fiołki rozlewają balsamiczny zapach. Wśród gałęzi, które się tulą w miłosnym uścisku, ptaki świergocą. Krzewy trzeszczą pod stopami leśnego zwierza, który, roztrzaskując krzaki i ciernie wciąga w siebie chciwie świeży powiew...

Takich obrazków pełno w powieści. Niemniej barwne są opisy zwyczajów dziwnego narodu Centaurów. Kiedy nam autor przedstawia wojenną obradę czy ceremonię pogrzebową, mamy wrażenie, że je widzimy przed sobą. Wyprawa przez odległe morza, lęk i drżenie narodu przed czemś nieznanem, są odtworzone

z niezwykłą plastycznością. Czasem zdaje nam się, że czytamy jakiś poetyczny fragment *Oddysei* lub *Illiady*, a czasem, że to smętna pieśń północnego barda. Możemy tedy z ufnością oczekiwać od młodego pisarza utworów jeszcze większej wartości, w których wyjaśni się jego punkt widzenia, jego zapatrywania na życie i jego filozofia, gdyż byłoby niesłusznem sądzić go według dzieła, będącego nawpół poematem, korzystającego [zatem z praw poetyckiej licencji. Możemy natomiast już teraz powitać w nim świetnego stylistę, który zajmie może godne miejsce obok pokrewnych mu umysłów, obok mistrzów dźwięcznej prozy francuskiej Chateaubrianda i Flauberta <sup>1)</sup>.

Z fantastycznych mroków odległej przeszłości, gdzie igra nieokiełznana fantazyja rozkochanego w starożytności pisarza, czas wrócić do rzeczywistego świata terażniejszości. Rozpęd życia i gorączkowa działalność dzisiejszego pokolenia nie nadaje się do rozległych a epickich obrazów. To też nie w tem celuje obecny romans. Naprózno byśmy także szukali wybitnego dzieła w dziedzinie historycznej powieści. Jego główna siła leży gdzieindziej: w subtelnej analizie ludzkiej duszy, oraz w bystrej obserwacyi

---

<sup>1)</sup> Aby dać wyobrażenie o języku autora, o jego giętkości i poetycznym nastroju, który się słabo odzwierciedla w tłumaczeniu, zamieszczam dwa wyjątki. C'est la joie puissante du printemps qui mûrit. *Au ciel radieux, l'astre décline. Le dôme vert des chênes géants et des grands hêtres se transperce de rayons obliques. A leur flamme la vie s'exalte. Les tons gris et bruns s'illuminent. Les mousses et les fougères reluisent, semées de rose, de jaune et de bleu, au hasard des fleurettes éparses. Par bouffées, les violettes embaument. Dans les feuillages qui s'embrassent, les oiseaux pépient. Les fourrés craquent: écartant les ronciers et les ajoncs, les quadrupèdes hument la fraîcheur qui descend. Un grouillement de vie se hâte dans les sous-bois... Large comme un fleuve, une coulée de soleil troue la forêt...* Sur le sol engraisé de cendres, fertilisé par la lumière et l'infiltration des eaux, la splendeur des plantes nourricières s'est épanouie.

Albo zgoła odmienny obraz:

A la rencontre du vieux chef, l'astre paternel descend sur les eaux et, dans un flamboiement immense, lui tend ses bras de lumière. Tout le ciel brûle; une atmosphère de feu baigne le centaure, des voix indicibles bourdonnent à ses oreilles; des effluves divins l'enveloppent. Devant lui, à droite, à gauche, de l'horizon au zénith, tout est or, tout est pourpre, tout est lumière. L'astre emplit le ciel, emplit la mer, s'empare du vieux centaure, le recueille, le saisit, l'entraîne avec lui. Le terme du voyage est atteint. Dans l'embrassement universel Klévorak le chef sent son âme se dissoudre. Il lève les bras avec un grand cri et s'engloutit dans le Soleil. (324).

drobnych wad i braków społeczeństwa. W pierwszym rodzaju górował do niedawna Bourget, mistrzem drugiego rodzaju — jest Anatole France. Wszelkie słabostki i śmieszne strony współczesnego społeczeństwa: czy to rozpanoszonej burżuazji, czy ambitnego kleru, czy zawistnego militarysty, czy wreszcie bezrozumnej i pedantycznej biurokracji, wszystko to stanowi niewyczerpane pole pomysłów, z których każdy uderza swoją oryginalnością i wdziękiem. Nieubłaganym biczem wykwintnego szyderstwa smaga Anatole France małostkowość i filisterstwo swoich rodaków, lecz w gruncie rzeczy nie jest satyrykiem-moralistą. Nie chodzi mu bowiem o poprawę. Nie wierzy zresztą w jej możliwość. Jego sceptycyzm nie pozwala mu oburzać się na nikczemność, wystawić ją pod pręgierz i napiętnować dosadnie. Zaledwie raczy ją ukazać pod lekką przykrywką attyckiego sarkazmu. Zanadto jest czuły na piękno i harmonię, ażeby się nie powstrzymywać od bezwzględnego okrzyku oburzenia, któryby raził jego estetyczne ucho. Nie daje on w swych utworach, ściśle wziąwszy, wiernego obrazu, lecz raczej odbicie, podniesione do wysokości idealnej karykatury. Anatole France mimo niezaprzeczonego talentu spostrzegawczego, nie jest głębokim obserwatorem, nie umie się skupić, lecz przeskakuje z jednego przedmiotu na drugi z wprawą wytrawnego dyalektyka. Jego cztery powieści, złączone w jedną całość pod tytułem „Historji współczesnej“<sup>1)</sup>, — to bogata encyklopedia ciętych uwag, bystrych spostrzeżeń, lecz nie galerja typów, jaką jest „Komedia ludzka“ Balzaka, nie bezstronne malowidło epoki. Nie możemy się atoli dłużej rozwodzić nad tym cyklem, gdyż jego ogłoszenie przypada na lata 1893—1901. W ostatnim czasie wydał France zbiór nowel i opowiadań<sup>2)</sup>, z których pierwsza powiastka była już kilkakrotnie drukowana<sup>3)</sup>. W kilku późniejszych zaś widać pewien wysiłek. Brak im świeżości i polotu. Nie mówię oczywiście o Crainquebille, który jest małym arcydziełem artystycznej kompozycji i subtelnej ironii; lecz w wielu innych czuć, że autor bądź porusza się nie na swoim terenie, bądź sili się na koncept. Do takich należy „Kamień rzeź-

1) „Histoire contemporaine“ która się składa z następujących czterech powieści: a) *L'orme du mail*; b) *Le Mannequin d'osier*; c) *L'Anneau d'améthyste*; d) *Monsieur Bergeret à Paris*.

2) Crainquebille, Putois, Riquet et plusieurs autres récits profitables. Paris. (Calmann-Lévy éd.).

3) Pod tytułem „Affaire Crainquebille.“



biony.“ Anatole France opowiada o magicznej własności tego kamienia, który unieszczęśliwił właściciela, czyniąc go niewolnikiem zwiędłych wdzięków starej rozpustnicy. Coś z pierścienia Nibelungów, jakieś słabe wspomnienie naszyjnika królowej Antoiny—oto demoniczna strona nieudanej powiastki.

Do tegoż rodzaju zaliczyć należy inne opowiadanie, zatytułowane „Adryanna Buquet“<sup>1)</sup>, w którym autor głosi teorię jasnowidzenia i podwójnego wzroku. Bohaterka widzi nagle w lustrze obok siebie postać nieobecnego przyjaciela. Zaniepokojona spieszy do niego i dowiaduje się, że właśnie owej chwili zakończył życie wystrzałem rewolwerowym. Na tem polu górował—jak wiadomo—Poe, który z niezwykłą mocą umiał przelać na papier owe wizye duchowe, przerażające swoją plastyką i sugiestyjną siłą, lecz talent France’a zgoła nie odpowiada temu zadaniu. Z poza utworu wзира zawsze drwiący półśmiech sceptyka.

Oceniając najnowszy utwór Roda, jeden ze znakomitszych krytyków nadsekwahńskiej stolicy<sup>2)</sup> zauważył, że romans sili się odrodzić za wszelką cenę, będąc blizkim zgonu. Stąd tłómaczy się ten zalew socyalnych romansów. Sąd tylko do połowy trafny. Nie sądzę, ażeby tak źle było z romansem, jak również nie przypuszczam, ażeby miał kiedy umrzeć. Dzięki swej gętkiej formie dostraja się on do każdorazowego kierunku i szybkim krokiem dąży za modą lub ją nawet wyprzedza. Żyjemy w okresie zaciętej walki klas, w której z jednej strony niezrozumienie postępu i ducha czasu, a z drugiej zaciekłość i zaślepienie stwarzają szczególne sytuacje. Ustawodawstwo socyalne w wielu krajach dopiero w zarodku, w innych jeszcze nie rozpoczęte, nie może zapobiedz wyzyskowi i nadużyciom. Te kwestye społeczne i te konflikty mające w sobie element dramatyczny, a nieraz bardzo tragiczny, nie dziw, że oddawna nęciły wyobraźnię dramaturgów i powieściopisarzy. W ostatnich czasach utwory tego rodzaju stały się chlebem powszednim, bo zawsze dawały pewien rozgłos autorowi. Pisane dla reklamy, nie mają te dzieła wielkiej wartości, a czasem ich wpływ szkodliwie odbija się na społeczeństwie.

Rod nie szuka i nie potrzebuje reklamy. Wprawdzie uległ powszechnemu prądowi, lecz rychło z nim zerwał, chociaż ten znajdował się jeszcze wówczas u szczytu potęgi. Jego zmysł estetyczny nie znosił nigdy brutalnych obrazów naturalizmu. Rod

1) Adrienne Buquet, op. cit. str. 173 — 188.

2) Ernest Charles. Revue politique 1904. T. I str. 823.

jest subtelnym artystą o pesymistycznych poglądach na społeczeństwo i jego dążenia. Stąd u niego wieczna nuta niezadowolenia, stąd życie przedstawione w czarnych barwach. Lecz czasem tendencja jest niejasna i myśl nie występuje z należyłą precyzją. Dotyczy to szczególnie ostatniego utworu. Gdybyśmy się zapytali autora, co chciał przeprowadzić w swym romansie, zatytułowanym „Zwycięzca“<sup>1)</sup>, to nie wiem, czy jego odpowiedź by nas zadowoliła i czyby, co najważniejsze, wyświeciła nam dokładniej utwór, w którym postać najbardziej sympatyczna i interesująca od początku swoją marzycielsko-poetyczną naturą, znika w połowie. Rod da zapewne odpowiedź w następnym romansie, który będzie pewnego rodzaju dalszym ciągiem. Tymczasem nie wiedzieć, jak sądzić ten pierwszy tom, a zwłaszcza trochę niejasny tytuł. Czy go uważać za ironiczny? Zdaje się, że taka jest myśl autora, a przynajmniej taka się nasuwa po przeczytaniu powieści.

Alcide Délémont, niegdyś sam robotnik, ciężką pracą i niesłychaną energią doszedł do majątku i obecnie jest właścicielem szklarni. Z pierwszego małżeństwa miał troje dzieci, z których Bernard jest młodzieńcem nawskroś innego charakteru niż ojciec. Marzyciel, pełen szlachetnych pomysłów, przeniknięty altruizmem czuje się obcym wobec niego. Natomiast pokrewieństwo duszy łączy go ze starszą siostrą Alicją. Młodsza zaś Estella była raczej usposobienia praktycznego, które wchodziło w kompromis z skrupułami i rozumiało, że na wiele „drobnostek“ można patrzeć przez szpary. Przytem niewymowna słodycz charakteryzująca Alicję, czyniła ją dla wszystkich dobroczynnem bóstwem, zaś druga siostra, opanowana zazdrością, stawiała się nieraz okrutną i zawziętą. Doskonale nakreślił autor tę różnicę charakterów w początkowych scenach, szczególnie w chwili, gdy fabrykant przyprowadza siostrzeńca, sierotę, który po śmierci matki znalazł się sam jeden na świecie, bez żadnej opieki. Dziecko, onieśmiałe wśród obcych twarzy, drży febrycznie i łzy cisną mu się do oczu. Wówczas to Alicja pieścizotami w jednej chwili zyskuje sobie jego ufność, natomiast wobec Estelli malec okazuje się odpornym, czując instynktownie, że tamtej chodzi więcej o zaspokojenie ciekawości.

W pierwszej połowie romansu autor zajmuje się głównie opuszczonym sierotą, z którego Délémont chce zrazu zrobić robotnika w szklarni; na szczęście inspektor uznaje go niezdolnym i słabym do tak ciężkiej pracy. Na nalegania syna i córki fabry-

<sup>1)</sup> Edouard Rod. Un Vainqueur. Paris 1904. (Fasquelle éd. p. 384).

kant decyduje się oddać siostrzeńca do liceum. Ta część utworu jest zachwycająca. Mały Valentin należy do najpoetyczniejszych kreacyj, jakie kiedy skreśliła ręka powieściopisarza. O melancholijnym usposobieniu i rozmarzonej wyobraźni, biedny sierota czuje się tylko szczęśliwym w chwilach samotnych dumań. Z tęsknotą spieszy nad uroczy brzeg Sekwany, aby się kąpać w słonecznych promieniach i wsłuchiwać w śpiew ptasząt.

Tymczasem z jego odjazdem kończy się zarazem jego obecność w utworze—później mamy tylko krótkie wzmianki o nim,—autor porzuca go, jakby w połowie drogi, aby wysunąć na pierwszy plan inne kwestye. To sceny w fabryce, gdzie oszukańcza manipulacya metrykami zaprzęga niedorosłe dzieci do pracy, mimo że nie mają przepisanego ustawą wieku, to znowu intryga miłośna pod-dyrektora, za którego Délémont chce wydać starszą córkę, krzyżują się i przeplatają nawzajem. Lecz niema ścisłej jedności. Akcyja płącze się i opóźnia dyskusyami o niesprawiedliwości państwa, które dozoruje biednych fabrykantów, ażeby przypadkiem nie wyzyskiwali robotników i t. p. rozmowy bardzo ciekawe, niepozobawione alluzyj politycznych, ale w gruncie rzeczy będące epizodami w powieści. Soutre, mimo że ma pewne zobowiązania wobec robotnicy, której obiecał, że się z nią ożeni, przyjmuje z radością projekt Délémonta. Jego despotycznej woli ulega także córka, która raczej odczuwa sympatyę dla szlachetnego inspektora. Termin ślubu się zbliża, gdy Alicya uwiadomiona o stosunku narzeczonego do robotnicy, zrywa zamierzony związek. Nie zdał się na nic gniew ojca. Tym razem córka postawiła na swoim. Délémont pociesza niedoszłego zięcia i nagle wpada mu „genialna“ myśl. Wszak ma drugą córkę! Posłuchajmy go tedy, bo żadne określenie nie scharakteryzuje go lepiej niż kilka tych słów: ... Et puis, vous savez.... j'ai une autre fille, après tout! — Estelle! Vous ne l'avais jamais regardée?... Naturellement vous n'y pensez pas!... Peut être qu'elle ne dirait pas non, celle-là. Ma parole, je crois qu'elle ne dirait pas non! — Ah! fit Soutre, c'est Mlle Alice que j'aimais!

Oui, oui, je sais que vous êtes un brave garçon, que vous avez des sentiments très délicats!... Raison de plus pour que je tiemie à vous, mon cher!... Dame, les employés dont on est sûr ne courent pas les routes!... Les gendres encore moins!... Et ça convenait si bien pour l'usine!... Alice vous plaisait depuis longtemps, je sais... Mais Estelle... lui ressemble!... Ma parole, elle lui ressemble!... Quand elles étaient enfants, je les confondais,

comme des jumelles!... Voulez-vous un petit congé?... Une semaine?... C'est ça, entendu jusqu'à lundi prochain <sup>1)</sup>).

Soutre czuje przez jakiś czas niewłaściwość tej propozycji, lecz w końcu zgadza się pojąć Estellę za żonę. W dniu ślubu, kiedy państwo młodzi wychodzą z kościoła, rozlega się strzał i kula przeznaczona dla dyrektora—przeszywa ciało Alicyi. Śmiertelnie trafiona pada martwa na miejscu. Pod wrażeniem tego wypadku druga żona Délémonta traci zmysły, okazując zresztą już oddawna skłonność do ponurej melancholii. Fabrykant czuje się złamanym na duchu. Przed jego wzrokiem odkrywa się czarna przeszłość, której dotąd nie widział. Zapowiada zmiany w fabryce dla uczczenia zmarłej córki i dla innych powodów, do niedawna dla niego niewidocznych, a teraz „jasnych jak kryształ.“ Bernard zacieka się w metafizyczne pytanie, dlaczego kula trafiła najniewinniejszą istotę i z boleścią dochodzi do wniosku, że to kara na ojca, który ubóstwiał fabrykę, a nie dbał o ognisko domowe. Tamta została, to uległo zniszczeniu. Można się było tego spodziewać! „Od początku architekt czuwał nad jedną, zaniedbywał drugie.“ To, co nastąpiło, musiało się stać koniecznie. Mimo to, nie jest zupełnie zadowolony z swego rozumowania. Czuje, że za tem wszystkiem kryje się jakaś głębsza przyczyna, jakiś nieuchronny związek między naszymi czynami a skutkami, które one wywołują. I kończy się utwór tajemniczem zapewnieniem: „być może dowiemy się pewnego dnia.“ Jak poznaliśmy z treści, utwór niema jednolitej kompozycji i przeładowany jest szczegółami luźnie związanemi z właściwą akcją. Niektóre jednak ustępy jak np. niedola małych Włochów, albo część odnosząca się do Valentina, mają niezwykłą plastyczność i siłę. Nie mogą się wdać w rozbiór poglądów polityczno-społecznych, ani w ocenę filozofii i to z wielu względów. Ale najważniejszy ten, że należy czekać rozwiązania wielu problemów, które da niewątpliwie autor w następnej powieści.

HENRYK REINHOLD.

---

<sup>1)</sup> Op. cit. str. 285.

# Czytelnictwo wśród studentów

## UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO. <sup>1)</sup>

*Przyczynek do statystyki życia umysłowego.*

### VI.

Gdybyśmy chcieli najtrafniej określić charakter czytelnictwa naukowego — należałoby wśród dzieł wypożyczonych skierować nacisk na ich *formę*. Uderzy nas tu natychmiast fakt, że systematycznych „studyów“ w istotnem pojęciu nie spotykamy, większość przygotowuje się tylko do egzaminu. Świadczą o tem dostatecznie dane zebrane przez Kowalskiego<sup>2)</sup>: „Studyowanie kursów“ zajmuje średnio w pierwszym półroczu blisko 2 godziny czasu, w drugim 3, w czasie egzaminów 9 i więcej. Studya polegają na odczytywaniu, uczeniu się ze skryptów litografowanych, w braku zaś ich lub po za niemi rolę tę spełnia jakieś kompendyum danej nauki. W znacznej mierze jest to zrozumiałe na tle urzędzeń uniwersyteckich, gdyż przedmioty wykładane zmieniają się z kursu na kurs, uczęszczanie ich jest obowiązkowe i na wszystkich ciąży przymus egzaminu. Dopasowanie się do szablonu szkoły nie ustaje — uniwersytet w dalszym ciągu narzuca plan swój

---

<sup>1)</sup> Patrz zeszyt lutowy, str. 320.

<sup>2)</sup> Stan zdrowia i t. d. str. 18, 19.

i układ studyów. Właściwie przeto studia rozpoczyna słuchacz zazwyczaj b. późno, na ostatnich kursach, gdy specjalne zajęcia np. laboratoryjne zmuszą go do samodzielnych, uniezależnionych od szkolnych i egzaminacyjnych wzorów i przepisów, studyów specjalnych — wtedy dopiero zrywa i z metodą czytania kursów i kucia. Potwierdzenie tego znajdujemy w czytelnictwie. Jeżeli choć zgruba rozklasyfikujemy wszystkie dzieła naukowe na kategorię *podręczników* (Rukowodstwo, Handbuch, Lehrbuch, Leitfaden, Traité, Manuel i t. d.), a z drugiej strony przeciwstawimy im poszukiwania źródłowe, bądź źródła same jak w historii, monografie, przyczynki, a nawet podręczniki, o ile posiadają wartość nie tylko pedagogiczną, ale i dzieł badawczych np. Jellinka, Ogólna nauka państwowa i t. p.), to rezultaty wypadną zawsze z przewagą dla pierwszej kategorii. Dowodnie to uwydatnia porzucanie na rezultatach, otrzymywanych z drugiej ręki, kontentowanie się surrogatami pracy naukowej.

T A B L I C A III.

NAUKI	Podręczniki					Monografie					Czasopisma	OGÓ- ŁEM
	Orygi- nalne		Tłóma- czone		Ogółem	Orygi- nalne		Tłóma- czone		Ogółem		
	Ści- śle	Pol- pul.	Ści- śle	Pol- pul.		Ści- śle	Pol- pul.	Ści- śle	Pol- pul.			
Filozoficz.	32	17	28	15	92	52	41	29	25	147	13	252
Matemat.	61	28	6	5	100	13	1	1	3	18	6	124
Przyrodn.	135	114	77	29	355	29	16	27	20	92	14	461
Antropolog.	3	7	3	—	13	5	15	8	8	36	1	—
Lekarskie	90	15	85	8	198	21	19	14	2	56	22	276
Filologiczne (i językozn.)	9	29	3	—	41	7	9	—	1	17	6	64
Historyczne	75	129	28	20	252	118	135	46	31	330	23	605
Pedagogicz.	8	3	1	—	12	—	3	1	1	5	5	22
Społeczne	70	66	13	18	167	97	83	25	17	222	27	416
Prawne	400	98	51	31	583	222	170	28	25	445	112	1140
Sztuka	2	5	2	1	10	—	3	6	—	9	—	19
Techniczne	1	6	—	—	7	1	1	—	—	2	—	9
	886	517	297	130	1830	565	496	185	133	1379	229	3438

Tablica powyższa obejmuje działy, przytoczone w tablicy II, w innym ugrupowaniu (prócz beletrystyki i Varia) — wyłącznie naukowe (ogółem 3438 tytułów). Na prace charakteru podręcznikowego wypada 53,2<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, na wszelkie inne tylko 40,1<sup>0</sup>/<sub>0</sub> — wreszcie pisma naukowe 6,7<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Stosunek ten wzajemny nie jest jednakim we wszystkich działach, owszem widać tu owe uzależnienie od przymusu egzaminacyjnego, dzieł bowiem pierwszego rodzaju dostrzegamy najwięcej w naukach prawnych, lekarskich, matematycznych i przyrodniczych, drugiego — w społecznych, historycznych i filozoficznych, — właśnie w przedmiotach, nie objętych najczęściej planami <sup>1)</sup>. Ale na tę pracę samodzielną w jakimś kierunku, czy na „ogólne kształcenie się“ zostaje niski tylko procent książek, jeżeli bowiem nie uwzględnimy czasopism, a weźmiemy pod uwagę tylko lekturę książkową, to podręczniki wyniosą 57<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. *Czytelnictwo* więc, stwierdzany iwielokrotnie zaznaczany fakt, *zadowala się co najwyżej uzupełnianiem skryptów*.

Tablica III rzuca jeszcze na inne strony światło. Rezultaty co do nieznamomości obcych języków już wyżej podaliśmy, chcielibyśmy dodać jeszcze niejakié dane, świadczące o głębokości i wartości studyów książkowych. Mianowicie, chodzi tu o rzetelność studyów, rzeklibyśmy, o ich wyczerpywanie. Okazuje się, że tylko 60<sup>0</sup>/<sub>0</sub> (1933) dzieł stoi na poziomie uniwersyteckim, a reszta 40<sup>0</sup>/<sub>0</sub> (1276) to prace najczęściej elementarne, popularyzujące raczej, niż tworzące naukę, przytem największy ich odsetek, bo 46<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, przypada właśnie na dział monografij. Uwzględniając to, że podręczniki rzadko stoją na poziomie wiedzy i że wniknięcie w istotne tajniki pracy naukowej, sięgnięcie do prazródół nauki możliwe jest tylko przy takich studyach pozapodręcznikowych właśnie — wówczas otrzymany, według danych powyższych, że tylko nieco więcej, jak połowę dzieł monograficznych, t. j. 23<sup>0</sup>/<sub>0</sub> wszystkich dzieł naukowych przeczytanych, można do tej grupy zaliczyć. Charakterystyczne, że połowa monograficznych prac filozoficznych, a połowa historycznych wogóle, i około  $\frac{1}{3}$  części przyrodniczych nie odznaczają się ścisłym charakterem. *Sumując, możemy bez przesady ilość dzieł, odpowiadających ścisłym, głębszym studyom, zredukować do  $\frac{1}{4}$ — $\frac{1}{5}$  pozostałych*.

Potrąciliśmy tu o zagadnienia, co do których panuje najczęściej przesądów i uprzedzeń w sferze studyów. Poprzestawanie na podręcznikach, a przynajmniej rozpoczynanie od nich studyów

<sup>1)</sup> Kowalski, str. 19: O studyach pozaobowiązkowych.

stało się tradycją — bez nich nie umieją sobie wytłómaczyć postępu wiedzy, życia naukowego. Oto czytamy np. w sprawozdaniu z jednego ze zjazdów młodzieży<sup>1)</sup>: „poruszono i to, że wogóle mało mamy podręczników polskich w poszczególnych działach naukowych, co młodzieży uniwersyteckiej bardzo utrudnia studia.“ Rzekoma ta potrzeba niejednokrotnie była tylko wyrazem słabego oryentowania się w kwestyi, niezdawania sobie sprawy z istoty studiów naukowych. Uniwersytet coraz więcej staje się praktycznym, zawodowo kształcącym zakładem; młodzież, garnąca się tam „nie ma czasu na stracenie,“ na przeżywanie samodzielne jakichś zagadnień — bierze je w wygodnej, przeżutej już formie. Schleiermacher spostrzegł to już na początku wieku ubiegłego: „oczywiście właściwy uniwersytet, tworzący naukowe stowarzyszenie, mieściłby się na wydziale filozoficznym; trzy inne są to tylko szkoły specjalne.“ Dodawszy rozwielenienie się literatury podręcznikowej wogóle, we wszystkich dziedzinach poznania, znajdziemy źródło uprzedzeń. Najsilniej odbiły się one u Żydów: stosunek podręczników do prac innych rodzajów ma się u nich jak 2 : 1, gdy u Rosyan 4 : 3, u Polaków 7 : 5.

Należy zatrzymać się i nad czytelnictwem czasopism naukowych. Jeżeli tu i owdzie operowaliśmy porównaniami, chcąc tą drogą uwydatnić znaczenie danego faktu w życiu umysłowym studentów, to tu jesteśmy bezradni. Tablica nasza wykazała, że wśród przeczytanych dzieł naukowych mieści się 6,7% czasopism. Czy jest to ilość duża, czy nie wystarczająca — trudno orzec; zagadnienie o tyle zawile, że czytelnictwo czasopism wśród studentów nie wywalczyło sobie prawa obywatelstwa, wciąż jeszcze natykamy się na mniemania, w rodzaju wypowiedzianego przed laty przez Harmsa<sup>2)</sup>: „czasopisma są wydawane nie dla młodzieży, lecz dla uczonych. Zawierają one naukę jeszcze nie gotową, lecz w momencie stawania się — dojrzałe i niedojrzałe prace... Lektura czasopism jest tylko z umiarkowaniem i wyborem do polecenia... Kto się zupełnie takiej lekturze odda, uzyska przedwczesne, niedojrzałe wykształcenie.“ Zaleca on przedewszystkiem studia książkowe. Wprawdzie już w XVIII w. spotykamy się ze zdaniemi odrębnymi (Hecker), kwestya jednak sama w sobie pozostaje do rozwiązania, nikt jej szczegółowo nie omówił.

<sup>1)</sup> Teka, 1902, str. 35.

<sup>2)</sup> Methode des akademischen Studiums. Lipsk, 1885.



Sądzimy, że opozycyoniści popełniają kilka sprzeczności w swych rozumowaniach. Nie zalecają czasopism, gdyż tam znajduje się nauka w chwili tworzenia się, pisma posiadają prace niedojrzałe, hipotezy krótkotrwałe, jednostronne przypuszczenia—jednocześnie zalecają lekturę książkową, która bynajmniej nie jest od tego wolną, o ile nie mówić o podręcznikach, najczęściej odbijających stan myśli naukowej już *miniony*. Jeżeli zaś ograniczyć się do podręczników, bo te tylko mogą nie zawierać wszelkich powyższych herezj (choć grzeszą może jeszcze cięższą — skamienieniem), to kiedyż znów student będzie „dojrzałym,“ aby bez „wyboru“ mógł czytać inne prace i czasopisma? Czy właśnie owo stopniowanie nie jest tu karkołomne?...

Zapewne, dla wczytywania się w dzieła monograficzne, czy studyowanie czasopism naukowych, należy mieć pewną znajomość danej dziedziny; ale i bez tego, czy studyum żywe, cząstka owej tworzącej się nauki, nie daje zawsze lepszego o niej wyobrażenia, niż najdokładniejsze, z drugiej ręki czerpane i przesiane „zdrowe“ tylko myśli? Czy nie jest to kopanie coraz większej przepaści między żywą i tworzącą się a przeżyta nauką? Rozpadlina ta zarysowuje się tem silniej, im mniej mostów, łączności między „najnowszymi wynikami“ a utartymi już pewnikami, im trudniej każdy samodzielnie może je przebyć. A dość jest przyjrzeć się, jak przepastne i zawrotne wydają się każdemu, na podręcznikach wyszkolonemu umysłowi, drogi do pracy *badawczej*. Nigdy nie umie samodzielnie ich szukać, kraj badań jest dlań bezgranicznie odległym, nigdy niedościgłym; droga tuż u nóg się urywa — jest bezradny. Mówiliśmy powyżej o studyach monograficznych, źródłowych; taż sama reguła powinna rozciągnąć się i na czasopisma. Zdolność odnajdywania sobie potrzebnych materiałów, prac — świadczy tylko o sprawności umysłowej, o życiu istotą samej nauki, o uzdolnieniu do samodzielnej, badawczej pracy, bo kto tak oko w oko nie wejrzał w tajniki nauki, nie *wyczerpał* jej zawartości, ten nigdy z nią się nie zżyje, nie zbrata.

Co do studentów warszawskich, to czytelnictwo czasopism nosi takie cechy: Polacy wypożyczyli 57<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, gdy Żydzi 17<sup>0</sup>/<sub>0</sub> a Rosyanie 26<sup>0</sup>/<sub>0</sub>; najwięcej wypożyczono w języku rosyjskim, bo 78<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, gdy w polskim tylko 3<sup>0</sup>/<sub>0</sub> <sup>1)</sup> a w innych (francuskim, niemieckim) — 19<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Użytkowanie czasopism na kursach wyższych

<sup>1)</sup> Liczba ta bodaj jest i oskarżeniem na brak u nas czasopism naukowych.

(60%) intensywniejsze niż na pierwszych (40%), chociaż największą intensywnością odznaczały się kursy II i III ( $\frac{3}{5}$ ); z wydziałów przeważnie prawniczy i filologiczny; z dziedzin prawo i nauki społeczne.

Dane posiadane nie pozwalają odpowiedzieć na wszystkie kwestye, zrosłe wprost z naturą czytelnictwa. W wielu razach uzyskać możemy przybliżone zaledwie przypuszczenia, — materiał nie wystarcza, by otrzymać ścisłe rozwiązanie. Ogromnej wagi byłoby np. rozejrzenie się w tem, w jakim stopniu *świadomy* wybór, znajomość celów i dróg kierowały czytelnictwem młodzieży, jak wpływają na ten wybór wykłady? Czy umieją studenci odnaleźć dzieła im potrzebne, czy są one podsumiête przez kogoś? Pośrednio odpowiadaliśmy na te pytania, rysując sylwetki studujących — granice jednak tu jeszcze chwiejniejsze. Tryb pracy intelektualnej zbyt silnie wrył swoje kontury w indywidualne cechy i wskutek tego odbiera możność kreślenia schematycznych obrazów. Jeżeli jednak nie łudzimy się, to cząstka tych, co bez zewnętrznych pobudek wytwarza własne drogi, jest nieliczną. W szerokich sferach studentów brak własolitego, świadomego wyboru. Uleganie dziwnie kojarzącym się radom wykładających, kolegów, odbiło się w pierwszym rzędzie na *technice* wypożyczań, a więc i czytania. Przytoczone wyżej przykłady wystarczają, by odczuć niewspółmierność wyboru: po ścisłym podręczniku następuje jakiś lichej lub popularny; dzieło epokowego znaczenia oddziela od innej pracy wartościowej popularyzacya z drugiej ręki lub przestarzały podręcznik; badania społeczne od dziełka historycznej tylko wartości i t. d. Mozaika podobna czyni wrażenie czegoś bardzo nieskrystalizowanego, niejasnych, niepewnych poruszeń; ginie tu woła jennostki, w wyborze roi się od przypadków. A spotyka się to niemal u przeważnej ilości czytelników; nie sądzimy, aby to było objawem normalnym, raczej skłonni jesteśmy do przypuszczenia, że tkwi tu jakaś sztuczna przeszkoda, bo znów sporo dowodów nieokreślonej wprost rozlewności w poszukiwaniu wiedzy uprawniają do wiary w możność samodzielnej i twórczej pracy.

## VII.

Dla pełnej psychologii czytelnictwa, niejedna strona dałaby się może jeszcze odnaleźć. Przedewszystkiem chcemy podnieść zagadnienie wzajemnego ustosunkowania w studiach fachowych

-i ogólnych. Musi się to odbić wybitnie w czytelnictwie. Trudność zachodzi tylko w ujęciu samego faktu: granice są tu nabyt nieuchwytne, zmienne, dla każdego inne. Więcej, treść tych pojęć, przekształcająca się w czasie, wciąż się przeobraża. Zagadnienia te przeto ulegały wielokrotnej i różnorodnej interpretacji. Należą one do najbardziej zbywanych ogólnikami wątpliwej wartości i prawdopodobnie na tej drodze dedukcyjnego wnioskowania nie wyjdą nigdy po za zakreślone dziś ramy.

Już Wawrzyniec Stein <sup>1)</sup> dostrzegł, że pojęcie: „wykształcenie ogólne nie ma żadnej określonej treści — obejmuje ono swą formalną definicyą wszystko, co czyn ludzki wydał w nauce i sztuce; objawia się jednak praktycznie w znajomości tego, co każdy pojedynczy zawód życiowy łączy organicznie i wewnętrznie z innymi i zawiera dla tego obraz ogólny życia duchowego ludzkości, wyrażony i ukształtowany w świadomości jednostkowej.“ Gdzieindziej, jakby dla bliższego wyjaśnienia dodaje: „ogólne wykształcenie obejmuje w swym pojęciu ogół tych dóbr duchowych, które nie mają służyć dla celów zarobkowych lub zawodowych.“ Dla innych, jak Wundta <sup>2)</sup>, pojęcie to posiada nietylko zakres, ale i treść określoną: „przyrodznawstwo, wiedza społeczna i historia są to trzy obszary, które tworzyć powinny podstawę prawdziwego wykształcenia *ogólnego*. Dla wyższego stopnia przodujących posiadaniem, stanowiskiem i wpływami przyłączają się nadto filozofia, językoznawstwo i dzieje kultury, oczywiście wraz z rozleglejszem opanowaniem trzech poprzednio wymienionych, najogólniejszych przedmiotów kształcenia.“ Łatwo jednak dostrzedz, że wszelkie wtłoczenie pojęcia wykształcenia ogólnego w określone formy definicyi, nadającej pojęciu temu ścisłą treść, ma tylko wartość dla danego czasu i stopnia kultury. A nawet owa ruchomość pojęcia wykształcenia ogólnego, zależność jego od potrzeb i wymagań jednostki, od poziomu środowiska i stanu wiedzy w danym momencie, nie pozwala na dokładne oddanie treści, a nawet zakresu pojęcia, i zmusza do poprzestania na zarysowaniu konturów, sylwetki tylko. Granicami będą tylko fakty wzajemnej zależności nauk: sądzimy, że gdy wykształcenie ogólne przyrodnika wymaga dopełnień wiedzy o społeczeństwie, historii, prawie i t. d., to dla historyka czy prawnika rolę tę będą odgrywały przedmioty nauk przyrodniczych; oczywiście,

<sup>1)</sup> Die Verwaltungslehre, V cz. Das Bildungswesen. Stuttgart, 1868.

<sup>2)</sup> Ethik, str. 524.

trzebaby tu włączyć cały szereg umiejętności, wspólnie niezbędnych dla jednych i drugich (nauki filozoficzne, sztuka etc.). Sztuczne te granice najbardziej bodaj pozwalają na ujęcie istoty rzeczy — chcemy bowiem wskazać to, jak studenci pojmują wykształcenie ogólne i ile mu miejsca przeznaczają<sup>1)</sup>. Przypuszczamy, że najobiektywniej uwydatni to stosunek dzieł czytanych, nie pozostających w związku bezpośrednim z fachem. Rezultaty, nawet w tak pierwotny sposób uchwycone, pozwalają ogarnąć rolę obu czynników w kształceniu. Wykluczając literaturę piękną, osiągamy następujące dane: przyrodnicy, których fachowa literatura (matematyka, przyroda) wynosi 44% ogółu dzieł wypożyczonych; innym dziedzinom, a głównie filozofii i historii, poświęcają pozostałe 22%, t. j. studia fachowe dwakroć przewyższają „ogólne“. Wśród filologów i prawników literatura ogólna tworzy nie więcej już nad 40% specjalnej. Jeszcze niższy jest ten stosunek u medyków — fachowa literatura wynosi połowę wypożyczeń wogóle, ogólno-kształcąca dochodzi ledwie 30% pierwszej. Najniżej jednak wypada ten stosunek wśród farmaceutów, lubo dzieła specjalne tworzą tu tylko  $\frac{1}{3}$  część wypożyczeń, atoli na studia ogólne przypada 25% dzieł pierwszej kategorii. Biorąc zatem w powyższem rozumieniu pojęcie ogólnego wykształcenia, musimy zanotować wahania w zależności od wydziałów o 25% w uwzględnianiu filozoficznego kształcenia się, oraz że dzieła „ogólnie kształcające“ nie wynosiły więcej nad połowę fachowych. Oceniając niedostateczność i warunkowość uzyskanych rezultatów, chcemy je nieco jeszcze uzupełnić. Ograniczając zakres pojęcia wykształcenia ogólnego do zagadnień filozoficznej natury w zakresie jedynie nauk, które w skład fachu nie wchodzi (choć brak nam dostatecznie ścisłych sprawdzianów dla tego pojęcia, bo i wśród grup fachowych znajdują się dzieła filozoficznej natury, stosunek zaś nasz nie obejmuje tego) jednak i tu ciekawe są dane: zainteresowanie się kwestyami filozoficznymi bezwzględnie najwyższe było na wydziale filologicznym, najniższe wśród medyków i farmaceutów. W stosunku do piśmiennictwa specjalnego rzecz się ma podobnie. Dział filozoficzny wśród filologów tworzy jeszcze

<sup>1)</sup> Ankieta Kowalskiego wykazała, że  $\frac{1}{3}$  część studentów (odpowiadających na ankietę) poświęca czas jeszcze na „nadprogramową“ pracę: 11% na przedmioty ojcyste, 10% filozofię i nauki społeczne, 2,6% psychologię, 9% języki nowożytne, 1,6% nauki przyrodnicze, 1,3% sztuki piękne. Dane te bardzo ogólnikowe i nie uwydatniają charakteru pracy.

17%, wśród przyrodników 11,3%, gdy u prawników już 8%, medyków 7%, a farmaceutów 2,8%. Wahania zatem znacznie jeszcze silniejsze, niż poprzednio, od  $\frac{1}{5}$  do  $\frac{1}{10}$ , a nawet  $\frac{1}{33}$  zawodowego piśmiennictwa!

Chcąc właściwie oddać dążenia do kształcenia ogólnego pomiędzy młodzieżą warszawską, należałoby zakres dotychczasowo przyjinowany znacznie rozszerzyć. Czytelnictwo całej masy utworów literatury pięknej jest właściwie wyrazem tej samej potrzeby „światopoglądu,” dalej ten sam prąd daje się wyczuć i w użytkowaniu książek popularnych, bodaj odnieśby tu je należało, o ile nawet dotyczą samego fachu. Rozpowszechnione bowiem jest mniemanie, że właśnie taka wodzianka z cudzych myśli najstrawniejsza jest dla celów kształcenia filozoficznego. Przy tak rozciągniętym zakresie ginie nawet spożycie fachowej literatury. Wraz z literaturą piękną tworzą utwory treści ogólnej największy odsetek wśród farmaceutów — fakt to bardzo charakterystyczny, że pojęcie wykształcenia ogólnego, ostatnio przytoczone, najbardziej odpowiada wymaganiom tej grupy młodzieży.

Na innych fakultetach liczby są już znacznie niższe, chociaż wśród przyrodników i filologów przenoszą jeszcze  $\frac{1}{2}$  wypożyczeń, u medyków niemal się równają, a najniższą znajdujemy wśród prawników. Reasumując teraz wszystkie na tak różnorodnych podstawach zbierane obserwacje, możemy je sformułować w następujący sposób, że czytelnictwo dzieł ściśle odpowiadających wymaganiom „naukowego na świat poglądu” nigdy nie przekracza drobnego ułamka utworów ściśle fachowych, gdy pojęcie to, rozprzestrzenione na utarte wyobrażenia, wespół z literaturą piękną obejmuje przeważną część dzieł czytanych. Najsilniejsze więc parcie dostrzegamy wśród przyrodników i filologów — najsłabsze wśród medyków. Wyraźnie zaznacza się również granica między wyższymi kursami; na wszystkich wydziałach daje się dostrzedz, że na kursach wyższych zwięża się liczba dzieł, z jakich korzystali studenci, na niekorzyść wykształcenia ogólnego. Pomijając farmaceutów, gdzie różnice na obu kursach nieznaczne, na wszystkich wydziałach wyraźna różnica odbija się już na kursie drugim — czytelnictwo dzieł treści ogólnej spada na niektórych wydziałach do  $\frac{1}{4}$  tego, co czytano na kursie pierwszym — ogółem na pierwszych kursach wynosił stosunek 27%, gdy na drugim tylko 10. Sumarycznie dla obu pierwszych kursów otrzymujemy 21% (bez farmaceutów), tymczasem następne wykazują 15%. Dodajmy, że literatura piękna ma również więcej zwolenników na pierwszych kursach (34% — następnie 20%), skonstatować możemy łatwy do przewidzenia

rezultat; ustosunkowanie w czytelnictwie specjalnem i ogólnem zmienia się na coraz wyższych kursach na korzyść pierwszego <sup>1)</sup>.

Wyodrębniając dyscypliny filozoficzne, spróbujemy jeszcze uchwycić prąd kształcenia filozoficznego w stosunku do różnic narodowościowych. — Dla porównań bierzemy tylko dziedziny odległe od przedmiotów fachowych (filozofia, sztuka). Okazuje się że działy te najwyższy odsetek wskazują u Rosyan (15<sup>0</sup>/<sub>0</sub>), u Polaków zaś i Żydów znacznie niższy (po 10<sup>0</sup>/<sub>0</sub>). Kombinując powyższe rezultaty z czytelnictwem literatury pięknej, otrzymamy pokrewne rezultaty dla Rosyan (53<sup>0</sup>/<sub>0</sub>), odsetek odpowiedni u Żydów podnosi się do 38<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, gdy u Polaków tylko do 34<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Zatem Rosyanie, a po nich Żydzi najwięcej miejsca poświęcają studjom ogólnym, — dążność ta, jak zauważyć można, idzie w parze z czytelnictwem literatury pięknej.

## VIII.

Ścisłych i szczegółowych danych, któreby charakteryzowały studia i czytelnictwo wśród studentów za granicą nie posiadamy. Nigdzie zdaje się dotąd nie gromadzono ich celowo. Zazwyczaj biblioteki uniwersyteckie posiadają tylko ogólnikowe wiadomości i to nie zawsze nawet zróżniczkowane do wydziałów. Najobfitszy jeszcze materiał posiadamy co do Niemiec. Kongres II bibliotekarzy tamtejszych ułożył dość wyczerpujący schemat i postawił kwestyę statystyki bibliotek oraz frekwencyi ich, jako wymaganie od każdej biblioteki publicznej. Na podstawie schematu powyższego opracował Bollert tablice statystyczne <sup>2)</sup> dla dziesięciu bibliotek uniwersyteckich państwa pruskiego. Tablice powyższe z kilku uniwersytetów oświetlają pewne ciekawe dla nas szczegóły.

Przedewszystkiem uderza niski odsetek studentów, korzystających z bibliotek; wprawdzie statystykę tę prowadzą semestralnie i cyfry byłyby wyższe, gdyby dane wzięto dla roku całego, w każdym jednak razie są one niewysokie, niższe od warszawskich.

<sup>1)</sup> Obserwacye nasze głównie uwydatniły wzajemną zależność obu stron studjów, nie oświetliły faktu najbardziej może żywotnego — jakie zagadnienia, pytania ogólne chcą studenci rozwiązywać, jakie kwestye najczęściej powtarzają się i tloczą. Dostępne to jednak za pomocą wywiadów.

<sup>2)</sup> Centr. f. Bibl. XIX, str. 44 i n. Dane dla lat od 1894 — 1900.

Weźmy po kolei: w Berlinie np. w ciągu siedniolecia (1894—1900) wypożyczało książki najwyżej 52<sup>o</sup>/<sub>o</sub> ogółu (semestralnie!) — najmniej 40<sup>o</sup>/<sub>o</sub>. Między obu temi wielkościami układają się przeciętne innych lat. Wrocław posiada cyfry znacznie niższe — tu tylko 25 — 29<sup>o</sup>/<sub>o</sub> studentów rocznie korzysta z biblioteki uniwersyteckiej. Cyfry Getyngi wskazują wahania między 48— a 33<sup>o</sup>/<sub>o</sub> semestralnie, w Halli 26 — 34, również semestralnie. Inne biblioteki nie posiadają danych szczegółowszych o czytelnikach; dla porównań wystarczą chyba i powyżej przytoczone. Niezwykle niskie są odsetki czytelników-studentów — nie trzeba jednak tracić z uwagi i tej okoliczności, że w żadnym z tych miast biblioteka uniwersytecka nie jest *jedynym* źródłem, skąd czerpać mogą studenci; pomijam Berlin, nadzwyczaj bogato uposażony pod tym względem, ale każde inne miasto ma przynajmniej jeszczeniejszą bibliotekę.

Uwzględniając tę poprawkę, dodać jeszcze należy, że każdy uniwersytet, prócz biblioteki ogólnej, posiada cały szereg seminaryjnych, umiejętnie, a często i obficie zaopatrzonych. Wobec tych udogodnień cyfry przytoczone nie wydadzą się zbyt niskie — nie obejmują one właściwego czytelnictwa, nie są dlań miarodajne, zwłaszcza, gdy dodamy jeszcze ogromną frekwencję sal czytelnianych na miejscu: np. w Getyndze w 1900 r. 53583 tomy, w Berlinie przeciętnie bywało 179 osób, które wypożyczyły około 47 tys. dzieł na miejscu. Porównanie cyfr tych z warszawskimi daje śmiesznie niskie stosunki: w 1894 r. w Warszawie studentom do sali wydano tylko 2272 tomy, to jest mniej jak połowę wypożyczonych do domu, gdy wszędzie cyfra ta o wiele przewyższa ilość wypożyczeń. Nie gra więc ona roli poważnej, zwłaszcza gdy np. do porównań wciągniemy Paryż; liczba wypożyczeń do domów bardzo tam nie znaczna —  $\frac{1}{6}$  zaledwie korzysta z tego, lecz olbrzymią wprost jest masa korzystających z sal czytelnianych (1899/1900 codziennie 1495 osób po 2304 tomów<sup>1)</sup>). Stosunki zatem pod tym względem są w Warszawie wyjątkowe — i tłumaczą się wprost brakiem miejsca, sal.

Przyjrzyć się należy, jakim jest współdziałanie poszczególnych fakultetów w czytelnictwie. Stwierdzić się przedewszystkiem daje fakt, spotykany w Warszawie, że najniższej ilości czytelników dostarcza wydział lekarski. O ile w Berlinie tworzą oni 25 — 44<sup>o</sup>/<sub>o</sub> ogółu medyków, to w Getyndze już wahają się między 13 — 23<sup>o</sup>/<sub>o</sub>,

1) XVIII Bd. Zentr. f. Bibl.

w Halli 11—20<sup>0</sup>/<sub>0</sub> wreszcie we Wrocławiu od 10—16<sup>0</sup>/<sub>0</sub>! Pomijając obcy naszym urządzeniom wydział teologiczny, którego słuchacze zresztą wykazują przeważnie najwyższy odsetek czytających w Getyndze np. 1896 r. 86<sup>0</sup>/<sub>0</sub> (semestralnie!), w innych uniwersytetach najwyższe dane spotykamy wśród filozofów: w Getyndze 57<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, Halli 48, Wrocławiu 58, Berlinie 54. Prawnicy tworzą węzeł przejściowy między nimi a medykami, od 55—30<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Porównywając odpowiadające powyższym kategorie czytelników naszych, a przede wszystkim prawników i medyków, widzimy co do ostatnich zupełną zgodność rezultatów, dysproporcję zaś u prawników.

Chcemy jeszcze dotknąć intensywności czytelnictwa. Dane posiadane nie zupełnie odtwarzają rzeczywistość: są sumaryczne dla studentów i osób postronnych. Odsetek studentów jest wszędzie przeważający (Berlin 82<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, Getynga 40 i t. d.). Rezultaty nie wszędzie jednak zbliżone, podlegają poważnym wahanom. — W Getyndze np. wypożyczał każdy 18 dzieł w 24 tomach rocznie, gdy w Berlinie ledwie 5 dzieł w 7 tomach. Uwzględniając, że w Getyndze bibl. uniw. stanowi najpoważniejsze źródło, gdy w Berlinie posiadają studenci o wiele jeszcze obfitsze (królewska bibl.), będziemy mieli poczęści wyłomaczenie faktu. Dane podobne jak w Getyndze, spotykamy też i w innych uniwersytetach: Greifswaldzie, Królewcu, Marburgu, gdzie stosunki przypominają Getyngę. Są to cyfry o wiele od naszych wyższe.

Tyle porównań. Cyfry czynią w ogólnych zarysach wrażenie zgodności i podobieństw czytelnictwa wśród naszej i niemieckiej młodzieży; są to jednak powierzchowne tylko cechy, nie dostarczające dość wątku do dalszych wnioskowań. Sądy jednak wypowiedane o niej są może bardziej bezwzględne. Bernheim np., krytykując system urzędzeń uniwersyteckich Niemiec, zaznacza<sup>1)</sup>: „poruszę jeszcze jeden ważny punkt. *Brak wiedzy książkowej* jest prawdziwie wstydliwą stroną dzisiejszego naszego życia akademickiego. Nieważno bywa tytułów z katedry studentowi dyktowanych, lecz kiedy poczyną on zżywać się z tym warsztatem uczonego i nauczyciela? Najzwyczajniej dopiero w ostatniej godzinie, gdy zabiera się do prac egzaminacyjnych i to w najskromniejszych rozmiarach. Każdy bibliotekarz może opowiedzieć dziwaczne fakty o strasznym bibliograficznym nieuctwie studentów, przechowuje

<sup>1)</sup> Der Universitäts Unterricht und die Erfordernisse der Gegenwart Berl. 1898 str. 42 i n.



jako *curiosa* różne zamówienia książek, dające zamawiającemu prawdziwe *testimonium paupertatis* stwierdzone podpisem. „Bibliograficznym“ jest właściwie za wysokie wyrażenie: słuchacze wyższych i najwyższych semestrów mają tak mierne wiadomości o książkach, że nie potrafią posługiwać się indeksami, a najczęściej spotykane skrócenia w cytatach są im obce.“

Bernheim przyczynę tego widzi w dzisiejszym systemie, stosowanym na uniwersytetach niemieckich i żąda zmian *metody*: w dzisiejszem nauczaniu integralną część zajmują wykłady i to głównie obejmujące całości kształty danej nauki (t. zw. *Stoffkollegien*). Bernheim odmawia im dzisiaj już wszelkiej wartości wobec tylu istniejących znakomitych pomocy naukowych, a żąda poświęcenia czasu zaoszczędzonego na zajęcia praktyczne i seminaryjne już od I-go semestru, wymagające *czynnego* bezpośredniego udziału studenta, gdy wykłady nie są w stanie oddziaływać ze względu właśnie na bierność słuchacza. Proponuje przeto krótkie, orientujące w danej materii wykłady, połączone z zajęciami praktycznymi. Bliżej plan swój uzasadnił na przykładzie historii<sup>1)</sup>: „Najbardziej bezpośrednia droga, jako wprowadzenie do nauki, jest czynny udział w ćwiczeniach praktycznych, poczynając od pierwszego semestru. Celem tych zajęć dla początkujących nie powinno być wciąganie studentów do przedwczesnej specjalizacji i przygotowywanie do większych prac o rezultatach wartości naukowej, lecz odwrotnie, nadawanie im orientującego rzutu oka na przedmiot, pomoce i metody fachu, na drodze wspólnego opracowywania typowych przykładów i zagadnień ręką w rękę z przygotowywaniem się w domu i pracą poboczną. Ostatnie nie powinny w żadnym razie nosić charakteru szkolnych wypracowań, lecz badań naukowych na drobną skalę, różniących się tem tylko od wyższych poszukiwań naukowych, że, odpowiadając umiejętnościom i przygotowaniu, są określonej treści i objętości i nie więcej zabierają czasu, jak od jednych ćwiczeń do innych.“ Za najbardziej odpowiednie do tego uważa ćwiczenia ze źródłowymi piśarzami: „tylko początkujący nie powinien ich przyjmować biernie w formie wykładu, jako nieżywą naukę, lecz samodzielnie w postaci ćwiczeń do pewnego stopnia przeżywać zmiany od jednego do drugiego sposobu pisania.“

„Nieporównana wartość ćwiczeń praktycznych na pierwszym semestrze polega właśnie na tem, że student odrazu uczy się, co

<sup>1)</sup> Entwurf eines Studienplans für das Fach der Geschichte... Greifswald 1901.

się nazywa naukowo pracować i jakie wiadomości do tego są konieczne.“

Stanowisko Bernheima wywołało żywe poruszenie w sferach akademickich; obudził się ruch, powołujący nawet do życia mniej już owocne stowarzyszenie reformistów „Hochschulpädagogik“ — w projektach znaleziono pod wielu względami praktyczne i teoretyczne uzasadnienie dawno odczuwanych niejasno potrzeb, które odbiły się nawet i u nas w żądaniach reform w wykształceniu uniwersyteckim, ale w kierunku wprowadzenia „repetycyi“, stosowanych na technikach (nawet Kowalski: „Najracjonalniejszym byłby... system repetycyi“). Niemożna pomyśleć nic wsteczniejszego: wszak usuwanie egzaminów dorocznych dla wprowadzenia jeszcze częstszych, to stworzenie z uniwersytetu istotnej instytucji „kucia“ i szkołarstwa. A choć z jednego pnia wyrosłe, jak płodnemi i dalekimi od tego są propozycje Bernheima...

## IX.

Wyczerpaliśmy, zda się, wszystkie najbardziej istotne objawy życia umysłowego młodzieży, o ile uwydatniły się one w czytelnictwie wśród studentów; szło nam o danie jakby morfologii tego życia, musieliśmy nawet na niej poprzestać, gdyż zbyt mało poznane są te sfery, by można przeprowadzić studia porównawcze. Ponowione próby w kierunku wytkniętym dałyby dopiero odpowiedni materiał, tymczasem ograniczyć się należy do *opisu* tych zjawisk, jak staraliśmy się, możliwie wszechstronnego. Rezultaty pracy naszej są przeważnie smutnym stwierdzeniem w sferze studyów młodzieży tego, co dawniej ogłoszono o warunkach pracy i położeniu ekonomiczno-materyalnym studujących. Cały szereg niepokojących przyczyn układu w najnienormalniejszy sposób te stosunki. Podkreślimy główne rysy czytelnictwa studentów raz jeszcze.

Ledwie  $\frac{3}{5}$  ogółu bierze w niem udział, reszta usuwa się jakby z pod obserwacji — chwytamy jeno, że niemal połowa przypada na studentów kursów wyższych, gdzie studia książkowe wydawałyby się niezbędnymi. Wyodrębniając różnice, zachodzące w czytelnictwie wydziałów, dostrzegamy całą skalę odcieni, nierównomierność; czytelnictwo waha się tu pomiędzy ogarnięciem wszystkich słuchaczy danego wydziału (hist.-fil.) a jedną czwartą tylko (farmac.).

Ilość czytających dalej nie wzrasta w miarę posuwania się po szczeblach kursów — owszem, na niektórych wydziałach wyraźnie się zmniejsza. Z pośród narodowości Rosyanie wykazują największy udział, Żydzi — najniższy, w intensywności jednak czytelnictwa, w ilości przeczytanych przeciętnie przez każdego dzieł ostatnie miejsce zajmują Polacy — pierwsze, jak poprzednio, Rosyanie. Natężenie to czytelnictwa jest najwyższe wśród filologów i trzykrotnie przenosi czytelnictwo innych fakultetów, gdzie w dodatku daje się dostrzedz niewyraźna tendencja zniżki.

Spostrzegliśmy, że pierwotna cyfra wypożyczających topnieje nieomal do połowy, gdy oddzielimy wszystkich niesystematycznie, przypadkowo tylko korzystających z biblioteki. Niedostrzega się stałego zapotrzebowania książek, zwłaszcza dzieł naukowych, wśród czytających, piąta część bowiem nie korzysta z nich wcale, poprzestaje tylko na liter. pięknej, tworzącej wogóle najliczniejszy dział wypożyczeń; najwyższy odsetek przypada tu na literaturę społeczną, cząstka tylko na klasyków, z których nb. czytano tylko piątą część w oryginałach. Korzystano przeważnie z literatury rosyjskiej. Wogóle ilość korzystających bezpośrednio z zachodnio-europejskich literatur przenosiła tylko trochę piątą część, a ilość dzieł przeczytanych wynosi ledwie dziesiątą część wypożyczeń. Niemożność korzystania z oryginałów zmusza do intensywnego posiłkowania się przekładami.

W czytelnictwie naukowym wyróżniają się swym izolowanym charakterem pewne dziedziny — głównie fachowe — czytane są one tylko na pewnych wydziałach. Powszechne zainteresowanie występuje głównie do działów społeczno-historycznego i przyrodniczo-filozoficznego; zależy przytem bardzo od układu kursowego. Pierwsze zwłaszcza lata studyów charakteryzuje mnogość obejmowanych dziedzin, które maleją w miarę posuwania się lat — nie można pomijać też, że w dziełach tych, nie objętych tak surową dyscypliną programu egzaminacyjnych przepisów, najbardziej samodzielnie i swobodnie układają się studia. Nader znamienne jest rzeczą, że w zakresie studyów specjalnych wystarczają przeważnie surogaty właściwej pracy naukowej, poprzestawanie najczęściej na skryptach litografowanych, korzystanie zaledwie z podręczników i kompendyów, dopełniających jakgdyby tylko słuchane wykłady; brak tam głębszego wnikięcia i dążności do wyczerpywania, opanowania przedmiotu. O ileż rozleglejsze są i bardziej w głąb wnikaące studia w tych nieprzymusowych przedmiotach. Opierają się one na bezpośrednim stykaniu ze źródłami nauki lub na monograficznych opracowaniach. W układzie sprawności in-

tellektualnej natykamy się również na silne różnice: obok tych, co tylko, jak wzmiankowaliśmy, dopełniają obowiązujące ich przedmioty specjalne, obok tych, co bez planu wałęsają się po najróżnorodniejszych dziedzinach, gnani gorączką poznawczą — najliczniejszych — jest nie wielu tylko władających metodą i celowo pracujących. Brak zbieżności ze stosunkami zagranicznymi uniemożliwia porównania; pod względem zewnętrznym istnieją pewne podobieństwa — zresztą i tam czytelnictwo uważane jest, jako niewystarczające i nieumiejętne.

Poprzednio zaakcentowaliśmy niewystarczający stopień studyów specjalnych, a bardziej przyjazne stosunki wśród przedmiotów nieprzymusowych. Niemniej jednak, zwłaszcza o ile chodzi o studia ogólne nad wyrobieniem „światopoglądu,“ dalekie są one od istotnych wymagań naukowych. Czytelnictwo dzieł filozoficznych, ścisłych nie przekracza nigdy drobnego ułamka dzieł specjalnych, najintensywniejsze jest przytem na wydziałach, gdzie i studia specjalne są żywe, idzie więc jakby w parze z niemi, wprowadzając jednak bardziej wulgarne, ale częstsze pojęcia, „wykształcenia ogólnego,“ zadowolającego się popularyzacjami i strawą beletrystyczną, która wynosi przeważną ilość dzieł czytanych wogóle. Pomijamy tu szereg cały szczegółowych poszukiwań, przypominamy tylko jeszcze niski stopień samodzielności i techniki studyów książkowych.

Trudno wyrokować, jak daleko sięgać mogą otrzymane rezultaty. Odpowiedź na to dać mogą tylko dalsze systematycznie prowadzone poszukiwania, uzupełniane wywiadami, jeżeli jednak powyższe dochodzenia mogą mieć pewną miarodajność, lub nawet o ile jednostronnie się zakreślają — zawsze wskazują na cały szereg reguł ogólniejszych, uchodzących uwagi, czy może nie dość wyraźnie uświadamianych.

Wydobyto przeważnie ujemne lub zagrożone strony życia umysłowego młodzieży. Ograniczaliśmy się do opisu, ale byłby on niezupełnym, gdybyśmy nie doszukiwali się przyczyn ogólniejszych, tkwiących najczęściej po za młodzieżą nawet. Idzie tu o zjawisko złożone, o ich kompleks cały. Aby wybrnąć z trudności, postaramy się uwypuklić niektóre przynajmniej przyczyny, najbardziej tamujące normalny bieg rzeczy.

Pierwszym tym momentem będzie obowiązujący system uniwersytecki, narzucone urządzenia i plan studyów, przymusowe egzaminy kursowe i t. d. Zmurszałe i nigdzie już w tym stopniu nie spotykane przeżytki, ostatnie ślady których, np. dla Niemiec, przypadają na koniec XVIII i początki XIX wieku!

W wewnętrznym swym urządzeniu uniwersytet nie stosuje swobody wyboru zajęć. Główny nacisk (przynajmniej w umiejętnościach humanistycznych) położono na wykłady, lecz odebrano im właściwe znaczenie, zmuszając wszystkich do uczęszczania na wszystkie wykłady danego kursu, przytem zwykle każdy wyższy kurs przynosi nowe przedmioty studyów, wytwarza coraz nowe powierzchowne zainteresowania, których student opanować i ująć nie potrafi, nie może zaspokoić ani zadowolić. Studya obowiązujące odbywają się w kierunku odśrodkowym, rozbieżnym — gdy wgłębienie się, wyczerpanie czegoś wymaga dośrodkowości, skupienia, rozszerzania poznawania koncentrycznymi kęgami — tymczasem przymus egzaminacyjny stwarza szereg nie wiążących się z sobą kół ekscentrycznych. Brak przytem zupełnie najważniejszych ości samodzielnej pracy w nowożytnym rozumieniu — seminaryów, dających miejsce czynnemu udziałowi, współpracy studentów. Nie mówiąc już o jakościowej stronie wykładów, mamy dostateczny obraz rutyny i spleśnienia. Łatwo przewidzieć, że instytucya podobna *nie uzdalnia do badawczej pracy*.

Przy skostniałym, przeżyтым systemie uniwersyteckim, jako społeczną przyczyną, występuje szkoła średnia, obca życiu i potrzebom swych wychowawców, dyscyplinarna i biurokratyczna, odległa od przygotowania do pracy samoistnej. Wszystko, co z sobą młodzież żywego przynosi do uniwersytetu, tkwi źródłami po za nią. Pośredni dowód na to posiadamy w studyum p. Lewina: Co czyta i czem interesuje się ucząca się młodzież<sup>1)</sup> w stosunkach rosyjskich.

Studyum podaje rezultaty ankiety (933 odpowiedzi) wśród uczniów gimnazjalnych z różnych stron Rosyi. Najżywsze zainteresowanie wzbudzają nauki przyrodnicze i humanistyczne. Ogromny względem nich entuzjazm—to nie dzieło szkoły, to raczej protest przeciw jej planom i zakresowi. Co stwarza i rozwija w lepszej części uczącej się młodzieży zajęcie się wiedzą i książką? W każdym razie nie system szkolny. Umysłowe zainteresowania, jakimi żyje myśląca część młodzieży, posiadają mało wspólnego z nauką szkolną.

„Gimnaziści np. zajmują się z zapałem naukami przyrodniczymi i ekonomią polityczną“ — konstatuje autor i pisze dalej jeszcze: „potrzeby umysłowe uczących się bardzo dalekie są

<sup>1)</sup> Mir Bożyj, 1903. №№ 11 i 12.

szkoły“—mimo że młodzież ta „żyje całym uczuciem, wszystkimi siłami swej duszy.“

Trudno o bardziej przekonujące świadectwo.

Drugim, prawdopodobnie w równym stopniu działającym hamującym czynnikiem są warunki materialne. Dość nam tutaj poprzestać na danych, zebranych przez Kowalskiego. Już w gimnazyum 19% musiało się całkowicie utrzymywać, a 58% otrzymywało tylko pewną część z domu — zupełnie zabezpieczonych było zaledwie 23%. W uniwersytecie liczba samodzielnie utrzymujących się dosięga 31,6%, a mogących nie pracować na swoje utrzymanie kurczy się do 28,6%—więc 71,3% musi po za nauką myśleć o zdobyciu zarobku. Głównym źródłem zajęć służą korepetycje, których liczba nie jest stałą: najwięcej udziela 2 — 4 godzin dziennie, ale są i posiadający 6 g. zajęć. Dodajmy, że połowa prawie nie przerywa tych zajęć i podczas wakacyj — dodajmy, że ten rabunek odbywa się przy jednoczesnym, systematycznym niedożywaniu, w warunkach zdrowotnych, w których połowa stale zapada na jakąś chorobę, a 3/5 czuje się zdenerwowaną — a będziemy posiadali sylwetkę i warunki pracy studenta. Przy systemie głodzenia się i wyjąłwiającej, uciążliwej pracy zarobkowej, ani mowy być nie może o normalnych studiach; przeciążenie i wyczerpanie umysłowe zjawia się tu wcześniej niż student może zając się własnymi studiami. Intensywność pracy jest z góry wykluczona.

Przedewszystkiem więc sztucznie utworzony cały spłot warunków zewnętrznych nie dozwala na swobodne, szerokie rozrastanie się umysłowości. Nie można pominąć jednak istnienia i przyczyn wewnętrznych, tkwiących w studiujących — być może zjawiska pochodnego, wtórnego, występującego jednak dość jaskrawo. Jest w nim ta dziwna, wśród młodzieży uniwersyteckiej tak często spotykana, niezdolność zatrzymania się na pewnym momencie, aż do całkowitego wyczerpania szczegółów, niemoc przemyślenia czegoś aż do ostatecznych granic. Trawieni gorączką wiedzy, przesuwają się obok głębi zagadnień, spiesząc do coraz nowych, coraz bardziej oddalonych pytań, nigdzie nie mogąc nasycić pragnień poznawczych. Proces ten bezustannego rozszerzania zakresu wiedzy bez jednoczesnego wyczerpywania każdej kwestyi rodzi wreszcie zziąbanie się pracą, wyczerpanie sił myślowych i zmęczenie wprost somatyczne. Jest to jakby jakaś neurastenia poznawcza.

Stany te, nierozzerwalnie sprzężone z brakiem umiejętnej, świadomej metody studyów, są poważnym hamulcem pracy napię-

tej, rodzą dyletantyzm, a wśród umysłów bardziej refleksyjnych wywołują bezden pesymizmu, nieufność w swe siły, żrący ból niezaradności...

Można się sceptycznie odnosić do różnych środków zaradczych — lecz bez usunięcia tych ciasnych, ujednostajniających jednostki urządzeń zewnętrznych, bez zmian w warunkach bytu młodzieży — są one trudne do pomyślenia.

Zostaje tylko miejsce na przyczyny, warunkujące sam tryb studyów, brak zupełny orientowania się samych studentów w metodzie pracy — brak czy skrzywienie metody. A jest ona jedną z najbardziej rozstrzygających, zwłaszcza w Warszawie. Student niemiecki pomimo całkowitej swobody w wyborze i sposobie studyów, ma zawsze możliwość osobistego porozumiewania się z profesorem w seminaryjach, — inaczej studenci warszawscy; pomimo uzależnień pozostawieni są w tym względzie zupełnie sami sobie. Znajdują się przeważnie w położeniu samouków i dla tego wiele reguł, jakie praktyka samouctwa wyłoniła <sup>1)</sup>, a przede wszystkim ta swoista jej metoda, tak podobna ze swego charakteru do pracy badawczej, mogłoby służyć za wytyczne w czytelnictwie i studyach.

KONSTANTY KRZECZKOWSKI.

---

1) Porówn. S. Michalski, Perspektywy samouctwa. Ogniw, 1903. № 22.

# PIŚMIENNICTWO.

*Z nowszej literatury o Śląsku Cieszyńskim.*

W ostatnich latach w miarę wzrostu ruchu narodowego na Śląsku Austriackim, rozrastać się również poczęła i literatura, dotycząca tego kraju, omawiająca jego przeszłość i jego stan dzisiejszy. Do szerszych warstw społecznych przedostawały się jednakowoż przeważnie książki i broszury, omawiające dzisiejsze stosunki polityczne na Śląsku Cieszyńskim,—takie, jak np. Piastu-  
na (W. Naake Nakęskiego): „*Spór czesko-polski na Śląsku Cieszyńskim*,” wydany w roku 1901 we Frysztacie (str. 108; nakładem Towarzystwa „Jedność“). Dość często spotkać się też można było i ze sprawozdaniami, omawiającemi szeroko tego rodzaju—t. j. publicystyczne — prace. Natomiast inne, częstokroć bardzo cenne i ważne, szczególnie, jeśli ogłaszane były li tylko w wydawnictwach peryodycznych, tonęły w niepamięci, że wymienimy tu np. tego rodzaju pracę dr. Józefa Buzka p. t. „*Ludność księstwa Cieszyńskiego podług narodowości*,” wydrukowaną w wychodzącym od r. 1892, w Cieszynie „*Miesięczniku Pedagogicznym*,” (tom z roku 1901).

Mało się też wie i o materiałach gwarowych i etnograficznych, dotyczących Śląska Cieszyńskiego. W tomie IV-yim „*Materiałów antropologiczno-archeologicznych i etnograficznych*,” (Kraków, 1900), wydawanych staraniem Komisji antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie, ogłoszono drukiem „*Powieści ludu polskiego na Śląsku*“ cieszyńskim, <sup>1)</sup> zebrane z ust ludu jesz-

---

<sup>1)</sup> Część I w tomie IV-yim zawiera materiały, zebrane na Śląsku Cieszyńskim i wydane przez ś. p. Jana Bystronia; cz. II w tomie V-yim zawiera materiały, zebrane na Śląsku górnym (pruskim), a wydane przez R. Zawilińskiego.



cze w roku 1869 przez profesora Lucyana Malinowskiego († 15 stycznia 1898 roku). W „Wiśle“ zaś w rocznikach XIV-XV z lat 1900—1901 (por. też rocznik VIII z r. 1894) Stanisław Ciechanowski ogłosił „Pieśni śląskie z okolic Cieszyna“ (z melodyjami).

Materyał to jednak wszystko surowy. Pracę do pewnego stopnia syntetyczną dał nam w roku 1903 dr. Ernest Farnik w niewielkiej rozprawie p. t. „O poezyi ludowej na Śląsku Cieszyńskim“ („VIII Sprawozdanie dyrekcyi prywatnego gimnazjum polskiego za rok szkolny 1902-1903,“ str. 3—36, oraz osobna odbitka, Cieszyn 1904, in 8<sup>o</sup>). Rozprawka ta składa się z dwóch części poprzedzonych „wstępem,“ w którym autor omówił pokrótce dzieje zajęcia się u nas twórczością ludową, badaniem ludu wogóle — jego podaniami, pieśniami obyczajami i zwyczajami. W części pierwszej, zatytułowanej „O pieśni ludowej“ postanowił autor „zestawić najważniejsze myśli i idee, odsłonić niektóre tajniki ducha ludu polskiego w Cieszyńskim.“ W tym też celu omawia treść pieśni miłosnych, weselnych, małżeńskich i pasterskich, zawartych w znanych mu zbiorach materyałów etnograficznych, mianowicie w zbiorach Andrzeja Cińciały „Pieśni ludu Śląskiego z okolic Cieszyna,“ (Kraków 1885), Juliusza Rogera („Pieśni ludu polskiego na Górnym Śląsku,“ Wrocław, 1863; zbiór ten zawiera również i kilkanaście pieśni z Cieszyńskiego), wreszcie w zbiorze Józefa Londzina, nauczyciela ludowego z Zabrzega; ten ostatni zbiór spoczywa dotąd w rękopisie, a z treścią jego zaznajomił p. Farnik ogół w artykule ogłoszonym w „Gwiazdce Cieszyńskiej“ w №№ 42 i 43 z roku 1902. Żałować jednak należy, iż do swej pracy „O poezyi ludowej....“ nie korzystał autor z wymienionych wyżej zbiorów, ogłoszonych w „Wiśle“ i „Materyałów antropol.-archeolog. i etnograf.“, jak również z pracy L. Malinowskiego: „Zarysy życia ludowego na Śląsku“ (Warszawa, 1877).— W części drugiej swej pracy, zatytułowanej „O domoroślach poetach“ podaje dr. Farnik charakterystykę samorodnych utworów poetyckich: tkacza Adama Sikory z Jabłonkowa, Jana Kubisza nauczyciela ludowego z Gnojnika przy Cieszynie i innych.

W głębszą, subtelniejszą charakterystykę pieśni ludowej autor się nie wdaje, poprzestając przeważnie na streszczeniach; przytem nietylko obchodzi go sama pieśń, jako taka, ile człowiek, który jest przedmiotem tej pieśni. Sądy autora nie zawsze zostały dostatecznie uzasadnione; tu i owdzie popełnił autor błąd. W każdym razie, jako rzecz popularnie skreślona, przeznaczona dla szerszego ogółu, rozprawka dra Farnika „O poezyi ludowej na Śląsku Cieszyńskim“ wykonana została dość dobrze. (Por. nasz obszerny rozbiór w tomie XVIII „Wisły“ (1904), str. 278—391).

Wspomniemy też tu dalej i o bardzo pożytecznej i doskonale wykonanej książeczce, a mianowicie o „*Przewodniku po Śląsku Cieszyńskim*,” ułożonym przez ks. Antoniego Macoszka (Lwów — Warszawa, 1901; str. 128). Oprócz zwyczajnych rad i wskazówek dla osób zwiedzających Śląsk Cieszyński, znajdujemy w „*Przewodniku*” tym kilka bardzo ciekawych rozdziałów, poświęconych topografii, etnografii i dziejom księstwa Cieszyńskiego. Szczególniej zasługują na uwagę rozdziały: „*Górale, Salasze*” (str. 51 — 62), „*Strój ludności w ks. Cieszyńskim*” (str. 93 — 99) i „*Język ludu polskiego w Cieszyńskim*” (str. 99—105). Do tekstu, oprócz licznych mapek, dokładnie wykonanych i widoków miejscowości, dodano również fotografie przedstawiające stroje, zabudowania i hafty ludowe.

Na str. 102—103 swej książeczki stara się autor wykreślić granicę językową polsko-morawską (czeską). Porównaliśmy ową granicę z wykreśloną przez prof. Lucyana Malinowskiego około roku 1870 (por. „*Ateneum*” z roku 1877, tom II). Okazuje się, iż na północ od Wojkowic, mniej więcej od toru kolejowego (por. mapkę w „*Przewodniku*”), łączącego Cieszyn z Frydkiem, granica na obu mapkach jest identyczną. Natomiast na południe od oznaczonego punktu, terytorium językowe morawskie, według mapki ks. Macoszka w stosunku do mapki prof. Malinowskiego, posunęło się bardziej na wschód, a więc na niekorzyść obszaru językowego polskiego. Owo dorzecze Ostrawicy, od działu wód Morawki i Łomny, aż do jej ujścia do Odry, prof. Malinowski uważał za terytorium morawskie, ks. Macoszek zaś pisze o niem: „Sam lud nazwał narzecze, używane w powiecie Frydeckim — morawskiem; jest to gwara polska, najsilniej zeszepecona wpływami mowy czeskiej” (str. 102—103). Za miejscowości pograniczne, w których słychać język polski i „gwarę morawską,” uważa on: Lhoty pod Praszywą, Bukowice, Kocurovice, Węclawice, Bartowice, Radwanice, Hermanice i Wirbice, nadmieniając, że i dalej na wschód od tej linii jest jeszcze kilka wsi, w których język czeski panuje w kościele i szkole, np. Dobracice, Wojkowice, Domasławice, Szobiszowice, Średnia Sucha, Szonów, Pietrzwałd, Orłowa i Dziećmorowice, aczkolwiek ludność ich po za szkołą mówi „dosyć czysto” po polsku. Wogóle im bliżej granicy północnej i wschodniej i im dalej od miejsc przemysłowych, tem język polski ludu czystszy, mniej w nin naleciałości czeskich i niemieckich.

Co się tyczy ludności niemieckiej w księstwie Cieszyńskim, to zamieszkuje ona przeważnie Bielsk i wsie okoliczne: Stary Bielsk, Kamienicę (Kamitz), Wapiennicę (Lobnitz), Komorowice (Batzdorf), Międzyrzecze Górne (Kurzwald) i inne. Są to potom-

kowie dawnych osadników niemieckich, których w XIII wieku sprowadzili książęta śląscy na niezaludnione obszary kraju. Gwara ich tworzy ciekawą mieszaninę języka polskiego z niemieckim. Mamy zatem w ks. Cieszyńskim trzy narodowości. Ścieranie się ich wzajemne i upominanie się każdej o swoje prawa i przywileje wywołało nader oryginalne zjawisko: w szkołach ludowych we wsiach Łazach, Dziećmorowicach, Zabłociu i Wirbicy uczą aż w trzech językach — w polskim, czeskim i niemieckim.

Wszystkie te książki i prace, które wyżej wymieniliśmy, dotyczą przeważnie teraźniejszości, stanu dzisiejszego na Śląsku Cieszyńskim. Przeszłością się nie zajmują, a jeśli o nią potrącają, to o jaknajodleglejszą przeważnie, jak np. w „Przewodniku“ ks. Macoszka, — a przytem pobieżnie i konspektowo. Zresztą, poprzestaje się pod tym względem na faktach powszechnie znanych. Dla tego też i nowsze dzieje tego Śląska pomija się milczeniem, gdyż źródła do nich leżą odłogiem, w pyle archiwów — niewydane... Mamy tu szczególnie na względzie dzieje oświaty i stanowisko i losy języka polskiego w szkole i życiu prywatnem ludności księstwa Cieszyńskiego. Pod tym względem posiadaliśmy bardzo niedostateczne i błędne wiadomości. Do dziś nawet panuje wśród szerszego ogółu przekonanie, że np. język polski na Śląsku Austryackim w literaturze miejscowej, w książkach drukowanych na Śląsku, wszedł w użycie dopiero w *połowie* XIX wieku, że język polski używany był „prawie wyłącznie w życiu domowem, a nawet nie w kościele, gdyż według zwyczaju, sięgającego jeszcze owych czasów, gdy kraina ta do Czech należała, duchowieństwo obu wyznań wołało w kazaniach i pieśniach — czeskiej, niż polskiej używać mowy...” (Włodzimierz Spasowicz: „*Dzieje literatury polskiej*“ w przekładzie A. G. Bema. Kraków 1891, str. 528).

Tak bardzo źle jednak w rzeczywistości nie było. A jak było dowiadujemy się o tem z kilku, niewielkich rozmiarami, rozpraw pióra ks. Józefa Londzina; rzucają one snop promieni na kwestyę, tonącą dotąd w mrokach domysłów lub zupełnej niewiadomości.

Mamy tu na myśli następujące prace: „*Kilka druków śląskopolskich z zeszłego i pierwszej połowy bieżącego stulecia z szczególniejszem uwzględnieniem innych ksiązek polskich używanych przez ludność polską w księstwie Cieszyńskim*“ (Cieszyn, 1898; in 8<sup>o</sup>, str. 22), „*Zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych w księstwie Cieszyńskim*“ (Lwów — Warszawa, 1901; in 8<sup>o</sup>, str. 41), „*Stan szkół ludowych w księstwie Cieszyńskim na początku XIX stulecia*“ (Lwów —

Warszawa—Cieszyn, 1902; in 8<sup>o</sup>, str. 43) i „*Bibliografia druków polskich w księstwie Cieszyńskim od roku 1716 do roku 1904*“ (Cieszyn, 1904; in 8<sup>o</sup>, str. 38).—Są to wszystko odbitki ze „Sprawozdań dyrekcji prywatnego gimnazjum polskiego w Cieszynie“ za lata szkolne: 1897/8, 1900/01, 1901/2 i 1903/4.

Nim jednak zaznajomimy czytelnika z treścią tych rozpraw, pozwolimy sobie poświęcić słów kilka ich autorowi.

Urodził się ks. Józef Londzin dnia 3 lutego 1863 roku w Zabrzegu pod Dziedzicami, gdzie ojciec jego był ludowym nauczycielem i organistą przy miejscowym kościele. Po ukończeniu gimnazjum w Bielsku w roku 1885, studyów teologicznych w Ołomuńcu (1885—1889), pełnił obowiązki wikarego najpierw w Strumieniu, potem w Międzyrzeczu i nakoniec w Cieszynie do roku 1897. Jeszcze jako uczeń gimnazjalny pomagał w pracy nad uświadamianiem ludu polskiego zasłużonemu i głośnemu P. Stalmachowi. Jego to on wychowanek i niejako następca w tej pięknej pracy.

Zamieszkawszy w Cieszynie, ks. Józef Londzin zajął się sprawami polskimi na Śląsku Cieszyńskim. W roku 1890 został wybrany sekretarzem „Macierzy szkolnej“, a po śmierci ks. Świeżego — jej prezesem. Jest redaktorem „*Gwiazdki Cieszyńskiej*“, pisma tygodniowego i katechetą w gimnazjum i polskiej szkole ludowej; należy do zarządu kilku towarzystw i zbiera przedmioty przyszłego „Muzeum śląskiego.“ Zajmował się też w swoim czasie sprawą utworzenia gimnazjum polskiego w Cieszynie; przed kilku laty zajął się założeniem w Cieszynie „Towarzystwa ludoznawczego“, które w roku 1903 urządziło *pierwszą* wystawę etnograficzną w Cieszynie (por. broszurę p. t. „*Wystawa ludoznawcza w Cieszynie*.“ Cieszyn 1903, ze spisem przedmiotów; in 4<sup>o</sup>, str. 4); dała ona dowód dzielnego rozwijania się na Śląsku Austryackim poczucia narodowego wśród tamtejszego polskiego ludu. Na czele komitetu wystawy stał ks. Józef Londzin.

A teraz wracamy do wymienionych powyżej rozpraw tego niestrudzonego i zasłużonego pracownika na Śląsku Cieszyńskim.

„*Kilka druków śląsko-polskich*“, to rezultat długoletnich i żmudnych poszukiwań po różnych zakątkach kraju, wśród ludu wiejskiego, książek drukowanych w języku polskim na Śląsku lub ziemiach sąsiednich, lecz przeznaczonych dla mieszkańców Śląska Cieszyńskiego. W rozprawce tej opisał autor jedenaście takich odnalezionych przez siebie druków. Znaczna ich część nieznaną była do tego czasu naszym bibliografom. Najstarszym z tych druków jest: *Wierność Bogu y cesarzowi, czasu powietrza morowe-*

go, należąca á pokazana przez Janá Muthmaná, Sługę Ewanjeliey przy kościele JEzusowym przed Cieszynem. Drukował w Brzegu, Gottfried Tramp, 1716.“ Według świadectwa autora tej książki (na str. 80) w jego czasach bardzo rozpowszechnionym był wśród mieszkańców księstwa Cieszyńskiego „*Kancyonał Polski*,” wydany w roku 1673 w Brzegu. Tej książki jednak nie udało się dotychczas odszukać.

Z opisanych dokładnie przez ks. J. Londzina w swej rozprawie jedenastu druków, pięć przypada na XVIII stulecie — są to książki treści religijnej,—sześć zaś na pierwszą połowę XIX wieku — są to książki treści religijnej i świeckiej.

Na tytule druku z roku 1785 „*Pieśń ku mszy świętey...*“ czytamy: „*teraz dla Xionżeństwa Tieszyńskiego na zwyczajny Język przetożona*,” a na innym z roku 1788 p. t. „*Modlitwy...*“—*przetłumaczone na jenzyk... ten, który jest w Xionżeństwie Tieszyńskim zwyczajnyj*. Oczywiście owi tłumacze tych książek (z języków obcych) nie wiedzieli, że tłumaczą na język polski; a jednak tłumaczyli na język polski — i tylko na ten — jak o tem łatwo się przekonać z odczytania kilku ustępów dokonanego przez nich tłumaczenia. Naturalnie sporo w nich, jak zresztą i we wszystkich innych drukach śląsko-polskich, germanizmów i czechizmów. Jaskrawo też występuje tam i miejscowa gwara ludności księstwa Cieszyńskiego. Ks. Londzin słusznie, opisując owe druki, przytacza z nich wyjątki; dzięki tej okoliczności właśnie można się dość dokładnie zaznajomić i z samym językiem tych książek.

W końcu swej rozprawy podaje jeszcze autor spis książek treści religijnej, używanych przez ludność księstwa cieszyńskiego, a drukowanych przeważnie we Wrocławiu, lub innych, bardziej oddalonych od Cieszyna miejscowościach.

Pracę tę uważał ks. Londzin tylko „za pierwszą próbę odтворzenia obrazu piśmiennictwa śląsko-polskiego,” w roku zaś 1904 dał nam dokładną „*Bibliografię druków polskich w księstwie Cieszyńskiem od roku 1716 do roku 1904*.” W omówionej wyżej pracy opisał ks. Londzin—jak widzieliśmy—zaledwie jedenaście druków wydanych na Śląsku od roku 1716 do r. 1848; po sześciu latach dalszych poszukiwań, liczba ta wzrosła do dwudziestu; ich tytuły znajdujemy w owej właśnie „*Bibliografii*.” Połowy tych druków, jak również i licznych broszur, odezw i wierszy okolicznościowych, osobno wydanych po roku 1848 — nie wymienia „*Bibliografia polska*“ dra Karola Estreichera. Jest więc rzecz ks. Londzina niejako dopełnieniem owej „*Bibliografii*.”

W swojej „*Bibliografii*“ zamieścił ks. J. Londzin „nie tylko śląskie wydawnictwa polskie, bez względu na to, czy autor mieszkał na Śląsku lub nie, ale także rzeczy pisane przez ślązaków lub osoby zamieszkałe na Śląsku, a wydane gdzieindziej, poza Śląskiem.“ Znajdujemy w spisie tym również i druki czeskie i niemieckie, o ile odnoszą się do historii i życia ludności polskiej w Księstwie Cieszyńskim.

Przy sposobności nadmienię, że dokładny tytuł (nie podany, str. 35) pracy Gustawa Wańka brzmi: „*Zum Vokalismus der schlesischen Mundart. Ein Beitrag zur deutschen Dialektforschung*“ (Bielsk 1880, in 8<sup>o</sup>, str. 52).

Dwie inne prace ks. Londzina: „*Zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych*“ i „*Stan szkół ludowych*“ w księstwie Cieszyńskim — również wzajem się dopełniają; omówimy więc treść ich jednocześnie.

W wiekach XVI, XVII i XVIII do czasów Maryi Teresy uczono w szkołach księstwa Cieszyńskiego po czesku. Od czasów zaś Maryi Teresy i cesarza Józefa II wprowadzono nadto do szkół język niemiecki, którego uczono głównie w szkołach miejskich, językiem zaś wykładowym dla szkół wiejskich w całym Księstwie Cieszyńskim był z rozporządzenia rządu język czeski. Szkół katolickich parafialnych (trywialnych) było w kraju tym pod koniec panowania Maryi Teresy — 32. Cesarz zaś Józef II pomnażając liczbę parafij, pomnożył też *eo ipso* i ilość szkół. Już w roku 1808 szkół trywialnych i średnich (przy kościołach filialnych i tam, gdzie kościołów nie było) liczono 60; oprócz tego ewangelickich 28; w roku 1820 katolickich — 66, w roku 1836 — 83. Oprócz tych istniała jeszcze w Cieszynie „szkoła główna,“ otwarta w roku 1778, przy której znajdował się również trzymiesięczny kurs dla kształcenia nauczycieli. Z trzeciej klasy tej „szkoły głównej“ mógł uczeń wstąpić do pierwszej klasy gimnazyjalnej, zatem równała się ona dzisiejszym szkołom wydziałowym. W roku 1822 otwarto podobną w Bielsku.

Sądzone dotąd powszechnie, iż ów nakazany w szkołach ludowych język czeski panował niepodzielnie aż do roku 1848. Otóż ks. Londzin wykazuje, iż uczono w szkołach tych i po polsku i że właśnie przed tym rokiem istniały już szkoły z językiem polskim, jako wykładowym, szczególnie w miejscowościach bliżej granicy galicyjskiej położonych, np. w Ligocie (założono tu szkołę w roku 1806), w Czechowicach, w Rudzicy, Zabrzegu (w pierwszych latach piątego dziesięciolecia), a nawet w roku 1875 założono w Mazańcovicach szkołę z językiem wykładowym polskim, jak twierdzi—

co do tego ostatniego faktu — miejscowa tradycja. Również w dwóch niższych klasach „szkoły głównej“ w Cieszynie, uczono przeważnie po polsku.

Samodzielna historia szkolnictwa ludowego w księstwie Cieszyńskim rozpoczyna się, zdaniem autora, od roku 1804, t. j. od chwili, kiedy cesarz Franciszek II wydał dekret, na mocy którego oddawał kierownictwo szkół ludowych duchowieństwu. Każde dziekaństwo tworzyło wówczas osobny dystrykt szkolny, na czele którego stał dystryktowy dozorca szkół; najwyższą zaś władzą szkolną nad owymi dziekaństwami-dystryktami, w austriackiej części dycezyi wrocławskiej był jeneralny wikaryat, którego referentem w sprawach szkolnych był naddozorca szkół.

Pierwszym takim naddozorcą, był zasłużony wielce ks. Leopold Szersznik, były jezuita, założyciel Muzeum, noszącego jego imię. Właśnie ks. Szersznik, widząc niedogodności w szkolnictwie, wypływające z używania książek szkolnych w języku czeskim, energicznie jął się upominać o zaprowadzenie książek polskich w szkołach trywialnych, mimo, iż wyższe władze szkolne uparcie obstawały przy języku wykładowym czeskim. Ale szło tu o załatwienie formalne tej kwestyi, albowiem — jak widzieliśmy — i wówczas już t. j. na początku XIX stulecia, w wielu szkołach nauczyciele, chcąc ułatwić uczniom zrozumienie wykładanych nauk, wykładali je w języku polskim. Wykładano też i język polski jako przedmiot. Szczególnie energicznie zaprowadzenia w szkołach ludowych języka polskiego zamiast morawskiego (czeskiego), domagać się poczęło duchowieństwo od roku 1845 począwszy, jak dowodzą tego dokumenty, przedrukowane przez ks. Londzina, a wyjęte z aktów szkolnych jeneralnego wikaryatu i dekanatu w Cieszynie.

W odpowiedzi na szereg podań tego rodzaju, dekretem z dnia 2 września 1848 roku Ministerjum Oświaty zgodziło się na zaprowadzenie książek polskich zamiast czeskich. Datę tę uważać należy — jak wyraża się ks. Londzin — „za dzień urodzenia polskiej szkoły ludowej Księstwa Cieszyńskiego.“ Oczywiście ludność polska powitała zmianę tę z radością. Trudności zaś, jakie się przy tym nastąpiły, polegały głównie na braku odpowiednich polskich książek szkolnych. O katolickie było jeszcze łatwiej, bo sprowadzono z Galicyi, ale ewangelicy musieli dopiero myśleć o własnych wydawnictwach. W roku 1850 nadeszło z Ministerjum rozporządzenie, na mocy którego język polski stał się w szkołach księstwa cieszyńskiego obowiązkowym. Dzięki tej reformie język polski zataczał coraz to szersze koła wśród ludności tego kraju na niekorzyść pochłaniającej go uprzednio czeszczyzny. Powoli

budziło się też i poczucie narodowe. Niestety, w roku 1853 wydano rozporządzenie o wprowadzeniu do szkół wiejskich jeszcze i języka niemieckiego, którego uczono do tego czasu li tylko w szkołach miejskich.

Co się tyczy statystycznych danych, to te w krótkości przedstawiają się w następujący sposób. W roku 1851 na całym Śląsku Austriackim przy 172 parafiach katolickich i 13 ewangelickich było 347 szkół katolickich i 43 ewangelickich; nadto jedna żydowska; ogółem więc 391; w roku zaś poprzednim (1850-ym) było 389 szkół ludowych, a w roku 1849 — 385. Wreszcie w roku szkolnym 1899—1900 liczba wynosiła: 520 publicznych i 62 prywatnych; razem — 582. W ciągu więc drugiej połowy ubiegłego stulecia szkolnictwo, jak widzimy, znacznie się rozwinęło.

Nadmienimy tu jeszcze na zakończenie, iż w jednym z rozdziałów rozprawy „*Zaprowadzenie języka polskiego i t. d.*” kreśli autor ciekawy „*Epizod z pogranicza czesko-polskiego.*” W roku 1843 i 4 wynikł spór o język wykładowy — polski czy czeski? — w szkołach niemieckiej i polskiej Lutyni i Dziecmorowicach. Spór ten rozstrzygnięto na korzyść Czechów. Dodać tu należy, iż głównymi sprawcami podobnych zajść, które się niejednokrotnie powtarzały, szczególnie od czasów Maryi Teresy i Józefa II aż do roku 1848, byli nauczyciele: jeśli bowiem nauczyciel był ślązakiem, to nawet w szkołach z wykładowym językiem morawskim (czeskim), chociaż i podręczniki szkolne były czeskie, udzielał uczniom objaśnień w języku polskim, jeśli zaś nauczyciel był z Moraw, to zaprowadzał znów język czeski, chociaż podręczniki szkolne były polskie.

Sporo zatem nowych danych, przynoszą nam owe rozprawy ks. Józefa Londzina. Zmieniają one — jak widzieliśmy — dotychczasowe poglądy, dotyczące życia kulturalnego i narodowego na Śląsku austriackim.

HENRYK UŁASZYN.

---

RUDOLF PENZIG. Dr. filoz. doc. Ak. w Ber. *Jak odpowiadać na pytania dziecięce, tłumaczyły z niemieckiego Zofja Rotszajnowa i Marya Lipska.* Warszawa 1905. Nakł. M. Borkowskiego.

Etyka wychowawcza, nowa gałąź umiejętnego wychowania, która w przyszłości stanie się prawdopodobnie najważniejszą częścią programu kształcenia, wprowadzi na miejsce szablonowej,



i kaznodziejskiej, nic z życiem nie mającej wspólnego moralności, żywą etykę czynu, wyrozumowaną własnym odczuciem, i zrozumieniem praw przyrody. Jej zadaniem—kształcić młodzież na ludzi z charakterem, na ludzi ideału, na ludzi wiary społecznej, na odważnych wyznawców prawdy w życiu. Ale etyka ta w wychowaniu tylko wtedy przynieść może plon, gdy ją ze zrozumieniem psychologii dziecka stosować będziemy. Książka p. Penziga, pół filozoficzna, pół pedagogiczna, zadaniu temu nie odpowiada. Uczyć ma ona matki i wskazywać wychowawcom, jak odpowiadać na pytania dziecięce. W tym celu autor w szeregu ośmiu rozdziałów porusza różne dziedziny i stosunki następujące się umysłowi dziecka.

Mamy dziecko na tle rodziny, przyrody, społeczeństwa; dziecko w szkole, w stosunku do służby, wobec śmierci, Boga. Uzasadnienie obyczajowości dziecięcej. Kwestye prawdy i kłamstwa. Własność. Kwestye płciowe.

Ogrom zadania. Czytelnik szuka zaspokojenia i wskazówek, a znajduje tak nieprzystosowany do umysłowości dziecka materiały, że trudno zeń wydobyc te ziarna zdrowych, pięknych myśli, które w rozumowaniach filozoficznych książki się snują.

Autor wszechstronnie w kwestyach przyrodniczych i filozoficznych odczytany i jest wyznawcą najpostępowszych poglądów i kierunków. Umysł wyzwolony i obejmujący szerokie horyzonty myśli współczesnej, przytem tolerancyjny dla innych. Ale pozbawiony wszelkiej metodyczności, nieodzownej w pedagogice. Póki rozważa sprawy ludzkie i kwestye naukowe, jako myśliciel, teoretyk, ma jasne pojęcia o przyszłości rozwojowej idei ewolucyi, o prawach przyrody, o wartościach etycznych i zadaniach społecznych jednostki.

Słabą stroną książki jest zupełna nieznajomość psychologii dziecka. Rozmowy z dziećmi, które autor przytacza dla przykładu, są często humorystyczne, pedantyczne i wprost niedorzeczne.

Przypominają jakieś średniowieczne, scholastyczne dyalogi i wykazują zupełną nieznajomość umysłowości dziecięcej. Niewiedomo o jakie dzieci autorowi idzie. W jakim wieku mianowicie: dziecko ma wskutek filozoficznej rozmowy, zrozumieć i odczuć, że narzucony z góry przez starszych rozkaz nie ma być odczuty, jako niegodny przymus, ale jako świadoma poczucia konieczność. Jestto jakieś dyalektyczne tunaniecie dziecka, rozwlekłe i nudne na temat abstrakcyi o nakazach, obowiązkach, i rozsądku, zgoła dla dziecka nieprzystępne.

Autor zapomina, że dziecko unika abstrakcyi jak ognia, ucieka od filozoficznych rozmów. Ono chce faktów prostych i widomych, obrazów jasnych i wyraźnych, barw, kształtów i dźwięków. Myśli obrazami i tylko konkretna forma myślenia przemawia do jego umysłów.

Zapatrywania na istotę kłamstwa i urządzanie w pokoju dziecinnym śledztwa z rodzajem przysięgi, świadkami i innymi akcesoryjami spraw sądowych, uważan za wstrętne.

Miłość prawdy u dzieci rodzi się z przykładu.

Otoczenie winne jest kłamstw spełnianych przez nie. Gdzie dokoła panuje szczerłość, tam i dziecko kłamać nie będzie. Miłość i zaufanie zabijają kłamstwo.

W stosunku do służby nie uwzględnia autor najważniejszych momentów tego stosunku, współpracy dziecka ze służącą i uznanie w niej duszy równej, człowieczej, a tylko nacisk kładzie na brak w niej kultury zewnętrznej.

Znaną jest rzeczą, jak mało odczuwają normalne dzieci, tragiczny moment rozłąki z życiem. Mózg, dziecka nie jest rozwiniętym, dojrzałym mózgiem dorosłego człowieka, ulega jeszcze ciągłym stopniowym zmianom, wzrostowi, nabiera tęgości, gromadzi wrażenia. Stąd, całe obszary zjawisk i spekulacyi myślowych dla umysłu dziecięcego niedostępne.

Rozmowa o śmierci należy do najslabszych rozdziałów. Miejscami sentymentalna, miejscami tak abstrakcyjna, że w żadnej, przybliżonej nawet formie, nie nadaje się do naśladowania. Filozoficzną parafrazę przemiany materji po śmierci, ma każdy inteligentny wychowawca pod ręką, i można ją bez tego wzoru daleko prościej przedstawić.

Przedstawienie w oświetleniu prawdy spraw płciowych wymaga tyle subtelnej miary, taktu pedagogicznego i takiego indywidualizowania w każdym pojedynczym wypadku, że tu ogólne jakieś przepisy lub prawidła postępowania tracą zawsze sentymentalizmem albo brutalnością. Nie uniknął tych wad i autor.

Rozdział o Bogu, pedagogicznie jest niemożliwy. Ten Bóg abstrakcyjny, niewidzialny, niesłyszalny, twórcza siła, pierwsza przyczyna wszechrzeczy, którą uznaje przyrodnik i myśliciel, jest pojęciem wysoce abstrakcyjnym, do którego dochodzi umysł po przetrwaniu całego procesu przez jaki ludzkość przechodziła. Autor w obawie przed przeładowaniem religijnem, chce by dziecko wyrobiło w sobie samo pojęcie Boga i religijności, bez narzucanych z góry wierzeń, a nieświadomie podaje mu gotową me-

tafizykę, do duszy dziecięcej zupełnie nieprzystosowaną. Jestto droga wprost przeciwna drodze rozwojowej, przez jaką przechodziły pojęcia religijne ludzkości.

Szły te pojęcia z wolna i stopniowo od naiwnych i prostych wierzeń, od panteistycznego uwielbiania sił i zjawisk przyrody do prawd filozoficznych, które prawem i rozwojem określają postęp świata i ludzkości.

Niechaj dziecko tą drogą nauki, odczutyh wrażeń, przejść życiowych i myśli, samodzielnie rozbudzonej, dosięgnie tej pełni religijnych wzruszeń, jaką daje dobro, miłość prawdy i piękno.

Chaotycznie stawia autor dziecko w stosunku do natury. Kocha ją namiętnie i dziecku otwiera cudowne widoki tej matki wszechrzeczy. Ale walka o byt kłóci się z ideą celowości i dziwna płatanina poglądów społecznych i przyrodniczych, pasuje się ze sobą.

Sympatycznym rysem książki jest miłość ludzi i chęć uszczęśliwienia ich dokoła.

Wogóle, książki zawierające wskazówki i rady, jak odpowiadać dzieciom na pytania, są w zasadzie chybione. Tu nie ma prawideł ani przepisów.

Najlepsza rada i wzór najlepszy nie pomoże matce i wychowawcy, którzy nie rozporządzają odpowiedniemi wykształceniem, a nade wszystko tym zasobem inteligencji i subtelności, darem odwagi prawdy i szczerości, jaki konieczny jest w obcowaniu z dziećmi. Tu wszystko jest nieuchwytnie, okolicznościowe, naturalne, a tak subtelne, jak zaklęcie magiczne. W oddziaływaniu dodatniem na dzieci, działa wpływ postępowania i czynu, zrozumienie psychologii dziecka, a nie słowa, nauki i rozmowy dydaktyczne.

Matka obdarzona tą serdeczną intuicyą, powołana kapłanka prawdy i miłości, ma własną duszę i własny swój sposób zwycięskiego pokonania wszelkich trudnych i drastycznych sytuacji, tak własnych, jak i w stosunkach z dziećmi.

Tłómaczki wywiązały się z swego zadania bardzo dobrze, ze zrozumieniem ducha książki, bez niewolniczego trzymania się tekstu, na czem zyskał język.

STEFANIA WERTENSTEINOWA.

JAN STANISŁAW MAR. *Samotni*, powieść. Warszawa, nakładem A. G. Dubowskiego, 91 Marszałkowska 91, 1905, 8-o, str. 250.

Dramat sercowy, stanowiący osnowę niniejszej powieści, da się zawrzeć w kilku wyrazach. Doktor Jerzy Karbicz, szlachetny samotnik, ma wychowanicę, Zofię Brzosko, opuszczoną sierotę, której losem zajął się szczerze, zaopiekował się nią, wykształcił starannie, a w końcu w charakterze nauczycielki umieścił w znanym domu obywatelskim. Zofia czuje ku niemu wielką wdzięczność, więcej nawet, zdaje się jej, że go kocha, i sama mu się pierwsza oświadcza. Jerzy jest nad wyraz szczęśliwy, bo i on oddawna kochał swą wychowankę nie ojcowskimi uczuciami.

Aliści wkrótce po zaręczynach Zofia przychodzi do przekonania, że wybranym jej serca jest nie Jerzy, lecz brat jego Bohdan, artysta-malarz. Pozostanie jednak wierną danemu przyrzeczeniu, nie chce bowiem unieszczęśliwić Jerzego, któremu tyle jest winna; wychodzi więc za niego, poświęcając na ołtarzu obojwazku swe własne szczęście i szczęście Bohdana. Pozostaną tedy oboje do końca życia nieszczęśliwi i samotni, jak również i Jerzy, który po niewczasie dowiaduje się, że serca żony nigdy posiadać nie będzie.

Nie można jednak powiedzieć, by postacie tych trojga osób uwypuklały się dostatecznie w powieści, chociaż cała akcja około nich się obraca. Nie celują one ani plastyką, ani subtelnością psychologiczną, są to poprostu powystrzygane z papieru figurki; na dobitkę złęgo, każe im autor wypowiadać w przydługich monodialogach, płaskich, nudnych, sztywnych rzeczy tak nieskończenie banalne, że graniczą poprostu ze śmiesznością. To też ludzie ci nie przemawiają do naszej wyobraźni, a los ich, aczkolwiek tragiczny, nie wzrusza nas ani trochę.

Lepiej nieco postawione są figury drugorzędne, chociaż także zasługują zaledwie na miano poprawnych szablonów. Do takich należy np. profesor Czarski, zdziwaczała po śmierci ukochanego jedynaka staruszek, synowa jego Jadwiga, która przy teściu musi grać rolę mniszki, ale nie w smak jej to idzie, bo nie do ascezy i klauzuli stworzona, i kilka innych postaci. Wyróżnia się też ekscentrycznością pani hrabina Dora Wilczewska, kurtyzana w wielkim stylu, kochanka Bohdanowa, która aż z Włoch przyjeżdża doń na pierwsze wezwanie listowne, a potem wychodzi za niego, aby znów prowadzić romans z innym.

Mamy tu wreszcie kilka operetkowych postaci cyganów-artystów i literatów-dekadentów, niewiadomo po co wyprowadzonych na scenę.

HENRYK GALLE.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI. *Różni ludzie*. Pamiętnik.—O zachodzie.—Dla użycia.—Esteci.—Paweł Gamoń.—Curriculum vitae.—Co wypada?—Tani obiad.—Po walcu. Warszawa. Nakładem i drukiem Alfreda Zonera, 1904, 8°, str. 188.

Pisząc niedawno na tem miejscu o „Chimerze“ pana Jaroszyńskiego, zrobiliśmy uwagę, że jedną z najgłówniejszych cech jego talentu jest umiejętność trafnego podchwytowania charakterów i postępków ludzkich. W powieściach jego i nowelach czujemy, że stojmy na twardym gruncie bezpośrednich postrzeżeń i faktów życiowych. P. Jaroszyńskiemu nie chodzi snąć o piękne „zmyslenie poetyckie,“ o idealizowanie życia; on nie znosi pustych balonów, nadymany wielkim wysiłkiem wątych płuc „ideowością“; podstawą jego twórczości jest zdrowy, jędrny realizm, daleki od wszelkiej pozy czy społeczno-dziennikarskiej, czy też symboliczno-modernistycznej lub wreszcie artystyczno-arystokratycznej.

W utworach p. Jaroszyńskiego niema nic z tego, co zwą popolicie „literaturą,“ to nie „czytane rzeczy,“ lecz niezawodnie—„widziane“ i przeżute, to życie samo, a nie jego surogat, poczęty w wyobraźni autora, bładny i niewyraźny, jak widziane przez mgłę obrazy.

Brak też tym utworom nudnego i płytkiego kaznodziejstwa—autor nie myśli za czytelnika, lecz rzuca mu przed oczy kawał życia; dumaj nad tem, jak chcesz, płacz lub raduj się, rozmyślaj rozumnie lub smętnie! A potem niema w nich także silenia się na nadzwyczajną efektowność formy, na budzenie „nowych dreszczy;“ p. Jaroszyński gardzi tymi środkami i środkami reklamiarstwa pseudo-literackiego i kuglarskimi sztuczkami udających talent i wiedzę grafomanów. Przeciwnie, forma jego jest prosta, czasem może aż do przesady, bywa nawet szorstka i przykra, bo takim jest i życie samo.

Nie idzie za tem, by p. Jaroszyński zupełnie potrafił się ukryć za swoimi hohaterami, chociaż łezki liryzmu starannie i z rozmysłu unika. Podmiotowość jego znajduje wyraz w lekkiej, subtelnej iro-

ni, która co chwila przebłyska w jego utworach; on przedrwiwa poprostu swoich ludzi, ukazując ich śmieszna, a nieraz i niską stro-nę duszy.

W nowelach, zebranych w zbiorok p. t. „Różni ludzie“ ta cecha temperamentu autorskiego w p. Jaroszyńskim ujawnia się bar-dziej może, niż w powieściach i utworach dramatycznych.

Kilka przykładów stwierdzi prawdziwość tej obserwacji.

Weźmy np. obrazek p. t. „Esteci:“ jakiś szlagon zatracony pisze do dawnego kolegi szkolnego, obecnie krytyka i literata, że ma do niego pilny i ważny interes — chodzi ni mniej, ni więcej, tylko o to, aby mu poradzić, czy nie za drogo będzie zapłacić za dwa portrety siedm rubli, portrety „całkiem ręczne,“ naprawdę „artystyczne.“ Jakże zabawny jest ten mamut filisterski, który chwali się, że jest esteta, i żona jego estetka: książki i gazety czy-ta, a jakże! i dusze mają oboje poetyczne... „Ano, powiadam, siedzi się w takiej fabryce—tak od serca mówi do kolegi—smród, zaduch, brudy, to jak człowiek wyjedzie na wieś z żoną w niedzielę, do tej zieloności, do tej natury — to ci będę gadał z każdym ptaszkiem, z każdym robaczkiem, z tą świnią, co pod płótem, z każdym stwo-rzeniem. Tak mnie bierze.“

Oto otwiera się dusza ślimacza.

Pesymizm przemawia też w noweli p. t. „O zachodzie,“ której treścią jest spóźniona miłość artysty-rzeźbiarza Henryka do pię-knej a niebezpiecznej rozwódki, Laury; autor śmieje się z podsta-rzałego kochanka, i z lwicy salonowej, która w końcu okazuje się pospolitą gąską; kto wie, może sztydzi i z miłości, jej idealnych porywów, które kończą się fałszywym akordem najpowszedniejszej prozy.

Podobna jest zasada obrazka p. t. „Co wypada?,“ gdzie ró-wnież namiętny płomień miłości gasi się od jednego razu błotni-stym strumieniem banalności i obłudy życiowej.

W „Pamiętniku“ ostrze ironii jest nieco stępione współczu-niem dla bohatera, schyłkowca o skolatanych nerwach, którego drażni każdy drobiazg, każdy najlżejszy nawet objaw bezmyślności czy lichoty moralnej, przez co współżycie z nim staje się wprost nie-możliwe; ale jednocześnie czuje się pewien odcień wzgardy dla tego człowieka, który nic nie robi ani dla siebie, ani dla społeczeństwa, a wobec przeciwności życiowych, błahych i drobnych zresztą, znaj-dzie jedyną ucieczkę w kuli rewolwerowej.

Podobny jest stosunek autora do przedmiotu i w innych no-welach jak; „Dla użycia,“ „Paweł Gamoń,“ „Curriculum vitae,“ „Ta-

ni obiad," a wszystkie one są obrazem ułomności ludzkich, śmiesznych i pogardy godnych.

Ale nigdy ironia p. Jaroszyńskiego nie dochodzi do sarkazmu; podniecać się, gniewać, błyskać i grzmieć, po co? ludzie i tak się nie poprawią, po dawnemu będą ludźmi, a nie aniołami, po co więc zadawać sobie tyle fatygi? po co zatruwać sobie życie?

I z tem uczuciem pół-smutnej, pół-drwiącej rezygnacyi zamykamy tom nowel p. Jaroszyńskiego, w których nierównie więcej goryczy, niż pustej i zadowolonej z siebie wesołości.

HENRYK GALLE.

# Kronika miesięczna.

Z powodu zaburzeń.—Biuro konsultacji adwokatów.—Jeszcze w sprawie szkolnictwa ludowego.—Projekt związku oficjalistów rolnych.—Spór o datę urodzin Reja.—Wspomnienia pozagonne: Ś. p. Wacław Mańkowski.—Ś. p. Hipolit Marczewski.—Ś. p. Pantaleon Szyndler.—Ś. p. Seweryn Lutostański.—Ś. p. Ignacy Krzyżanowski.

Wydarzenia, których świadkami byliśmy w Warszawie w ostatnich dniach stycznia, doprowadziły do ogłoszenia stanu ochrony wzmocnionej, na miasta Warszawę i Łódź, tudzież na gubernie: warszawską, piotrkowską, radomską, kaliską i siedlecką.

O charakterze tych wydarzeń, rozmiarach bezrobocia powszechnego, krwawem tłumieniu rozruchów przez wojsko i t. d.—pisać tu nie będziemy. Wszystko to bowiem, oparte na komunikatach *Dziennika Warszawskiego* znalazło już odbicie w prasie codziennej, moglibyśmy więc zaledwie powtórzyć to samo, co tam już było powiedziane.

Zato poświęcimy kilka słów stanowisku, jakie wobec rozruchów warszawskich zajęło Koło Polskie w Wiedniu i prasa polska w Galicyi i w Poznańskim.

Przedewszystkiem Koło Polskie. Uchwaliło ono jednogłośnie następującą odezwę:

„Smutne wypadki, wywołane znową robotników w sąsiedniej dzielnicy, musiały wyrzucić głębokie wrażenie na mieszkańcach kraju naszego i były już przedmiotem rozpraw w Radzie Państwa. Koło Polskie wyraża przekonanie, że wszelkie manifestacje i wszelkie inne kroki, w kraju naszym przedsięwzięte, które mogłyby się przyczynić do wzmożenia niepokoju w sąsiedniej dzielnicy, albo do nadania charakteru narodowego ruchowi, wywołanemu przez stronnictwo socjalistyczne, byłyby rzeczą najszkodli-



wszą, a najbardziej przeciwną woli, ogromnej większości narodu polskiego, która postanowiła zachować spokój i oprzeć się wszelkim prowokacyom, skądkolwiekby one pochodziły, choćby usiłowały doprowadzić społeczeństwo do rozpaczy i tym sposobem wywołać wielkie rozruchy.“

„Ktoby się dał do nierozważnych kroków porwać, albo ktoby się dał do nich przez nieszczęsną lub wrogą a podstępłą namowę nakłonić, może się stać nierównie większym winowajcą, sprowadzając powszechną, a w skutkach swoich nieobliczalną klęskę narodową.“

„Koło Polskie poleca swemu prezydium i swojej komisji parlamentarnej, aby przekonań, w uchwale tej wyrażonych, w razie potrzeby, w Izbie poselskiej i w delegacjach z naciskiem broniły.“

Odezwa ta, nacechowana zrozumieniem istotnych interesów narodowych i oparta na zdrowej, świadomej swych celów polityce, przyjęta została w Warszawie i w całym Królestwie Polskiem z zupełnem uznaniem, streszcza ona bowiem rzeczywiście poglądy i zapatrywania nietylko ogromnej większości inteligencji, ale i wkraczającego na drogę uświadczenia politycznego ludu. Również korzystne wrażenie wywarło zachowanie się i stanowisko prasy galicyjskiej i poznańskiej, odnośnie do wypadków w Królestwie.

„Zrozumieliśmy—pisze korespondent *Gazety Polskiej* ze Lwowa, p. *Aes*, — że opinia polska w Królestwie ma prawo zasięgnąć w krytycznym momencie zdania u tejże opinii w Galicyi, która ma wprawdzie tylko rolę widza i obserwatora, ale sądzić może spokojniej i beznamiętniej, a przy możności wyrobienia sobie poglądów — sądzić będzie także wytrawniej. Dla tego zrozumiano, że jeśli opinia polska w Galicyi pogląd swój wypowie, Królestwo nie weźmie chyba tego za „mieszanie się w nie swoje rzeczy,“ bo tu chodzi o sprawy kardynalne i zasadniczej wagi, obchodzące cały ogół polski. Trzeba się więc było zdobyć na wypowiedzenie jasne, a zarazem jednomyślne.“

Pierwszym objawem tej jednomyślności opinii polskiej była zamieszczona we wszystkich pismach Galicyi, ks. Poznańskiego i Ślązka *deklaracya*, potępiająca dążenie do wywołania rozruchów w Królestwie. Deklaracyi tej nie zamieścił tylko socjalistyczny *Naprzód* w Krakowie i idący zawsze w ogonie socjalistów w sprawach ogólnych *Kurjer Lwowski*. *Nowa Reforma*, godząc się zasadniczo na treść deklaracyi, nie zamieściła jej, gdyż nikt jej nie udowodnił, jak pisze ten organ, aby szerzyła poglądy przeciwne. *Zasadniczo* jednak i to pismo na treść deklaracyi się godzi.

Ale samo wypowiedzenie się prasy nie mogło być wystarczające. Trzeba było, aby się wypowiedziała jeszcze bezpośrednio opinia publiczna całego społeczeństwa. Ozwał się przeto głos zebrania poufnego inteligencji różnych stronnictw w Krakowie, odezwała się także inteligencja lwowska. Wszystkie głosy - i tam i tu—wypowiadały się zgodnie w duchu deklaracji prasy.

„Tak więc—kończy p. *Aes*,—w sprawie ostatnich wypadków w Królestwie wypowiedziały się jednomyślnie: wszystkie organy prasy polskiej, z wyjątkiem socjalistycznych, polska reprezentacja parlamentarna w Wiedniu i zgromadzenia inteligencji polskiej różnych obozów politycznych we Lwowie i w Krakowie. Rozległ się donośny, jednobrzmiący okrzyk polskiego serca i sumienia. Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słuca.“

Jednocześnie i opinia publiczna w Królestwie uspokoiła się nieco. Życie, zdeorganizowane na przeciąg kilku tygodni, powoli zaczyna wracać do dawnych kolej. Wprawdzie różne jeszcze niespodzianki oczekiwać nas mogą, to jednak już dziś jest widocznem, że ruch, który się rozpoczął bez wyraźnego hasła, a ztąd dawał o sobie mniemanie, że jest ruchem ekonomiczno-politycznym, wszedł obecnie w łożysko czysto ekonomiczne i - zdaje się - że z tego łożyska już nie wyjdzie.

Dobrze jednak, że przy tej sposobności wypowiedziano się w sprawach największej wagi.

\*

\*

\*

Przy Sądzie Okręgowym Warszawskim powstała nowa instytucja, która obok zorganizowanej niedawno przez grono adwokatów przysięgłych *obrony nieletnich*, stanowi poważną zdobycz w naszym życiu prawnospołecznem. Instytucją tą jest *biuro konsultacji adwokatów*, czyli biuro porad prawnych.

Celem biura jest udzielanie *bezpłatnie* osobom niezamożnym wszelkiego rodzaju porad oraz opinij prawnych i to nietylko w sprawach ściśle sądowych, ale i w kwestyach z dziedziny przepisów administracyjnych, gminnych, włościańskich i t. d., która to sfera życia prawnego dotąd pozostaje bez żadnej prawie opieki.

Wiadomą jest rzeczą, że chcąc w całym zakresie z praw istniejących korzystać, trzeba przedewszystkiem te prawa znać.

W rzeczywistości jednak ludzi znających prawo jest stosunkowo liczba niewielka. Wykształcenie prawno-polityczne wśród ogółu inteligencji, nie pracującej na polu prawnictwa *zawodowo*, jest u nas zaledwie w załączku. Ludzie zkażdym bardzo wykształceni nie znają najprostszych nawet zasad prawa cywilnego, karnego, państwowego i administracyjnego, a cóż dopiero mówić o znajomości ustaw. Prawodawstwo rosyjskie dość zresztą jest zawikłane, aby swoją niezliczoną ilością dopełnień, rozporządzeń, wyjaśnień, orzeczeń mogło ludzi niefachowych zachęcać do zagłębiania się w te labirynty bez z góry powziętego przekonania o zabłądzeniu. Każdy lęka się dotykać rzeczy, które pochłoną mu mnóstwo czasu, a mogą niedoprowadzić wcale do rozwikłania nastęrczających się pytań. Kwitujemy więc ze znajomości prawa i udajemy się do adwokatów w każdej, najbłaższej nawet kwestyi prawnej.

Ludzie zamożni i ludzie mieszkający w wielkiem mieście mogą to uczynić łatwo, ludzie jednak ubodzy i mieszkający zdala od miast, w których skupiła się palestra, są albo zupełnie pozbawieni pomocy prawnej, albo wydani na łup doradców pokątnych, którzy mimo tyloletniej, prowadzonej przeciwko nim kampanii, potrafili się jeszcze utrzymać. A tymczasem porada prawna dla mieszkańca wsi lub małego miasteczka jest równie potrzebna, jak i dla każdego innego obywatela, który pragnie w tym lub innym zakresie praw swoich dochodzić lub bronić.

W ostatnich czasach np. niejednokrotnie czytaliśmy w dziennikach o sprawach natury administracyjnej, których część znaczna wynikała z niezajomości raczej dróg prawnych do przeprowadzenia słusznych żądań, aniżeli z wyraźnej, świadomie działającej woli przestępnej. Tak było np. w kilku sprawach o t. zw. *opór władzy*, gdzie właścianie, mając za sobą słusność prawną, uciekli się do gwałtu, opuszczając drogę legalną, która niewątpliwie byłaby ich do właściwego celu doprowadziła, nie narażając nikogo na proces karny, a nawet, jak to bywało, i na więzienie kilkumiesięczne.

Otóż z chwilą otwarcia biura konsultacyi prawnej, do którego zgłosić się może o poradę każdy człowiek niezamożny bądź osobiście, bądź nawet piśmiennie (§ 10 przepisów konsultacyi), tego rodzaju sprawy powinny się stać o wiele rzadsze.

Nadto dla niezamożnej ludności Warszawy i jej okolic, biuro będzie ucieczką w każdej ważniejszej sprawie, czy to natury majątkowej, czy jakiegokolwiek innej i tę właśnie niezamożną ludność odbierze ono, jako klientelę, wszelkiego rodzaju doradcom i „adwokatom,” którzy żyją często z krwi i potu najbiedniejszych, a cie-

szą się powodzeniem wśród szarego tłumu tylko dla tego, że wydają mu się *tańsi* od adwokatów przysięgłych. Wobec tego *bezpłatność* biura jest jego ogromną zaletą, bo nie dość jest mieć siłę moralną do dochodzenia swoich krzywd, ale trzeba mieć także i siłę materyalną na przeprowadzenie tych dochodzeń, a biedni tej siły właśnie nie mają.

Biuro tymczasem albo załatwi ich bezpłatnie, albo wskaże im, do którego adwokata z daną sprawą należy się zwrócić tak, aby dostała się ona w ręce kompetentne i kosztowała jaknajmniej.

Dla idei sprawiedliwości, która jest podstawą wszelkich działań prawnych i dla której urzeczywistniania istnieją sądy, rzecz ta posiada również znaczenie pierwszorzędne, w obecnych bowiem warunkach często zdarza się, że ktoś jedynie z obawy przed kosztami, kłopotem i ewentualnymi konsekwencyami natury osobistej, najślusniejszej nawet sprawy nie kieruje do sądu i nie szuka sprawiedliwości tam, gdzie mu się ona słusnie należy i gdzie stanowi ona nietylko jednostkowy, ale powszechny interes.

I oto dla czego w biurze widzimy instytucję o charakterze kulturalno-społecznym.

Witamy ją też z całkowitem uznaniem, na jakie zasługuje, życząc jednocześnie pomyślnego rozwoju ku pożytkowi szerokich warstw, które prawa nie znają i nie wiedzą nawet, że jego „nieznajomością tłumaczyć się nie można“ i że niezajomość ta „wyrządza szkodę.“

\*

\*

\*

Powołując się na podaną przez nas w zeszycie listopadowym *Bibl. Warszawskiej* notatkę o szkolnictwie ludowem, wywołaną korespondencją z Warszawy do dziennika petersburskiego *Nowoje Wremja* i odpowiedzią *Gazety Polskiej* na tę korespondencję, p. G. G. zamieścił w tej ostatniej szereg uwag, które ze względu na doniosłość kwestyi uważamy za swój obowiązek streścić tutaj, aby czytelnikom dostarczyć jak najwięcej materyału w tym przedmiocie do rozważań, nastęrczających się każdemu umysłowi w chwili obecnej z większą niż kiedykolwiek siłą.

W polemice *Gazety Polskiej* z korespondentem *Now. Wrem.* — p. G. G. — więcej widzi dowodów, opartych na logicznych zasadach, aniżeli z życia wziętych.

We wzmiankowanej korespondencji zaznaczono między innymi, że w r. 1899 na 993 tysiące dzieci w gminach wiejskich dziesięciu gubernii Kr. Polsk. uczęszczało do szkół gminnych i gromadzkich tylko 177,000 czyli 17%. W obecnym zaś czasie, choć liczba tych szkół się zwiększyła, to jednak zupełnie nie stosunkowo do wzrostu ludności, a odsetek dzieci, korzystających ze szkół, stał się jeszcze mniejszy.

Korespondent zaznacza, że włościanie na ogół sprzyjają szkołom, ale nietylko zniechęcają ich koszta utrzymania szkoły, ale skarżą się, że dzieci nie uczą się tego, co koniecznie potrzebne w życiu włościańskim, że ksiądz nie uczy religii, a język rodzinny tak zaniedbany, że dzieci nie mogą czytać swobodnie na książce do nabożeństwa.

Wydelegowana w celu zbadania złego komisya, upatruje przyczynę w opinii, wydanej przez komisarzy włościańskich, że „jeszcze nie wszystkie szkoły wioskowe zamieniono na gminne, a temu sprzeciwiają się obywatele ziemscy i koloniści Niemcy, ponieważ w razie przejścia szkoły w ręce gminy, wypada im płacić na szkołę, zupełnie im niepotrzebną.“

*Gaz. Polska* twierdzi i logicznie udowadnia, że obywatele ziemscy nie są i nie mogą być przeciwnikami oświaty, chociażby we własnym swoim interesie.

Ale — zdaniem p. G. G. — kwestya szła nie o to, tylko o *opozycyę* ziemian w przeistoczeniu szkół wioskowych na gminne, a opozycya ta, jest *konieczna*, „każdy bowiem kto zna dokładnie stosunki wiejskie, musi w tem niefortunnym przeistoczeniu szkół wioskowych na gminne znaleźć tamę w rozwoju szkolnictwa początkowego.“

Tak też to zrozumieli włościanie powiatu miechowskiego. Gdy w r. 1903 do tworzących się komitetów rolniczych gubernialnych włościanie nie zostali powołani i w komitetach tych radzono o nich bez nich, choć ministerjum głównie kładło nacisk na ich potrzeby, w roku następnym, 1904 podali oni sami od siebie prośbę na ręce prezesa ministrów Wittego o uwzględnienie najpilniejszych dla nich potrzeb, a między innymi o zreformowanie szkolnictwa początkowego.

Prośba ta brzmi, jak następuje:

„Každy z nas, umiejących czytać i pisać, wie dobrze, jakie ma znaczenie oświata dla naszego dobrobytu, postępu naszych gospodarstw i rozwoju moralnego. O opiekę nad tą oświatą bardzo pana ministra prosimy.

„Mimo usiłowań władz rządowych a naszych pragnień, oświata ludu idzie zółwim krokiem. Dla tego też udajemy się z pokorną prośbą o pewne zmiany niezbędne w naszych warunkach.

„Do r. 1886 mieliśmy w naszym powiecie tylko szkoły gromadzkie utrzymywane kosztem jednej lub kilku wsi okolicznych. Stosownie do potrzeb i rozumu rodziców, we wsi powstawała szkoła, której utrzymanie nie obciążało zbyt ciężko mieszkańców wsi.

„W tym to czasie, na żądanie naczelnika powiatu i komisarza włościańskiego, wszystkie szkoły wiejskie zamieniliśmy na szkoły gminne, ufając obietnicom, że jak dwory będą opłacały składkę, będzie nam lżej, a szkół więcej przybędzie.

„Po kilkunastu latach cóż się okazało? że zmiana nazwy szkoły zagroziła nam drogę do oświaty. Nauczycielom podniesiono pensję od trzech do czterech razy. Ciężar nam się nie zmniejszył, ale znacznie zwiększył.

„Nie na tem jednak polega złe. Dziś, gdy potrzeba we wsi nową założyć szkołę, musimy z projektem tym udawać się na zebranie gminne, które zazwyczaj projekt taki odrzuca, a to dla tego, że te wsi, które mają szkołę gminną, opłacaną przez ogół mieszkańców gminy, nie mają żadnego interesu nakładać na siebie ciężar utrzymania nowej szkoły. Próbowaliśmy zakładać szkoły gromadzkie, z warunkiem, aby nas zwolniono od opłat na szkoły gminne, to jednak, jako sprzeczne z ustawą gminną, przyjęte nie zostało. Wobec tego niepodobna, aby wieś sama swoim kosztem utrzymywała u siebie szkołę, a prócz tego płaciła na 4 lub 5 szkół gminnych, z których nie korzysta wcale.

„Drugim, nader ważnym powodem, tamującym rozwój umysłowy dziecka, jest zniesienie ukazu 1864 r., mocą którego nauczyciel wykłady początkowe nauk prowadził w języku rodzowitym.“

„Aż nadto dobrze znamy doniosłość znajomości języka państwowego, abyśmy nie pragnęli, by dzieci nasze znały język rosyjski.

„Zważywszy jednak, że wykłady w szkołach gromadzkich lub gminnych, trwają zaledwie 5 miesięcy, to dziecko w pierwszym roku, idąc do szkoły, traci cały rok na to, aby zaledwie zrozumieć mogło nauczyciela. Po przerwie nauki siedniomiesięcznej, zapomina wszystko i w drugim roku znów od początku zaczyna się nauka. To nawet zniechęca rodziców, gdy dziecko po kilku latach uczęszczania do szkoły nie potrafi w *żadnym* języku przeczytać lub napisać listu do brata, służącego w wojsku.

„Wobec tych danych najpokorniej prosimy pana ministra, aby w każdej gminie była tylko jedna szkoła w zakresie wyższym t. j. aby do niej przyjmowano dzieci, które skończyły i złożyły egzamin ze szkoły wioskowej. Aby kurs nauk w szkole wioskowej był dwuletni, z 6-iu miesiącami wykładów, a w szkole gminnej 3 letni — z ośmiu miesiącami.

„Na utrzymanie szkoły wioskowej czyli gromadzkiej pociągnąć wszystkich mieszkańców wsi, nie wyłączając dworów. Właściciele realności opłacaliby składkę w stosunku podatku gruntowego, a bezrolni — w stosunku ich dochodów; pensye zaś nauczycieli szkół wiejskich, aby mogły być tak, jak dawniej — w pieniądzach, zsypane zboża i ziemi, stosownie do zamożności gromady.

„Tak do szkół wioskowych, jak gminnych, najpokorniej prosimy o wprowadzenie wykładów w języku rodowitym, z obowiązkiem nauczania się języka państwowego.“

Dokument ten jest niewątpliwie znamieny i rzuca na sprawę światło lepsze, niż wszelkie dySSERTACE gabinetowe.

Dalej p. G. G., przytoczywszy kilka z życia wziętych przykładów, zwraca uwagę na inne wadliwości obecnego systemu zakładania i utrzymywania szkół.

— Dziś — mówi on — gdy szkołę gmina ma budować, projekt i kosztorys wychodzi z dyrekcji naukowej, która wydaje szablonowe plany, bez uwzględnienia zamożności mieszkańców. Koszty te wynoszą od 5000 — 6000 rb. i więcej. W ten sposób gmina, projektująca założenie 4 szkół, musiałaby wydać najmniej 20,000 rb. na budowę, a następnie płacić po 1600 rb. *rocznie* na nauczycieli i jeszcze na remont tych szkół łożyć. Czyż podobne dobrowolne opodatkowanie byłoby możliwe nawet w społeczeństwie kulturalnem?

To wszystko nie może wpływać na podniesienie oświaty.

I gdyby komisya wybrana do zbadania przyczyn analfabetyzmu u nas, zamiast dróg pośrednich, udała się wprost do włościan, prędzej znalazłaby przyczynę złego, jak również środki zaradcze.

Ze lud nasz pragnie oświaty, najlepszym dowodem są liczne procesy i kary za pokątne nauczanie czytania i pisania. Przy zbieraniu cyfr statystycznych, co do analfabetów w pow. miechowskiem z okazji wystawy w Miechowie, p. G. G. osobiście przekonał się, że  $\frac{2}{3}$  włościan, umiejących czytać i pisać *uczyło się w domu*, nie zaś w szkole.

Według niego też przyczyny stagnacyi w szkolnictwie wiejskiem należy szukać głównie w różnych cyrkularzach, które systematycznie pacyły ducha ukazu z 1864 r.

Monarcha ukazem tym powołuje „do nowego, obywatelskiego życia stan włościański Kr. Polskiego“ i przypuszcza go do „udziału w ważnym dziele urządzenia szkół początkowych.“

Wyrażną więc myślą przewodnią woli Prawodawcy było, aby włościanie sami organizowali te szkoły i stosownie do swej zamożności ofiary na oświatę składali.

Dalej w art. 38 postanawia Prawodawca, aby: „nauczyciele i nauczycielki szkół początkowych gminnych i wioskowych wybierani byli z pomiędzy osób znanych z nieposzlakowanego prowadzenia się, bądź przez samo zebranie gminy lub wioski, bądź też za wiedzą i zgodą tegoż zebrania przez wójta gminy z ławnikami i sołtysami.“

A więc według *ukazu* — do gromad i do zebrań gminnych należy wybór nauczycieli. Dzisiaj tymczasem są oni *mianowani*.

Dla czego to prawo wyboru — zapytuje p. G. G. odebrano mieszkańcom?

A przecież według § 42 do nich należy nietylko wybór, ale nawet usunięcie nauczycieli, jeśli ci zawiedli położone w nich zaufanie. Może więc władzy chodziło, aby na kresach mieć ludzi zaufania? Ale i to Prawodawca przewidział.

W art. 46 powiedziano: „Z powodu nadzwyczajnych okoliczności krajowych na naczelników dyrekcji naukowych wkłada się obowiązek przy pierwszym przez nich zwiedzaniu szkół początkowych przekonać się, jak dalece dotychczasowi nauczyciele i nauczycielki odpowiadają położonemu w nich zaufaniu i zapowiedzieć właściwym zebraniom, że w razie, jeśliby osoby te okazały się winnymi rozsiewania szkodliwych wieści, albo poddawiania, lub jakichbądź innych, przeciwnych ogólnemu porządkowi zamiarów, *Zebranie* to ulegnie karze pieniężnej, wyrównywającej rocznej płacy, obecnie przez winnego pobieranej“ i t. d. Według tego art. nawet „w czasie niespokojnym“ — prawo wyboru pozostawało w swej sile.

Wreszcie w art. 3 powiedziano: „Zawiadywaniu zebrania wioskowego podlegają szkółki dla jednej tylko wioski założone i środkami teje wioski utrzymywane.“ Ukazem tym gromada nie jest skrępowana wysokością pensyi nauczyciela; jeżeli podejmie się on nauczać dzieci czytać i pisać za niską opłatą, to nikt mu tamy stawiać nie powinien.

Oto w skróceniu podane uwagi p. G. G. Rozpatrując się w nich, musimy dojść do wniosku, że rozwiązanie kwestyi szkolnictwa ludowego jest przedewszystkiem kwestyą przywrócenia mocy prawa, a ponieważ w tym właśnie duchu wypowiedział się



Najwyższy Manifest z dn. 25 grudnia r. z., więc możemy mieć nadzieję uregulowania w blizkiej przyszłości oplakanych zaiste stosunków, panujących u nas w tej dziedzinie.

\*

\*

\*

W ważnej sprawie zabezpieczenia bytu na starość wysłużonym ofycyalistom rolnym podniósł się świeżo głos, który zasługuje na uwagę, jako inicjatywa jednostki. Oto p. Władysław Wroński ze Skrzyszowa w pow. słomnickim gub kieleckiej nadesłał pismom warszawskim następującą odezwę:

„Na wszystkich polach działalności powstały związki i stowarzyszenia pracowników. Adeptci przemysłu, handlu, lekarze, prawnicy, farmaceuci, a nawet kelnerzy, kucharze, stolarze i krawcy potworzyli stowarzyszenia—tylko o *związku ofycyalistów* głucho. A sprawa bardzo żywotna i nadzwyczaj paląca.

Widzimy, jaka jest przyszłość, jaka jest starość ofycyalisty rolnego. Tych, którzy wysłużyli emeryturę, możnaby nieledwie na palcach policzyć. A reszta, te tysiące starców, te wdowy i sieroty po ofycyalistach rolnych, na jakież los są skazane?

Aż nadto jaskrawo występuje tu nasza niezaradność. A przecież mogłoby być inaczej, jeśli nie zupełnie dobrze, to w każdym razie daleko lepiej, niż jest.

Czas już wielki przebudzić się z drzemki. Jest nas dużo, ale rozproszonych. Otóż powinniśmy utworzyć związek, obejmujący cały kraj, z centralnym zarządem i biurami oddziałowymi. Celem takiego związku byłoby: zabezpieczenie starości pracownikom rolnym, ewentualnie utworzenie kasy emerytalnej lub pożyczkowo-oszczędnościowej, wzajemna pomoc w nieszczęśliwych okolicznościach, podniesienie poziomu etycznego, oraz pośrednictwo w wyszukiwaniu pracy t. j. łatwiejsze wyszukiwanie jej, a zatem polepszenie bytu materialnego. Biura stowarzyszenia powinny nam zupełnie i z lepszym skutkiem zastąpić dzisiejsze kantory rekomendacyjne. Obowiązkowe przyjmowanie posad tylko za pośrednictwem biura dawałoby związkowi dość poważny dochód, bo tak pracownicy, jako też pracodawcy chętnie ofiarowaliby 1%—2% od umówionego wynagrodzenia i obie strony byłyby zadowolone, bo ustałoby dość kosztowne poszukiwanie „po omacku,” które się

praktykuje dzisiaj. Obecnie, gdy zawakuje posada, zgłasza się na nią kilkunastu kandydatów osobiście, a kilkudziesięciu listownie, tymczasem jeden tylko z kandydatów posadę otrzymał, reszta daremnie traciła czas i koszty podróży, a tego właśnie można uniknąć — trzeba tylko dobrej woli.

Do *Związku* mogliby przystąpić wszyscy oficjaliści rolni, leśnicy i gorzelani.

Następnie p. Wroński prosi interesowanych, aby zgłaszali się do niego piśmiennie, a po otrzymaniu pewnej, większej ilości zgłoszeń obiecuje zająć się praktycznem wykonaniem projektu.

Podajemy wiadomość o tem w nadziei, że czytelnicy nasi ze sfer ziemiańskich zechcą nie tylko poinformować o projekcie swoich oficjalistów, ale i zachęcać ich do rychłego porozumienia się z inicjatorem samopomocy pracowników rolnych, sprawa ta bowiem na poparcie zasługuje.

\*

\*

\*

Z powodu przypadającej w r. b. 400-tnej rocznicy urodzin znakomitego poety Mikołaja Reya z Nagłowic, pomiędzy historykami literatury wywiązał się spór o ścisłe określenie daty urodzin poety, dotychczas nie ustalonej.

Spór ten rozwiązał bardzo szczęśliwie i trafnie, a zdaje się że i ostatecznie p. Gabryel Tołwiński, matematyk i astronom.

„Uczeni historycy — mówi p. Tołwiński — przy oznaczaniu ważnych dat, chętnie uciekają się do drobiazgowego roztrząsania faktów, mających jakkolwiek związek z wydarzeniem, którego datę należy określić, natomiast rzadko stosują metodę czysto astronomiczną, przy której pomocy w wielu razach można rozstrzygnąć kwestyę łatwiej, a przytem bardzo dokładnie.

W danym razie datę urodzin Reja można łatwo oznaczyć, wiedząc, że przyszedł na świat w mięsopustny wtorek 1505 roku.

Niedziela mięsopustna (*sexagesima*) przypada na 56 dni przed Wielkanocą. W roku 1505 Wielkanoc była w dniu 23 marca; odliczywszy 56 dni wstecz, otrzymany dzień 26 stycznia (niedziela mięsopustna), zatem mięsopustny wtorek obchodzono dn. 28 stycznia.

Tą samą datę podaje p. Ignacy Chrzanowski, robiąc słuszną uwagę, że ci, którzy datę urodzin Reja kładą na dzień 4 lutego,

nie rozróżniają niedzieli zapustnej od mięsopustnej; ta druga przypada o tydzień wcześniej.

Zdawałoby się, że kwestya jest rozwiązana i datę urodzin wielkiego pisarza należy obchodzić w dn. 28 stycznia. Tak bynajmniej nie jest. W roku 1505 obowiązywał *stary* styl, gdy nowy był zaprowadzony przez papieża Grzegorza XIII w roku 1582.

Posiłkując się nowym stylem, jako znacznie dokładniejszym, powinniśmy również uwzględnić i tę okoliczność, że rocznica urodzin Reja przypada w dniu 28 stycznia według *starego* stylu. Od soboru Nicejskiego t. j. od r. 325 chwila wiosennego porównania dnia z nocą wciąż cofała się i na początku XVI stulecia przypadała w dniu 11 marca, cofnęła się więc o 10 dni. Błąd ten w rachubie czasu zauważono już za czasów Reja, gdyż w 1515 r. papież Leon X wezwał pomocy kilku Akademij, a w ich liczbie znajdowała się i Szkoła w Krakowie, która poleciła opracowanie odpowiedniego projektu Marcinowi z Olkusza, późniejszemu rektorowi.

Na początku XVI stulecia różnica pomiędzy kalendarzami wynosiła zatem 10 dni, czyli dacie 28 stycznia st. st. odpowiada data 7 lutego n. st. Odpowiednie wyliczenia wykazały nadto, że licząc według nowego stylu, dzień 7 lutego 1505 r. przypadłby we wtorek, gdyby zaprowadzenie ulepszonego kalendarza było przyspieszone o lat kilkadziesiąt.

A zatem — nie powinno ulegać wątpliwości, że ścisłą datą urodzin Reja jest dzień 7 lutego i ten należałoby ustalić we wszystkich podręcznikach.

\*

\*

\*

Dnia 4 stycznia r. b. zmarł na Podolu ś. p. Wacław Mańkowski, ziemianin i filantrop.

Urodzony dn. 28 września 1820 r., ś. p. Mańkowski wcześniej, bo jako 17 letni zaledwie młodzieniec, rozpoczął pracę na roli, obejmując po śmierci rodziców administrację rozległych ich interesów i opiekę nad licznem, młodszem rodzeństwem. Dojrzewał więc na zagonie ojczystym, a kształciła go najlepsza szkoła — życie.

W latach późniejszych, kiedy fortuna rodzinna nie wymagała już ustawicznej a troskliwej pieczy, a obowiązki opiekuńcze usta-

ły, chętnie poświęcał Mańkowski swój czas sprawom szerszym, obywatelskim.

Powołany dwukrotnie na stanowisko marszałka szlachty powiatu Jampolskiego, z godnością piastował ten wysoki urząd honorowy, będący dowodem zaufania i szacunku ziemian okolicznych.

W następstwie przez czas pewien był także honorowym kuratorem gimnazjum Kamienieckiego.

Nie obce mu było także i pióro.

Żyjąc w przyjaźni z Janem Koźmianem (późniejszym księdzem), który w Berlinie gromadził dokoła siebie młodzież i—odrywając ją od kart i hulank — pracował nad moralnem jej podniesieniem, ś. p. Mańkowski przejął się również temi zasadami i zachęcony przez Koźmiana zaczął pisać w ich kierunku. Drukiem ogłosił dwie powieści. Jedna z nich nosi tytuł „Karolina,“ druga „W kraju i za granicą.“ Obydwie w swoim czasie miały powodzenie.

Nie literatura była jednak właściwem jego polem działania. Wyręczył go w tym względzie synowiec, chlubnie dziś znany powieściopisarz.

Ś. p. Wacław stworzony był do pracy na roli i jej całe swoje życie poświęcił, wzorowo administrując majątkami, które pod ręką jego rosły i mnożyły się.

Zdobywszy na tej drodze wiele, ś. p. Mańkowski wiele też łożył na cele publiczne. Sam nie mając dzieci, opiekował się cudzemi. W kronikach niejednego zakładu wychowawczego i przytułku imię jego zapisane zostało z wdzięcznością, a i Warszawa otrzymała od małż. Mańkowskich dar hojny, w postaci przytułku dla chłopców na Pradze.

Umarł, doszedłszy lat sędziwych, zachowując do ostatka żywą inteligencję, która mu była wierną towarzyszką życia i której nawet późna starość nie zdołała przyćmić.

\*

\*

\*

Sztuce polskiej ubyło w ubiegłym miesiącu dwóch przedstawicieli: ś. p. Hipolit Marczewski i ś. p. Pantaleon Szyncler.

Ś. p. Marczewski, znany i ceniony rzeźbiarz, urodził się we wsi Dobra w Kaliskiem dn. 13 sierpnia 1854 r. Kształcił się

w Warszawskiej szkole rysunkowej, skąd przeszedł do pracowni rzeźbiarskiej Cynglera, gdzie praktycznie studyował przez lat kilka. W r. 1878, jako stypendysta Towarzystwa Zachęty wyjechał Marczewski do Rzymu i tam wstąpił do Akademii Królewskiej Ś-go Łukasza.

Atmosfera artystyczna wiecznego miasta oddziałała na talent młodego rzeźbiarza korzystnie. Zaczął tworzyć. Z tych czasów pochodzi jego figura ks. Kordeckiego, uwieńczona nagrodą na konkursie Zachęty.

W r. 1884 Marczewski powrócił do Warszawy i osiadł w niej, rozpoczynając twardą walkę z losem. Walka ta nie pozwoliła już rozwinąć się całkowicie jego szczeremu talentowi. Dzieła jego, jak popiersie Bohdana Zaleskiego, A. E. Odyńca, Homer, „Zalecanki,“ pomnik dla Moniuszki w foyer Teatru Wielkiego, grupy dekoracyjne dla odnowionej Bibl. uniwersyteckiej, dla Tow. wioślarskiego, na dom hr. Łubińskiego, „Zośka,“ biust Chopina i t. d. mają niewątpliwie swoją wartość, ale nie zjednały artyście tego rozgłosu, do jakiego z pewnością byłby doszedł przy pomyślniejszych warunkach pracy.

O wiele większym rozgłosem i uznaniem cieszył się ś. p. Pantaleon Szyndler.

Urodzony w r. 1846 od najwcześniejszej młodości Szyndler poświęcił się malarstwu. Był to prawdziwy talent „z bożej łaski,“ który odbył wielce charakterystyczną, a dziś już niezmiernie rzadką ewolucję. Oto Szyndler zaczął od malarstwa pokojowego, a skończył na trwałych dziełach, które imię jego dobrze zapisały w rocznikach naszej sztuki.

Porzuciwszy malowanie szyldów i sufitów, w r. 1866 wstąpił Szyndler do Warszawskiej szkoły rysunkowej, a w kilka lat potem wyjechał do Monachium.

W r. 1872 widziny go już w Rzymie, gdzie maluje z powodzeniem prześliczne typy miejscowe i wystawia większą kompozycję religijną: „Śmierć Św. Afry.“

Z Rzymu przeniósł się artysta do Paryża. Tam oddaje się przeważnie malarstwu portretowemu i dochodzi do nadzwyczajnych rezultatów w malowaniu ciała kobiecego. Z Paryża jedzie jeszcze dla studyów do Florencji, wreszcie w r. 1884 powraca do Warszawy, gdzie jako portrecista zyskuje sobie duże uznanie.

Obok całego szeregu portretów w tej dobie jego twórczości powstają znane obrazy: „Beata Puella,“ „Superba,“ „Dramat w seraju,“ „Kardynał,“ „Nubijczyk,“ „Opactwo Westminster,“ „Brzegi Atlantyku,“ „Ewa,“ nagrodzona w r. 1889 listem pochwalnym na

Wystawie Paryskiej i wiele rzeczy drobniejszych, zwłaszcza typów kobiecych.

W r. 1892 opuścił Szyndler Warszawę i przeniósł się do Częstochowy, zamierzając poświęcić się malarstwu religijnemu.

Talent jego znajdował się już wszakże na wyczerpaniu i ten ostatni okres życia artysty nie przyniósł już sztuce nic nowego.

\*

\*

\*

Dn. 2 lutego r. b. zmarł ś. p. Seweryn Lutostański, do niedawna członek Izby Sądowej Warszawskiej, a niegdyś asesora sądu poprawczego oraz sędziego apelacyjnego i członek departamentów Senatu. Zmarły należał do najwybitniejszych u nas znawców prawa karnego i handlowego.

\*

\*

\*

Dn. 10 lutego r. b. zmarł w Warszawie najstarszy z współczesnych nam muzyków polskich, znany niegdyś kompozytor ś. p. Ignacy Krzyżanowski.

Urodzony w r. 1826 w Opatowie, ś. p. Krzyżanowski kształcił się w Krakowie gdzie około r. 1842 ukończył wydział filozoficzny na uniwersytecie Jagiellońskim. W r. 1843 wyjechał do Paryża, gdzie wstąpił do Konserwatorium muzycznego, biorąc jednocześnie lekcje od Chopina.

W r. 1850 powrócił do kraju i osiadł w Warszawie, poświęcając się działalności pedagogicznej. Jako kompozytor wydał kilka nokturnów, fantazyj, mazurów, dwadzieścia kilka pieśni i t. d. W swoim czasie wszystkie te utwory cieszyły się zasłużonym powodzeniem, dzisiejszemu pokoleniu jednak nawet nazwisko Krzyżanowskiego było obce.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI i TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Dnia 9 grudnia 1904 r. w Akademii Umiejętności w Krakowie odbyło się posiedzenie Komisji do badania historii sztuki w Polsce, pod przewodnictwem Prof. D-ra *M. Sokołowskiego*.

Przewodniczący zdał naprzód sprawę ze swej wycieczki naukowej do Lublina, w jesieni t. r. odbytej.

W r. 1899 p. Józef Smoliński odkrył w kaplicy zamkowej (dzisiaj więziennej) w Lublinie, ślady malowań ściennych. Odkrycie to uzupełnił, a raczej przeprowadził, na najznacniejszej części kaplicy, p. Pokryszkin, architekt rosyjski, wysłany w tym celu przez cesarską Komisję archeol. w Petersburgu do Lublina.

Referent uzyskawszy zezwolenie Komisji, zbadał dokładnie kaplicę oraz pokrywające ściany jej malowania. Już sama architektura budowli tej budzi niemały interes. Jest to bowiem gotycka kaplica podwójna, t. j. górna i dolna, o zupełnie tych samych wymiarach. Sklepienie wspiera się na jednym środkowym filarze, jak w krakowskim kościele Św. Krzyża. Kaplicę zbudowano pod wezwaniem Św. Trójcy — podobnie jak szereg kościołów i innych kaplic z czasów Władysława Jagielly i Kazimierza Jagiellończyka. Jest to więc wezwanie jagiellońskie. Jeden z fresków, pokrywających jej ściany, na którym wyobrażono fundatora, skupia też przedewszystkiem uwagę badacza. N. P. Marya z Dzieciątkiem siedzi na tronie, po którego bokach stanęło dwóch Świętych; przed tronem Maryi kłęczy król, któremu towarzyszą dwaj pachołkowie. Jeden z nich reprezentuje władzę wojskową króla, drugi (diak Mistko) jego władzę świecką, a raczej kancelaryę ruską Jagielly. Że królem tym jest nie kto inny, lecz Władysław Jagiello, świadczy o tem szereg faktów, nad którymi referent szczegółowo się zastanawiał. I tak, król na fresku wygląda na mężczyznę 60 kilkoletniego, Jagiello zaś liczył w r. 1415 t. j. w roku ukończe-

nia malarskiej dekoracji kaplicy 65 lat. Postać króla na fresku odpowiada zupełnie wizerunkowi Jagiełły, skreślonego przez Długosza, a nawet figurze jego na nagrobku. Za Jagiełłą wreszcie przemawia herb Pogoń, umieszczony na tarczy i przedstawiony w ten sposób, że anioł spadający z nieba, kładzie rycerzowi Pogoni na głowę koronę. Zachowany napis ruski mówi, iż dekorację kaplicy ukończył Andrzej malarz 10/8 1415 r. W końcu podniósł referent, że jeżeli napis ruski na ścianach kaplicy lubelskiej daje nam imię malarza ruskiego, to p. Marya Hruszcwska w zapiskach „Towarzystwa Szewczenki“ ogłosiła dokument z aktów grodzkich przemyskich, którym król Wł. Jagiełło nadaje popowi nazwiskiem Heyl, grunta za zasługi położone na polu malarstwa w Sandomierzu i w innych miastach. W ten sposób mamy już dwóch malarzy ruskich, użytych do dekoracji naszych kościołów, bliżej określonych.

W dyskusyi, jaka się nad referatem prof. Sokołowskiego rozwinęła, zabierali głos prof. Potkański i p. Ludwik Puszel.

P. Jerzy Kieszkowski przedłożył z kolei fotografie i opis nieznaney pamiątki odsieczy wiedeńskiej, którą udało mu się odnaleźć w Viareggio, koło Pizy. Na całość pamiątki składają się postacie Jana III, „Wiary“, Turka oraz trzy inne alegoryczne figury, wznoszące się dzisiaj na słupach parkanu, okalającego hotel. Powyższe figury, wykute w karraryjskim marmurze, pochodzą z Bozzano (pod Lukką), gdzie zdobyły attykę willi Feliksa Talenti'ego, którą nabył właściciel wspomnianego hotelu. Nazwisko Talenti'ego wyjaśnia w niewątpliwy sposób całą genezę omawianej pamiątki. Przypomina ono nam bowiem sekretarza Jana III, Tomasza hr. Talenti, rodem z Lukki, tego samego, który towarzyszył królowi pod Wiedni i odwoził po zwycięstwie chorągiew turecką do Rzymu. Otóż nasuwa się samo przez się przypuszczenie, że po śmierci Sobieskiego, Talenti wrócił do swej ojczyzny i na attyce willi swej w Bozzano kazał umieścić powyższe figury, pragnąc w ten sposób okazać przywiązanie swe do Jana III, a zarazem zostawić pamiątkę zwycięstwa, którego był świadkiem.

Przewodniczący przedłożył następnie pracę p. J. Smolińskiego o zabytkach w Plocku, wiążących się z nazwiskiem książyk Olelkowiczów. Praca ta, ilustrowana własnoręcznymi rysunkami i akwarellami autora, wykonanymi z wielką starannością, zawiera szczegółowe opisy portretów i miniatur, ornamentów, kielichów, armat, wreszcie szczegółowy inwentarz skarba książyckiego.

Sekretarz odczytał wreszcie udzielone Komisji przez D-ra Klemensa Bąkowskiego, kronikarskie zapiski, wyjęte z dawnych gazet krakowskich z lat 1803—1847, podające ciekawe wiadomości z dziedziny sztuk pięknych w Krakowie, a interesujące nadto, jako wyraz ówczesnej krytyki i panujących pojęć estetycznych.

— Na posiedzeniu wydziału filologicznego Akademii w dn. 13 lutego powzięto uchwałę wydawania greckich Ojeów Kościoła IV wieku. Walną zapomogę zapewnił w tym celu Akademii hr. *August Cieszkowski*, który na spełnienie tego zadania ofiarował 10,000 koron. Prócz tego prof. *Sternbach* ofiarował bibliotekę pomocniczą i zobowiązał się do datku 1000 koron na jej zakupno. Dla przeprowadzenia wydawnictwa zawiązała się komisya, złożona z pp. Mio-



dońskiego, Morawskiego, Pawlickiego, Sinki, Sternbacha i Stanisława Witkowskiego, która niebawem przystąpi do pracy.

— TOWARZYSTWO LUDOZNAWCZE WE LWOWIE zawiadamia: W roku ubiegłym minęło dziesięć lat od chwili, gdy grono ludzi dobrej woli założyło we Lwowie Towarzystwo ludoznawcze. Towarzystwo to zarówno przy pomocy posiedzeń naukowych, jak i swego organu „Lud,” jak wreszcie i innych swoich wydawnictw, dążyło statecznie do pogłębienia nauki we właściwym sobie zakresie, a jeśli nie innego, to co najmniej dziesięć roczników „Ludu” świadczy, że praca Towarzystwa nie poszła na marne. Jest zwyczajem w instytucjach naukowych powszechnie przyjętym, że ważniejsze chwile w życiu tych instytucyj bywają uświetniane zjazdami naukowymi, które obchodom jubileuszowym tych instytucyj głębsze i trwalsze nadają znaczenie. To też zarząd Towarzystwa ludoznawczego postanowił w czerwcu b. r. urządzać obchód jubileuszowy, połączony ze zjazdem naukowym. Na zjazd ten zgłoszono do tej pory następujące referaty: *Dr. Zofia Daszyńska-Golińska*: „Demografia nadwiślańskiego miasteczka od XVII w.,” — *Kazimierz Mokłowski*: „O charakterach wspólnych góralszczyzny karpackiej w budownictwie i sztuce;” — *Szymon Matusiak*: „O zbieraniu imion własnych;” — *Grzegorz Smólski*: „Ślady słowiańskie w krajach dawnej Recyji i Windelicy;” — *Jan Świętek*: „Liczby trzy i dziewięć w mitach, wyobrażeniach, mistycznych praktykach i w zwyczajach ludowych;” — *Dr. V. Tille*: „Oceně českých sbírek pohadbových pro srovnávací, studium literarne-historické;” — *Adolf Černý*: „Mapa etnograficzna Serbów lużyckich.”

## N O W E K S I A Ź K I.

— SZYMON ASKENAZY: „Książę Józef Poniatowski 1763—1813.” Warszawa, Gebethner i Wolff, 1905. Z 22 rycinami i heliograwiurą według portretu Grassiego.

Piękna i ozdobnie wydana monografia. Autor, przestudyowawszy archiwum w Petersburgu, Warszawie, Jabłonnie, Krakowie, Krzeszowicach, Wiedniu, Berlinie i Paryżu, ovladnął bardzo bogatym materiałem archiwalnym. Część jego w postaci korespondencyi ks. Józefa zamierza on wydać osobno. W niniejszej książce użył wszelkich zasobów swego niepospolitego talentu, ażeby plastycznie odtworzyć postać księcia Józefa, taką jaką była w rzeczywistości, jaką widzimy ją w dokumentach. I okazało się, że analiza historyczna nietylko nie nie ujęła Józefowi Poniatowskiemu, temu znanemu z tradycyi, ale przeciwnie dorzuciła nie jednego wawrzynu bohaterowi z pod Lipska.

Głębokie poczucie honoru było zawsze rysem zasadniczym jego charakteru, jest też w książce prof. Askenazego, wytlómaczeniem nie jednego czynu, nie jednej decyzyi ks. Józefa, tak nieraz trudnej w jego życiu.

Mówiąc o złych stronach charakteru, o tem, co za grzech pocztytywano księciu, autor znajduje i tu słowa usprawiedliwienia, powiada, że była to „negatywna reakcyja pięknej duszy... szukającej sobie upustu w wybuchach silnego temperamentu”...

— FELDMAN WILHELM: „Piśmiennictwo Polskie 1880—1904.“ Wydanie trzecie. Lwów, 1905. Nakładem księgarni H. Altenberga. Okładka rysunku Stanisława Wyspiańskiego. Czcionkami drukarni Narodowej w Krakowie. 8-a. Tom I. K. nl. 7, str. 292. Z 35 ilustracjami w tekście i 2 rycinami kolorowymi. Tom II. K. nl. 2, str. 249. 18 ilustracyj w tekście i 2 ryciny kolorowe. Tom III. K. nl. 2, str. 143. 25 ilustracyj w tekście i 4 ryciny kolorowe. Tom IV. K. nl. 2, str. 454. Z 12 portretami w tekście.

Jest to nowe rozszerzone wydanie znanego ogólnie dzieła. Uprzednio obejmowało ono dwa tomy. W niniejszym wydaniu treść ich została znacznie powiększona i rozpadła się na trzy tomy. Po za tem autor dodał tom czwarty, obejmujący obraz krytyki literackiej w Polsce lat ostatnich. Tu, jak i w poprzednich tomach, po każdym rozdziale syntetycznym, w którym autor stara się scharakteryzować dany kierunek literacki, następuje rozbiór analityczny działalności każdego pisarza i najwybitniejszych jego utworów. W ustępach tych znalazło się miejsce na dane bio- i bibliograficzne; materiał to pomocniczy nie tylko dla czytelników, lecz także dla badaczy psychologów, którzy nie zwykli indywidualności oddzielać od dzieła.

W dziele niniejszym autor starał się ująć całokształt dziejów ducha i sztuki w Polsce za ostatnie ćwierć wieku (1880—1904). O ile zadanie to wypełnił, o ile w pewnych razach nie uiosły go za daleko pojęcia indywidualne, stronicznie—czytelnik sam osądzi.

— GĄSIOROWSKI WACŁAW: „Pamiętnik Józefa Grabowskiego.“ Warszawa, 1905. 8-o, str. XIV + 344. Z dedykacją Antoniemu Małeckiemu.

Do całej seryi pamiętników wojskowych epoki napoleońskiej, wydanych ostatnimi czasy, przybywa pamiętnik Józefa Grabowskiego, oficera sztabu i towarzysza ostatnich wojen Napoleońskich. Pamiętnik ten, przechowywany dotąd w bibliotece Ossolińskich we Lwowie nie był przez autora przygotowany do druku; wydawca zmuszony był poczynić pewne poprawki stylistyczne, miejsca niedosć jasne uzupełnił przypiskami, a w końcu książki podał skorowidz encyklopedyczny dla łatwiejszego orientowania się w całości. Pamiętniki te, jak w słowie wstępem p. Gąsiorowski nadmienia—posiadają tę wielką wartość, że zaczynają się w epoce kiedy inne się kończą—dotyczą głównie ostatnich chwil tragedyi Napoleona, przynoszą bardzo wiele nowych szczegółów, wyświełają wiele nieznanych dotąd epizodów. A szczegóły które Grabowski wyjaśnia są pierwszorzędnego znaczenia, był on bowiem oficerem sztabu Napoleona, był przyjacielem i kolegą Romana Sołtyka, Aleksandra Fredry i Andrzeja Niegolewskiego, miał więc szeroki punkt obserwacyjny, i widział przewroty tych czasów u samych ich źródeł. Przytem Grabowski opisuje tylko to, na co patrzył i co się dokoła niego działo, opisuje przedmiotowo, prawie nie robi pomyłek, ani w datach, ani w nazwiskach, orientuje się w dziełach, które za jego czasów wyszły i co krok nowe szczegóły dorzuca. Takie są zalety pamiętnika, po za tem wydawca zaznacza rzadką bezinteresowność Grabowskiego, brak dążności do osiągnięcia zaszczytów i wysokich stanowisk, wreszcie niebawale oddanie się Napoleonowi, dla którego Grabowski ma kult zupełny.

W pamiętniku nie spotykamy ani jednego wyrzutu, ani jednej wymówki za zachowanie się Cesarza Francuzów względem Polaków. To chyba już nie zaleta, nie dowód przenikliwości politycznej Grabowskiego...

Cała książka czyta się z nieustającym zainteresowaniem.

#### WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— BIBLIOTEKA DZIEŁ CHRZEŚCIAŃSKICH w zeszytcie 49-tym za Styczeń 1905 r. daje tom IV-ty Filozofii Moralności *Wiktora Gathrein S. J.* Tom ten rozpada się na dwie części zatytułowane: 1) Nauka o społeczeństwie 2) Nauka o państwie. (8-o, str. VIII + 218). W końcu zeszytu znajdujemy „Notatki bibliograficzne” przez *ks. Stanisława Galla* i *ks. Antoniego Taura*.

— *KOSMOS*, zeszyt XI—XII, czasopismo Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika; zawiera rozprawę i artykuły następujące: 1) Kilka wycieczek w źródłiska Bystrzycy, Łomnicy i Cisy Czarnej, z 2 tabl. cynkogr. napisał *E. Romer*;—2) O tkance limfatycznej w nerce niektórych ryb, podała *A. Drzewina*;—3) Prace naukowe ś. p. Władysława Satkego, podał *E. Romer*;—4) Sprawozdania z prac polskich na polu fizyki za lata 1901 i 1902, opracował *M. Smoluchowski*;—5) Sprawozdania z literatury przyrodniczej, podali *J. Dzieździelewicz*, *E. Romer*, *W. Friedberg*, *M. Smoluchowski*, i *S. Opolski*.

— *KRONIKA DYECEZYI PRZEMYSKIEJ*, w zeszytcie I, za styczeń 1905, (str. 37) między innemi zawiera następujące ważniejsze artykuły: Mowa ks. biskupa Józ. Sebastjana Pelczara, miana podczas dyskusji sejm. o szkołach średnich;—Dzieje dyecezyi przemyskiej;—XLVI. Walenty Aleksander Czapski (1737—1742) XLVII. Hieronim z Bogusławie Sierakowski (1742—1760);—X. W. K.: O procesach małżeńskich słów kilka;—Wizytacya kanoniczna dekanatu mościckiego, dokonana przez biskupa-sufragana, Karola Józefa Fischera w r. 1904.

— Wydawnictwo *MACIERZY POLSKIEJ* z fundacyi im. Tadeusza Kościuszki w № 83 swoich publikacyj wydało niedawno zeszyt III-ci rozpoczętego w roku zeszytym dzieła „POLSKA, OBRAZY I OPISY” — (4-to, str. 219—344 z 56 ilustracyami).

Wydawnictwo to ma wypełnić ważną lukę w naszej literaturze.

Nie było dotychczas—piszą wydawcy—dzieła, któreby kresliło dokładny, wszechstronny obraz ziemi, ludu, dziejów i kultury narodu polskiego. Inne ludy mają wydawnictwa wspaniałe, odzwierciedlające w sobie wszelkie przejawy ducha narodowego—myśmy żadnej takiej księgi dotychczas nie mieli. Brakowi temu postanowiła zapobiedz „Macierz Polska” przez wydawnictwo p. t.: „Polska, obrazy i opisy.”

Zeszyt III-ci pomieszcza dwie prace: 1) *dr F. Konecznego*: Geografia Historyczna, gdzie autor w przystępnem opowiadaniu podaje zarys zewnętrzny dzielnic dawnej Polski, ozdobiony wielu rycinami, widokami miast etc. i 2) *dr. A. Winiarza*: Ustrój społeczny i polityczny Polski. Jest to początek pracy, która w dalszych zeszytach ukończoną będzie. Tutaj znajdujemy dwa pierwsze rozdziały: Okres I-szy od końca XI w. do początków XIII; Okres II od początków XIII w. do początków XVI.

— PORADNIK JĘZYKOWY, zeszyt za miesiąc luty b. r. wraca ponownie do kwestyi poprawności języka w naszych pismach codziennych i przytacza artykuł *Kuryera Warszawskiego* w tej sprawie niedawno ogłoszony. Najlepszym rozwiązaniem rzeczy byłoby, gdyby każde pismo z osobna dbało o siebie i o poprawność języka. Upomnienia, wymowne artykuły nic nie pomogą, jeżeli każdy nie zacznie od siebie. Na czele zeszytu mieści się artykuł zajmujący *Rom. Zawilńskiego* o różnicy, jaka zachodzi pomiędzy brzmieniem, dźwiękiem a głoską czyli literą. W rubryce „Zapytania i odpowiedzi,“ wśród różnych błędów, zwraca redakcyja uwagę na nadużycie przymiotnika „duży“ zamiast „wielki.“ W „pokłosiu“ wykazuje *M. Kryński* na przekładzie prof. Kaz. Twardowskiego dzieła D-ra Vaihingera „Filozofia Nietzschego,“ jak łatwo przez nieuwagę popelić szereg usterek i błędów każących w sposób niemily tok poprawny przekładu. Z nowych książek podaje zeszyt rozbiór poważnego dzieła słynnego lingwisty J. Baudouin de Courtenaya: *Szkice językoznawcze. Tom I.* Warszawa 1904, str. 464 i VII. W książce tej są rozprawki, które mogą zająć także i nie filologa.

— PRZEGLĄD SĄDOWY I ADMINISTRACYJNY, wydawany pod redakcyą prof. dr. *Ernesta Tilla* ze stałym współdziałaniem profesorów uniwersytetów lwowskiego i krakowskiego, oraz prawników zawodów praktycznych w zeszycie lutowym b. r. (8-o, str. 81—184) pomieszcza następujące rozpawy:

*Dr. Ernesta Tilla:* O naukowem przygotowaniu kandydatów sędziowskich; — *Dr. Piotra Stebelskiego:* Ułaskawienie młodocianych przestępców Austrii (dok.); — *Dr. Henryka Jaworskiego:* Stosunki ekonomiczne w Galicji pod panowaniem Austrii (c. d.); — *Dr. Konrada Krukowskiego:* Kara celowa (c. d.); — *Dr. Józefa Bühn:* O restytucyi podług obecnej procedury cywilnej. — W końcu Zapiski literackie i Kronika.

— PRZEGLĄD UNIWERSALNY, miesięcznik wydawany w Krakowie, pod redakcyą *ks. Jana Pawelskiego*, w zeszycie lutowym b. r. (8-o, str. 177—312) pomieszcza artykuły:

*Dr. Karola Potkańskiego:* Konstancya i Metodysz; — *Dr. Leopolda Cara:* Z naszych spraw społecznych i Pomoc prawna; — *Ks. F. Krokoszyńskiego:* Towarzystwa etyczne (c. d.); — *Ks. Stanisława Dumin-Borkowskiego:* W ojczyźnie Spinozy. Resztę zeszytu wypełnia Przegląd piśmiennictwa polskiego, *Ks. Wiktora Wieckiego* Sprawy kościoła; — *Ks. F. Hortyńskiego:* Ze świata nauk i wynalazków i *Ks. K. Czaykowskiego:* Z ruelu kobiecego.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI, miesięcznik, powołany do życia szczerobliwością szlachetnego ofiarodawcy, p. K. Wołodkowieza, zaznaczył poważnie i sympatycznie swe istnienie pierwszym, świeżo wydanym zeszytem. Na polu sławistyki Polacy dotąd nie odgrywali wybitnej roli, a przecież jest to nauka równie ważna, jak romanistyka i germanistyka, a dla nas cenniejsza i bliższa jeszcze samą siłą faktu. Sądźmy przeto, że nowy organ, dozna szczerzego poparcia. Zeszyt pierwszy za styczeń, 1905 (8-o, str. 1—88), zawiera prace: Klub słowiański w Krakowie, sprawozdanie z trzechlecia; — A. Grzymala Siedlecki, Aleksander Pypin, rzecz wygłoszona na posiedzeniu Klubu słowiańskiego w dniu 3 grudnia 1904 r.; — Dyskusya po odczycie p. Siedleckiego; — *Bene-*

*sić Juliusz*: Wrażenia belgradzkie; — *August Sokołowski*: Polacy w walce o niepodległość serbską; — Korespondencye: *Z Wielkopolski* przez *Franciszka Morawskiego*; — z Petersburga przez *St. Wrońskiego*; — z Paryża przez *dr. Z.*; — Idea słowiańska w prasie słowiańskiej; — Przegląd prasy słowiańskiej: ruskiej, czeskiej, chorwackiej; — Kronika.

— WIADOMOŚCI MATEMATYCZNYCH wydawanych przez prof. *Samuela Dicksteina* ukazał się tomu 8-go zeszyt 4, 5 i 6-ty (Warszawa, 1904, 8-o, str. 177—341). Treść jego:

Rozprawy: *L. Hordyński*: O wyznacznikach częściowo przetworzonych; — *P. Duchem*: Ewolucya Mechaniki; — *C. Stéphanos*: O pewnej kategorii równań funkcyjnych; — *L. Böttcher*: Iteracye funkcyj liniowych; — *S. Dickstein*: Trzeci kongres międzynarodowy matematyków, odbyty w Heidelbergu 8—13 sierpnia 1904 r.; — *L. Grabowski*: Zjazd Towarzystwa Astronomicznego w Lund 5—9 września 1904 r. W dziale „Przegląd literatury“ znajdujemy recenzje: *S. Dicksteina*: 1) *St. Brzozowski*: Jan Śniadecki, życie i dzieła, Warszawa, 1904, 2) *O. Linders*. Die für Technik und Praxis wichtigsten physikalischen Grössen, Leipzig 1904; *A. Witkowski*: *M. W. Travers*: Experimentelle Untersuchung von Gasen deutsch von *dr. Tadeusz Estreicher*. Braunschweig 1905.

— WIADOMOŚCI NUMIZMATYCZNO-ARCHEOLOGICZNE, organ Towarzystwa Numizmatycznego, w № 3-cim 1904 r., pomieszcza następujące prace:

*M. Marcinkowski*: Inwentarz zamku krakowskiego, a. dni 1787 ultimis i unii spisany (c. d.); — *Walery Kostrzębski*: O denarach Słowian zwanych wendyjskimi; — *dr. Feliks Kopera*: Materiały do inwentaryzacji zabytków sztuki i kultury w Polsce (c. d.); — *M. Gumowski*: Monety polskie w wiedeńskim gabinecie monet i medali; — *Adam Chmiel*: Materiały sfragistyczne. Pieczęcie żydowskie; — Dublety rycin w Muzeum narodowym w Krakowie do nabycia.

## BIBLIOGRAFIA.

### TEOLOGIA. — FILOZOFIA. — PEDAGOGIA.

BRZozowski ST.: Zasady psychologii („Książki dla wszystkich“ № 186). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o for. m., str. 101, II.

CHARSZEWSKI IGNACY Ks.: Kościół i obraz cudowny Matki Boskiej w Żurominie. Poprawiona odbitka z czasopisma „Maryawity.“ Kielce, 1904. 8-o, str. 36.

DIRECTORIUM divini officii secundum ritum... ordinis Praemonstratensis usui parthenonis... in Zwierzyniec accomodatam pro a. D. MCMV. Cracoviae, sumpt. Parthenonis, typis univ. Jagellon., 1904. 8-o, str. 51.

HÖFFDING HERALD: Zasady etyki, przełożyła dr. *Zofia Daszyńska*. Wyd. drugie. „Książki dla wszystkich“ № 161. Warszawa, 1905. Nakład. i druk. M. Arcta. 16-o, str. 104.

LANCASTER E. G.: Wiek młodzieńczy. Studium psychologiczno-pedagogiczne, przełożyli z angielskiego *A. Grudzińska* i *K. Król*. Dodatek do „Przeglądu Pedagogicznego.“ Warszawa, 1904. Wyd. kasy in. J. Mianowskiego, E. Wende i S-ka. 8-o, str. 123.

LOMBROSO PAULINA: Życie dzieci. Studium psychologiczno-wychowawcze. Z upoważnienia autorki przełożył z włoskiego *Kazimierz Król*. (Dodatek do „Przeglądu Pedagogicznego“ w r. 1904. Z zapomogi kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym, imienia J. Mianowskiego). Warszawa, 1904. Drukiem Michała Arcta. 8-o, str. VIII + 185 + II.

STRUVE HENRYK: Immanuel Kant oraz dziejowe doniosłości jego krytycyzmu. Odb. z „Biblioteki Warszawskiej.“ Warszawa, 1904. E. Wende i S-ka, druk. J. Sikorskiej. 8-o, str. 39.

WITKIEWICZ STANISŁAW: Chrześcijaństwo i katechizm. O nauce religii w szkołach galicyjskich. Nadb. z Reformy szkolnej. Kraków, 1904. Druk. Uniw. Jag. 8-o, str. 22—37.

WITWICKI WŁADYSŁAW DR.: Analiza psychologiczna objawów woli. Archiw. nauk. wyd. Tow. dla popier. nauki polsk., dział I, t. II, zes. 2. Lwów, 1904. Nakł. Tow., Gubrynowicz i Schmidt. E. Wende i S-ka w Warszawie, druk. Uniw. Jagiel. w Krakowie. 8-o, str. 127 z 4 fig. i 1 tabl.

ŻULAWSKI JERZY: Xięgi niektóre z żydowskich pism starego zakonu wybrane, przekładania... Lwów, 1904. Nakł. H. Altenberga, druk. Narodowa w Krakowie. 8-o, str. 149 + 1 nl. kor. 4.

Rysunki Wilhelma Wachtla.

Treść: Widzenia Jecheskielowe, Z ksiąg Ijoba Cierpliwego, Z kaznodziejskiej księgi Salomona, Pieśń nad pieśniami.

## HISTORIA LITERATURY. — JEZYKOZNAWSTWO.

DOBEK A.: Historia Literatury Słoweńskiej, podług *A. Pypina* napisał... („Książki dla wszystkich“ № 183). Warszawa, 1905. Nakład. i druk. M. Arcta. 8-o, for. m., str. 128.

DUBANOWICZ EDWARD: Słowackiego Ksiądz Marek, studium historyczno-literackie. Odb. z „Pamiętnika Literackiego.“ Lwów, 1904. Nakł. Tow. lit. in. Adama Mickiewicza, księg. Polska, druk. E. Winiarza. 8-o, str. 48.

FELDMAN WILHELM: O twórczości Stanisława Wyspiańskiego i Stefana Żeromskiego. Wygłoszone na wyższych Kursach Wakacyjnych w Zakopanem w sierpniu 1904 roku. Kraków, 1905. Księgarnia Naukowa. Skład główny w księgarni G. Gebethera i Spółki. Odbito czeionkami Drukarni Narodowej w Krakowie. 8-o, str. 168.

GALLE HENRYK: Grażyna Adama Mickiewicza, objaśnił... Arcydzieła poezji polskiej w rozbiorach, streszczeniach i wyjątkach. „Książki dla wszystkich” № 229. Warszawa, 1905. Nakł. i druk. M. Arcta. 16-o, str. 89.

JAWORSKI TADEUSZ DR.: Idea przewodnia w dramatach Wyspiańskiego: Wesele, Wyzwolenie, Akropolis. Poznań, 1905. Nakł. i druk. księg. Św. Wojciecha. 8-o, str. 20.

KATALOG literatury naukowej polskiej, wydawany przez Komisję Bibliograficzną Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii Umiejętności w Krakowie. (Catalogue of Polish scientific Literature). Tom IV. Rok 1904. Zeszyt I i II. Kraków, 1905. Nakładem Akademii Umiejętności, pod redakcją sekretarza Komisji, D-ra Tadeusza Estreichera. W drukarni c.-k. Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod zarządem Józefa Filipowskiego. 8-o, str. 32.

KOSZUTSKI WITOLD: Krótki zarys dziejów literatury polskiej. T. I—II. Warszawa, 1904. Nakł. „Ziarna,” E. Wende i S-ka. 8-o, form. m., str. 168 + 168.

ŁAGOWSKI FLORYAN: Historia Literatury Polskiej w zarysie. Część V: Wiek XVIII i XIX do Mickiewicza. („Książki dla wszystkich” № 172). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o, form. m., str. 181.

TROJANOWSKI ADAM: Słowniczek przędzalniczy w pięciu językach. Zebrał i opracował... Praca nagrodzona przez Stowarzyszenie Techników w Warszawie. na konkursie, ogłoszonym z inicjatywy inżyniera Feliksa Kucharzewskiego. (Odbitka z „Przeglądu Technicznego”; r. 1904). Warszawa, 1905. Druk. Rubieszewskiego i Wrotnowskiego. 8-o, form. w., k. nl. str. 53.

UNIwersytet ludowy im. Adama Mickiewicza. Sprawozdanie z działalności oddziału krakowskiego za rok 1903/4. Kraków, 1904. Nakł. Uniw. lud., druk. Związkowa. 8-o, str. 29.

ZAMENHOF L. DR.: Esperanto, język międzynarodowy. Cz. I: Gramatyka i ćwiczenia. („Książki dla wszystkich” № 197). Warszawa, 1904. Nakład. i druk. M. Arcta. 8-o, form. m., str. 99, 1 nl.

TENŻE: Esperanto, język międzynarodowy. Część II: Słownik. („Książki dla wszystkich” № 198). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o, form. m., str. 60, 4.

## HISTORIA. — LUDOZNAWSTWO.

ATLAS geograficzny ilustrowany Królestwa Polskiego, na podstawie najnowszych źródeł opracowany pod red. *J. M. Bozwicka*. Zeszyt III—IV. Warszawa, 1904. Map 16—31.

Z CZARNKOWA JAN: Kronika... archidyakona gnieźnieńskiego, podkanclerza Królestwa Polskiego (1370—1384). Przełożył z łacińskiego, wstępem i przypisaniami uzupełnił *J. Żerbilo*. Z zapom. Kasy im. Mianowskiego. Warszawa, 1905. E. Wende i S-ka, druk. J. Cotty. 8-o, str. XVII + 196.

ESTREICHER STANISŁAW: Wypraszenie od kary śmierci w obyczajach naszego ludu. Odb. z „Ludu.“ B. m. i r. w. Kraków, 1904. Druk. uniwers. Jagiel. 8-o, str. 18.

LANDMANN KAROL: Napoleon I. Przekład *Jana Kleczyńskiego*. (Biblioteka „Tygodnika Ilustrowanego“ № 13. Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów). Warszawa, 1905. Nakład. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Druk. P. Laskauera i S-ki. 8-o, str. 159, 1 nl.

ŁOZIŃSKI BRONISŁAW DR.: Galicyjski sejm stanowy (1817—1845). Lwów, 1905. Nakład. H. Altenberga, druk. Wł. Łozińskiego. 8-o, str. 139.

RAKOWSKI KAZIMIERZ DR.: Dzieje W. Księstwa Poznańskiego w zarysie (1815—1900). Z portretem autora i mapką Poznańskiego. Kraków, 1904. G. Gebethner i S-ka, druk. W. L. Anczyca i S-ki. 8-o, k. t. 2, str. 286, 1 nl.

SZELAĞOWSKI ADAM: O ujście Wisły; wielka wojna pruska. (Sprawa północna w wiekach XVI i XVII. Cz. III). Warszawa, 1905. Nakład. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Druk. W. L. Anczyca i S-ki. 8-o, k. t. 2, str. XVI + 463, 2 nl.

ZIEMIAŁKOWSKI FLORYAN: Pamiętniki. Część I—IV. R. 1848, 1863. Kraków, 1904. Nakł. Heleny Ziemiałkowskiej. Sp. Wyd. pols., druk. A. Koziańskiego. 8-o, str. 74 + 175 + 196 + 352, z portr. autora.

#### PRAWO. — EKONOMIA.

ADAMSKI ST. KS.: Kasy oszczędności w obrębie towarzystw. Odcz. popularny dla Tow. pols. VII. Poznań, 1904. Nakł. i druk. księgarni Św. Wojciecha. 8-o, str. 21.

TENŻE: Co wiedzieć należy o zabezpieczeniu od wypadków w rolnictwie i leśnictwie. Praktyczne wiadomości dla pracodawców i pracobiorców. Poznań, 1905. Nakł. Ruchu chrześc.-społecz., druk. i księg. Św. Wojciecha. 8-o, str. 56.

TENŻE: Nowe zadania dla naszych towarzystw dobroczynnych. Odczyt popul. dla Tow. polskich. Poznań, 1904. Nakł. i druk. księg. Św. Wojciecha. 8-o, str. 16.

BENZELSTJERNA-ENGESTRÖM WAWRZYNIEC: Maksymilian Jackowski, patron kółek rolniczych włościańskich w Wiel. Księstwie Poznańskiem. Wspomnienie pośmiertne. Napisał... Poznań, 1905. Nakładem i czcinkami drukarni Jarosława Leitgebera. 8-o, form. więk., str. 71.

COHN AD. J.: Stosunki ekonomiczne Żydów w Państwie Rosyjskiem. (Odbitka z „Izraelity“). Warszawa, 1904. Skład główny w księgarni G. Centnerszvera i S-ki, druk. Lepperta i S-ki. 6-o, form. podł., str. 44.

DOLIŃSKI ALEKSANDER DR.: Austriackie prawo akcyjne. I Część ogólna. Lwów, 1903. Nakł. autora, Gubrynowicz i Schmidt, druk. Pillera i S-ki. 8-o, str. 183.



PODLASIAK: Co nam przyniosły rady rolnicze Wittego z r. 1902/3. Wy-  
nik ankiety przy udziale koła kilkunastu ziemian. Lwów, 1905. Nakł. Tow.  
wydawn. druk. Związkowa w Krakowie. 8-o, str. 42.

## S Z T U K A.

BENEDYKTOWICZ LUDOMIR: Rodowód secesyi w malarstwie i rzeźbie, jej  
kwiaty i owoce na naszej grzędzie. Kraków, 1905. Nakł. autora, Spółka wyd.  
Polska, druk. Związkowa. 8-o, str. 36.

LE ROUX A.: Życie artystyczne Ludzkości. Streściła W. *Jasińska-Za-  
remba*. Z 30 rysunkami. („Książki dla wszystkich“ № 181). Warszawa, 1904.  
Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o, form. m., str. 167, 1 nl.

ZAWIRSKI MAREK, prof. Instyt. Muzycz. Warsz.: Nauka harmonii w stre-  
szczeniu z przykładami. („Książki dla wszystkich“ № 185). Warszawa, 1904.  
Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o, form. m., str. 169, 1 nl.

ZUBRZYCKI S. J. DR.: Zwięzła historia sztuki. od najpierwszych jej za-  
czątków po czasy najnowsze. Kraków, 1904. Nakł. autora, druk. A. Koziań-  
skiego. 8-o, str. 423, z liczn. ryc.

## POWIEŚĆ. — POEZJA.

BARTOSZEWICZ KAZIMIERZ: Słownik prawdy i zdrowego rozsądku. War-  
szawa, 1905. Gebethner i Wolff, druk. J. Cotty. 8-o, str. 142.

PRUS BOLESŁAW (ALEKSANDER GŁOWACKI): Najogólniejsze ideały życcio-  
we. Wydanie drugie, przejrane. Warszawa, 1905. Jan Fiszer. 8-o, str. XIX +  
+ 296, 1 nl.

KELLER HELENA: Historia mego życia. (Autobiografia głuchoniemiej  
i ociemniałej). Tłómaczyła M. *Pankiewiczówna*. („Biblioteka dzieł wyboro-  
wych“ № 365). Warszawa, 1904. Druk. Józefa Sikorskiego. 8-o, str. 133.

KIPLING RUDYARD: Listy z Japonii. Przetłómaczył *Maryan Polonński*.  
(Biblioteka „Tygodnika Ilustrowanego“ № 12. Bezpłatny dodatek dla prenu-  
meratorów „Tygodnika Ilustrowanego“). Warszawa, 1904. Nakład Gebethne-  
ra i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Druk. P. Laskauera i S-ki.  
8-o, str. 154 + III.

KORZENIOWSKI JÓZEF: Zbiór powieści. T. 8 i 9. Nowe wędrówki oryginal-  
nała, powieść w 2 tomach. Gródek, 1905. Nakł. i druk. J. Czaińskiego. Gu-  
brynowicz i Schmidt we Lwowie. 8-o, str. 278 + 285.

KRASIŃSKI ZYGMUNT: Pisma... za zezwoleniem rodziny poety wydał  
*Tadeusz Pini*. Wydanie krytyczne, zupełne, ze słowem wstępnem prof. d-ra  
*Józefa Kallenbacha*. T. I—IV (1833—1837, 1837—1859, 1833—1859, 1828—1829,  
1829—1832, 1830—1847). Lwów, 1904. Nakł. księg. Polskiej B. Polonieckiego,  
Warszawa, E. Wende i S-ka, druk. Uniwer. Jagiel. w Krakowie. 8-o, str. 383  
i 1 nl. + 628 i 1 nl. + 287 + 447 i 2 nl. + 326 i 1 nl. + 406 i 1 nl., z portreta-  
mi autora i podobiznami autografów.

LASKOWSKI KAZIMIERZ (EL): Pozwól mi mówić!... Erotyki. Warszawa, 1905. Jan Fiszer. Lwów, księgarnia Narodowa. Czeionkami drukarni Narodowej w Krakowie. 8-o, form. m., str. 75, 2 nl.

RODZIEWICZÓWNA MARYA: Dewajtis. Powieść współczesna, uwieńczona na konkursie „Kuryera Warszawskiego.“ (Dodatek bezpłatny dla prenumeratorów „Wędrowca“: Pisma M. Rodziewiczówny. Nakład „Wędrowca,“ Warszawa, 1905 rok. Warszawska Drukarnia Estetyczna). T. I. 8-o, str. 160.

SCHECHAU P. A. KS.: Mój nowy wikary. Opowieść z urywków pamiętnika proboszcza irlandzkiego. (Przedruk z „Roli“ 1902–1903). Przekład z angielskiego. Warszawa, 1904. Wydawnictwo ks. M. Godlewskiego. Druk Akcyjnego Towarzystwa Wydawniczo-Drukarskiego „Wiek.“ 8-o, k. t. 2, str. 294.

SIENKIEWICZ HENRYK. Potopa, historyczny roman, przełożył *J. I. Langner*. Dil I, sešit 1. Praha, 1905, Ed. Beaufort. 8-o, str. 40.

SIEROSZEWSKI WACŁAW: Brzask. Puszcza Białowieska. Grecka szczelina. Dno nędzy. Wyd. 2. Warszawa, nakł. autora.

SZIMACZEK M. A.: Obrazki z życia. Z czeskiego przełożyła *J. Kietlińska-Rudzka*. („Biblioteka dzieł narodowych“ № 359). Warszawa, 1904. Druk. Józefa Sikorskiego. 8-o, str. 126.

WEYSSENHOFF JÓZEF: Syn Marnotrawny. Warszawa, 1905. Gebethner i Wolff. Kraków, Gebethner i S-ka. 8-o, str. 446.

ZAPOLSKA GABRYELA: Modlitwa Pańska. Lwów, 1905. Polskie Towarz. Nakładowe. Skład główny w księgarni Narodowej. Drukarnia Narodowa w Krakowie. 8-o, k. t. 2, str. 179, z portretem autorki.

## NAUK I ŚCISŁE.

DIEUDONNE A. DR.: Przepisy higieniczne w chorobach zakaźnych. „Odczyty kliniczne“ № 186–188. Warszawa, 1904. 8-o, str. 85.

DIEULAFOY GEORGES (JERZY): Podręcznik chorób wewnętrznych. T. III. Choroby narządu moczowego. Choroby układu nerwowego. Z 13-go zupełnie przerobionego wydania spolszczył dr. *Józef Zawadzki*. „Biblioteka Lekarska,“ t. VIII, rok II. Warszawa, 1904. Nakł. „Bibl. Lekarskiej,“ druk. P. Laskauera i S-ki. 8-o, str. 635.

LANDERER A.: Dyagnostyka chirurgiczna, dla lekarzy praktyków i studentów, spolszczył dr. *Kazimierz Niedzielski*. Cz. II. Dyagnostyka szczegółowa. „Biblioteka Lekarska“ T. VII. Warszawa, 1904. Nakł. „Bibl. Lekar,“ druk. P. Laskauera i S-ki. 8-o, str. 224 + III, z 66 rys. w tekście.

ŁAZAROWICZ K. DR.: Pielęgnowanie chorych w domu, podług d-ra A. *Stoockera* opracował... Z 20 rysunkami. („Książki dla wszystkich“ № 196). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o, form. mały, str. 142 + II.

NIEDŹWIEDZKI J. DR. PROF.: Geologia, wykłady w szkole politechnicznej we Lwowie. Cz. I. Spisał w streszczeniu *J. A.* Lwów, 1904. Nakł. katedry mineralogii w szkole polit. 4-o, k. 17, z 1 tabl.

NIEDŹWIEDZKI J. DR. PROF.: Petrografia (opisowa nauka o skałach) w zakresie ograniczonym do niezbędnych potrzeb techników. Wyd. 2. „Bibl. podręczników szkoły politechnicznej“ t. V. Lwów, 1905. Nakł. autora. Gubrynowicz i Schmidt, druk. Związkowa. 8-o, k. nl. 2, str. 132.

RZĘTKOWSKI KAZIMIERZ DR.: O odporności w stanacli zakaźnych. (Odbitka z „Czasopisma Lekarskiego“ № 5 i 6). Łódź, 1904. 8-o, form. mały, k. t. 1, str. 23.

SKWARA FRANCISZEK, inżynier-technolog: O kotłach parowych oraz ich obsłudze. („Książki dla wszystkich“ № 179). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o form. mały, str. 137, 1 nl.

## R Ó Ź N E.

ANCZYC STANISŁAW DR.: W sprawie reorganizacji Muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie. Kraków, nakł. krakow. Towarz. technicznego, druk W. L. Anczyca i Sp., 1904, 8-o, str. 27.

A. R.: Nowoczesny ruch ludności z szerszem uwzględnieniem stosunków polskich. Odczyty popul. dla Tow. polsk. IX. Poznań, 1904. Nakł. i druk księg. św. Wojciecha. 8-o, str. 23.

ŁAZAROWICZ DR. K., lekarz Warszawskiego Pogotowia Ratunkowego: Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach. Z 50 rysunkami. („Książki dla wszystkich“ № 176). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o, for. m., str. 153, II.

NOŁASKI M.: Słownik kieszonkowy francusko-polski, ułożony podług najlepszych źródeł słownikowych i gramatycznych w obu językach, zawierający obok każdego wyrazu francuskiego dokładną wymowę, zastosowaną do pisowni polskiej. Warszawa, J. Fiszer, 1904. 8-o, str. 567.

OKSZYC A.: Japonia i japończycy. Podług Lauterera i innych opracowań... („Książki dla wszystkich“ № 178). Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem M. Arcta. 8-o form. mały, str. 212.



# SPIS RZECZY

## ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

z roku 1905.

### HISTORIA.

	Str.
DRUKI LITEWSKIE, — przez <i>Michała Brensztęjną</i> . . . . .	349
POLITYKA SZKOLNA TEREZYJAŃSKO-JÓZEFIŃSKA W GALICJI, — przez D-ra <i>Stefana Jantzena</i> . . . . .	503

### SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.

NOWY ROK, — przez <i>Adama Krasińskiego</i> . . . . .	I
NOWA TEORIA ZADAŃ SPOŁECZNYCH MACIERZYŃSTWA, — przez <i>Jana Kączkowskiego</i> . . . . .	255
CZYTELNICTWO WŚRÓD STUDENTÓW UNIwersYTETU WAR- SZAWSKIEGO, — przez <i>Konstantego Krzeczковского</i> 320 i 559	

### SZKICE POLITYCZNE.

WALKA Z „NADCZŁOWIEKIEM“ (z kresów zachodniej Polski), — przez <i>Franciszka Morawskiego</i> . . . . .	413
---	-----

### LITERATURA.

PRZEMIANY. Powieść współczesna (ciąg dalszy), — przez <i>Kazimierza</i> <i>Zdziechowskiego</i> . . . . .	26, 225 i 442
---	---------------

## STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

	Str.
MŁODOŚĆ SŁOWACKIEGO, — przez <i>Tadeusza Grabowskiego</i> . . . . .	1 i 279
IBSEN W ŚWIETLE SWOICH LISTÓW, — przez D-ra <i>Józefa Flacha</i> . . . . .	71
Z PARNASU HAMBURSKIEGO, — przez <i>J. K.</i> . . . . .	101
NA SCENIE I NA ESTRADZIE, — przez <i>Wł. Bogusławskiego</i> . . . . .	109
ŻYDZI W BELLETRYSTYCE DZISIEJSZEJ, — przez <i>Henryka Gallego</i> . . . . .	138
ISTOTA, NASTRÓJ ZASADNICZY I ZNACZENIE ROMANTYZMU. — przez Prof. <i>Henryka Struwego</i> . . . . .	205
NIEDOKONANY UTWÓR LEONARDA DA VINCI. — przez ks. <i>Jana</i> <i>Gnatowskiego</i> . . . . .	262
REJ A ZAMOYSKI, — przez <i>W. Sobieskiego</i> . . . . .	474
SZTUKA I ŻYCIE, — przez <i>T. Jaroszyńskiego</i> . . . . .	518
RUCH UMYSŁOWO-LITERACKI WE FRANCYI. — przez <i>Henryka</i> <i>Reinholda</i> . . . . .	534

## NAUKI PRZYRODNICZE.

NEOWITALIZM DZISIEJSZY I JEGO GENEZA, — przez Prof. D-ra <i>Józefa Nusbauera</i> . . . . .	49
--	----

## K R Y T Y K A.

Piętnaście lat w legionach. Pamiętniki <i>KAZIMIERZA TAŃSKIEGO</i> , generała b. wojsk polskich, z przedmową i przypisami <i>Stanisława</i> <i>Wojciecha Turowskiego</i> . Warszawa, 1905, — przez <i>A. R.</i> . . . . .	151
<i>BRONISŁAW GEMBARZEWSKI</i> : Wojsko polskie. Księstwo Warszawskie 1807—1814. Warszawa, 1905, — przez <i>A. R.</i> . . . . .	157
<i>DANIŁEWSKI</i> : Plan oblężenia miasta Smoleńska, z objaśniającym tekstem. Petersburg, 1904, przez <i>A. R.</i> . . . . .	168
<i>GERMAN JULIUSZ</i> : „Lilith.“ Bajka w trzech aktach. Lwów, 1905, — przez <i>Antoniego Mazanowskiego</i> . . . . .	170
<i>ALEKSANDER JAN RODKIEWICZ</i> : Pierwsza Politechnika polska 1825—1831. Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca <i>Szymon Askenazy</i> . Kraków i Warszawa, 1904, — przez <i>Stefana Gorskiego</i> . . . . .	171
<i>SZYMON ASKENAZY</i> : Książę <i>Józef Poniatowski</i> , — przez <i>A. R.</i> . . . . .	365
<i>F. KUCHARZEWSKI</i> : Czasopiśmiennictwo techniczne polskie przed ro- kiem 1875, — przez <i>Stefana Gorskiego</i> . . . . .	376
<i>E. PRATT</i> : The organisation of Agriculture, — przez <i>Adama Krzyżanow-</i> <i>skiego</i> . . . . .	379
Z nowszej literatury o Śląsku Cieszyńskim, — przez <i>Henryka Ułaszyna</i> . . . . .	578

RUDOLF PENZIG: Jak odpowiadać na pytania dziecięce, — przez <i>Stefanię Wertensteinową</i> . . . . .	Str. 586
JAN STANISŁAW MAR: Samotni, — przez <i>Henryka Gallego</i> . . . . .	590
TADEUSZ JAROSZYŃSKI: Różni ludzie, — przez <i>Henryka Gallego</i> . . . . .	591

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

## STYCZEŃ:

Dla głodnych i potrzebujących pracy. — Upadek publicystyki a szkoła dziennikarska. — Wystawa Maryańska. — List otwarty p. A. B. Brzostowskiego w sprawie... nazbyt nas już kompromitującej. — Przystulek dla idiotów. — Wspomnienia pozgonne: Ś. p. Maurycy Orgelbrand. — Prof. Jacob Caro. — Ś. p. Rudolf Ottmann . . . . .	179
--	-----

## LUTY:

Pierwsze w kraju muzeum higieniczne w Częstochowie. — Biblioteki w miastach prowincjonalnych. — Decentralizacya Towarzystw rolniczych. — Biuro pośrednictwa pracy. — Konkurs dramatyczny Towarzystwa teatralnego w Łodzi. — Wspomnienia pozgonne: Ś. p. Maksymilian Jackowski. — Ś. p. Wacław Pawliszak. — Ś. p. Prof. Henryk Wernic . . . . .	384
--	-----

## MARZEC:

Z powodu zaburzeń. — Biuro konsultaeyi adwokatów. — Jeszcze w sprawie szkolnictwa ludowego. — Projekt związku oficyalistów rolnych. — Spór o datę urodzin Reja. — Wspomnienia pozgonne: Ś. p. Wacław Mańkowski. — Ś. p. Hipolit Marczewski. — Ś. p. Pantaleon Szyndler. — Ś. p. Seweryn Lutostański. — Ś. p. Ignacy Krzyżanowski . . . . .	594
--	-----

## WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ . . . . .	195
LUTY . . . . .	401
MARZEC . . . . .	609